3 1761 08104453 9

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

BIBLIOTEKA

Teodor Jeske-Choiński.

Teodor Jeske-Choiński.

Tyara i Korona

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Pomiesc interesujące. 9.12.III.1941.

Tom I.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
„Biblioteki Dzieł Wyborowych"
47. Nowy-Świat 47.

PG
7158
J46T8
t.1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Декабря 1899 года.

Pamięci żony mojej

LUDMIŁY

powieść tę poświęcam

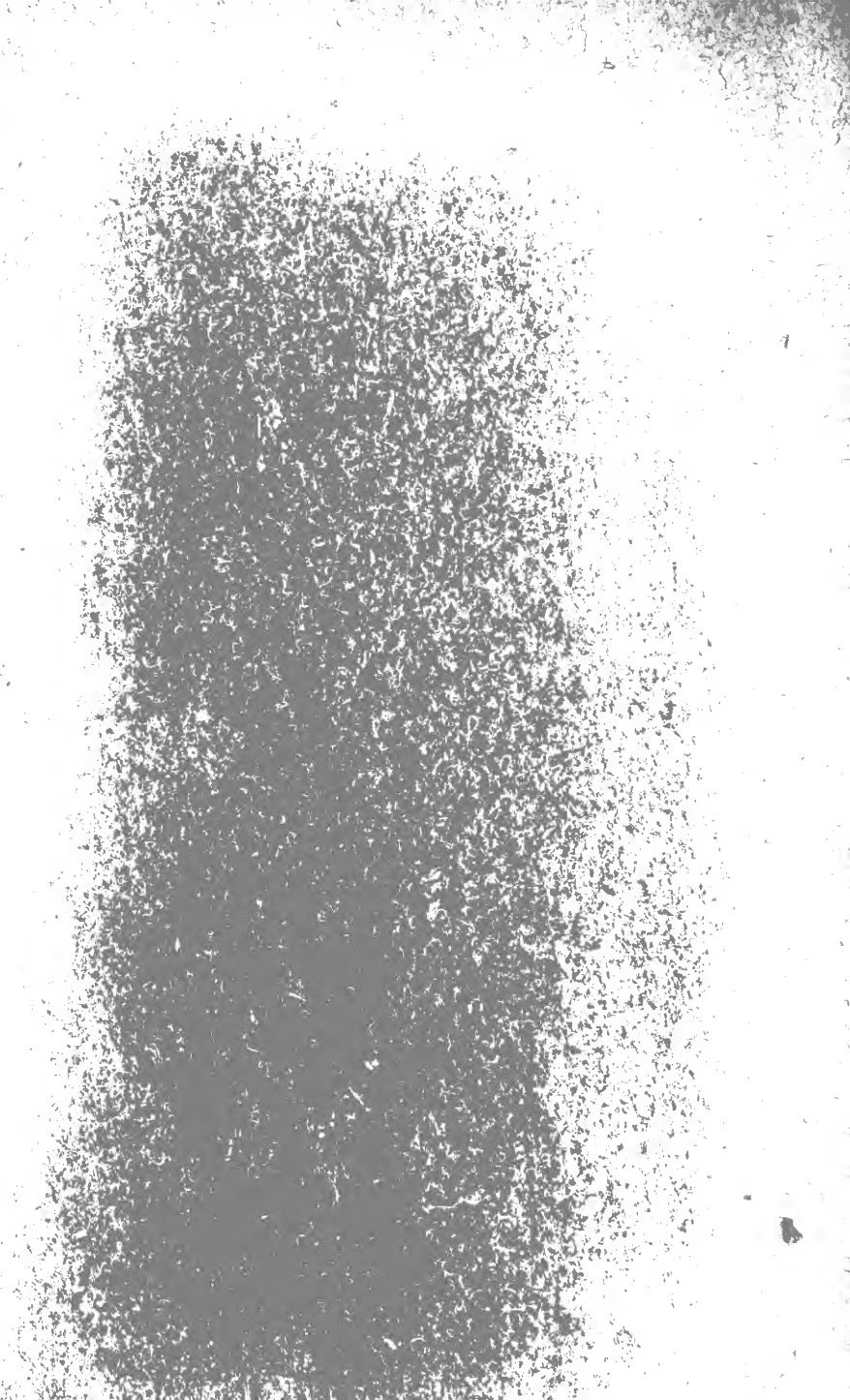

Od Autora.

Grzegorz VII i Henryk IV należą do tych postaci historycznych, o które namiętność stronnicza stacza dotąd bój zacięty. Zwolennicy prymatu władzy świeckiej uważają sobie za obowiązek, tak samo dziś, jak niegdyś, w XI stuleciu, potępić papieża — zwolennicy prymatu Kościoła odsądzają cesarza od czci i wiary.

Nie wielu autorom przyszło na myśl postawić się na stanowisku dwóch mężów, z których każdy był wcieleniem i obrońcą idei historycznej, wniknąć w ich psychologię, zbadać źródło i pobudki sporu i charaktery osób, biorących w nim żywy udział.

A tylko na tle pewnej epoki rysują się wypukle tej epoki postacie wybitne, tylko w oświetleniu zwyczajów i obyczajów, pojęć i dążności danej chwili widzi się dokładnie tej chwili aktorów.

Chwila, w której szalał spór pomiędzy Grzegorzem VII a Henrykiem IV, nie była ani jasną, ani spokojną. Wszystko się w niej kłębiło, gotowało, huczało, jak w kotle, pełnym ukropu. Tworzyły się

właśnie nowe pojęcia i wyobrażenia, odległych przyczyn skutki, tworzyły się nowe formy społeczne, nowe zwyczaje i obyczaje. Co było, co ludzie nazywali dotąd prawem i prawdą, rozprzęgało się, zapadało, traciło swą dawną moc, a nowe podwaliny życia społecznego chwiały się jeszcze niepewne, nieoparte na trwałych, uznanych powszechnie zasadach.

I łagodnem nie było stulecie jedenaste. Pięść, ubrana w żelazną rękawicę, narzucała słabszym swoją wolę i samowolę. Zuchwalstwo miecza szło ręka w rękę z zuchwalstwem charakterów, których gwałtowność miała wstręt do porządku i uległości.

W takich czasach przybiera wszelki spór mocarzów tej ziemi rozmiary burzy. Rozwaga, sprawiedliwość, bezstronność milkną, ustępując miejsca ślepemu gniewowi rozpętanych namiętności. Strony, walczące z sobą, nie przebierają w środkach.

Odczytując dziś pisma polemiczne, które wylatywały z pracowni biskupów i opatów XI stulecia płonącemi rakietami, gorszymy się zaciekłością sług ołtarza. Nienawiść siali gwałtowni prałaci, zamiast pokoju.

Zaślepieni namiętnością, nie widzieli, nie chcieli widzieć przyjaciele Grzegorza i Henryka, iż jeden i drugi mieli ze swojego stanowiska słuszność. Słusznie bronił Grzegorz wolności Kościoła — słusznie stał Henryk przy odziedziczonych przywilejach.

Papież, najwyższy przedstawiciel potęgi duchownej, nie mógł się zgodzić na zależność Stolicy Apostolskiej od samowoli świeckiej, cesarz, najwyższy przedstawiciel siły fizycznej, nie mógł uznać bez opo-

ru prymatu kapłana. Zwyciężył ten, któremu pomógł duch czasu, którego niosła idea historyczna, posuwająca się ciągle naprzód. Wybrańcem przyszłości był Grzegorz — synem przeszłości Henryk. Więc młoda przyszłość położyła stopę swoją na zgiętym, upokorzonym grzbiecie starej przeszłości.

Tylko w takiem oświetleniu rysują się wyraźnie dwie wielkie postacie dziejowe, oczernione niesłusznie przez zaciekłość stronniczą, tylko jako przedstawiciele dwóch walczących z sobą idei stają—Grzegorz i Henryk—żywi przed oczami potomnych.

Zarzucają Henrykowi wesołe życie. Było tak wistocie. Młody, bardzo urodziwy, bardzo rycerski, gorącego temperamentu władca nie stronił od miłości, wina i zabawy, ale miłość i wino lubili prawie wszyscy znakomitsi wojownicy, nie pominąwszy nawet tych, których czczono powszechnie, jak Karola Wielkiego i in. Połowa zresztą winy za hulaszczość Henryka spada na jego niesumiennych wychowawców.

To wesołe usposobienie Henryka w połączeniu z hojnością i wiernością w przyjaźni, sprawia, że sympatya przeciętnego czytelnika stoi po jego stronie. Był człowiekiem z ciała i krwi, zwykłym śmiertelnikiem, z wszystkiemi wadami i cnotami ludzkiemi. Żył, bawił się, błądził, grzeszył i cierpiał jak człowiek i dlatego przebacza mu człowiek żywy wybryki jego temperamentu.

Pod każdym względem wyżej od niego stał Grzegorz, asceta, rozebrany z wszelkich namiętności doczesnych, kapłan, wpatrzony tęsknem okiem w niebo, genialny reformator, oddany całą duszą swojej

idei. Jak orzeł nad skałami i rozpadlinami, tak unosił się papież nad nędzą i brudem tej ziemi, ale właśnie dlatego wydaje się jego postępowanie czasami zbyt surowe, bezwzględne. Wydaje się, w rzeczywistości bowiem tak nie było. Reformator tej miary, co Grzegorz, nie może być zbyt pobłażliwym. Grzeszyłby przeciw swojemu posłannictwu, gdyby się okazał słabym.

Człowiek jednak przeciętny nie lubi takich olbrzymów. Spogląda na nich z uwielbieniem, ale z uwielbieniem chłodnem, z jakąś trwogą, upokorzony ich wielkością. Trzeba być samemu orłem, aby odczuć, zrozumieć orła.

Wyjaśnieniem powyższem uważałem za konieczne poprzedzić moją „Tyarę i Koronę", ciasnota bowiem stronnicza zarzuciła mi przekrzywienie faktów na niekorzyść Grzegorza. Będąc katolikiem nietylko z chrztu, ale także z przekonań i sympatyj osobistych, nie mogłem mieć zamiaru, ani chęci obniżenia wartości męża, który należy do najzasłużeńszych władców Kościoła. Z tego jednak nie wypływa, abym powtarzał za wrogami Henryka wszystkie plotki i oszczerstwa i robił tendencyjnie „czarnym charakterem" nieszczęśliwego cesarza za to, że bronił przywilejów, które uważał szczerze za swoje prawo. Mógł się mylić, ale mylił się uczciwie, bo wierzył w boskość korony — postępował niewątpliwie zbyt gwałtownie, zbyt porywczo, ale w dwudziestym szóstym roku życia nie bywa nawet geniusz mężem dojrzałym, spokojnym, zwłaszcza, gdyby się znalazł w takiem położeniu, w jakiem był Henryk, osaczony

zewsząd przez sforę rokoszan i niewdzięcznych zdrajców.

Odtwarzając w formie artystycznej spór Grzegorza z Henrykiem, starałem się być przedmiotowym—o ile to w mocy człowieka — sprawiedliwym dla stron obu. Pełny, do prawdy zbliżony obraz danej epoki jest tak samo celem powieściopisarza historycznego, jak historyka w ścisłem znaczeniu—tak samo artysty, jak uczonego. Tego belletryści katoliccy, zwłaszcza niemieccy, nie chcą zrozumieć i dlatego są ich dzieła sztuki zwykle pamfletami.

Teodor Jeske-Choiński.

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

I.

Słońce dziewiątego czerwca tysiąc siedemdziesiątego piątego roku zaszło krwawo nad „czerwoną“ ziemią Sasów.

Gdy wschodziło, witała je nadzieja walecznego narodu, który wyszedł w pole, by bronić swojej odrębności przeciw gniewowi korony niemieckiej; gdy gasło, żegnała je rozpacz zwyciężonych.

Sześćdziesiąt tysięcy Sasów rozłożyło się dziś zrana żywym wałem w pobliżu Langensalza i Hohenburga, wzdłuż rzeki Unstrut. Stawili się ze swojemi drużynami prawie wszyscy wojewodowie, hrabiowie, margrabiowie, biskupi i opaci; przywdzieli na siebie zbroje i wolni kmiecie. Każdy rycerz przypasał do boku dwa miecze, wziął z sobą cztery kopie, zaopatrzył tarcz nowemi brzegami i rozniecił w sercu starą nienawiść do dumnego plemienia Franków, co usiłowało zarzucić na niesforną duszę germańską wędzidło karności.

Wychowani w szkole Rzymu, któremu służyli nasamprzód przez dwa wieki jako najemnicy, zanim postawili młodą stopę na jego zwiędłym karku, ocierając się od wielu pokoleń o resztki cywilizacyi dogorywającego świata pogańskiego, zrozumieli Frankowie pierwsi z pomiędzy ludów niemieckich znaczenie jednolitości państwa. Odziedziczywszy po swo-

ich mistrzach geniusz polityczny, budowali z ich cierpliwością na gruzach starego *imperium* cesarstwo nowe, opromienione blaskiem Krzyża. Ogniem i mieczem naginali współplemieńców do posłuszeństwa i nawracali do wiary Chrystusowej. Przed wojskami ich szli misyonarze, a z krwawych pól ich zwycięztw wyrastały kościoły, klasztory, biskupstwa i opactwa, strzeżone przez zamki warowne.

Przędzę tej roboty dziejowej Franków psuła bezustannie swawola barbarzyńska północnych szczepów germańskich, nie znosząca nad sobą pana, okrom w boju. Głównie Sasi opierali się ich geniuszowi politycznemu. Daremnie zdeptał ich Karol Wielki, daremnie nakładali im obrożę prawie wszyscy znakomitsi cesarze. Powaleni korzyli się, przysięgali wierność; wylizawszy się z ran, podnosili chorągiew rokoszu i zakłócali spokój cesarstwa.

I teraz, w początkach drugiej połowy jedenastego stulecia, korzystając z małoletności króla, postanowili Sasi oderwać się od rzeszy niemieckiej i rządzić się po swojemu, starodawnym obyczajem. Ale Henryk, czwarty tego imienia, był Frankiem i synem i wnukiem wielkich monarchów, przeto, gdy mu przypasano miecz do boku, gdy poczuł się władcą mnogich ludów, podjął dzieło swojego plemienia i swoich przodków i prowadził je dalej, równie nieubłagany, jak oni.

Przez kilka lat walczył z Sasami na własną rękę; nie mogąc jednak podołać licznemu a bitnemu narodowi, rozesłał wici po ziemiach germańskich z wezwaniem do wyprawy powszechnej.

Dziś, gdy słońce stało już wysoko na niebie, podniósł się nagle w okolicy Eisenach olbrzymi słup kurzu i zbliżał się szybko do rzeki Unstrut.

Słup zatrzymał się, kurz opadł i przed zdumionemi oczami Sasów rozlała się bezbrzeżna, błyszcząca fala.

To szedł król Henryk z mieczem karzącym.

Przybył z nim Rudolf szwabski z tymi, co „mieszkali wedle Chur," i z tymi, co „pili z rzeki Araris i Rodanu;" ciągnął Welf z walecznym ludem Bawarów, słynnym z bojów z Węgrami; prowadził swoich znakomitych jeźdźców garbaty Gotfryd lotaryński, Sprawiedliwym zwany. I stary Ditrych, wojewoda Wyższej Lotaryngii, i czeski Wracisław, i wszyscy arcybiskupi, biskupi i opaci stawili się na rozkaz króla. Sędziwy, kulawy, chory Widerad, opat Fuldy, nie mogąc się utrzymać na koniu, kazał się wieźć za wojskiem dopóty, dopóki trud pochodu nie poraził jego wątłego ciała.

Sasi nie spodziewali się takiego pośpiechu. Rozebrawszy się z ciężkich zbroi, odpoczywali po dłuższym marszu.

Zaledwie zdążyli sprawić szyk bojowy, kiedy po drugiej stronie zabrzmiały trąby i Szwabowie wpadli na nich tak gwałtownie, że stargali odrazu porządek pierwszych szeregów.

Bronił się zrozpaczony naród, jak broni się osaczony znienacka przestępca, który wie, że nie znajdzie litości u sędziów. Ale za Szwabami szli Bawarowie, za Bawarami lennicy biskupów i opatów, szedł w końcu król Henryk na czele Franków.

Widać go było zdaleka.

Zakuty cały w złotą zbroję, świecił na tle srebrnych i żelaznych napierśników rycerstwa, jak miesiąc wpośród gwiazd. Nie zachęcał do boju, nie rozkazywał, lecz bił sam. Duży miecz niemiecki migotał w jego ręku z szybkością błyskawicy. Krew lała się obficie jego śladami.

Walka trwała tylko kilka godzin. Zachodzące słońce oświetlało tyły zgromionego okrutnie narodu.

Na karki uciekających w popłochu Sasów

wsiadł garbaty Gotfryd lotaryński i dokonał dnia rzezią straszliwą [1]).

* * *

Drogą, wiodącą do Merzeburga, pędziła gromadka jeźdźców.

Pędziła bez porządku, jak stado spłoszonych dzików, na oślep, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo. Czyj koń się potknął, kto zachwiał się w siodle, temu nie podał nikt ręki życzliwej. Zostawiano go w prochu ulicy i śpieszono dalej a dalej, bez wytchnienia. Niech każdy pamięta o sobie...

Trwoga odebrała ludziom rozwagę, a zwierzętom przypięła skrzydła do piersi.

Bo z tyłu, od strony rzeki Unstrut, nadpływały jeszcze ostatnie echa stłumionej wrzawy, jakby brzęk niezliczonego mnóstwa pszczół i muszek leśnych.

Gotfryd lotaryński nie ustał dotąd w krwawej robocie.

Na wschodzie, ku Merzeburgowi, odcinała się od szarego nieba ciemna wstęga, która występowała coraz wyraźniej w miarę, jak się do niej uciekający zbliżali.

Konie dobywały bez ostrogi ostatnich sił. Robiąc bokami, szły wyciągniętym kłusem. Byle dotrzeć do owej ciemnej wstęgi, pod dach odwiecznych dębów, buków i świerków, a pogoń przestanie być groźną. Cisza lasu obejmie rozbitków przyjaznym, miękim uściskiem, sędziwe drzewa zasłonią ich przed wściekłością zwycięzców...

Przodem gromadki, odsadziwszy się od niej o kilkanaście kroków, leciało dwóch mężów. W cie-

---

[1]) „Herzogów“ XI-go stulecia nazywam „wojewodami,“ zamiast książętami, nie byli to bowiem jeszcze książęta dziedziczni w rozumieniu późniejszem, lecz właściwie urzędnicy i lennicy korony, mianowani przez nią tymczasowo i zależni od niej. *(Przyp. Aut.).*

niach wieczoru rysowały się sylwetki niezwykle rosłych koni i niezwykle dużych ludzi.

Pochyleni w siodle, biegli w milczeniu.

Już było czuć woń lasu. Wtem stęknął pod jednym z owych mężów koń, jak człowiek, śmiertelnie rażony, wyrzucił przedniemi nogami, zacharczał i runął łbem w piasek.

— Święty Piotrze, ocal mnie! — jęknął rycerz, spadając na ziemię.

Jego towarzysz zdarł swojego ogiera w miejscu, podniósł prawicę do góry i zawołał głosem tak potężnym, iż zapanował nad łoskotem pędzącej gromadki.

— Zwolnić kroku!

Rzekłszy to, zsiadł z konia i, pochyliwszy się nad leżącym, zapytał troskliwie:

— Czujecie swoje kości, biskupie?

— Więcej, niż potrzeba—odparł mąż, nazwany biskupem.—Rozepnijcie mi napierśnik, wojewodo, duszę się.

Kilku z gromadki, którzy przypadli pierwsi, rozwiązali szybko rzemyki na ramionach i pod szyją biskupa i, ująwszy go pod ręce, ustawili na nogach.

— Czy możecie się swobodnie poruszać?—spytał jeszcze wojewoda.

Biskup postąpił kilka kroków.

— Wszystko we mnie całe—mówił—a zdawało mi się, że rozsypuję się w skorupy, jak garnek rozbity.

Wróciwszy do miejsca, w którem koń jego padł, przypatrywał się przez pewien czas stygnącemu zwierzęciu, potem rzekł półgłosem:

— Nie mogę cię nawet ziemią przykryć, aby się nad tobą wilki nie pastwiły.

Wyciągnął pięść w stronę Unstruty i zawołał:

— Oddamy ci to, pyszałku frankoński!

— Oddamy!—wtórowali mu rycerze.

Jeden tylko wojewoda nie groził zwycięzcy.

Spojrzał w stronę pola bitwy. Tam, na zachodnim skraju nieba, zaróżowiły się obłoki, jakby słońce dopiero co zaszło.

— Lotaryński garbusek świeci sobie przy robocie naszemi siołami—mówił.

Wziął konia za uzdę i wyrzekł głosem rozkazującym:

— Wszyscy z siodła! Do lasu!

Cicho stał bór, spowity w mgły wieczoru. Jego skrzydlaci mieszkańcy zamilkli już dawno. Nawet jastrząb, wracający ostatni z pól i łąk pod strzechę zieloną, przysiadł na gałęzi i spoczywał.

Gromadka uciekających Sasów odetchnęła swobodnie, gdy ujrzała za sobą pierwsze drzewa.

Prowadził ją wojewoda. Posuwał się naprzód pewną stopą, nie szukając drogi. Znał widocznie dobrze miejscowość.

Brzęk mieczów i chrzęst zbroi płoszył ptactwo i straszył zwierzę czworonożne. Od czasu do czasu zrywała się z gniazda przebudzona sroka z wrzaskiem przeraźliwym, chrapnęła zdumiona kraska, zaświszczał gołąb skrzydłami. Jeleń, sarna i dzik pierzchały zdaleka.

W milczeniu przedzierali się Sasi przez gąszcz zarośli i paproci. Żałoba dnia odebrała nawet młodym ochotę do gawędy.

Szli już przeszło godzinę, kiedy wydostali się na obszerną polankę, przeciętą strumykiem.

— Tu nie znajdzie nas pogoń Gotfryda — odezwał się wojewoda.—Rozpalić ognie.

Wkrótce buchnęły ze stosów, ułożonych z suchych liści i gałęzi, cztery płomienie, tworzące czworobok. Konie wprowadzono do środka i, spętawszy im przednie nogi, puszczono na pastwisko.

Czerwony blask ognia oświetlił teraz olbrzymią postać wojewody, który przewyższał innych rycerzów o całą głowę. Jego długie, jasne, na ramiona

spadające włosy, gęstą brodę i srebrną zbroję pokrywał kurz, zmieszany z krwią. Po jedwabnym płaszczu, obramowanym gronostajem, zostały tylko brudne strzępy.

Był to Otton z Nordheimu, naczelny wódz Sasów, pan znany z męztwa i szybkiej rady. Jeszcze niedawno wojewoda Bawarów, należał on do najmożniejszych dygnitarzów rzeszy niemieckiej. Wypadłszy z łaski młodego monarchy, pozbawiony urzędów państwowych i dworskich, przeszedł na stronę rokoszan, do których należał pochodzeniem.

Rozebrany przez giermków ze zbroi, pod którą miał miękki kaftan ze skóry łosiowej, spoczął obok ogniska na siodle i, oparłszy głowę na dłoni, zapatrzył się w płomień.

Jego towarzysz, niższy od niego wzrostem, lecz odznaczający się tak samo, jak on, muskularną budową ciała, rzucił się na trawę. Gdyby nie ogolona twarz, krótko ucięte włosy i tonsura, nie poznałby w nim nikt duchownego. Tyle było w jego ruchach fantazyi żołnierskiej, a w grubych rysach zaciętej stanowczości. Ten człowiek umiał śmiertelnie nienawidzić i mścić się bez miłosierdzia. Mówiły to czarne, ponuro patrzące oczy, i pogardliwie wydęte, w kątach obwisłe usta.

I on, Buko, biskup halbersztadzki [1]), zasiadał w radzie króla, dopóki jego wuj, arcybiskup koloński, Anno, trzymał w krzepkiej dłoni ster państwa. Lecz kiedy Henryk, wyzwoliwszy się z pod nadzoru opieki, oddalił od swojego boku wszystkich tych, którzy tłumili jego młode porywy, wówczas stracił biskup wpływ i znaczenie. Nie chcąc się pogodzić z nowym stanem rzeczy, przyłączył się do rokoszu, cho-

[1]) Buko (Bucco), pisany także w niektórych kronikach Burkart, Burchardt.

ciaż nie urodził się na ziemi saskiej. Jego kołyska stała w Szwabii.

— Tak szybkiego końca nie spodziewałem się nigdy—odezwał się głosem ochrypłym z kurzu i zmęczenia.

— To dopiero początek — odpowiedział wojewoda.

Buko, który leżał wyciągnięty na ziemi z rękoma splecionemi pod głowę, zwrócił zdziwione oczy na wojewodę.

— Jak mówicie?—zapytał.

— Mówię, że walka Henryka z nami dopiero się zaczęła.

— Cóżby nas jeszcze gorszego mogło spotkać? Rycerstwo pobite, gmin przerażony, cały kraj padnie do stóp tego młokosa.

— Rycerstwo pobite, gmin przerażony, kraj ukorzy się przed zwycięzcą, ale my, twórcy rokoszu, uszliśmy pogoni. Ponieważ schodziłem ostatni z pola, przeto wiem, że ani jeden z naszych wodzów nie wpadł w ręce Henryka. Widziałem przed sobą wojewodę Magnusa, palatyna Fryderyka, hrabiego Hermana, arcybiskupa Wernera. Schronili się wszyscy przed nami w lasach.

— Sądzicie, że...

Biskup uniósł się na rękach i wpatrzył się uważnie w twarz wojewody.

— Sądzę, że Henryk nie spocznie dopóty, dopóki nas nie obezwładni. Wie on bardzo dobrze, że bez nas nie byłoby oporu Sasów. Nie rycerstwo i gmin niepokoją jego dumę, lecz my, panowie świeccy i duchowni, pobudzamy go do czynów gwałtownych. Naszą siłę stara się zmiażdżyć, ażeby mógł rządzić sam bez udziału książąt.

— Te zuchwałe marzenia nie spełnią się nigdy—wtrącił biskup.

— Dlaczego?—mówił wojewoda.—Gdy zdruzgocze Sasów, któż ośmieli się stawić czoło jego potę-

dze? Dziś utoczył nam dużo krwi. Po żniwach najedzie po raz drugi ziemię saską i dokona reszty.

— Niech nas święty Piotr ma w swojej opiece.

— Święty Piotr nie sprzyja naszej sprawie. Wszakże pościliśmy przed wojną jak mnichy kluniackie, leżeliśmy krzyżem w kościołach, tarzaliśmy się w prochu i popiele, włóczyliśmy się na kolanach przed relikwiarzami, błagając św. Piotra i wszystkich Świętych o pomoc. Święci byli dziś po stronie Henryka. Po winobraniu wróci ten zuchwały młokos, okuje was, mnie, Magnusa, Hermana, Fryderyka i wszystkich panów Saksonii w kajdany i zamknie nas tam, zkąd nie wyszła jeszcze żywa noga ludzka. Czy znacie zamek Trifels, biskupie?

Buko obejrzał się z trwogą dokoła, jak gdyby się groźba wojewody już zbliżała.

Ale bór spał bez ruchu, bez szelestu. Najlżejszy wietrzyk nie kołysał wierzchołkami drzew. Czasem tylko rozległ się w oddali suchy trzask gałęzi, zdruzgotanych racicą grubszego zwierza.

— Wam krukiem być, wojewodo — odparł biskup, zawijając się w płaszcz fioletowy.—Krakalibyście z przyjemnością nad ścierwem. Żaden z książąt rzeszy nie gnił dotąd w podziemiach zamku Trifels.

— Co się dotąd nie stało, może jutro, pojutrze nastąpić—mówił wojewoda.—Szanowaliż przodkowie Henryka godność książęcą? Czyście już zapomnieli, jak jego ojciec sponiewierał starszego Gotfryda? A czwarty Henryk jest nieodrodnym synem swojego pysznego szczepu. Kipi w nim krew Waiblingów, wielkich wojowników i gwałtownych władców. Dzieckiem jeszcze był, a już rwał się do miecza na świątobliwego Anna. Zaledwie usamowolniła go rada książąt, kiedy nas rozpędził na wszystkie wiatry i otoczył się swoimi ulubieńcami. Jak on dziś szedł w najgorętszy bój! Oczu od niego oderwać nie mogłem. Świecił i bił, jak archanioł Michał. A mówili,

że wątły, że zniewieściałe wychowanie i rozpusta wyssały z niego siły męzkie.

Po twarzy biskupa przesunął się cień zadumy.

— Okazał się dziś wistocie godnym wielkiego imienia Waiblingów — odezwał się po krótkiem milczeniu.—Któżby się był spodziewał, że z tego rozpustnika wyrośnie tak nieustraszony rycerz?... Ale właśnie dlatego nie możemy służyć jego zamiarom. Uczyniłby nas bezwolnymi filarami korony, której blask powinien przygasnąć, jeżeli nasze mitry mają zajaśnieć nad ziemiami świętego państwa rzymskiego. Im słabszy będzie tron, tem mocniej staną nasze stolice książęce. Nam nie potrzeba króla potężnego. Radźcie, wojewodo, w jaki sposób podkopać młodą siłę Henryka.

Długo namyślał się Otton z Nordheimu, zanim odpowiedział. Jego gęste brwi zsunęły się nad orlim nosem, szerokie czoło marszczyło się, powieki przysłoniły do połowy błękitne, bystro patrzące oczy.

— Zwykłemi środkami nie wytrącimy już z rąk Henryka miecza zemsty — mówił wolno. — Jeszcze przed miesiącem moglibyśmy się byli porozumieć z panami innych dzielnic rzeszy, niejeden bowiem z książąt spogląda kosem okiem na rosnącą potęgę korony. Sam Rudolf szwabski korzy się tylko niechętnie przed jej blaskiem. Wolałby, ażeby ona jego mądrą głowę opromieniała. Ale dzisiejsze zwycięztwo przecięło nam drogę do niezadowolenia książąt. Większość idzie zawsze za powodzeniem chwili, a szczęście odwróciło się od nas. Na panów Szwabii, Bawaryi, Karyntyi i Lotaryngii nie możemy liczyć.

Zamilkł, utkwiwszy wzrok w ziemi.

— Mieliście radzić, wojewodo — wtrącił Buko z wyrzutem.

Jak gdyby uwagi biskupa nie słyszał, ciągnął Otton dalej, nie podnosząc głowy:

— Jest na całym świecie tylko jedna potęga,

która może zdruzgotać dumę Henryka. Tę potęgę trzeba dla naszej sprawy pozyskać.

Znów ustał.

— Mówcie, nie dręczcie mojej niecierpliwości— zawołał biskup żywo.—Wiecie przecież, jak tego pyszałka francuskiego nienawidzę.

— Wiem—rzekł wojewoda.—Król oderwał od waszego biskupstwa jakieś lenno. I wy, biskupie, nie domyślacie się owej potęgi?

Buko wzruszył ramionami.

— Szukam jej daremnie w ziemiach niemieckich—mówił.

— Bo nie w ziemiach rzeszy szukać jej trzeba, lecz w Rzymie, w pałacu Lateranów.

— Hildebrand?! Żartujecie, wojewodo. Uboższy on od każdego z nas i słabszy od ostatniego z biskupów niemieckich. Gdyby nie pomoc Matyldy Toskańskiej, nie utrzymałby się nawet w Rzymie. Wiadomo wam, że go większa część biskupów lombardzkich nie chce uznać.

— A jednak jest ten słaby, ubogi, przez biskupów Lombardyi nieuznany Hildebrand jedynym mężem w cesarstwie rzymskiem, którego potęga Henryka nie przerazi — odparł Otton. — Znam go z czasów, kiedy przebywał na dworze trzeciego Henryka, jako kapelan Grzegorza VI-go, strąconego ze Stolicy Apostolskiej. Małe to było, szczupłe, chuderlawe, śniade na gębie i szpetne z wyglądu mniszątko, ale w dużych, czarnych oczach gorzały płomienie i czaiły się pioruny. Kiedy mówił o posłannictwie świętego Kościoła, zdawał się rosnąć. Jakieś dziwne ognie biły od niego. Już nieboszczyk cesarz przepowiadał, że z tego wyschłego księżyny wyrośnie kiedyś wielki rycerz naszego Pana Jezusa Chrystusa. I zdaje się, że się ojciec obecnego króla nie mylił, bo z chwilą, gdy Hildebrand zasiadł na stolicy Piotrowej, padł strach na wszystkich simonistów i na całe świeckie

duchowieństwo. Już dawno nie miał święty Kościół powszechny tak surowego rządcy.

Pochlebny rysopis papieża Grzegorza VII-go nie sprawiał snać biskupowi przyjemności, bo słuchał chwalby wojewody z czołem zachmurzonem.

— Nowy pan papież chciałby narzucić całemu duchowieństwu regułę św. Benedykta — odezwał się z niechęcią. — Czasy inne, ludzie inni... Surowy on rządca świętego Kościoła powszechnego, nie przeczę, ale nie widzę w jego odważnej dłoni miecza, któryby nam, panom niemieckim, mógł przyjść z pomocą.

Wojewoda podniósł się z siodła i przykucnął na ziemi obok biskupa. Schyliwszy się nad nim, mówił głosem zniżonym:

— W odważnej dłoni Hildebranda spoczywa miecz św. Piotra, który jest mocniejszy od najmocniejszych potęg świata. Gdyby papież błysnął tym mieczem nad głową Henryka, strzeliłby w tron niemiecki piorun druzgoczący [1]).

Szeroko otwartemi oczami wpatrywał się Buko w twarz Ottona, jak gdyby nie rozumiał ukrytej treści jego rady. W jego spojrzeniu malowało się nasamprzód zdziwienie, potem przestrach.

— Mówicie o... klą...twie... — szepnął — o klątwie na króla rzymskiego?... Zuchwałą dajecie radę, wojewodo... Takiego wypadku nie było jeszcze w dziejach chrześciaństwa. Żaden biskup rzymski nie ośmielił się jeszcze rzucić klątwy na króla rzymskiego.

— Ale Hildebrand nie cofnie się przed czynem najśmielszym, gdy będzie uważał, że wyklęcie króla

---

[1]) Jedenaste stulecie nie przestrzegało ściśle tytułów; mówiło ono dość często poprostu: pan papież, pan cesarz, pan król i t. d. Tylko Kurya rzymska posługiwała się zawsze tytułami dawnej Romy.

rzymskiego pomnoży siłę Kościoła i przyczyni blasku Stolicy Piotrowej.

— Czy was żal do Henryka nie łudzi, wojewodo?

— Jestem pewny tego, co mówię, biskupie. Tacy, jak Hildebrand, urodzili się na władców wielkich państw. Dusza starego Rzymu wstąpiła w nędzne ciało tego zawiędłego mnicha. On jeden nie schyli czoła przed Henrykiem.

Zamilkli.

Wojewoda patrzył znów w płomień, podsycany od czasu do czasu przez giermka, biskup posłał zamyślony wzrok ponad siebie, wysoko, w górę, gdzie na ciemno-błękitnem niebie iskrzyły się gwiazd miryady i posuwał się wolno blady sierp księżyca. Opodal, przy innych ogniskach, gwarzyli półgłosem rycerze sascy.

Nikt nie przeczuwał, że w tej chwili zadzierzgiwał się węzeł straszliwej tragedyi, która miała wstrząsnąć całym światem chrześciańskim aż do najgłębszych głębi; że zbierała się burza, co miała szaleć nad Europą przez trzy wieki, zalewając ziemie niemieckie, francuskie, włoskie i angielskie niezasychającym nigdy potokiem krwi, aż zahuczała orkanem nienawiści powszechnej, znanym w dziejach pod nazwą reformacyi.

Gdyby Otton z Nordheimu i biskup Buko mogli byli uchylić rąbka zakrytej przyszłości i spojrzeć w jej oblicze, stargane boleścią, cofnęliby się niewątpliwie ze zgrozą przed odpowiedzialnością za skutki swoich knowań, byli bowiem obaj szczerymi katolikami. Ale oni widzieli przed sobą tylko najbliższe dziś, swoje krzywdy osobiste, obrażoną dumę, utratę wpływu na rządy państwa, zmniejszone dochody, odebrane przez koronę dobra lenne.

Jeden tylko cichy wyrzut wgryzał się w ich sumienie.

Chociaż nienawidzili Henryka, był ten nienawi-

stny im Henryk, mimo to, ich królem prawowitym, któremu złożyli przysięgę wierności. U swojego monarchy mogli się oni, panowie niemieccy, upominać zwyczajem czasu o wrzekome lub istotne krzywdy nawet z bronią w ręku. Tak czynili wszyscy wojewodowie, margrabiowie i hrabiowie jedenastego stulecia, gdy im siła pozwoliła odważyć się na krok zuchwały. Ale tylko najgorsi z najgorszych odwoływali się do pomocy obcej przeciw koronie.

Jakby odpowiadał przykrym myślom, które go niepokoiły, odezwał się Otton z Nordheimu po dłuższej przerwie:

— Nie moja wina. Dlaczego obraził mnie Henryk tak śmiertelnie, dlaczego wypędził mnie z rady, jak nieposłusznego niewolnika... Byłbym mu wiernie służył...

— I ja nie byłbym prowadził lenników biskupstwa halberstadzkiego do boju przeciw pomazańcowi, gdyby się korona nie wtrąciła do spraw mojej dyecezyi—mówił Buko.—Ale nie widzę jeszcze, w jaki sposób możnaby się posłużyć mieczem św. Piotra? Pan papież nie wyklina bez powodu.

Powtórnie nachylił się do niego Otton i odrzekł głosem przyciszonym, chociaż nie było nikogo w pobliżu. Jego samego przerażał pomysł, wylęgły w jego nienawiści.

— Powody gromadzą się od dwóch lat i mnożą się ciągle. Wiadomo wam, że Henryk wezwał znów na dwór doradców, wyklętych przez papieża, aczkolwiek Hildebrand żądał wyraźnie, ażeby ich nie dopuścił do swojego boku przed spełnieniem pokuty. Ten wściekły pies, Ulryk z Godesheimu, nietylko, że nie poddał się pokucie, lecz drwi nawet głośno z miecza św. Piotra. Tak samo hrabiowie z Nellenburga, Hertold z Meersburga, rycerz Hartmann i biskupi dworscy. Byłoby dobrze, ażeby Hildebrand o tem wiedział, a jeszcze lepiej, gdyby wiedział więcej, aniżeli jest wistocie. Poślijcie natychmiast do Rzymu

jakiego zręcznego i wymownego mnicha. Niech wasz zaufany nie oszczędza Henryka i jego dworu, niech mówi dużo o jego miłostkach, rozpuście i niesprawiedliwości. Resztę zrobi gwałtowność króla. Gdy takie dwie twarde wole, jak jego i Hildebranda, uderzą o siebie—trysną iskry, iskry zaś wzniecają pożary... Ja, ze swej strony, roześlę gońców do panów szwabskich. Może mi się uda przeciągnąć którego z nich na naszą stronę. Hrabia z Kalwu był kiedyś moim przyjacielem, a on ma wielkie poważanie u Rudolfa. Ale nie zwlekajcie. Szybkość wygrywa często bitwy. Z Henrykiem trzeba się śpieszyć. Nie namyśla się on nigdy długo.

Gdzieś, w głębi lasu, podniósł się w tej chwili wiatr i przesuwał się wolno nad wierzchołkami buków, dębów i świerków. Zakołysały się lekko gałęzie, zadrżały liście i dziwnie smutny szum przepłynął nad polanką. Zdawało się, że ktoś skarży się pod niebem łkaniem stłumionem.

Biskup i wojewoda spojrzeli na siebie i przeżegnali się z trwogą zabobonną.

— Nie moja wina... — mówił Otton z Nordheimu, ukrywając twarz w dłoniach.—Dlaczego obraził mnie Henryk tak śmiertelnie...

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

II.

W miesiąc potem prało pięć statków modre fale jeziora bodeńskiego. Pierwszy z nich, smukły, biało malowany okręt z dziobem w kształcie łba lwiego, prowadził cztery duże promy, obrzeżone poręczami.

I okręt i promy posuwały się wolno naprzód, zanurzone głęboko w wodzie. Snać wiozły ciężar niepospolity.

Gorący dzień lipca utrudniał pracę wioślarzów. Chociaż pozrzucali z siebie kaftany, koszule i buty, zalewał im pot oczy, spływając strugami po opalonych, wiatrem pociętych twarzach.

Nadmierny wysiłek milczy, jak nadmierny ból i wielka, niespodziewana radość. Ale z promów wylewała się na lśniącą szybę jeziora zamaszysta pieśń żołnierska, zmieszana z głośnym śmiechem.

Śpiewali ci, co potnieli przy wiosłach, i ci, co rozłożywszy się na twardych, nieociosanych pniach, chłodzili się piwem.

Nawet konie brały udział w ogólnem weselu. Rozglądając się dokoła, rżały zadowolone.

I jakże nie miała radość przepełniać serc wojowników, którzy wracali po kilkomiesięcznej włóczędze do domu, pod własny dach, do własnego ogniska?

Kiedy szli w początkach maja na daleką północ, do czarnych borów Saksonii, żegnał niejeden z nich zielone brzegi jeziora tęsknem spojrzeniem straceńca. Ujrzę-ż jeszcze raz te modre fale, tak gładkie, jak szyba lustrzana, tak ciche, jak szczęście w pokoju? Wojna nie lituje się nad dzieckiem opuszczonem i nad żoną płaczącą...

Lecz teraz była już troska o niepewne jutro po za nimi. Wracali zdrowi, okryci chwałą rycerską, wracali ze zwycięzkiego pola nad Unstrutą, obdarzeni hojnie przez króla. Cały obóz, zdobyty na Sasach, wszystek łup, wzięty w zamkach, oddał Henryk wojsku, własną szkatułę wypróżnił aż do ostatniego pierścienia, aby rycerz wiedział, że korona umie być wdzięczną.

Przeto rozbrzmiewały promy, stękające pod ciężarem bogatych darów, wesołym śpiewem i nieopatrznym śmiechem. Szczęśliwych żołnierzy nie utrudzała praca przy wiośle i nie dokuczało im słońce.

Tylko na białym okręcie tłumiła służba głośną radość przez szacunek dla pana i seniora [1]) powracającej z wojny drużyny. Stał on na przedzie pokładu, wpatrzony w siną dal. Średniego wzrostu, kształtnej budowy, nie liczył więcej nad lat dwadzieścia kilka. Wszystkie jego suknie, zacząwszy od niebieskiej, okrągłej czapeczki bez daszka, aż do wysokich pończoch, były jedwabne. Miał na sobie kaftan pomarańczowego koloru, w rodzaju rzymskich tunik, ozdobiony pod obnażoną szyją, u spodu i przy rękawach szerokim srebrnym haftem, spięty w biodrach złotym, drogiemi kamieniami nabijanym pasem, którego jeden koniec, puszczony wolno, spadał aż do kolan. Takiej samej barwy krótkie spodnie tkwiły w długich, czerwonych, obcisłych pończochach, przymocowanych do łydki żółtemi taśmami. Jego stopy okrywały trzewiki bez obcasów, ze skóry złoconej, przedłużone szpiczastemi, zakrzywionemi nosami. Na piersiach lśnił złoty łańcuch. Miecz i płaszcz leżały tuż przy nim na ławce.

Bujne, rudawego połysku włosy, utrefione starannie, poruszały się lekko, pieszczone ciepłym wietrzykiem, który nadpływał z południa. Twarzy ściągłej, o rysach regularnych, wyrzeźbionych dostatkiem kilku pokoleń, nadawał wąs frankoński, podkręcony do góry, wyraz zuchowaty. Ale z dużych, niebieskich oczu, wpatrzonych z zachwytem w przepiękny krajobraz, wyzierała dusza, skłonna do marzeń.

— Może kazać ci podać lutnię, Bertoldzie? — odezwał się obok niego głos szorstki.

Z zydla, na którym siedział, podniósł się mąż, podobny wzrostem i jasnemi włosami do Ottona z Nordheimu. Miał on na sobie takie same bogate

---

[1]) Seniorem nazywano w XI-m stuleciu szlachcica, który rozdawał innym rycerzom część swoich dóbr, jako lenna.

i wykwintne suknie, jak Bertold, i liczył te same lata.

Zagadnięty odwrócił wolno głowę do towarzysza. Łagodny uśmiech okwiecił jego usta, gdy odrzekł:

— Miałbym istotnie ochotę uderzyć w złote struny lutni i śpiewać całą piersią Widok tych modrych wód, których cichy szum usypiał mnie do snu na łonie matki, działa na mnie zawsze, jak psalmy, nucone przez kanoników w kaplicy królewskiej.

Jego głos dźwięczny, miękki, szedł z serca do serca.

— Ja zaś, gdy patrzę na takie duże jezioro, jak wasze — mówił jego towarzysz—myślę sobie, ile też garncy ryb możnaby z niego rocznie wyłowić, a gdy słyszę pianie golonych łbów [1]), obliczam, ile wojska dałoby się uzbroić za ich dobra i dziesięciny. Jeśli tak dalej pójdzie, rozdrapią te darmozjady wszystkie lenna koronne.

— Oni pracują pożyteczniej od nas, Ulryku — wtrącił Bertold z wyrzutem w głosie — bo modlą się za nasze grzechy i pośredniczą między nami a Sędzią Odwiecznym. Bez nich nie znalibyśmy tajemnic świętej wiary i nie przestąpiliśmy nigdy progu Królestwa Niebieskiego.

Po ustach Ulryka przemknął uśmiech szyderski. Machnąwszy ręką niedbale, odparł:

— Obyłoby się bez tego pośrednictwa.

— Nie bluźnij! — zawołał Bertold. — Niepodaremnie przezwali cię Sasi *Godeshass* [2]).

---

[1]) Rycerze nazywali duchownych pogardliwie „golonymi łbami," z powodu krótko uciętych włosów i tonsury. Włosy długie były oznaką i chlubą ludzi wolnych.

[2]) Ulryk von Godesheim, pisany także w niektórych kronikach Ulryk, albo Udalrych von Cosheim; Sasi przezwali go „Godeshass" (Gottes Hass—Nienawiść Boga).

Ulryk z Godesheimu, hrabia-palatyn świętego państwa rzymskiego i członek przybocznej rady króla Henryka, ściągnął gęste brwi i podkręcił wąsa.

— Za niewczesny dowcip odpłaciłem tym świniom saskim nad Unstrutą pismem tak trwałem, iż nie wymarzą go długo z łbów upartych. Tobie zaś dziwię się, że stajesz zawsze po stronie mnichów. Bo żeby cię za to przynajmniej kochali. Ale oni wykluczyli cię tak samo, jak mnie, ze społeczności Kościoła. Wszakże nie zdjął Hildebrand z twojej głowy klątwy, którą nas papież Aleksander chciał zdruzgotać. Zdruzgotać?! Cóż nam zrobił? Jak zasiadaliśmy w radzie państwa, tak jesteśmy w niej dotąd. Nie z naszym Henrykiem wojować biskupowi rzymskiemu. Da on sobie z nim radę. Gdy ugniemy na jesień karków saskich wielmożów, zabierzemy się do Hildebranda. Już czas poskromić tego pyszałka. Na jego klątwy mamy doskonały środek.

Ulryk z Godesheimu dotknął ręką złotej głowicy miecza.

— Ten milczący przyjaciel zamyka najzuchwalszą gębę—dodał.

Z jego olbrzymiej, zwięzłej w sobie postaci biła brutalna siła cielesna. Mimo wykwintnego stroju, robił on wrażenie barbarzyńcy, przebranego wypadkiem w suknie cywilizowanego narodu. W grubym karku i w małych, szarych oczach, osadzonych głęboko pod nizkiem czołem, miał upór i zaciętość tura. Chociaż nazywał Sasów „świniami," jak Frankowie, należał właściwie do ich plemienia, zamek jego bowiem rodzinny wyrósł z „czerwonej ziemi" Westfalii.

Okręt zbliżał się teraz do podłużnej wyspy, pokrytej ogrodami owocowemi i winnicami. Z zielonego, gęstego klombu drzew wychylała się czworoboczna wieża, świecąca zdaleka złotym krzyżem. Przez

gałęzie przeglądały szare mury licznych budynkow, rozrzuconych dokoła świątyni.

— Podobno opat z Reichenau hoduje wyborne wino—odezwał się Ulryk.—Wartoby kiedy najechać wielebnego Ekkeharda i przetrząsnąć jego piwnicę. Należałoby mu się to za jego przyjaźń do Hildebranda.

Z trzcin nadbrzeżnych wysunęła się głowa ogolona, a za nią wysoka postać, przyodziana w czarny habit benedyktyna. Zakonnik trzymał w ręku łuk napięty.

Ulryk, spostrzegłszy mnicha, pogroził mu pięścią i zawołał po łacinie:

— *Ne clericus venationi incumbat!* Czyście już w Reichenau zapomnieli o postanowieniach synodów angsburskich? Polować zachciewa się oblubieńcowi Królestwa Niebieskiego.

— A tobie co do tego!—odkrzyknął mnich.

Ulryk roześmiał się wesoło.

— Gadasz po ludzku, ojcze świątobliwy — odpowiedział.—Lubię takich zuchów. Jak mi przyjdzie kiedy ochota podpalić waszą norę i napić się bez pozwolenia opata wina z waszej piwnicy, dopuszczę cię do kompanii. Zanim to jednak nastąpi, pozdrów wielebnego Ekkeharda od Ulryka z Godesheimu i Bertolda z Meersburga, i powiedz mu, żeby nie jeździł tak często na drugą stronę Alp, bo wszechwidzące oko naszego pana, Henryka, idzie już śladami jego zdrady.

Nazwiska doradców króla podziałały na zakonnika doraźniej od strzały, którąby wypuszczono w jego stronę.

Przykucnął natychmiast w trzcinie i pomykał chyłkiem ku zabudowaniom klasztoru.

— A widzisz, jaki to z ciebie zuch — wołał za nim Ulryk, śmiejąc się rubasznie.

Zwróciwszy się do Bertolda, rzekł:

— Wartoby istotnie nastraszyć trochę Ekkehar-

da, ażeby mu się odechciało konszachtów z Rzymem. Na wyprawę saską przysłał najgorszych ludzi, samych niedołęgów, aczkolwiek wiadomo powszechnie, że otacza się tęgiemi pięściami. Ponieważ zostaniesz czas dłuższy w Meersburgu, mógłbyś najechać sąsiadujące z tobą dobra opactwa reichenauskiego. Niepotrzebujesz zabijać. Wystarczy spalić gumna, zburzyć winnice, wygarbować dobrze skórę najzuchwalszym burgrabiom zamków klasztornych. A gdybyś tam i któremu łeb rozwalił, nie będzie dziury w niebie. Nasz Henryk nie pogniewa się za to na ciebie. Uczyniłbym to sam z wielką przyjemnością, ale mój czas mierzony. Muszę być w końcu miesiąca w Lombardyi, aby się dowiedzieć, co Rzym knuje przeciw Henrykowi. Na synodzie lutowym zapadły jakieś postanowienia, które obrażają majestat korony niemieckiej i wdzierają się w jej prawa. Hildebrand trzyma dotąd owe nowinki w tajemnicy, czekając na chwilę naszej słabości. Prawdopodobnie mniemał, że nas Sasi zmogą. Byłby wówczas jawnie ze swojemi zamiarami wystąpił. Jak się teraz po naszem zwycięztwie zachowa, to już jego rzecz. My, ze swojej strony, powinniśmy wiedzieć, o czem golone łby rozprawiały na synodzie lutowym. Powiedzą mi to biskupi lombardzcy, którzy chcieliby się Hildebranda jak najprędzej pozbyć. Kiedy ja będę po drugiej stronie Alp nadstawiał dobrze uszu, ty rozglądaj się tymczasem uważnie w Szwabii południowej. Doniosła mi tajna straż, że w okolicy jeziorka Bodeńskiego włóczą się mnichy kluniackie i podburzają motłoch przeciw naszemu świeckiemu duchowieństwu. Gdybyś złapał takiego czarnego kruka, zamknij go w najciemniejszej klatce wieży meersburskiej, aby stracił na zawsze ochotę do poprawiania obyczajów naszych poczciwych, oddanych koronie klechów. W chwilach zaś dobrego usposobienia zabaw się z opatem Ekkehardem. Tylko bądź ostrożny, bo wielebny ojciec reichenauski nie lubi żartów.

Skończywszy, spojrzał Ulryk z pod krzaczastych brwi na towarzysza.

Bertold z Meersburga milczał, zapatrzony ciągle w siną dal. Jego szerokie czoło sfałdowało się lekko.

Kiedy nie odpowiadał, odezwał się znów Ulryk:

— Budzę cię. Chyba zostawiłeś w domu jaką bogdankę, której gładkie liczko przesłania ci sprawy państwa. Obudź się i przetrzyj dobrze oczy, bystry bowiem wzrok będzie wkrótce przyjaciołom korony bardzo potrzebny.

Bertold przesunął teraz rękę, ubraną w jedwabną purpurową rękawiczkę po czole, i zaczął głosem cichym, smutnym:

— Bogdanki nie zostawiłem w domu, ale kochającą i kochaną matkę, która leży codziennie krzyżem w kaplicy zamkowej i prosi naszego Pana Jezusa Chrystusa, aby oświecił w dobrości Swojej zbłąkaną duszę syna.

— Wiadomo, że niewiasty przywiązują do gadaniny mnichów wartość zbyteczną — wtrącił Ulryk niechętnie.

— Nie do samych tylko serc niewieścich przemawia słowo Boże. I nasz pan, król Henryk, składa troski swoje chętnie w litościwe ręce Pana panów.

Ulryk mruknął coś niewyraźnego pod wąsem, a Bertold mówił dalej:

— My, rycerze, nie wiemy nigdy, gdzie i kiedy kres naszych dni niepewnych. Dziś budzi nasza błyszcząca zbroja zazdrość mieszczanina i kmiecia, a jutro szarpią kruki i sępy nasze zwłoki skrwawione. A z tych zwłok uchodzi dusza i leci daleko przed bramy Królestwa Niebieskiego. Nietylko tchórzliwa niewiasta, lecz i mąż odważny pragnie gorąco, aby się te bramy przed nim otworzyły, albowiem krótkie jest życie doczesne, a wiecznie trwa pokuta lub radość pozagrobowa.

Ulryk z Godesheimu słuchał z pogardliwym uśmiechem na grubych wargach.

— Mówisz, jak arcybiskup Limar—rzekł—z którym zbyt często przestajesz. Zkąd tobie takie myśli cmentarne? Będzie na nie dość czasu, gdy lata wyssą z ciebie siłę młodości.

— Zkąd mi takie myśli? Wszakże tak samo, jak ty, lekceważył duchowieństwo hr. Eberhard, a gdy konał w piasku nad Unstrutą, przekłuty nawskroś kopią Ottona z Nordheimu, błagał mnie, abym przywołał którego z biskupów.

— Eberhard?! Nellenburg?! — zawołał Ulryk z niedowierzaniem. — Jeszcze w przeddzień bitwy drwiliśmy z klątwy Hildebranda. Chyba się mylisz.

— Eberhard skonał na moich ręku — odparł Bertold.—Gasnąc, rzucał się, jak raniony jeleń, i wołał pobladłemi usty: chleb zbawienia mi podajcie! Widzisz, Ulryku... Inaczej wierzy śmiertelnik, gdy mu siły lat młodych odejmą strach przed nagłym zgonem, a inaczej kiedy widzi przed sobą grób blizki, otwarty. Nie zapomnę nigdy trwogi przedśmiertnej Eberharda.

— I dlatego odstąpisz naszego pana i przejdziesz na stronę jego wrogów.

Na twarz Bertolda wypłynął ciemny rumieniec. Z jego oczu, dotąd łagodnie patrzących, trysnęły błyskawice gniewu, prawa ręka rzuciła się gwałtownym ruchem do lewego boku, gdzie wisiał zwykle miecz obosieczny.

Przez kilka chwil milczał, mierząc Ulryka wzrokiem wyniosłym, potem rzekł drżącemi wargami:

— Nadużywasz praw przyjaźni, hrabio z Godesheimu! Jestem Frankiem, a Frankowie nie zdradzają swych królów. W złej, czy dobrej doli stać będę przy Henryku, jak stali moi przodkowie obok

jego przodków. Jeżeli wypadnie zginąć za pana prawowitego rzeszy niemieckiej, zginę; jeśli będzie trzeba koniecznie zaprzepaścić duszę swoją, zaprzepaszczę ją. Ty mnie nie ucz wierności lennika, powinnej koronie.

Wątły w porównaniu z Ulrykiem Bertold wyprostował się dumnie, rzucając towarzyszowi spojrzenie wyzywające. Jego postać wikwintna, na której było znać rzeźbiącą rękę dłuższej cywilizacyi, nie robiła w tej chwili wcale wrażenia słabości. I on potrafił być groźnym.

— Ty mnie nie ucz obowiązków rycerza dla wodza!—zawołał głosem ochrypłym z wewnętrznego oburzenia.—Ty...

— Niedźwiedziu westfalski! — dokończył za niego szybko Ulryk z Godesheimu.

Nie gniewał się. Z przyjemnością raczej słuchał wybuchu Bertolda.

— Nie znieważyć cię chciałem, Berti—rzekł łagodnie — lecz tylko podrażnić. Któżby śmiał wątpić o twojej wierności dla korony? Wszakże chowaliśmy się razem z Henrykiem od lat dziecięcych, byliśmy mu towarzyszami zabaw, nauki, szczęścia i trosk, których mu chciwość książąt nie skąpiła. Z tych, co wzrośli pospołu z królem, co znają najlepiej jego dobre serce, jego hojność, łaskawość i wierność w przyjaźni, zostało po śmierci twojego brata i dwóch Nellenburgów tylko czterech: ty, ja, rycerz Hartmann i biskup Henryk spirski. Któż broniłby go przed oszczerstwami Sasów i przed knowaniami mnichów, gdybyśmy go, my, jego rówieśnicy i przyjaciele, opuścili? Nazywacie mnie zwykle niedźwiedziem, ale i niedźwiedzie znają rzadką cnotę wdzięczności. Podobno znają ją nawet lepiej od ludzi, którzy każą sobie płacić za przywiązanie dobrami koronnemi.

Wyciągnął rękę do przyjaciela.

— Nie gniewaj się, Berti—prosił.—Takich sta-

rych druhów, jak my, nie powinno kilka słów nieuważnych rozdzielać.

Bez wahania złożył Bertold swoją drobną prawicę w dużej, niezgrabnej dłoni Ulryka.

— I ty nie miej do mnie żalu za mowę zbyt gorącą—odrzekł miękko—ale przyznasz, Ulri, że twoje podejrzenie mogło mnie dotknąć do żywego. Ty wiesz, że kocham króla i że uczynię wszystko, co jego wola rozkaże. Gdy wypadnie pójść na Rzym, pójdę; Lateran podpalę, Hildebranda wypędzę z wiecznego miasta, jego kardynałów i biskupów zamknę w klasztorze, wolałbym jednak, ażeby korona rzymska zawarła pokój z rzymską tyarą. Zgoda z Kościołem zapewnia wiernemu katolikowi konanie bez trwogi i światłość wiekuistą. Zamiast drażnić Henryka, powinnibyśmy jego gwałtowność łagodzić. Nabroiliśmy razem dużo. Czas upamiętać się, ustatkować.

— I ja nie pochwalam niecierpliwych, co naglą Henryka do gwałtownego zerwania z Rzymem— mówił Ulryk.—Mamy obecnie tyle do roboty w rzeszy niemieckiej... Trzeba książąt zmusić do posłuszeństwa, oczyścić drogi z rozboju publicznego, bronić miast przed chciwością rycerstwa. Ale naszaż wina, że Hildebrand burzy cały porządek dotychczasowy? Co zaś do twoich strachów przed sądem ostatecznym, to niech ci troska o zbawienie duszy nie zatruwa dni młodych. Są od tego biskupi. Ich rzeczą wprowadzić nas do Królestwa Niebieskiego, którego klucze powierzył im Chrystus Pan. Oni, uczeńsi od nas w piśmie, oświeceni płomieniem Ducha świętego, powinni wiedzieć, co należy czynić, aby dostąpić łaski Bożej. Skoro znakomita większość biskupów niemieckich nie potępia naszej nienawiści do Hildebranda, to cóż nam, świeckim, do tego? Jeśli błądzimy, niech oni, nasi duszpasterze, nasi przewodnicy w rzeczach świętej wiary, za nas przed trybunałem Boga odpowiadają. Jest zresztą sposób na

grzechy. Gdy mi sumienie, które dotąd milczy, zacznie dokuczać, postawię klasztor, obsadzę go mnichami i sypnę sporo grosza, aby łby golone mogły piać psalmy dopóty, dopóki mi nie wypieją zbawienia. A gdyby i przyszło poddać się jakiej twardej pokucie, będzie do tego dość czasu na starość. Wielka mi rzecz odziać się w worek, posypać głowę popiołem i pościć, gdy człowiekowi już jadło i wino nie smakuje, a niewiasty przestały być dawno ponętne. Tę sztukę potrafię i ja. Będę pokutował, jak ten stary łotr lotaryński, rodzic naszego garbuska, co przez całe życie kłamał, zrywał przysięgi, rabował opactwa i łupił kupców, a na kilka tygodni przed śmiercią łaził na czworakach do kościołów i wył razem z mnichami psalmy po całych nocach. Nie lękaj się szatana. Takich porządnych ludzi, jak ty i ja, wypluje piekło ze wstrętem.

— *Godeshass* — szepnął Bertold i posłał znów wzrok przed siebie.

Okręt wsunął się tymczasem w wązką szyję Renu, która łączy jezioro dolne, mniejsze, z górnem, większem. Po prawej stronie ukazały się słomiane i gontowe dachy Konstancyi. Wysoko nad miastem wznosiły się potężne wieże tumu, rzucające się zdaleka w oczy podróżnych.

Kiedy statki Bertolda wpłynęły znów z rzeki na jezioro, zahuczała nagle wrzawa przeraźliwa.

Cała ludność Konstancyi wyległa na brzeg i posyłała za białym okrętem okrzyki niekłamanej radości.

Sędziwy gród, zbudowany przez Germanikusa Drususa, a rozszerzony przez imperatora rzymskiego, Konstancyusza Chiorusa, nieprzychylny Grzegorzowi VII-mu, witał szczerze swojego ziomka, pana na Meersburgu, głośnego doradcę i przyjaciela króla. Bertold był chlubą stron rodzinnych. Jemu zawdzięczała Konstancya przywileje, których Henryk IV-ty nie szczędził miastom.

— *Heil Hero, heil Liebo!* [1]) — rozlegało się na brzegu, a na promach uderzali rycerze tarczami o tarcze, mieczami o miecze; służba powiewała kaftanami, konie rżały radośnie.

Słońce zaczęło się już zbliżać do wierzchołków gór, na których świeciły tu i owdzie białe płaty wiecznego śniegu. Ziemię ogarniała powoli cisza wieczoru, tłumiąca wszystkie odgłosy dnia, zdająca się przenikać ludzi, drzewa, zwierzęta. Jezioro stało się gładkie, jak zwierciadło. Czasem tylko rzuciła się ryba gwałtownie pod samą powierzchnią ciemniejących wód, wychyliła pyszczek i zniknęła.

Okręt, minąwszy Konstancyę, zatoczył łuk i zwrócił się na lewo, ku północnemu brzegowi jeziora. Tam na wzgórzu, którego stoki obsiadła gromadka małych domków, na samym szczycie, rysowała się czarna sylwetka starych, ciężkich murów, pamiętających czasy Merowingów.

Bertold zdjął z głowy czapeczkę i wyciągnął do tych murów ramiona.

Był to zamek Meersburg, gniazdo jego przodków, jego kołyska i dziedzictwo.

Słońce zsuwało się właśnie za ścianę gór. Ostatni potok światła trysnął z kuli płomiennej i rozesłał się smugą złocistą wpoprzek jeziora.

Już zbliżał się okręt Bertolda do brzegu, kiedy opodal odezwały się ciche, słodkie dźwięki.

Z trzcin wysunęła się na ciemne fale mała łódka, ozdobiona żaglem purpurowym. Przy sterze siedziała postać niewieścia, odziana w białe suknie. Płaszcz czarnych, rozpuszczonych włosów okrywał jej ramiona. Na kolanach trzymała lutnię, z której wypływała z pod jej palców jakaś pieśń kościelna.

---

[1]) *Heil Hero, heil Liebo!* — okrzyk, którym witano królów i panów.

Bez szelestu wkładał stary rybak, stojący na przedzie, wiosło do wody.

— Baczność! Nie zbliżać się do okrętu! — zawołał Bertold.

Ale rybak, czy nie słyszał, czy nie chciał słyszeć przestrogi, włożył wiosło głębiej w wodę, uczynił kilka szybkich poruszeń i łódka przemknęła, jak strzała, chwiejąc się i kołysząc, tuż pod dziobem okrętu.

— Jakaś odważna dziewczyna — zauważył Ulryk.

Panowie uchylili mimowoli czapek.

Łódka szła teraz szybko ku środkowi jeziora. Dopiero kiedy stanęła na złotym szlaku gasnącego słońca, zwolniła biegu. Wówczas podniosła się owa postać niewieścia i do okrętu doleciał głos świeży, młody:

— Witaj na ziemi przodków, wolny panie z Meersburga, i przypomnij sobie przy sposobności dawnych, dobrych znajomych!

Bertold posłał wzrok zdumiony za uchodzącą łódką.

— Nie znam mojej dobrej znajomej — rzekł do Ulryka.

A przechyliwszy się przez burt okrętu, zawołał głośno:

— Powiedz, kim jesteś, urocza rusałko, abym wiedział, kto powitał mnie pierwszy na progu Meersburga.

Ale ze złotego szlaku odpowiedziały mu tylko coraz dalsze, coraz cichsze dźwięki lutni.

III.

Słońce wychylało się dopiero z po za Alp, kiedy się Bertold nazajutrz przebudził. Spał w niz...ej,

ponurej izbie, oświetlonej skąpo małem okienkiem. Oprócz łóżka i zydla, nie było tu żadnego innego sprzętu.

Wykwintny dygnitarz dworski, przywykły w pałacach Henryka IV-go do obszernych komnat, obwieszonych dywanami, zasłanych skórami rzadkich zwierząt, skrzywił się na widok nagich ścian, nieodświeżonych od lat wielu.

Ziewnął, przeciągnął się na posłaniu i klasnął w dłonie.

Na znak ten wpadł przez uchylone drzwi wyrostek w czarnym płóciennym kubraku i stanąwszy tuż przy łóżku, zakrzyczał głosem piskliwym:

— Waszej Szlachetności podoba się?

— Przedewszystkiem podoba mi się — zgromił Bertold chłopca — abyś nie wlatywał do mnie, jak rozhukane źrebię, a potem naucz się przemawiać do pana bez wrzasku, jeśli twój grzbiet nie chce się zapoznać z rózgą.

Chłopak zadygotał na obnażonych od kolan nogach i wytrzeszczył na pana oczy wystraszone.

— Przywołaj moją służbę!

Wyrostek znikł.

Po chwili ukazało się trzech ludzi, z których jeden niósł przybory do golenia, dwaj inni drewnianą wannę.

Zapach róży rozszedł się po izbie.

Bertold, który leżał w łóżku zupełnie nagi, zanurzył się w wodzie pachnącej. Gdy, orzeźwiony kąpielą, stanął bosą stopą na kamiennej posadzce, otuliła go służba długim, białym płaszczem i podsunęła mu zydel.

Szybko, zręcznie oczyścił golarz twarz pana z niepotrzebnego zarostu, wykręcił mu wąs i natarł go olejkiem różanym. Z wielką starannością czesał i układał włosy, przypalając je gorącem żelazkiem.

Kiedy Bertold brał z rąk szatnego jedwabną koszulę, ukazał się na progu podkomorzy i oznajmił

— Burgrabia Wecel zapytuje, czy się Waszej Szlachetności podoba przyjąć jego pozdrowienie.

— Podoba się — odpowiedział Bertold.

Do izby wszedł krępy, barczysty starzec, podpierający się mieczem, jak laską. Z ram siwych włosów i siwej brody wyglądała twarz czerstwa, rozjaśniona parą niebieskich, jeszcze świeżych oczu.

— Witajcie, burgrabio — odezwał się Bertold, wyciągając rękę do sędziwego rycerza. — Dlaczego nie widziałem was wczoraj w przystani, kiedy dobijałem do brzegu?

Serdecznie uścisnął starzec prawicę młodzieńca.

— Wybaczcie, panie — rzekł głosem grubym, przypominającym mruczenie niedźwiedzia — ale obowiązki służby idą przed obowiązkami serca. Pilnowałem wczoraj aż do późnej nocy sprzętu żyta w Egolsheimie, bo młody pan Rudolf z Grimmingen odgraża się, że nam plony spali.

— Bez powodu nie ośmieliłby się pan Rudolf najeżdżać sąsiada — zauważył Bertold.

— Przydybałem zimą jednego z pachołków grimmińskich w naszych lasach. Polował sobie niecnota na sarenki, za co kazałem mu uciąć prawą rączkę, jak przepisuje stary obyczaj salicki.

— I za tę słuszną karę mści się pan Rudolf?

— Wykrzykuje w Konstancyi w winiarni, że nie spocznie dopóty, dopóki nie weźmie za ową uciętą rękę grimmińską naszych dwudziestu. Trzy razy już najeżdżał zamek egolheimski, spędzał nam bydło z pastwiska, a obecnie grozi spaleniem plonów.

— Cóż na to hrabia okręgu? [1])

— Wasza Szlachetność mówi, jak gdyby nie znała naszych sądów. Każdy sobie sędzią, kto ma

---

[1]) Hrabia okręgu *(Gaugraf)* = urzędnik królewski, naczelnik cywilny i wojskowy okręgu *(Gau)*. Od jego wyroków służyło każdemu prawo apelacyi do hrabiego-palatyna *(Phalzgraf)*, który był bezpośrednim zastępcą samego króla.

dobrą pięść, warowne gniazdo i hufiec drapichrustów, gotowych na wszystko. Hrabia okręgu taki sam zbój, jak inni. Zeszłego miesiąca złupił kupców, co ciągnęli z włoskiej krainy, a jednego z nich, który się tęgo bronił, kazał powiesić na jego własnym wozie. Trzeba czuwać dzień i noc, gdy się chce jeść zimą chleb i łyknąć sobie od czasu do czasu haust wina.

Skargi burgrabiego nie zdziwiły bynajmniej Bertolda, w całej bowiem rzeszy niemieckiej zaczęła w jedenastem stuleciu słabnąć powaga władzy. Wprawdzie istniał jeszcze bez zmiany doskonały ustrój państwowy, stworzony przez Karola Wielkiego, ale zabrakło ludzi, którzyby chcieli być gorliwymi stróżami porządku publicznego. Wojewodowie, palatynowie i margrabiowie, przywykli w swoich dzielnicach do samodzielnej gospodarki, zapomnieli, iż byli tylko urzędnikami korony. Zbogaciwszy się na lennach, trzymanych z łaski króla, ulegali niechętnie prawu. Za przykładem możnych szli mniejsi. Najdrobniejszemu rycerzowi, siedzącemu na własnym zamku, ciążył nadzór rządu. Każdy, kto posiadał dobry miecz i silne ramię, chciał być na swoich śmieciach panem samowładnym.

Bertold znał, jako doradca korony [1]), stosunki państwa. Przeto nie zdziwiło go opowiadanie burgrabiego.

Służba włożyła na niego tymczasem krótkie spodnie z zielonego jedwabiu i długie pończochy, które przymocowała do paska złotemi sznurami.

Z ciekawością i lekceważeniem starego wilka zamkowego, ubierającego się przez całe życie w grube samodziały, przypatrywał się burgrabia miękkim sukniom pana. Kiedy szatny wniósł do izby kaftan jedwabny, dotknął go rycerz ostrożnie palcami, jakby

---

[1]) Doradca k rony po dzisiejszemu minister.

BIBLIOTEKA

się lękał, żeby się lśniąca tkanina nie rozleciała w jego ręku, i zaśmiał się zcicha śmiechem rozbawionego dziecka.

— Buty i koszulkę srebrną! — rozkazał Bertold służbie.

Zaś do burgrabiego rzekł:

— Pojadę dziś z wami do Egolsheimu. Gdyby ludziom pana Rudolfa przyszło na myśl niepokoić naszych żeńców, sprawimy im taką łaźnię, że im się odechce najeżdżać ziemie meersburskie.

Wdziawszy na pończochy długie buty z żółtej skóry, wyjął ze szkatułki małą książeczkę, ukląkł przed łóżkiem, przeżegnał się nabożnie i zaczął odmawiać po łacinie psalm poranny.

— *Domine, Deus meus, in te speravi; salvum me fac ex omnibus persequentibus me et libera me...*— czytał półgłosem, co burgrabiego tak zdziwiło, że wpatrywał się w pana z rozdziawionemi ustami, jakby ujrzał potwora.

Znajomość języka łacińskiego i tajemnic pisma była w jedenastem stuleciu w ziemiach germańskich czemś tak niezwykłem, iż budziła z jednej strony trwogę zabobonną, a z drugiej wzgardę. Trwogę, bo tylko duchowni modlili się z książek, a oni pośredniczyli między niebem i ziemią — wzgardę, bo rycerz, uwielbiający głównie siłę cielesną, lekceważył wszelkie dzieła pokoju. Jedynie panujący i najwyżsi dostojnicy korony przyswajali sobie ubogą wiedzę swojego czasu, by mogli przewodniczyć na sądach i układać dokumenty urzędowe.

Bertold. wychowany na dworze cesarskim, uczył się razem z Henrykiem języków, prawa krajowego, sztuki pisania i czytania.

Skończywszy psalm poranny, przeżegnał się znów i dotknął trzykrotnie czołem posadzki.

Teraz podał mu jeden ze służących lampkę wina, zaprawionego kroplami rumbarbarowemi. Pokrzepiwszy się rozgrzewającym napojem, wypłukał usta

miętą i włożył na siebie koszulkę, kutą ze srebrnych ogniwek. Szatny przypiął mu do butów złote ostrogi i zarzucił na jego ramiona obszerny biały płaszcz bez rękawów, zwany kapą, podbity zielonym jedwabiem.

Przypasawszy miecz, rzekł Bertold do burgrabiego:

— Chciałbym, żebyśmy dziś pana Rudolfa z Grimmingen spotkali w granicach państwa meersburskiego. Możemy jechać!

Z pod czoła burgrabiego padło na jego wytworną postać szybkie spojrzenie. Była w niem jakby litość, zmieszana z obawą. Mówiło ono: ty chciałbyś się zmierzyć z Rudolfem z Grimmingen, ty, delikatny paniczu?

Na dziedzińcu zamkowym czekało na koniach pięćdziesięciu wojowników. Mieli oni wszyscy na piersiach i na goleniach żelazne blachy, a na głowach szyszaki, zakrywające z tyłu cały kark, lecz z przodu otwarte. Tylko nosa broniła gruba listwa, przymocowana powyżej czoła [1]). Z pod napierśników wysuwały się fałdziste poły żółtych kaftanów.

Była to stała załoga zamku meersburskiego, składająca się z ubogich rycerzów, wolnych kmieciów i poddanych Bertolda. Członkowie stanu szlacheckiego wyróżniali się białym pasem.

Gromkim okrzykiem przyjęła służba pana. On skłonił się uprzejmie wąsatym rębaczom i dosiadł konia.

Ostrożnie schodził hufiec z góry zamkowej. Dopiero kiedy stanął na równinie, ruszył z kopyta.

Bertold pędził przodem, mając po jednym boku burgrabiego, po drugim giermka, który niósł za nim szyszak, puklerz i kopię..

---

[1]) Pełną zbroją, okrywającą całego rycerza, posługiwano się dopiero w stuleciu dwunastem.

Mgły poranne opadły już, skropliwszy się rosą na trawach i kwiatach. Słońce posuwało się wolno ku środkowi bezchmurnego nieba.

Dzień zapowiadał się ciepły, pogodny.

Bertold rozglądał się wzrokiem promiennym po okolicy. Wszakże były to jego strony rodzinne, których nie widział od lat pięciu.

W czasach ostatnich zbierały się ciągłe burze nad tronem Henryka. Możni lennicy buntowali się, Rzym groził „mieczem św. Piotra". Doradca korony nie mógł opuścić w chwilach ciężkich pana i przyjaciela. Dopiero zwycięztwo nad Unstrutą pozwoliło mu wytchnąć w zamku ojczystym bez troski o niepewne jutro, lecz tylko na krótko, bo już w październiku miała wyruszyć przeciw Sasom nowa wyprawa.

Droga wiła się zrazu wśród pól, srebrzących się dojrzałem zbożem, potem zaczęła się piąć pod górę, nierówna, zasłana kamieniami. Kraj robił wrażenie jednej wielkiej warowni. Wszędzie, gdzie się gromadka chat przytuliła do ściany wzgórza, broniły ich wały, ostrokoły i zamknięte bramy. A wysoko nad niemi, na skałach i urwiskach, przysiadły szare baszty, wieże i zamki, niby sępy poważne, czuwające z nastroszonemi piórami, aby się ich pisklętom nie stała krzywda.

Nawet kosiarzy w polu strzegli zbrojni mężowie.

Po godzinie szybkiej jazdy zbliżał się hufiec Bertolda do wsi Egolsheim, która stanowiła granicę państwa meersburskiego. Po jednej stronie drogi był tu las, po drugiej ciągnęły się długie, wysokie zagony, przedzielone rowami. Z łanu dolatywał brzęk sierpów.

— Dziesięciu pachołków będzie pilnowało robotników, reszta zaś ukryje się w lesie — rozkazał Bertold.

Włożył na głowę szyszak, wziął z rąk gierm-

ka puklerz i kopię i stanął za grubym dębem, z po za którego mógł widzieć wszystko, co się działo na polu.

Daremnie jednak wytężał wzrok w stronę zamku Grimmingen, który uczepił się skalistego wierzchołka prostopadle ściętej góry. Gniazdo rycerskie spoglądało tak spokojnie w dolinę, jak gdyby było zapomnianym przez ludzi żywych grobowcem.

Już zaczął się Bertold niecierpliwić, kiedy się rozległ tętent galopującego konia.

Wsunąwszy puklerz na lewę ramię, wyjrzał ostrożnie na drogę.

Tętent ucichł po jakimś czasie. Ktoś zbliżał się wolno brzegiem lasu.

Bertold wychylił się z po za drzewa i podniósł szybko rękę do oczu, zasłaniając je przed słońcem. Mylił-żeby go wzrok? Ale nie... Na zielonem tle boru zarysowała się ta sama postać niewieścia, która powitała go wczoraj na jeziorze. Siedziała z niedbałym wdziękiem na rosłym mierzynie, wpatrzona w drogę, prowadzącą do Meersburga. Miała na sobie żółtą, jedwabną suknię, podpiętą z boku, na niej purpurową kapę, obramowaną gronostajem, a na głowie wysoki kapelusz z pawich piór, przywiązany złotym sznurem do ramienia.

Na ustach Bertolda zaigrał uśmiech swawolny.

Wypadłszy z kryjówki, stanął tak nagle przed nieznajomą, iż koń jej rzucił się gwałtownie w tył. Ale ona nie straciła przytomności. Ściągnęła wodze silną ręką i spojrzała bez obawy na rycerza.

Bertold, uchylając przed nią miecza, rzekł:

— Nieznajomą przyjaciółkę wita na swojej ziemi Bertold z Meersburga.

— Sąsiadka przeprasza wolnego pana na Meersburgu, że wtargnęła bezwiednie w granice jego państwa—odpowiedziała nieznajoma.

Jej duże, czarne, błyszczące oczy obrzuciły Bertolda ciekawem spojrzeniem.

— Przeproszenia przyjąć nie mogę—mówił Bertold—nieznajomość bowiem przestępstwa nie uwalnia od kary. Kto staje na mojej ziemi, płaci myto. Serdeczny pocałunek z waszych ust zmaże winę.

Chciał się do niej zbliżyć, ale ona powstrzymała go ruchem ręki.

— Opowiadają w kraju, że na dworze króla Henryka nie szanuje nikt wstydliwości niewieściej — odrzekła, prostując się na siodle — ale ja nie wierzę, iżby Bertold z Meersburga chciał znieważyć Judytę z Hohenau.

— Judyta? — zawołał Bertold zdziwiony, wpatrując się uważnie w twarz dziewczyny.—Zaiste, ty jesteś Judytą! Teraz dopiero poznaję te dobre oczy, które wylewały zawsze potoki łez, ilekroć odjeżdżałem na dwór królewski. Ale któż odgadłby w przepięknym barwnym motylu drobną, szarą poczwarkę? Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy nawiedzałem Meersburg po raz ostatni. Lecz dlaczego nie towarzyszyłaś wczoraj mojej matce? Miejsce twoje jest przy niej.

Judyta z Hohenau spojrzała niespokojnie po za siebie.

Bertold chciał się do niej powtórnie zbliżyć, lecz ona wyciągnęła przed siebie obie ręce.

— Nie zbliżaj się do mnie, nie pomnażaj mojej winy—prosiła.

— Winy? Ciemną jest dla mnie treść twojej mowy. Byłożby powitanie narzeczonych grzechem? Chyba zapomniałaś, że ojcowie złączyli twoje losy z mojemi jeszcze w kołysce.

— Gdybym była zapomniała o postanowieniu naszych ojców, nie wykradałabym się wczoraj na jezioro i nie przybyłabym dziś nad granicę twojego państwa w nadziei ujrzenia ciebie zdaleka. Wiem, że zgrzeszyłam ciężko, dobroć jednak Boga przebaczy sercu kobiety nieposłuszeństwo katoliczki.

Bertold pochylił głowę, przygryzając usta.

Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego się Judyta lękała jego dotknięcia. Był wyklęty, a kościół groził tą samą karą każdemu, ktoby się ośmielił obcować z nieszczęśliwym, wykluczonym ze społeczności chrześciańskiej. Powiedziano Judycie, iż dotykając się jego ręki, splami się, zbruka, narazi duszę na wieczne potępienie.

Spojrzał z pod czoła na urodziwą dziewczynę. Widział on niejedną piękną kobietę i niejedną obejmował w gorącym uścisku, na dworze bowiem Henryka należała lekka miłość do powszednich zabawek. Sam król, wielki łowca w wonnym gaju Wenery, świecił swojemu otoczeniu gorszącym przykładem, a Bertold, ulubieniec dam pałacowych, naśladował go skwapliwie. Ale od żadnej ze strojnych pań, które go pieściły, nie bił taki blask czystej młodości, jak od Judyty.

Pociągały go oprócz tego do niej wspomnienia lat dziecięcych. Ilekroć przybywał dawniej do domu, bawili się zawsze razem, ona, grając z uciesżną powagą rolę żony, on męża, opiekuna. Powtarzano im ciągle, że będą kiedyś parą.

— Uto! — odezwał się głosem miękkim, który płynął z serca.—Trzeba koniecznie, ażebyśmy się porozumieli.

Ona przycisnęła ręce do piersi i odparła:

— Ach, pragnęłabym tego gorąco, ale nie wiem, nie wiem...

Obejrzała się znów po za siebie.

— Surowe oczy śledzą kroki moje, surowe napomnienia straszą mnie przez cały dzień—mówiła ze smutkiem. — Rozdzieliło się serce moje i nie wiem, w którą stronę się zwrócić.

— Gdybyś przybyła do nas, do Meersburga...— prosił Bertold,—możebyśmy...

Ale Judyta przerwała mu żywo:

— Tam nie mogę, nie wolno mi...

Namyślała się.

— Gdybyś mi zaręczył słowem rycerskiem — odezwała się po chwili — że uszanujesz moją bojaźń przed karą niebios...

Zawahała się, spoglądając bezradnie na Bertolda.

— Przyszłabym może tu, pod wieczór którego dnia, przed zachodem słońca — dodała głosem cichym. — Będę potem leżała przez całą noc krzyżem, aby mi słodki Jezus odpuścił winę... Ale przysięgnij, że nie zbliżysz się do mnie...

Gorący rumieniec pokrył jej twarz białą.

Bertold przyłożył dwa palce do głowicy miecza.

— Bądź przekonaną, iż nie dotknę ustami bez twojego pozwolenia nawet rąbka twojej sukni — ślubował.

Wtem odezwał się w pobliżu róg myśliwski.

— Moi stróże!—zawołała Judyta.—Niech Bóg prawdy oświeci twoją duszę zbłąkaną.

Rzekłszy to, oddaliła się szybko.

Bertold patrzył za nią dopóty, dopóki purpurowy płaszcz migotał pomiędzy drzewami. Gdy ją las zakrył, doznał przykrego uczucia samotności, którego nie doświadczał nigdy, chociaż żegnał się niejednokrotnie z kochankami.

I przypomniał sobie, jak jego ojciec pragnął tego związku, jak Judyta była dla niego zawsze dobrą, jak tłómaczyła go przed matką, prosiła za nim, gdy jego chłopięca pustota zasłużyła na karę.

Hulaszcze życie dworskie, szybko po sobie idące wyprawy wojenne i troski rządu przesłoniły mu obraz małej narzeczonej. Teraz widział znów przed sobą drobną, ruchliwą dziewczynkę, nazywającą go „panem i mężem", słyszał jej mowę pieszczotliwą i uśmiechał się do tych wspomnień najszczęśliwszej doby życia ludzkiego i kochał je i pragnął, aby wróciły. Wobec nich zbladły jaskrawe dni rozwiązłej młodości, gasła pamięć namiętnych szałów.

Od Judyty wiał spokój szczerego, wiernego uczucia. Miałżeby ją stracić?

Bertold posmutniał.

Klątwa papiezka stanęła między nim a Judytą groźnym cieniem.

Na dworze królewskim, w Wormacyi, Goslarze, w Spirze i Bambergu nie czuł dotąd na sobie ciężaru gniewu Hildebranda. Tam, zastawieni powagą tronu, nie troszczyli się nieposłuszni katolicy o wyroki Rzymu. Chociaż odtrącono ich od łona Kościoła, korzystali mimo to z jego dobrodziejstw, brali udział w nabożeństwach i przystępowali do stołu Pańskiego. Wyklęci biskupi i kanonicy spełniali służbę ołtarza, drwiąc z „piorunów św. Piotra."

Najmożniejsi panowie świeccy i duchowni ubiegali się na dworze o względy Bertolda, a tu, w zapadłym kącie, odciętym Alpami od świata, lękała się własna narzeczona dotknięcia jego ręki.

Byłażby potęga starego Rzymu jeszcze tak wszechwładną w pobliżu Italii? Ale dlaczego rządził w takim razie w Konstancyi biskup Otton bez żadnej przeszkody, aczkolwiek Hildebrand zawiesił i jego w urzędzie?

Więc nie sama tylko klątwa rzuciła na niego ów cień, co wznosił się pomiędzy nim a Judytą. Jakieś inne wpływy działają na trwożliwe serce dziewczyny. Ktoś straszy rozmyślnie jej duszę pobożną, aby ją oderwać od narzeczonego.

— Burgrabio!—zawołał Bertold.

A kiedy stary sługa nadbiegł, zapytał:

— Czy nie możecie mi powiedzieć, kto nawiedza najczęściej zamek Hohenau?

— Wolna pani z Hohenau wróciła dopiero niedawno z klasztoru szafuskiego, gdzie uczyła się przez cztery lata różnych mądrych rzeczy — odpowiedział burgrabia.—Na zamku jej dotąd pusto i cicho. Oprócz naszej pani i przydanego jej przez hrabiego okrę-

gu opiekuna nie widzieli ludzie w Hohenau nikogo.

— A kogoż mianował hrabia okręgu opiekunem?

— Hrabia przydał do boku pani z Hohenau starego pana z Grimmingen, który powiada się jej krewniakiem.

Bertold rozśmiał się wesoło.

— Grimmingen krewniakiem wolnej pani z Hohenau? — mówił.—Czy ludzie już zapomnieli, że ojciec Wernera z Grimmingen był poddanym dziada pani Judyty?

— Starzy ludzie pamiętają o tem na całem pobrzeżu jeziora, ale któż ośmieliłby się przypominać bogaczowi prawdę nieprzyjemną? Nieboszczyk pan z Hohenau był prawdziwym panem. Swoich wyzwolonych poddanych obdarowywał hojnie, a gdy mu wiernie służyli, przepasywał ich mieczem rycerskim. Staremu wilkowi z Grimmingen dał odrazu zamek. Resztę dorobił sobie ten zbój najazdami i łupem kupieckim. Dziś należą Grimmingowie do możniejszego rycerstwa naszych stron i nie każdy ma ochotę zasłużyć na ich gniew.

— I pani z Hohenau poddała się bez oporu samowoli hrabiego okręgu? — pytał Bertold. — Jej, sierocie, służy prawo odwołania się do wyroku samego króla.

— Cóż miała robić?—odpowiedział burgrabia.— Nasz pan, czwarty Henryk, daleko, a zamek Grimmingen wisi ciągle dzień i noc nad siedzibą pani z Hohenau, grożąc jej setką ostrych włóczni. Z takimi sąsiadami lepiej żyć w zgodzie.

— Albo ich zdeptać, jak szkodliwą gadzinę — rzekł Bertold.—Nasz pan, Henryk, nie jest tak daleko, jak się wam zdaje, stary. Mój goniec znajdzie go wszędzie. Powiedzcie mi jeszcze, czy Werner z Grimmingen nie nadużywa opieki.

— Nic o tem dotąd nie słychać. Jego podczaszy, stary Hubald, opowiadał mi kiedyś, gdy siedzie-

liśmy w Konstancyi przy lampce wina, że pan Werner strzeże mienia pani z Hohenau tak troskliwie, jak własnego dobra. I kto wie, czy ziemie hohenauskie nie złączą się wkrótce z zamkiem Grimmingen. Od czasu, kiedy wolna pani wróciła z Szafuzy, uczy się podobno pan Rudolf ubierać i mówić po dworsku...

Nagle zamilkł burgrabia i spojrzał uważnie w stronę zamku Grimmingen.

— Cofnijmy się, panie — rzekł. — Zdaje się, że zbóje pana Rudolfa zstępują w dolinę.

Wśród zarośli, z których wychylał się zamek Grimmingen, migotały iskry, to gasnąc, to ukazując się na innem miejscu. Promienie słoneczne łamały się widocznie na jakichś przedmiotach polerowanych.

Po jakimś czasie wysunął się z po za zielonego płotu jeździec jeden, potem drugi, trzeci, dziesiąty, dwudziesty. Równocześnie nadleciał z pola krzyk przerażonych robotników. Gromadnie, w popłochu uciekali poddani Bertolda do lasu.

— Sam pan Rudolf prowadzi swoich junaków— odezwał się burgrabia.

— Który to?—spytał Bertold.

— Ten, z czarną kitą na szyszaku.

— Dobrze. Panu Rudolfowi obrzydzę ja sam niebezpieczną zabawkę, wy zaś podzielicie hufiec na dwie części i wpadniecie dwoma klinami na jego drużynę. Czekać na mój znak!

Mimo wyraźnego rozkazu, nie opuszczał burgrabia boku pana.

— Śpieszcie się!—zawołał Bertold.—Ludzie pana Rudolfa rozwijają się już w półkole. Chcą otoczyć naszych chłopców. Bić tęgo! Nie szczędzić pięści i miecza.

Burgrabia chrząknął, nie ruszając się z miejsca.

— Nie podobają się wam moje rozkazy?—rzekł Bertold niecierpliwie.

— Gdyby Wàsza Szlachetność raczyła...—odezwał się burgrabia nieśmiało.

— Mówcie prędko, już idą...

— Pan Rudolf wysadza z siodła najlepszych rycerzów... Miałbym wielką ochotę zmierzyć się z tym zuchem Gdyby mi go Wasza Szlachetność zechciała odstąpić...

Bertold spojrzał bystro na zafrasowaną twarz starego wojaka. Odgadł, że się burgrabia lęka o niego.

— O to wam idzie?—odparł z uśmiechem.—Nie obawiajcie się o moją skórę. Jako doświadczony rycerz, powinniście wiedzieć, że rozumna zręczność bije zawsze głupią siłę.

Zdala, z pola zbliżał się tuman kurzu, lecący prosto na pachołków, którzy cofali się wolno, w porządku.

Na kilka kroków przed długą, błyszczącą, zakrzywioną linią pędził olbrzym żelazny. Czarny ogon koński powiewał na jego szyszaku.

Ruchy tego olbrzyma śledził Bertold uważnie z pod zmrużonych powiek, zacisnąwszy zęby. Na jego twarzy nie było w tej chwili ani śladu miękkich tonów. Rysy zaostrzyły się, nozdrza wydęły, jak u drapieżnego zwierzęcia, gdy idzie śladem upatrzonego łupu. Pochylony na koniu, wpatrywał się w rycerza wzrokiem pożądliwym.

Błyszcząca krzywa linia zaczęła już pachołków okalać. Wtem odezwał się róg Bertolda—pachołkowie rozbiegli się na dwie strony i z lasu wypadł hufiec meersburski.

Rudolf z Grimmingen ściągnął tak mocno wodze, że jego koń stanął dęba. Zdziwił się... rozglądał się dokoła bezradny.

Ale już zbliżył się do niego Bertold na odległość głosu.

— Z siodła, chłopie!—krzyknął.

Z przeciwnej strony odpowiedział mu ryk podrażnionego niedźwiedzia.

— Bij, zabij!—huczał rycerz.

Zgrzytnęły kopie, trzaskając o tarcze, zadzwoniło żelazo. Mąż zwarł się z mężem.

Rudolf z Grimmingen zarył ostrogę w boku swojego ogiera i szedł, jak strzała na Bertolda.

Ten stał spokojnie na miejscu, przyciskając kopię prawem ramieniem. Już widział tuż przed sobą ogniami gniewu oblaną twarz przeciwnika, już dotykało prawie lśniące ostrze jego puklerza—jeszcze sekunda, a żelazny olbrzym zgniecie go swoim ciężarem. Wtem, w chwili stanowczej, rzucił się nagle jego koń, trącony lekko wodzami, w bok, i kopia Rudolfa z Grimmingen uderzyła w próżnię.

Ruchem błyskawicznym odwrócił się Bertold i, zanim zdumiony rycerz zdążył pojąć, co się stało, pchnął go tak silnie kopią pod spinkę pasa, że się olbrzym zachwiał. Drugie pchnięcie wysadziło go z siodła.

Szybko dźwignął się powalony, przyklękając na jednem kolanie, lecz jeszcze szybciej pochylił się Bertold nad nim i przyłożył mu koniec miecza do gardła.

— Leżcie spokojnie, Rudolfie z Grimmingen — rzekł głosem twardym, w którym nie było litości — jeśli nie chcesz stanąć za chwilę przed sądem Odwiecznego.

Pokonany zatoczył dokoła krwią nabiegłemi oczami; w pobliżu nie było nikogo z jego ludzi...

Więc przymknął powieki i opadł na ściernisko, zgrzytając zębami.

Przebieg krótkiej walki śledził z boku burgrabia, który nie spuszczał z pana oka, gotowy do pomocy.

Teraz zbliżył się i, uchylając miecza przed zwycięzcą, odezwał się głosem pokornym:

— Zasłużyłem na wieżę o chlebie i wodzie. Ukarzcie mnie, panie, za moje zuchwalstwo.

Ale Bertold spojrzał życzliwie na starego sługę i odrzekł:

— Winienem wam nagrodę za przyjazną obawę. Zanim o nią poprosicie, związcie tego dzika.

Skrępowany własnym pasem, odwrócił się Rudolf z Grimmingen twarzą do ziemi.

A burgrabia stał nad nim i drwił:

— Wstydzisz się, zuchu? Wolałbyś być w tej chwili sto sążni pod trawą. Razi cię światło słoneczka? A widzisz, jak to rozkosznie gryźć zdrowemi zębami piasek i łykać kurz, opluty śliną niemocnej złości. Oddamy ci teraz z czubem za wszystkie twoje sprawki.

— Może mu wlepić sto bizunów? Garść mnie świerzbi, panie?—zapytał.

— Pas rycerski broni go przed karą hańbiącą— odpowiedział Bertold.

Burgrabia splunął.

— Tfu! Taki to z niego rycerz—mówił.—Na wojnę nie poszedł, ale do rabowania cudzej własności nie potrzebuje go nikt zachęcać.

Z pola wracali wojacy meersburscy, prowadząc za sobą jeńców. Było ich dziesięciu: dwóch rycerzów, reszta młodzi chłopi.

— Naciąć rózg! — rozkazał Bertold swoim ludziom.

Z lasu, z po za drzew wyglądało mnóstwo głów, porosłych krótkim, przy skórze uciętym włosem.

— Zbliżcie się!—zawołał Bertold.

Sto bosych, w szare, płócienne kaftany odzianych robotników wyroiło się na pole. Każdy z nich miał na ręce powyżej łokcia żelazny pierścień, a na nim nazwisko pana na Meersburgu. Otoczywszy spętanych najeźdźców szerokim kołem, przypatrywali się im w milczeniu wzrokiem urągliwym.

Kiedy pachołkowie przynieśli kilka pęków rózg, kazał Bertold rozebrać jeńców, nie ozdobionych pasem rycerskim, do naga i rzekł do swoich poddanych:

— Zapłaćcie im za wasz strach. Niech każdy uderzy po razie, ale dobrze.

Z dzikim krzykiem rzucili się poddani meersburscy na pachołków grimmińskich. W mgnieniu oka powalono ich i przygnieciono kolanami do ziemi. Daremnie szamotali się spętani jeńcy, klnąc przeraźliwie.

Świsnęły rózgi.

Z mściwą rozkoszą zwycięzkiej słabości bili robotnicy egolsheimscy. Niepokój gnał ich codziennie w pole, ciągła trwoga uprzykrzała im pracę. Nie mieli podczas żniw ani jednej godziny swobodnej. Jedząc, oglądali się na zamek Grimmingen, rychłoli wypadnie z groźnej nory wilk drapieżny i zatopi pazury w ich ciele bezbronnem.

Wilk drapieżny wił się u ich stóp w prochu. Przeto pastwili się nad nim bez litości.

Z pleców jeńców trysnęła krew, z piersi ich wydobywały się chrapliwe jęki, które słabły po każdem nowem uderzeniu. Tu i owdzie odrywał się już od kości kawał mięsa; ale chłopi nie ustawali w okrutnej robocie.

— Dosyć — zawołał Bertold, gdy jego poddani, skończywszy kolej, zabierali się do drugiej. — Jednego z nich, tego z brzegu, powiesić dla przykładu natychmiast, resztę puścić wolno. Niech ich wygarbowana skóra opowie w Grimmingen, jak pan na Meersburgu karze zbójów i złodziejów. Podnieście się— rzekł do skatowanych pachołków—i zejdźcie mi z oczu, bym nie pożałował litościwego wyroku.

Mimo krwią ociekłego ciała, zerwali się poddani grimmińscy szybko z ziemi i ruszyli nago ku granicom Egolsheimu.

— Tych (Bertold wskazał burgrabiemu ujętych

rycerzów) zamkniecie w wieży meersburskiej aż do dalszego rozkazu. Połowa załogi zostanie w polu przy robotnikach, druga połowa wróci ze mną do domu. Na koń!

Bertold nie wiedział, że zdala, ze wzgórza przypatrywała się walce postać niewieścia. Kiedy olbrzym leciał na niego z pochyloną kopią, podniosło się do nieba dwoje ramion błagających, kiedy spadł z siodła, zgięło się dwoje kolan, a pobladłe usta wyszeptały:

— Dzięki Tobie, Królu królów.

Była to Judyta.

W doskonałem usposobieniu opuszczali zwycięzcy plac boju. I oni nie mieli od początku czerwca ani jednego dnia spokojnego. Ciągle na koniu, zaczajeni od świtu do późnej nocy to w lasach, to w parowach, zapomnieli o śnie i regularnym posiłku. Teraz wytchną po trudzie kilku tygodni, załoga bowiem grimmińska, przerażona klęską, nie odważy się rychło na nowy najazd. Bez wodza zresztą nie podejmie drużyna wyprawy, a ten szedł do Meersburga, przytroczony do siodła jednego z pachołków. Rozmyślnie, by go jeszcze więcej upokorzyć, oddał go Bertold pod opiekę niewolnego sługi.

Z pochyloną głową, rozebrany ze zbroi, wlókł się Rudolf z Grimmingen za koniem. Potem zlepione, rude włosy spadały mu na nizkie czoło, z pod którego rzucał od czasu do czasu na Bertolda spojrzenie złapanego wilka. Niemocna wściekłość malowała się na jego pospolitej, piegami popstrzonej twarzy.

Kiedy hufiec ruszył kłusem, biegł jeniec za swoim stróżem, potykając się i sapiąc, co wywołało powszechne wesele. Gdy przystawał, by zmęczone płuca odświeżyć powietrzem, uderzał go pachołek kopią w bok, nagląc do pośpiechu.

— Zbierajcie dostojne nogi, szlachetny panie— drwił chłop, szczęśliwy, że może znęcać się bezkar-

nie nad rycerzem.—Zaraz odpoczniecie w naszej wieży. Nudzić się tam nie będziecie, bo szczurów i węży u nas nie brak.

Rycerz zbierał dostojne nogi i pędził galopem, co budziło w pachołkach taką radość, iż wybuchnęli śmiechem szalonym.

— Powiadacie, że stary Werner z Grimmingen — odezwał się Bertold do burgrabiego — myśli o przyozdobieniu swojego pasa rycerskiego gronostajem wolnej pani z Hohenau?

— Taka wieść chodzi po kraju — odparł burgrabia.—Werner chciałby przykryć swoją świeżą godność rycerską starą chwałą panów z Hohenau.

— Czy ten pies nie wie, że pannę Judytę złączył jej ojciec ze mną jeszcze w kołysce?

— Wie on o tem, jak wiemy wszyscy na pobrzeżu jeziora, ale...

Starzec zamilkł.

— Ale co?—zapytał Bertold.

Burgrabia drapał się w głowę.

— Moglibyście się rozgniewać, panie—rzekł zafrasowany.

— Mówcie, chcę wiedzieć wszystko.

— Mnichy z Reichenau opowiadają...

Burgrabia odsunął się na długość ramienia od Bertolda.

— Golone łby rozpowiadają wszędzie — mówił, spoglądając podejrzliwie na pana — że Ojciec święty zawiesił nad waszą młodą głową klątwę, a klątwa rozwiązuje podobno wszelkie przysięgi i zobowiązania.

Zdziwił się, że ręka pana spoczywała bez ruchu na biodrze, zamiast pochwycić miecz i ukarać go za mowę zuchwałą. Ludzie jego czasu kładli rzadko hamulec rozwagi na szybki gniew. Ale Bertold, wychowany na dworze Henryka IV-go, biorący czynny udział w zawikłanych sprawach państwa,

w których przebiegłość znaczyła nieraz więcej od siły, umiał panować nad swojemi namiętnościami.

— A wy, co o tem sądzicie? — zapytał obojętnie.

— Ja, panie — odpowiedział burgrabia, który trzymał się ciągle w pewnem oddaleniu od Bertolda, gdyż nie ufał jego spokojowi—nie myślę wcale o tak mądrych rzeczach. Co mnie po takim kłopocie? We łbieby się uczciwemu rycerzowi przewróciło, gdyby miał słuchać wszystkiego, co mnichy gadają. Obowiązkiem moim pilnować zamku meersburskiego, by go jaki rabuś nie napadł znienacka, i obowiązek ten spełniam sumiennie. Wiem także, iż rycerz, któryby nie dotrzymał lennemu panu przysięgi wierności, jest podlejszy od grajka wędrownego, niegodzien, by go święta ziemia przyjęła po śmierci. Tak uczył mnie rodzic, i tak uczę ja własne dzieci. A to, co mnichy rozpowiadają, obchodzi mnie tyle, ile dobry guz, otrzymany w zwadzie rycerskiej.

— Dobrze czynicie—rzekł Bertold — iż nie zaprzątacie sobie głowy niepotrzebnemi rzeczami. A cóż mówią nasi ludzie na gadaniny mnichów reichenauskich?

— Cóż naszym ludziom do tego, jak ich pan postępuje? Pan, to pan; z panem to nawet słodki Jezus rozmawia inaczej, niż ze sługą. Alboż im to źle w Meersburgu? Jadła u nas wbród, wina nie brak, kapota zawsze cała na grzbiecie, mieczów i wszelakich statków rycerskich pełno w zbrojowni, i ludzie nas szanują, że to służymy u takiego pana, co z samym miłościwym królem przestaje, niby człowiek z człowiekiem. Dałbym ja im, gdyby który z nich wypuścił parę z gęby. A nie łaska poleżeć sobie w dybikach, łajdaku? Czy to u nas niema wieży i haków na bramie zamkowej? Najmądrzejszy zapomni języka w gębie i wywali na świat Boży głupie gały, gdy mu się sznureczkiem szyjkę okręci.

Tego łotra z Grimmingen powiesiłbym sam bez wstrętu. Dosyć nam nadokuczał.

— I ja wolałbym pozbyć się niewygodnego sąsiada odrazu — mówił Bərtold — ale nasz pan, król Henryk, zabronił surowo pozbawiać rycerza życia bez sądu. Stawimy Rudolfa przed trybunałem hrabiego okręgu, za to jednak, iż ośmielił się podnieść oczy na moją narzeczoną, posiedzi sobie o chlebie i wodzie kilka tygodni w ciemnym lochu naszej wieży, by ogień w jego lędźwiach nieco przygasł.

Wieża zamku meersburskiego witała już zdaleka wracającą do domu drużynę. Stawiał ją jeszcze król Dagobert z domu Merowingów. Ośmioboczna, przysadzista, z płaskim dachem, porosła mchem i zielskiem, spoglądała w dolinę, jak groźba wcielona. Nie wesołe były dni jeńców, przed którymi otwierały się jej stare drzwi dębowe, okute żelazem. Do jej lochów nie dochodziło słońce, a świeże powietrze wpuszczano tylko raz na dzień przez mały otwór.

Jak wszystkie zamki dziesiątego i jedenastego stulecia, był Meersburg przedewszystkiem warownią. Nie o wygodny dom mieszkalny szło budowniczemu, lecz jedynie o ułatwienie i przedłużenie obrony. Podwójny, gruby mur, przedzielony rowem, zaopatrzony licznemi strzelnicami i zasłonami, opasywał szczyt wzgórza, do którego prowadziła wązka, krzywa ścieżka, pozwalająca piąć się po gęsto rozrzuconych kamieniach tylko jednemu jeźdźcowi. Drogi takie utrudniały napad gromadny.

Gdy się hufiec zbliżał do zamku, odezwał się ze strażnicy, umieszczonej nad główną brawą, róg odźwiernego, na dowód, że stróż czuwa.

Z brzękiem opadły łańcuchy, na których wisiał most zwodzony, z głuchym łoskotem rozwarła się brama. Po jednemu wjeżdżali wojownicy na obszerny dziedziniec.

Było tu mnóstwo różnych budynków, a wszystkie nosiły na sobie ślady długiej służby. Dokoła mu-

rów ciągnęły się nizkie domki — mieszkania załogi i koni — do nich przylegały obory i kurniki. W jednym rogu stała wieża, ostatnia ucieczka oblężonych w razie zdobycia murów, w drugim urządzono ogródek warzywny. W samym środku wznosiła się podłużna kamienica, do której prowadziły szerokie schody, przyczepione z boku, zewnątrz ściany. Spód tego gmachu, zwanego pałacem [1]), zajmowały kuchnie i piekarnie, na piętrze znajdowało się mieszkanie pana zamku.

Kiedy się Bertold zatrzymał przed pałacem, powitał go ze schodów Ulryk z Godesheimu. Palatyn miał na sobie długą, aż do kostek sięgającą suknię, ze wschodniej, purpurowej materyi, naszywanej złotem.

— Dzień dobry—mówił Ulryk.—Widzę, że zdążyłeś sobie już zarobić na śniadanie.

Zeszedłszy ze schodów, przypatrywał się ciekawie Rudolfowi z Grimmingen.

— Tęgi chłop. Byłby z niego doskonały trabant królewski. Któż to taki? Gdzieś tego draba złowił?

— To mój uprzejmy sąsiad, pan Rudolf z Grimmingen — odpowiedział Bertold ze złośliwym uśmiechem.—Przybył do mnie nieproszony w odwiedziny.

— Napadł cię na drodze?

— Nie mnie, lecz moich poddanych egolheimskich. Odgrażał się podobno, że mi plony spali.

— Taki to z niego zuch? Hej, chłopcy, nie macie tam stryczka!—zawołał Ulryk do pachołków.

Ale Bertold, który zsiadł tymczasem z konia, rzekł do niego półgłosem:

— Daj pokój, Ulri. Jeśli my, przedstawiciele

---

[1]) Pałac, po niemiecku *Phalc* od łacińskiego *palatium*. Ztąd hrabia-palatin *(Phalzgraf)*=hrabia pałacu królewskiego.

rządu, nie będziemy szanowali prawa, to któż je uszanuje? Wiesz przecie, że sobie Henryk nie życzy kary bez sądu.

— Jak chcesz — odparł Ulryk — ale jabym się z takim gałganem nie wodził po sądach. Trzeba go było pchnąć odrazu dobrze pod żebra i byłoby po kłopocie.

— Odprowadzić pana Rudolfa do ciemnego lochu!—rozkazał Bertold.

Rycerz, który dotąd milczał, podniół głowę i odezwał się:

— Gwałcicie prawo, wolny panie na Meersburgu. Jako jeńcowi pokonanemu w uczciwej zwadzie rycerskiej, należy mi się zwykłe więzienie aż do chwili wykupu.

Ulryk roześmiał się szydersko.

— On to nazywa uczciwą zwadą rycerską — rzekł.— Czy to nie wiesz, kpie, że panem na Meersburgu jest wielki łowczy Bertold? Jeśli chciałeś mu wypowiedzieć wojnę, należało przysłać rękawicę na dwór królewski. Prostym rabusiem jesteś, złodziejem, a nie rycerzem. Burgrabio, dajcie-no temu zuchwalcowi po pysku, żeby go odeszła ochota do szczekania.

Szybko, jakby się lękał, by Bertold nie odwołał rozkazu palatyna, przyskoczył burgrabia do rycerza i uderzył go w twarz pięścią, ubraną w żelazną rękawiczkę.

Krew zalała oczy Rudolfa z Grimmingen. Olbrzym wyprężył spętane członki, usiłując rozerwać więzy, ale szybko objęło go dwoje silnych ramion.

— Nie próbuj rozerwać sideł, ptaszku — szydził burgrabia — bo zamaluję cię jeszcze raz, ale tak, że pojedziesz z krzywą gębą na sąd Boski.

— Wtrącić go do lochu i pilnować dobrze!— rzekł Bertold, wchodząc z przyjacielem do pałacu.

Wzdłuż całego domu ciągnął się otwarty ganek, przybrany rogami turów i jeleni, z którego pro-

wadziły liczne drzwi do sal i komnat mieszkalnych.

— Czy widziałeś się już dziś z moją matką?— zapytał Bertold palatyna.

— Chciałem twoją rodzicielkę pozdrowić — odpowiedział Ulryk — ale mi jej ochmistrzyni oznajmiła, że wolna pani zasłabła. I kaplica była zamknięta, chociaż z wewnątrz dochodził mnie śpiew nabożny. Zaczynam nie rozumieć gościnności meersburskiej.

— Zrozumiesz ją, gdy ci przypomnę moje wczorajsze powitanie z matką.

— Dziwił mnie wistocie chłód twojej matki. Tak nie wita się syna po pięcioletniej rozłące.

— Zapominasz, iż jesteśmy odtrąceni od łona Kościoła.

— Byłażby twoja matka...

Bertold przyłożył palec do ust, z przeciwnego bowiem końca ganku zbliżał się podkomorzy.

— Czy się Waszej Szlachetności podoba rozkazać podać śniadanie?—spytał sługa.

— Zaraz się przebiorę. Możesz dać pierwszy znak—odrzekł Bertold.

W izbie sypialnej czekał na pana szatny z taką samą długą suknią, jaką palatyn miał na sobie.

Zdejmując kubrak i buty, mówił Bertold po łacinie:

— Moja matka jest wierną córką Kościoła. Nie powinieneś się jej dziwić, że unika wyklętych.

Szatny, włożywszy na niego suknię, obciągał ją powyżej pasa starannie i zapiął na złote haftki, by przylegała gładko do ciała, uwydatniając kształty biustu.

— I my jesteśmy wiernymi synami Kościoła— odpowiedział Ulryk w tym samym języku — z czego jednak nie wynika, byśmy mieli uznawać uroszczenia Hildebranda. Że ta podła hołota rzymska posadziła go na Stolicy Piotrowej, nie zapewnia mu to je-

szcze rządów nad całym światem katolickim. I król niemiecki ma głos przy wyborze papieża, a naszego Henryka pominięto, jak ci wiadomo.

— Innego zdania są niewiasty.

— Chyba tylko twoja matka.

— I moja narzeczona podziela jej wstręt do nieposłusznych katolików.

— Ulryk spojrzał zdziwiony na Bertolda.

— Która?—zapytał.—Mieliśmy ich tyle...

— Mówiłem ci kiedyś, że mnie ojciec zaręczył z Judytą z Hohenau—rzekł Bertold.

— Prawda, przypominam sobie. Ale gdzież ona?

— Witała nas wczoraj na jeziorze, a dziś spotkałem ją w lesie.

— To odważna dziewczyna?

— Była to Judyta.

— Wcale niczego, przyznaję. Jeśli ją chcesz zaślubić, strzeż jej przed nienasyconą pożądliwością Henryka, bo wiesz, że nasz wesoły król przepada za brunetkami.

Za drzwiami rozległ się głos rogu. Stolnik wzywał panów i służbę na śniadanie.

Właśnie przypinał szatny do ramion Bertolda długie, z przodu otwarte, aż do kolan zwieszające się rękawy. Ułożywszy sute, klinami rozszerzone fałdy dolnej części sukni, podał panu miecz, z którym się rycerz podczas dnia nigdy nie rozstawał.

Na ganku dzwonił już brzęk ostróg. Załoga meersburska śpieszyła do jadalni.

W dużej, okopconej sali czekały na głodnych wojowników trzy stoły, zsunięte w podkowę. Jeden z nich, nakryty jedwabnym obrusem, znajdował się na podwyższeniu. Było to miejsce pana zamku. Po prawej stronie siadali rycerze i wolni kmiecie, po lewej pachołkowie.

Kiedy stolnik zadął po raz drugi w róg myśliw-

ski, weszli zbrojni mężowie w porządku do sali i stanęli za swojemi zydlami.

W ścianie otworzyły się małe drzwiczki; na podwyższeniu ukazali się panowie.

Stolnik przyłożył róg po raz trzeci do ust. Na znak ten wtargnęła do jadalni gromada chłopców, niosących ogromne cynowe półmiski i dzbany.

Teraz przeżegnał się Bertold i odmówił półgłosem modlitwę.

— Zarobiliśmy sobie dziś na puhar dobrego wina — odezwał się Bertold, siadając. — Podczaszy, każ piwniczemu otworzyć jedną z owych beczek, które świętej pamięci mój rodzic przeznaczył na dni uroczyste.

Wiadomość tę przyjął szmer zadowolenia. Z łoskotem odsuwali zbrojni mężowie zydle. Krzesła skrzypnęły pod ich ciężarem.

— Niech obecność szlachetnego palatyna nie zatrważa waszego głodu. Jedzcie i pijcie, jak gdybyście byli sami. Szlachetny palatyn sprzyja odważnym zuchom.

Mimo łaskawej zachęty pana i przyjaznego uśmiechu Ulryka z Godesheimu, widać było, że obecność dygnitarzów dworskich krępuje ruchy drużyny. Nawet rycerze i wolni kmiecie, którzy jedli także na obrusie, siedzieli sztywno, usiłując zachować się przystojnie. W kraju, oddalonym od ulubionych stolic monarchy, pojawiali się rzadko tak wielcy panowie. Oglądano ich czasami, lecz zawsze tylko zdaleka, na sądach, lub w Konstancyi, w katedrze.

Dwóch chłopców szlachetnego pochodzenia uklękło przed Bertoldem i Ulrykiem. Trzymali srebrne miednice, na szyjach mieli ręczniki z brzegami haftowanemi.

Gdy panowie umyli i otarli ręce, przeszli chłopcy do prawego stołu, zginając kolano przed każdym rycerzem i wolnym kmieciem. Pachołkowie przy le-

wym stole, którego nie zdobił obrus, usługiwali sobie sami.

Woń pieczonej baraniny, wniesionej na rożnach, rozeszła się po sali.

Z pośpiechem wydobyli wojownicy noże z za pasów i zabrali się chciwie do posiłku. Jedli po dwóch z jednego cynowego talerza, niosąc kawały mięsa palcami do ust i przekąsując je chlebem.

— Jeżeli twoja narzeczona uznaje wyroki Hildebranda—mówił Ulryk głosem przyciszonym do Bertolda—nie upijemy się tak prędko na twojem weselu; o ile bowiem miarkuję, rozpocznie się dopiero na jesień otwarta wojna z Rzymem. Nasz przebiegły Henryk, zajęty dotąd Sasami, omijał zręcznie uroszczenia Hildebranda, nie chcąc borykać się odrazu z dwoma wrogami. Ale mam nadzieję, że druga wyprawa złamie ostatecznie opór tego pyszałka nordheimskiego i jego bandy, a wówczas pokażemy Hildebrandowi ostre pazury. Nie wątpię, że biskup rzymski zmięknie, jak miękli wszyscy jego poprzednicy przed majestatem korony niemieckiej i, albo ustąpi ze Stolicy Apostolskiej, albo cofnie swoje niemądre żądania i klątwy. Zanim jednak Hildebrand ugnie hardego karku, bo to mnich zacięty i wytrwały, upłynie w Renie jeszcze dużo wody. Trzebaby coś obmyśleć, jeśli chcesz związek z panną z Hohenau przyśpieszyć.

— Chciałem się właśnie ciebie o to poradzić— odrzekł Bertold. — Zdaje się, że nietyle Judyta mnie unika, ile osoby, które ją otaczają.

— W takim razie trzebaby ją z pod wpływu tych osób usunąć.

— Ale jak?

— Gdybym się znalazł kiedykolwiek w twojem położeniu, pchnąłbym poprostu garść żelaznych chłopców do Hohenau i kazałbym pannę wziąć przemocą; ty jednakże chcesz uszanować prawo, co ci

BIBLIOTEKA

się chwali—odpowiedział palatyn z uśmiechem ironicznym. — Szukajmy tedy wybiegu prawnego. Czy wolna pani z Hohenau ma jeszcze rodziców lub blizkich krewnych?

— Jej rodzice spoczywają od lat pięciu w podziemiach kaplicy zamkowej, a blizkich krewnych nie ma Judyta w tych stronach.

— Doskonale!—rzekł palatyn.—Czego się tu jeszcze namyślać? Nie wieszże ty, iż opiekunem szlachetnie urodzonych sierot jest, podług prawa salickiego, w braku blizkich krewnych sam król? Poślij natychmiast gońca do Henryka, przedstaw mu sprawę i poproś go, żeby cię upoważnił do odebrania panny z Hohenau z rąk niewygodnych dla ciebie stróżów. Henryk uczyni to dla ciebie niezwłocznie, mając zaś rozkaz królewski, możesz wziąć dziewczynę choćby ogniem i mieczem. Gdyby ci twoja drużyna nie wystarczała, wezwij chłopców z moich zamków. W najgorszym razie nie odmówiliby ci chętnej pomocy biskup Otton z Konstancyi i opat sentgalski.

— I ja wiem dobrze, że Henrykowi służy prawo opieki nad Judytą — odrzekł Bertold — lecz gdzież dziewczynę umieścić? Czasy stały się burzliwe i zmienne. Henryk przenosi się bezustannie z grodu do grodu, włócząc nas za sobą, jak wędrownych grajków.

— Dwór królowej Berty w Wormacyi będzie bezpiecznem schroniskiem dla twojej narzeczonej. Mieszczankowie wormaccy nie pozwolą zakłócić spokoju swojej ukochanej pani.

— Królowa jest mi krzywa za różne miłostki z jej damami pałacowemi.

— Właśnie dlatego będzie rada twoim zamiarom. Niewiasty lubią swatać, bo widzą w małżeństwie obronę swoich praw. Znana zresztą dobroć królowej przebaczy ci pustotę młodości. Wszakże

wymazała ona także z pamięci liczne grzechy Henryka.

Bertold namyślał się, przygryzając wąsa. Choćby usunął Judytę z pod wpływu jej otoczenia, zgodziliż się ona, gorąca katoliczka, wychowana w słynnym ze świątobliwości klasztorze szafuskim, dobrowolnie na związek z nim, marnotrawnym synem Kościoła? Opieka królewska nie zdejmie z niego klątwy. Znał on zbyt dobrze siłę żywej wiary swojego czasu, iżby mógł lekceważyć tę przeszkodę. Nie wszyscy gardzili z taką bezwzględnością wyrokami Rzymu, jak Ulryk z Godesheimu, głośny w całej rzeszy z nienawiści do Hildebranda i mnichów. Sam król omijał od lat kilku wszelkie spory, któreby mogły spowodować jawne zerwanie stosunków ze Stolicą Apostolską. Miecz św. Piotra zaczął już błyskać nad całym światem katolickim.

— Ostrzegałem cię niejednokrotnie—odezwał się palatyn — żebyś nie rozprawiał tyle z biskupami dworskimi. Niepotrzebna gadanina osłabia wolę męża. I teraz, zamiast powziąć zamiar szybki, medytujesz niby mnich, który nie wie, czy jego nos należy do niego, czy też do całego zgromadzenia. O czem tu myśleć? Pannę tymczasem zabezpieczyć, a co się potem stanie, to kłopot późniejszy. Nasze damy dworskie wypłoszą z głowy twojej narzeczonej dziecinne skrupuły.

— Tak się tobie zdaje — odrzekł Bertold — ale nie widzę wistocie innego wyjścia. Trzeba umieścić Judytę przedewszystkiem w innem otoczeniu.

— Nareszcie zrozumiałeś. Tępiejesz, Berti. Dawniej bywałeś w radzie królewskiej zawsze pierwszy ze słowem rozumnem. Co się z tobą stało?

Mówili ciągle szeptem, pochyleni ku sobie.

Służba, naśladując panów, tłumiła także głos i powściągała żywsze ruchy. Gdy się który z pachołków zapomniał, trącał go sąsiad kułakiem w żebra i przykładał palec do ust.

— Nie możesz to stulić pyska, mordo bawolał
— A tyś, co?...
— Ciiicho... Panowie patrzą...
— Jeżeli się wielcy panowie zawsze tak nudnie bawią, to wolę być sługą.
— Bądź sobie i psem na łańcuchu, ale teraz trzymaj gębę.
— Żeby się to śniadanie chciało już raz skończyć.

Bertold, zmiarkowawszy, że obecność jego i palatyna ciąży na drużynie, jak obroża, podniósł się i zawołał głośno:

— Nie przerywajcie sobie zabawy. Należy się wam dziś kilka godzin wesołych. Napijcie się za zdrowie naszego walecznego pana, króla Henryka.

Poczem oddalił się z Ulrykiem.

Odprowadziwszy przyjaciela do jego kwatery, udał się na drugi koniec pałacu. Tu stał jakiś czas przed zamkniętemi drzwiami, zanim przyłożył rękę do klamki. Namyślał się: wejść, czy nie wejść? Serce biło mu tak głośno, iż słyszał każde jego uderzenie.

W okrągłej komnacie siedziała w dużem dębowem krześle sędziwa niewiasta, ubrana w ciemną suknię, zapiętą wysoko pod szyją. Nie miała ona na sobie żadnych ozdób, ani pierścieni, ani kolczyków. Jej zwiędłą, siecią zmarszczek pokrytą twarz, obejmowała po bokach płócienna opaska, złączona pod brodą. Głowę zasłaniał wdowi welon, spadający na ramiona.

U kolan pani, na nizkich stołeczkach, klęczały dwie dziewczyny, które podtrzymywały krosna. Za jej plecami stał młody mnich i czytał głośno z księgi pergaminowej.

Kiedy Bertold wszedł do komnaty, podniosła staruszka głowę. Szare, przygasłe już oczy rozbłysły na chwilę ciepłym blaskiem. Ale tylko na chwilę. Serdeczne spojrzenie ostygło szybko, ustępując

miejsca chłodnej powadze, która zaostrzyła jeszcze więcej suche, wyraziste rysy twarzy.

— Oddalcie się!—odezwał się Bertold?

Kapelan i służebnice opuścili cichą stopą komnatę; matka i syn zostali sami.

Patrzyli na siebie przez czas dłuższy w milczeniu, ona z pod surowo ściągniętych brwi, on wzrokiem niepewnym.

Potem zaczął Bertold:

— Nie przyjęłaś, matko, palatyna Ulryka, chociaż w domu frankońskim ma gość prawo do uprzejmości.

Usta pani z Meersburga drgnęły lekko.

— Grzesznicy, wykluczeni z owczarni Chrystusowej, tracą wszelkie prawa doczesne, a po śmierci czeka ich ogień piekielny.

Głos jej był twardy, suchy.

Bertold utkwił oczy w posadzce! Kłuło go chłodne spojrzenie matki.

— W takim razie nie zasługiwałbym i ja na twoją pobłażliwość—rzekł głosem zdławionym.

— Dla syna może się matka narazić na słuszny gniew Boga, lecz dla obcego nie wolno katoliczce łamać przepisów świętego kościoła. Bóg nie przebaczyłby mi nigdy, gdybym się okazała słabą wobec palatyna Ulryka, który zaprzedał pyszną duszę szatanowi. Wieść o jego bluźnierstwach doszła i do naszego ustronia. Jak możesz odemnie żądać, abym uznawała gościa w szalonym grzeszniku, który nienawidzi Boga! Nienawidzieć Boga?! Piekło wysłało tego opętańca na ziemię gwoli kuszeniu dusz, nieumocnionych dostatecznie w świętej wierze.

Pani z Meersburga przeżegnała się ze zgrozą.

— Palatyn Ulryk nienawidzi tylko Hildebranda i mnichów—bronił Bertold przyjaciela.

— Hildebrand?! — zawołała matka.—Kimże jest ten znienawidzony przez was Hildebrand? Jako pan, uczony w piśmie, powinieneś wiedzieć, iż najsłodszy

Syn Boga Ojca, Jezus Chrystus, złożył klucze Królestwa niebieskiego w ręce św. Piotra, wielki zaś apostoł powierzył je biskupowi rzymskiemu. Ten nienawistny wam Hildebrand jest zastępcą Boga na ziemi, jest sędzią twojej grzesznej duszy. Kto obraża biskupa rzymskiego, ten obraża Boga.

— Inaczej uczą biskupi dworscy.

— O, wasi biskupi dworscy — mówiła pani z Meersburga, skrzywiwszy usta pogardliwie—któryż szczery katolik udaje się po słowo prawdy i pociechy do świeckiego duchowieństwa? Szatan pychy i bogactwa owładnął ich serca, iż zapomnieli dawno o cnotach chrześciańskich. Ocierając się ciągle o niewolników uciech doczesnych, żyjąc w świecie, wśród grzeszników tej ziemi, przesiąkli oni nawskroś słabością ludzką. Tylko świątobliwi ojcowie, modlący się w klasztorach za nasze bezprawia, są mili Bogu. Oni jedni wykonywają cnoty pokory i ubóstwa. Nie mów mi o biskupach dworskich...

— Gdybyś stała blizko tronu—odparł Bertold— i widziała, jak owi świątobliwi ojcowie, co mają wykonywać cnotę ubóstwa, modlą się nie za nasze bezprawia, lecz o bogate opactwa, jak owi zakonnicy, których powinna zdobić pokora, wyprężają harde karki, kiedy nie czują wcale nad sobą silnej ręki, jak...

— Przestań, przestań! — przerwała mu matka, zatykając uszy palcami.—Nie chcę, nie mogę słuchać takich bluźnierstw. O synu, dlaczego oddał ciebie ojciec na dwór królewski... Rozpusta i bezbożność obrały tam sobie sprosne siedlisko.

Bertold, który stał dotąd z głową opuszczoną, jak kochające dziecko, strofowane przez matkę ukochaną, spojrzał z wyrzutem na staruszkę.

W jego głosie skarżył się głęboki żal, gdy mówił:

— Na dworze królewskim obrała sobie siedlisko bezustanna troska o całość rzeszy niemieckiej,

chwiejącej się pod naciskiem samolubstwa książąt i gróźb rzymskich. Na dworze królewskim mieszka trwoga o niepewne jutro. Smutek rozsiadł się na stopniach tronu, nieustająca nigdy walka ssie nasze młode lata, iż zapomnieliśmy o nieopatrznem weselu. Z krwi frankońskiej idziesz, matko, a znieważasz króla, jak owa dzicz saska, która widzi tylko swoje domniemane krzywdy, głucha i ślepa na niedolę całego państwa.

— Gdy się zbliżysz do progu wieczności, jak twoja matka—odrzekła pani z Meersburga—będziesz wiedział, iż jedyną troską śmiertelnika na ziemi powinno być zbawienie duszy. Czemże krótkie życie ludzkie wobec wieczności, czem najpotężniejsi władcy docześni wobec Króla królów, któremu służą ognie piekielne?

Syn i matka zadrżeli, jak gdyby żary owych ogni już na nich uderzyły.

Minęła dłuższa chwila, zanim się Bertold odezwał:

— Dlaczego straszysz mnie, mateczko? — mówił.—Ty wiesz, iż króla Henryka opuścić nie mogę, że stać przy nim muszę w złej, czy dobrej woli. Wszakże karze sam Bóg wiarołomstwo. Miałżebym być gorszym od nierozumnego psa, który nie kąsa nigdy ręki dobrodzieja?

— Lepiej porzucić dobrodzieja, niż gorzeć przez całą wieczność w ogniach piekielnych.

— Nie mów tak, matko, nie mów! — zawołał Bertold.—Cóżby się stało z państwem, gdyby wasalowie zapomnieli o obowiązkach względem seniorów i tronu? Już i tak podkopały chciwość i pycha dawne cnoty plemion germańskich. Kto posiada z łaski korony dużo, spogląda okiem zawistnem na tego, co otrzymał więcej, a sługa chce być nad panem. Najdrobniejszy rycerz zachowuje się na swoim zamku, jak udzielny książę, drogi stały się niepewne, miasta otoczyły się wałami i murami, aby nie uledz

swawoli pierwszego lepszego z brzegu rabusia. Tylko silna ręka Henryka zdoła przywrócić porządek w skołatanej nawie państwa, ręka jednak najdzielniejszego monarchy traci moc bez wierności i posłuszeństwa wasalów. Gdybyśmy, Frankowie, twórcy i stróże rzeszy niemieckiej, odstąpili króla w tej ciężkiej chwili, stałyby się ludy germańskie rychło łupem sąsiadów, zazdroszczących nam potęgi i blasku. I ja pragnę zgody z Kościołem, ale uroszczenia Hildebranda zagrażają spokojowi państwa; i ja wierzę, iż Kościół, to Bóg, ale Hildebrand nie jest Kościołem, bo nie wszyscy katolicy uznają jego prawowitość. W Italii odmówili mu hołdu biskupi lombardzcy, Wilhelm angielski i Filip francuski nie uwzględniają jego rozporządzeń, a nasz Henryk waha się jeszcze, czy ukorzyć się przed jego powagą apostolską. Niech cię klątwa Hildebranda nie zatrważa zbytecznie, matko, nie wiadomo bowiem, co najbliższa przyszłość kryje w swojem łonie. Za kilka miesięcy może zasiąść na Stolicy Piotrowej inny ojciec chrześciaństwa, a wówczas staną się wyroki Hildebranda, jako słowa, pisane na wietrze.

Syn nie przekonał matki. Jej siwa głowa zwisła ciężko na piersi, z jej zwiędłych ust wypłynęło ciche westchnienie.

— Tyle łez wylałam — mówiła ze smutkiem — by Odwieczny zdjął z twojej duszy pychę dzieci tego świata, lecz Najsprawiedliwszy Sędzia nie raczył dotąd wysłuchać modlitwy niegodnej służebnicy swojej. Snać grzeszyłam za wiele w latach nierozumnej młodości.

Bertold zgiął kolano przed staruszką.

— Niech serce matki przebaczy doradcy króla słowa bolesne — prosił pokornie. — Nie będę już więcej obrażał twoich uczuć szanownych, błagam cię tylko, abyś zechciała na czas mojego pobytu w Meersburgu przenieść swój dwór na którykolwiek z naszych zamków, tu bowiem byłoby twoje sumienie w ciągłej

rozterce z obowiązkami gościnności. Biskup Otton przybędzie jutro do mnie z Konstancyi, opat santgalski obiecał się na niedzielę. I hrabia Werner, biskup strasburski, odwiedzi mnie prawdopodobnie wkrótce. Wszyscy ci mężowie nie uznają Hildebranda. A teraz uściśnij mnie, mateczko, po dawnemu, jak wówczas, kiedy mojego serca chłopięcego nie trwożyły jeszcze burze, wiszące nad rzeszą niemiecką.

Ze źrenic pani z Meersburga trysnął znów ten sam ciepły promień, który powitał Bertolda na progu, lecz ręce jej spoczywały bez ruchu.

— Krótko zabawię w Meersburgu—mówił syn, tuląc się do kolan matki. — Surma wojny powoła mnie znów za kilka tygodni pod sztandar króla. Kto wie, czy cię moje oczy doczesne będą kiedykolwiek oglądały.

Szybko objęły ramiona matki głowę syna i przygarnęły ją do łona.

— Będę się za ciebie jeszcze goręcej modliła, dziecię drogie—załkała zcicha.

Bertold podniósł się i opuścił wolno komnatę [1]).

Obok izby, w której pani z Meersburga zwykle przebywała, była kaplica.

Wyklęty spojrzał na jej drzwi zamknięte. Czuł potrzebę samotnej rozmowy z Bogiem, lecz godziło-ż się przestąpić w domu nabożnej niewiasty zakaz Kościoła? Jemu, wykluczonemu z owczarni Chrystusowej, zabraniało prawo kanoniczne modlitwy w miejscach poświęconych. Któż jednak ukarał go tak okrutnie? Hildebrand. Biskupi dworscy twierdzili, iż następca papieża Aleksandra II-go nie był prawowitym ojcem chrześciaństwa.

Bertold wszedł do kaplicy bocznemi drzwiami, przez zakrystyę.

Na stopniach ołtarza leżała czarna postać. Spło-

---

[1]) Komnatą *(komenâte, kominata)* nazywano w wiekach średnich izbę, w której znaidował się komin.

szona szelestem kroków, zwróciła się do Bertolda głowa ogolona. Mnich, poznawszy pana zamku, zerwał się przerażony i uciekał, żegnając się, jak przed złym duchem.

Gorzki uśmiech rozlał się na ustach Bortolda. Wyklęty spojrzał na krucyfiks wzrokiem smutnym, skrzyżował ręce na piersiach i mówił szeptem:

— Ty wiesz najlepiej, Panie wszystkowiedzący, iż nie obraziłem Cię nigdy grzeszną myślą heretyka.

Zgiął kolana, wyciągnął ręce do ołtarza i pogrążył się w niemej modlitwie.

Nie obraził on nigdy grzeszną myślą heretyka Boga chrześcian, żywa bowiem wiara jedenastego stulecia płonęła w jego sercu jasną pochodnią. Nie wątpił nigdy o żadnym z dogmatów, ufając bezwzględnie nauce Kościoła, i wykonywał ściśle wszystkie praktyki religijne. Myśl buntownicza nie zakłóciła ani na chwilę jego szczerej, głębokiej wiary.

Dlaczego więc napiętnował go papież znamieniem wyrodnego syna Kościoła?

Przed laty czterema ubiegał się bogaty mnich Robert o godność opata reichenauskiego i chcąc sobie pozyskać przyjaciół osobistych króla, obiecał członkom rady z dóbr klasztornych za poparcie sowitą nagrodę. Czynili to w owym czasie prawie wszyscy duchowni, starający się o dostojeństwa kościelne, i wszyscy panowie, których słowo ważyło u tronu, brali bez sromu kubany, chciwość bowiem posiadania jak najwięcej ziemi ogarnęła całe rycerstwo. Książęta wyciągali nienasycone ręce do króla, hrabiowie do książąt, ubożsi do możniejszych; kto zaś nie mógł nic wyżebrać od potężnych, zmuszał słabszych siłą do podziału.

Mnich Robert, otrzymawszy opactwo z łaski doradców korony, rozdał pomiędzy nich tak znaczną część dóbr klasztornych, iż mu jego podwładni odmówili posłuszeństwa. Gdy po nim nastąpił hrabia

Ekkehard z Nellenburga, mąż zarówno uczony w piśmie, jak dzielny w boju, wówczas zażądał nowy opat zwrotu siół i zamków, należących do zgromadzenia św. Pirmina. Członkowie rady królewskiej odmówili; opat udał się do Rzymu po sprawiedliwość, i papież Aleksander II-gi rzucił klątwę na gwałcicielów własności kościelnej. Wyrok ten potwierdził Grzegorz VII-my.

Nie o same tylko dobra klasztorne szło kuryi rzymskiej, nadużycia bowiem takie działy się wszędzie i trzebaby było wykląć połowę rycerstwa zachodniej Europy, gdyby wszystkie zamki kościelne, trzymane przez świeckich jako lenna, miały wrócić do prawnych właścicieli. Sami biskupi i opaci nie byli w tym względzie bez winy.

Wyklinając doradców Henryka IV-go, chciał ich papież Aleksander usunąć z dworu, złamać ich wpływ, który miał, jak skarżyli się ci, co pragnęli zająć ich miejsce, oddziaływać niekorzystnie na młodego króla. Oni to, głosili Sasi w rzeszy, podburzali gwałtownego pana przeciw Ottonowi z Nordheimu, oni utrudniali porozumienie się korony z tyarą.

Ale Henryk, wierny w przyjaźni, nie zastosował się do żądania papieża, przenosząc szczerą życzliwość swoich doradców nad łaskę Rzymu i względy książąt. Mimo ciągłych napomnień Grzegorza VII-go, został Bertold przy boku króla.

Leżąc krzyżem na posadzce kaplicy, rozmawiał wyklęty z Bogiem z ufnością posłusznego dziecka.

— Ty, dla którego nie ma tajemnic na niebie i ziemi, który przenikasz serce najdrobniejszego robaczka i słyszysz najskrytszą myśl żyjącego stworzenia... widzisz moją duszę uległą — szeptał Bertold. — Nie na twój gniew zasłużyć chciałem.

Gdyby chodziło tylko o zwrot cudzej własności, okupiłby sobie bez wahania kilku zamkami spokój sumienia. Miał on dosyć wszelakiego dostatku, hojna bowiem, nigdy nie zamykająca się ręka króla,

obsypała go dostojeństwami i lennami. Był palatynem rzeszy, wielkim łowczym dworu i czerpał dochody z licznych dóbr koronnych.

Henryk IV-ty posiadał rzadką na ziemi cnotę wdzięczności. Za przyjaźń płacił serdeczną pamięcią i całem swojem mieniem.

Lecz opat Ekkehard, gorliwy zwolennik prymatu papieża, wiódł jawny spór z koroną. Zamiast udać się po sprawiedliwość do króla, którego był wassalem, oddał swoją sprawę pod sąd biskupa rzymskiego. Za jego przykładem poszli już inni opaci, co nie mogło się przyczynić do spojenia rozpadającej się jednolitości państwa.

Rozum stanu nie mógł się zgodzić na pomnożenie siły przeciwnika. Każdy zamek, wzięty klasztorowi reichenauskiemu, osłabiał hardego prałata, zabierając mu kilkadziesiąt mieczów, któreby się w razie zwycięztwa rokoszan zwróciły niewątpliwie przeciw królowi. Przeto postanowiono na dworze pominąć wyroki Rzymu milczeniem, nikt bowiem nie przypuszczał, żeby się papież ośmielił pociągnąć do odpowiedzialności samego króla.

Rozum stanu i przywiązanie do tronu frankońskiego nie pozwalały Bertoldowi ugiąć się przed rozkazem Rzymu, ale żywa wiara, która panowała nad jego myślami i uczuciami, straszyła go karą pogrobową. Wszakże uczono go w szkole dworskiej, w Goslarze, założonej przez cesarza Henryka III-go, iż namiestnikiem Chrystusa na ziemi jest biskup rzymski, że, co ten zwiąże lub rozwiąże na tym tu świecie, będzie związane i rozwiązane w niebie. A w pałacu lateraneńskim rządził Grzegorz VII-my, posadzony przez kler i lud wiecznego grodu na Stolicy Piotrowej.

Wprawdzie odmawiała znaczna część biskupów niemieckich wyborowi Grzegorza VII-go prawowitości, i Bertold uspokajał tak samo własne sumienie; nie zaślepiała-ż jednak i biskupów i jego nienawiść

do nieustraszonego rządcy Kościoła, który położył ciężką rękę na rozluźnionych obyczajach swojego czasu?

Nowy papież żądał od duchowieństwa świeckiego, by uszanowało celibat, zalecony kapłanom chrześciańskim już przez pierwszych Ojców Kościoła; domagał się od sług ołtarza czystego i świątobliwego żywota; zagroził klątwą każdemu, ktoby się skradał do mitr i pastorałów drogami krzywemi. Nie stosunki, łaska króla i jego otoczenia, nie pieniądze i koligacye miały obsadzać stolice biskupie, lecz jedynie gorąca wiara i pobożność.

Tak surowy namiestnik Chrystusowy nie podobał się świeckiemu duchowieństwu młodych ludów germańskich, wydobywających się zaledwo z powijaków barbarzyństwa. Duch nowej ewangelii, jej pogarda szczęścia doczesnego, powitana z radością przez wydziedziczonych i zrozpaczonych starego świata, nie przetrawił jeszcze pożądliwości zmysłowych tych silnych, świeżych natur, przywiązanych do ziemi i jej rozkoszy z potęgą instynktów. Tu i owdzie odrywała się od wielkich mas jakaś dusza wybrana i rzuciwszy świat, zapatrzyła się okiem natchnionem w niebo; przeciętny jednak katolik owego czasu brał tylko z wiary jej dogmaty, nie rozumiejąc jej cnót. Półbarbarzyniec uwielbiał siłę i bogactwo, a Grzegorz VII kazał mu kochać słabość i ubóstwo.

Niższy kler sarkał na bezwzględny nakaz celibatu, wyższy, pochodzący przeważnie z możnych rodów, gwałtowny, dumny, rozmiłowany w zbytku i przepychu, nie chciał się ukorzyć przed powagą męża z gminu, którego tylko niepospolite zdolności i niezłomny charakter wyniosły na sam szczyt chrześciaństwa.

Bertold znał lepiej od innych kruche przyczyny niechęci do Grzegorza VII-go, wszystkie bowiem skargi biskupów i opatów na stanowczość papieża szły na dwór królewski. Wiedział, że znienawidzo-

ny przez prałatów Hildebrand dźwigał silną ręką Kościół, nurzający się od pewnego czasu w błocie grzechów ludzkich, i gdyby nowy ojciec chrześciaństwa był ograniczył swoją działalność do spraw duchownych, byłby on, pan świecki, zgorszony niejednokrotnie pychą kleru, podziwiał szczerze jego odwagę. Ale Hildebrand przemawiał i do króla rzymskiego, jak do lennika, a na to nie mógł się zgodzić doradca korony.

Jako Frank, potomek plemienia, które wycierpiało tyle od rasy romańskiej, dzielił Bertold niechęć prałatów niemieckich do Grzegorza VII, do przedstawiciela Rzymu—owego wielkiego upiora, co pokonany tysiąc razy, podnosił ciągle władzy chciwą głowę i narzucał swoją wolę światu. Ale rycerz frankoński był równocześnie katolikiem, wierzącym bez krytyki we wszystko, co Kościół do wierzenia podawał, drżącym na samą myśl ogni piekielnych.

Jeśli biskupów uwodziła nienawiść do Grzegorza VII-go, jeżeli nieuznany przez nich papież był wistocie namiestnikiem Chrystusa na ziemi, wówczas druzgotały jego wyroki nieposłuszne dzieci Kościoła i wyklętego czekał po śmierci gniew Boży.

Miotany sprzecznemi uczuciami Franka i katolika, straszony ogniem piekielnym, wyciągnął znów Bertold ręce do krucyfiksu i modlił się z głębi udręczonego serca:

— Oświeć moją duszę, Panie, ześlij na moją nędzną głowę światło prawdy, albowiem na Twój gniew zasłużyć nie chcę...

Rzucił się na stopnie ołtarza, całował wilgotny kamień i powtarzał coraz głośniej z coraz większą rozpaczą:

— Nie chcę, nie chcę...

A w zakrystyi odezwał się głos ponury:

— *Anathema*, *anathema*...

Bertold zerwał się przerażony.

Czarny cień mnicha odczepił się od ściany i znikł za drzwiami.

— Zmiłuj się nademną—jęczał Bertold, ukrywszy pobladłą twarz w dłoniach.

IV.

Jak Meersburg, stał i Hohenau na wzgórzu, obwarowany wszelkiemi przeszkodami, które architektura wieków średnich obmyśliła w celu utrudnienia przystępu do zamku. I tu pięła się po kamieniach wązka ścieżka, wijąca się z prawej strony ku lewej, by napastnicy podawali oblężonym bok ciała nie zakryty puklerzem. I tu trzeba było nasamprzód zdobyć wał, przedostać się przez głęboki rów, stanąć na wyłomie pierwszego muru, wytrzymać grad pocisków, wedrzeć się na drugi mur, zanim się miecz mógł zewrzeć z mieczem.

I jak w Meersburgu, nie troszczył się sztukmistrz i w Hohenau o wygodę mieszkańców. Czworoboczny, z jednej strony gankiem zaopatrzony pałac nie miał ani dużych okien, ani jasnych sal, ani dobrego rozkładu izb, które ciągnęły się wszystkie rzędem. Ciężki, zbudowany w stylu romańskim, najeżony wieżyczkami dla strzelców, robił on raczej wrażenie więzienia, aniżeli gniazdka młodej ładnej kobiety.

Na środku sali przyjęć, oświetlonej słabo okrągłemi oknami, umieszczonemi wysoko, pod sufitem, stała nazajutrz w godzinach porannych Judyta w tej samej kapie jedwabnej, obramowanej gronostajem, którą miała wczoraj na sobie, gdy spotkała Bertolda w lesie egolheimskim.

Uniosłszy dwoma palcami prawej ręki lekko płaszcza, odezwała się:

— Czy tak dobrze?

O kilka kroków od niej siedziała na zydlu czterdziestoletnia kobieta, chuda, sucha, śledząca małemi czarnemi oczkami uważnie ruchy dziewczyny.

— Gdyby się Waszej Szlachetności podobało unieść trochę więcej płaszcza i przycisnąć rękę do piersi, byłoby już zupełnie dobrze — odpowiedziała ochmistrzyni głosem skrzypiącym, który przypominał tarcie deski o deskę.

— A teraz? — spytała Judyta, zastosowawszy się do wskazówek nauczycielki.

— Doskonale! Wasza Szlachetność trzyma płaszcz z takim wdziękiem, żeby damy dworu królewskiego pozieleniały z zazdrości. Tylko wielki palec lewej rączki powinien spoczywać na spince pod szyją. O, tak... Bardzo dobrze; powtórzymy ten ruch jeszcze raz, i nie będzie już nic do poprawienia. Znakomicie! A teraz możeby się Waszej Szlachetności podobało obejść dokoła salę... Tylko wolno, z powagą, jak przystoi pani wielkiego rodu.

Judyta uniosła płaszcza, przycisnęła prawą rękę do piersi, wielki palec lewej włożyła pod spinkę i zaczęła się posuwać wzdłuż ścian.

Była ona wzrostu słusznego. Jej duże, czarne, szklistego połysku oczy miały w sobie coś zagadkowego. Wabiła z nich obiecująca głębia, a równocześnie odtrącał wyraz chłodny. Patrzyły one spokojnie, bez ciekawości, jakby z pogardą, chociaż nie mogły jeszcze znać dużo świata i ludzi, bo świeciły dopiero od lat piętnastu.

Mimo młodego wieku była Judyta zupełnie rozwinięta. Tę przedwczesną dojrzałość i czarne oczy i włosy wzięła po matce neapolitance, którą ojciec jej przywiózł na zamek hohenauski z jakiejś wyprawy wojennej. Po rycerzu germańskim odziedziczyła córka białą cerę twarzy i krzepką budowę ciała.

Cofnąwszy głowę w tył, szła Judyta krokiem posuwistym, stąpając z góry, jak na koturnach. Nie zgadzało się to widocznie z przepisami dobrego wy-

chowania wieków średnich, bo ochmistrzyni skrzywiła się niezadowolona.

— Nie tak, nie tak! — wołała.

— Więc jak? — spytała Judyta.

— Chód szlachetnej pani winien być jako chód pawia lub żórawia, poważny, ale lekki, pełen wdzięku — uczyła ochmistrzyni. — Nie należy dotykać ziemi odrazu całą stopą i wyciągać nóg zbytecznie. Kroki drobniejsze są lepsze od dużych. Nauka moralności [1]) nie pozwala cofać głowy w tył. Skromność niewieścia spuszcza oczy i nie ogląda się poza siebie.

Podniosła się z zydla i zaczęła chodzić po sali, naśladując ruchy pawia.

— O tak — mówiła.

Różowe, świeże usta Judyty drgnęły uśmiechem ironicznym.

— Moje pawie pozdychałyby z zazdrości—odezwała się z błyskiem szyderskim w oczach — gdyby widziały waszą moralność, Bertwino.

— Niejedna wielka pani zazdrościła mi już sztuki moralności — rzekła Bertwina głosem przekonanym i powtórzyła lekcyę praktycznie, przyczem wyglądała jej długa, sucha postać, jak kłaniająca się tyczka.

— I miała czego — drwiła Judyta. — Nie na każdą niewiastę zlał Dawca wszelkich cnót tyle wdzięków, ile na was, Bertwino.

Małe, kłujące oczki ochmistrzyni spojrzały podejrzliwie na dziewczynę, ale z ust i z oczu Judyty znikł już uśmiech ironiczny.

— Waszej Szlachetności podoba się żartować z ubogiej wdowy, której Ojciec Sprawiedliwy nie

---

[1]) Nauką moralności *(Moralität)* nazywano w wiekach średnich naukę dobrych form towarzyskich.

szczędził chłosty doczesnej za grzechy jej przodków— mówiła Bertwina.—Proszę, niech Wasza Szlachetność okrąży jeszcze raz salę, ale bez owych szorstkich ruchów, prawdziwa bowiem moralność nie znosi linii ostrych.

— Mam na dziś dosyć waszej moralności — odpowiedziała Judyta, zdejmując z siebie płaszcz. — Jutro powtórzymy lekcyę. Niech drużyna siada na koń!

— Wasza Szlachetność wyjeżdża? — zapytała Bertwina zaniepokojona.

— Pojadę do lasu, do pobożnego Wolframa. Nie widziałam go jeszcze po powrocie z klasztoru.

— Pan Werner z Grimmingen prosił mnie, abym nie pozwalała na tak częste wyjazdy Waszej Szlachetności.

— Cóż upoważnia pana Wernera do krępowania mojej swobody?

— Drogi są niepewne, a pan opiekun odpowiada przed hrabią okręgu za wasze zdrowie.

— Nie sądzę, by mi w granicach mojego państwa, pod osłoną mojej drużyny, groziło jakie niebezpieczeństwo. Zbyt ciężko karze sprawiedliwość króla krzywdę, wyrządzoną dziewicy, iżby się ktoś ośmielił podnieść na mnie rękę zbrodniczą.

— Pan Werner z Grimmingen...

— Pan Werner z Grimmingen — przerwała Judyta ochmistrzyni, ściągnąwszy brwi — chciałby we mnie wmówić, iż jestem dzieckiem, którego niańka powinna ciągle strzedz, by nie upadło na równej drodze. Pan Werner powinien wiedzieć, iż prawo salickie, któremu jako Frankonka podlegam, pozwala sierotom moich lat żądać pełnej swobody, co też uczynię, gdy hrabia-palatyn zjedzie na sądy do Konstancyi.

— Opieka sędziwego rycerza zdobi dziewicę — odezwała się Bertwina głosem niepewnym.

— Opieka pana Wernera i wasze ciągłe stra-

chy nudzą mnie — odpowiedziała Judyta, obrzucając ochmistrzynię wzrokiem wyniosłym. — I wy zapominacie zbyt często, iż w państwie hohenauskiem nie ma nikt prawa do rozkazywania oprócz mnie, co zechciejcie zrozumieć, jeżeli chcecie mnie uczyć dłużej moralności. Posłaliście wczoraj za mną owych drabów grimmińskich, których pan Rudolf, nie wiem dlaczego, przydał do mojego boku. Żeby tego więcej nie było!

Głos Judyty, gdy to mówiła, był twardy, a oczy jej patrzyły tak nieruchomo i zimno na Bertwinę, iż wydawały się ze szkła.

— Spełniłam tylko rozkaz pana Wernera... — tłómaczyła się ochmistrzyni.

— Ciągle ten pan Werner... — zawołała Judyta niecierpliwie.

Powiodła wzrokiem po ścianach sali, obwieszonych bronią. Uśmiechnąwszy się do siebie, zdjęła największy miecz i zakreśliła nim w powietrzu krzyż ruchem tak swobodnym, jak gdyby ciężkie żelazo było lekką trzciną.

— Widzicie, Bertwino — rzekła — iż w razie niebezpieczeństwa potrafiłabym się sama obronić. I zbroja nie ciężyłaby mi zbytecznie.

Pełnemi zazdrosnego podziwu oczami wpatrywała się ochmistrzyni w młodą panią. I ona była dzieckiem swojego czasu, który uwielbiał siłę cielesną.

— Moc wielkich bohaterów drzemie w waszych członkach, pani [1])—mówiła, schylając głowę z uznaniem.

— Nie sami tylko synowie dziedziczą cnoty po ojcach — odpowiedziała Judyta. — Teraz nie będziecie się chyba o mnie lękali.

---

[1]) Panią nazywano każdą szlachciankę, bez względu na to, czy była zamężną, czy też panną.

— Ciału waszemu nie zagraża niebezpieczeństwo — odezwała się po krótkiej przerwie Bertwina, łypiąc chytrze oczkami—ale waszej duszy nie obroni miecz przed zmazą. W kraju przebywa obecnie mnóstwo trędowatych, wykluczonych przez Ojca Świętego z owczarni naszego słodkiego Pana, Jezusa Chrystusa. Moglibyście się bezwiednie, wypadkiem, otrzeć o którego z wyklętych, czego niech nie dopuści Panna Najświętsza i patron hohenauski, święty apostoł Paweł. Biskup Otton wrócił do Konstancyi i wielki łowczy Bertold jest podobno w Meersburgu...

Wymawiając nazwisko Bertolda, spojrzała ochmistrzyni bystro na panią, lecz nie mogła uchwycić wyrazu jej twarzy, bo Judyta stała tyłem do niej, zawieszając miecz na gwoździu. Nie widziała, że białe lica dziewczyny stały się jeszcze bledsze, że usta jej zadrżały boleśnie, a twardy wyraz jej oczu złagodniał.

— Niech Święty Paweł broni Waszej Szlachetności przed zetknięciem się z którymkolwiek z tych strasznych grzeszników—mówiła Bertwina, skradając się do pani drobnemi krokami. — Trąd herezyi, który szpeci ich duszę. mógłby i was zarazić, a wówczas...

— Obowiązków względem Kościoła—przerwała jej Judyta — uczyły mnie świątobliwe panny w Szafuzie. Do was należy tylko moralność.

Kiedy się zwróciła do ochmistrzyni, była jej twarz znów spokojna i chłodna.

— Powiedzcie burgrabiemu, żeby się pośpieszył. Owe draby grimmińskie zostaną w domu! — rozkazała i wyszła na dziedziniec.

— Tej hardej pani nie ugnie nawet żelazna ręka starego Wernera — mówiła Bertwina do siebie.

Judyta udała się do kurników.

Gdy zbliżała się do mieszkań pierzastego narodu, witały ją wesołe głosy różnorodnego ptactwa.

Bijąc skrzydłami, biegły za nią duże koguty z czerwonemi grzebieniami. Ze wszystkich kątów dziedzińca zlatywały się pawie, kury, kaczki, gęsi, gdakając i gęgając radośnie. Biały gołąbek usiadł na ramieniu pani i dziobał ją poufale w ucho.

Ona uśmiechała się dobrym uśmiechem dziecka do ruchliwego towarzystwa i rozmawiała z niem uprzejmie.

— Babka dała dzieciom za mało ziarnek? Niepoczciwa babka. Na polach hohenauskich rośnie tyle wszelakiego dobra, a moje dzieci głodne. Zaraz wam dziobki pozamykam, zaraz... Nie można się tak tłoczyć — mówiła do natarczywego koguta, który skakał przed nią, odpędzając kury. — Taki ładny rycerz powinien się znać na moralności.

— Babko! — zawołała.

Z kurnika wygramoliła się stara poddanka.

— Słucham Waszej Szlachetności! — zaskrzypiał głos bezdźwięczny.

— Moja dziatwa znów głodna — mówiła Judyta.

— Jaka tam głodna, proszę Waszej Szlachetności — odparła baba. — Dwa razy już dziś to tałałajstwo karmiłam, ale te nierozumne stworzenia to takie żdżarte, żeby człowieka zjadły, gdyby się dał.

— I rozumne stworzenia bywają żdżarte — rzekła Judyta z uśmiechem — dajcie-no trochę ziarna.

— Wola Waszej Szlachetności, ale jabym im dała rózgą po łbie. Nijak nie mogę sobie z tem żarłocznem gałgaństwem poradzić.

Z rąk Judyty posypał się na główki wrzaskliwego narodu deszcz owsa i żyta. Z taką chciwością, jak gdyby nie miało od wczoraj nic w gardziołkach, rzuciło się ptactwo na zboże. Jedno chwytało przez drugie, łapczywie, gwałtownie, mocniejsze wydzierało słabszemu ziarno z pod dzioba; koguty doskakiwały do siebie z piórami nastroszonemi.

— Widać, że was sucha Bertwina nie uczy moralności — żartowała Judyta, zastawiając kurczęta przed żarłocznością gąsiąt. — Trzeba jeść zgodnie, przystojnie. Dla wszystkich starczy. Jakże tam twoje nogi? — spytała baby.

Stara machnęła ręką niedbale.

— Jak u takiej baby, co łazi niepotrzebnie po świecie — odpowiedziała, wzruszając ramionami. — Mało się to nachodziły! Już nawet nie pomnę, kiedy były młode.

— Pokaż-no!

Poddanka odsłoniła grubą, obrzmiałą, czerwonemi żyłami oplecioną łydkę, a Judyta dotykała tej brzydkiej, szpetnej nogi białą ręką bez wstrętu.

Nie była ona w tej chwili ową dumną panią, która mierzyła wzrokiem wyniosłym ochmistrzynię. W oczach i w zagięciach ust miała miękkie tony dobroci.

— Trzeba łydkę wysmarować rybim mózgiem, obwijać ją na noc świeżą skórą wilczą — mówiła Judyta. — Zgłoś się wieczorem do mnie.

— Pani rozkazuje, poddanka słucha, bo tak Pan Bóg przykazał — mruczała baba — ale czy to warto, proszę Waszej Szlachetności? Święta ziemia strawi niezadługo wszystkie bóle.

Wtem odezwał się na dziedzińcu róg na znak, że drużyna gotowa.

— Czekam na ciebie po modlitwie wieczornej— rzekła Judyta i wróciła do pałacu.

Przed wschodami stał wierzchowiec, ubrany w purpurowy czaprak, zwieszający się prawie do ziemi. Judyta, wziąwszy z rąk podkomorzego kapelusz z pawich piór i płaszcz, bez którego nie ruszała się żadna szlachetna pani po za granice murów zamkowych, wskoczyła zręcznie na konia, co wywołało uśmiech zadowolenia na ogorzałych twarzach rycerzów i zbrojnych pachołków.

Kiedy sokolnik posadził na jej ramieniu zaka-

pturzonego orlika, podniosła rękę, dając rozkaz do pochodu. Lecz nagle zachmurzyło się jej czoło.

Wpośród czerwonych kaftanów swoich ludzi spostrzegła kilka sukien niebieskich. Była to barwa pana z Grimmingen.

— A wy czego chcecie? — zapytała dowódcę pachołków grimmińskich głosem ostrym. — Powiedziano wam, żebyście zostali w domu.

— Pan Werner przykazał nam surowo strzedz zdrowia Waszej Szlachetności — odpowiedział dowódca.

— Burgrabio, nauczcie tego głupca, że zdrowia wolnej pani z Hohenau strzeże wierna drużyna hohenauska, która chodziła jeszcze z jej rodzicem na krwawe pola.

Burgrabia pogładził wąsa i spojrzał groźnie na ludzi grimmińskich.

— Rozkażcie, pani, a wióry polecą z tych gałganów — rzekł. — Nie można się krokiem ruszyć z domu, żeby ta hołota nie lazła wszędzie za nami.

— Spełniamy tylko rozkaz naszego pana — mówił grimmińczyk głosem niepewnym, bo dokoła niego zadzwonił brzęk dobywanych z pochew mieczów.

Twarz Judyty oblał płomień gniewu.

— Pan Werner nie rozkazuje ani w Hohenau, ani na żadnym z moich zamków; — zawołała — dla szpiegów niema miejsca pod moim dachem. Za bramę z wami! Gdyby się który opierał, nauczy go najciemniejszy loch wieży, kto rządzi w państwie hohenauskiem.

— Za bramę, za bramę! — rozległo się na dziedzińcu. — Precz z nimi! Nasza pani obejdzie się bez pomocy nieproszonej.

— My sami potrafimy strzedz zdrowia naszej pani — krzyknął burgrabia, ruszywszy koniem ku dowódcy ludzi grimmińskich. — Za bramę, szpiegi!

Dowódca policzył wzrokiem swoich towarzy-

szów. Było ich tylko dziesięciu, a z domków napływało coraz więcej zbrojnych.

— A wyczha, a huź go! — zawołał ktoś wśród ogólnego śmiechu.—Wziąć dzika pod gardło!

Cała załoga hohenauska otoczyła przerażonych grimmińczyków, którzy, zbiwszy się w zwartą gromadkę, czekali na znak dowódcy.

Ten spoglądał z podełba na błyskające miecze przeciwników, drżąc na całem ciele z wściekłości. Wyglądał, jak tur, który gotuje się z pochyloną głową do rozpędu. Ale walka dziesięciu ludzi z całą załogą równałaby się szaleństwu.

Więc zaklął i skinął na suknie niebieskie.

— Oznajmię panu Rudolfowi wolę Waszej Szlachetności—rzekł i zwrócił konia na stronę bramy.

Słowa obelżywe przeprowadziły wypędzonych przez dziedziniec.

— A teraz do lasu, do pobożnego Wolframa— rozkazała Judyta.

U stóp wzgórza rozłamał się żelazny łańcuch na dwie części. Dziesięciu zbrojnych wyprzedziło panią, dziesięciu postępowało z tyłu. Wzięta w środek, przedzielona od swoich ludzi długością dwóch koni, jechała Judyta zrazu z głową podniesioną. Jakiś czas przebiegały jeszcze po jej twarzy błyskawice gniewu, drżały nozdrza, ściągały się brwi.

Z chwilą, kiedy wróciła z klasztoru, gdzie przebywała od śmierci ojca, ucząc się języka łacińskiego, sztuki pisania, czytania, zasad wiary katolickiej i robót niewieścich, śledziło ją ciągle mnóstwo oczu ciekawych. Chociaż ją piętnasty rok życia uwalniał podług prawa od dozoru dalszych krewnych, narzucił jej hrabia okręgu starego Wernera z Grimmingen jako opiekuna. Natrętny sąsiad otoczył ją swoimi pachołkami i żądał, aby go uwiadamiała o każdym kroku. Przybywał sam codziennie z synem na zamek hohenauski i zasypywał ją uprzejmościami.

Gdziekolwiek się ruszyła, szli za nią ludzie grimmińscy pod pozorem czuwania nad jej zdrowiem.

Czego panowie z Grimmingen chcieli od niej? Powiadali się jej krewniakami, lecz ona nie pamiętała, aby jej rodzice pozostawali z nimi kiedykolwiek w bliższych stosunkach. Gdy przybywali za życia ojca na zamek hohenauski, nie siadali nigdy przy stole pańskim i nie brali udziału w zabawach rodziny. Nieboszczyk jej rodzic mówił zawsze do starego Wernera „ty," jak senior do lennika. Jeżeli tedy łączyły ją z panami z Grimmingen węzły powinowactwa, to chyba bardzo dalekie.

Tak stary, jak młody pan z Grimmingen, nie zażywali w okolicy dobrego imienia. Mówiono głośno, iż bogacili się łupem, okrutni dla poddanych, nieubłagani dla zwyciężonych. Dlaczego więc chodzili około jej dobra z taką troskliwością, jak gdyby pilnowali własnego mienia, i chowali wobec niej pazury drapieżne? Pan Werner starał się być w Hohenau słodkim, pan Rudolf bardzo rycerskim.

Instynkt niewieści Judyty wyczuwał w słodyczach i rycerskościach tych grubych, nieokrzesanych mężów ton fałszywy, nieszczery. I troskliwość ich robiła na niej wrażenie przykre. Zdawało się jej ciągle, że się do niej skradają jakieś chytre zwierzęta, czekające na chwilę sposobną, by się rzucić na zdobycz upatrzoną.

Gotowaliżby pocichu napad na jej zamek? Ale nie. Takiego zuchwalstwa nie dopuściłby się nawet sam hrabia okręgu. Państwo hohenauskie należało do najrozleglejszych w Szwabii południowej, rozkazywało tysiącowi mieczów. Za krzywdy zresztą szlachetnie urodzonej sieroty mścił się sam król, a Henryk IV-ty miał szybką rękę. Niejednego już rycerza kazał wpleść na koło za gwałt publiczny.

Gdzież powód troskliwości panów z Grimmingen?—pytała Judyta siebie, zamyśliwszy się. Bez ce-

BIBLIOTEKA
JANA SZCZODRZYŃSKIEGO

lu nie tańczą przed nią te niedźwiedzie na dwóch łapach.

Nagle odbiło się w jej oczach zdziwienie.

Więc to tak? Więc ten rudy olbrzym ubiera się dlatego w suknie dworskie i uczy się moralności, aby się mnie przypodobać? Więc dlatego ściągnął z siebie tur szwabski szorstką skórę i schował rogi, aby zwabić sokoła frankońskiego? Ależ tak, tak...

Judyta przypomniała sobie rozmowy z panem Rudolfem, jego słodkie spojrzenia, jego półsłówka, na które nie zwracała nigdy uwagi. Nie myliła się. Uprzejmość drapieżnych sąsiadów była pułapką na jej serce.

Odkrycie to zabawiło ją tak szczerze, iż zwiało z jej czoła wszystkie chmury. Miała ochotę rozśmiać się głośno, pusto, ale ją obecność drużyny wstrzymała od wybuchu nieprzystojnej radości.

Przed oczami jej duszy stanął wytworny, urodziwy Bertold, pan mężny i uczony, i usta jej uśmiechnęły się przyjaźnie do błyskotliwego widzenia. Piegowaty Rudolf chciałby współzawodniczyć z wolnym panem na Meersburgu, zwykły rycerz z doradcą korony? Dziwne zamiary lęgną się czasami w duszach ludzkich...

Nie wiedzieli-byż panowie z Grimmingen, że wola ojca rozporządziła już jej życiem?

Jasne błyski zgasły w źrenicach Judyty. Cienie smutku osnuły jej czoło.

Oni wiedzieli o tem bardzo dobrze, inaczej bowiem nie przypominaliby jej bezustannie klątwy papieskiej. Nawet tę nudną Bertwinę nauczyli pieśni złowróżbnej. Od rana do wieczora krakała nad nią ochmistrzyni, strasząc ją ogniem piekielnym. Robiła to tak często, z takim naciskiem, iż była niewątpliwie w zmowie z jej opiekunem.

Dręczono ja niepotrzebnie. I ona wierzyła bez krytyki we wszystko, co Kościół do wierzenia poda-

wał, a wychowała się w klasztorze panien szafuskich, znanych z uległości dla Rzymu. Siły wyroków papieskich nie osłabiała w jej sercu troska o dobro rzeszy niemieckiej, dziewczyna bowiem piętnastoletnia nie mogła znać trudnego położenia rządu.

Klątwa, zawieszona nad głową narzeczonego, zatrważała ją więcej, aniżeli się tego jej otoczenie mogło domyślać.

Jak matka Bertolda, leżała i ona codziennie, rano i wieczorem, w kaplicy zamkowej na stopniach ołtarza i błagała Boga, aby się zmiłował nad duszą zbłąkanej owieczki i przygarnął ją do łona litościwego.

Nocą męczyły ją sny okrutne. Widziała siebie i Bertolda w piekle, a w górze Rudolfa z Grimmingen, który lał na nich stopione żelazo. Budziła się z jękiem i zasypiała z płaczem. Wolnoż jej było kochać upartego grzesznika? Wszakże mówiła rota klątwy wyraźnie: „niech jego dom opustoszeje, i niech nie będzie nikogo, ktoby chciał mieszkać pod jego namiotami.“ Klątwa rozwiązywała wszelkie śluby. Podług przepisów Kościoła, nie powinna była Judyta miłować występnego syna społeczności katolickiej.

Ale wspomnienia lat dziecinnych przykuły ją do Bertolda. Od tych jasnych wspomnień nie mogło się jej serce oderwać, mimo szczerych wysiłków.

Znużona walką między obowiązkami katoliczki a narzeczonej, postanowiła Judyta otworzyć duszę, rozdartą na dwoje, przed pustelnikiem Wolframem. Świątobliwy pokutnik, który wzgardził od lat wielu próżnością tej ziemi, czczony przez ludzi, miły Bogu, rozplącze jej myśli skłębione i zdejmie z niej straszliwy ciężar bezustannego niepokoju...

Hufiec wszedł tymczasem do lasu.

Zapach promieniami słońca lipcowego rozgrzanej żywicy objął Judytę zewsząd. Odetchnęła z głębi piersi, pijąc z rozkoszą wonne powietrze.

Bór grał zcicha, jak harfa, dotykana lekką ręką. Miliony niewidzialnych muszek dzwoniły skrzydełkami o struny, ukryte dla oka ludzkiego. Roje barwnych motyli migotały w blaskach pogodnego dnia. Czarne żałobniki unosiły się z powagą dygnitarzów nad zbrojną drużyną, przysiadając od czasu do czasu pod końmi, na piasku drogi.

Błękitne niebo wydawało się poprzez ciemne igliwie i liście drzew jeszcze błękitniejszem.

Orlik, siedzący na ramieniu Judyty, zaczął się niespokojnie ruszać. Podniósł ogon i kręcił główką, zasłoniętą kapturkiem.

— Czujesz łatwą zdobycz? — mówiła do niego Judyta. — Nie będziemy dziś polowali, mały rabusiu. Serdeczna troska odjęła twojej pani ochotę do zabawy.

Hufiec, opuściwszy drogę, przedzierał się wązką ścieżką, wydeptaną stopami ludzkiemi, przez gąszcz lasu. Przed panią jechał burgrabia, odchylając gałęzie.

Po jakimś czasie wyjrzała z ogrodzenia wysokich jaśminów, podobnych zdaleka do cyprysów, mała chatka, ulepiona z ziemi i liści. Prowadziła do niej okrągła dziura bez drzwi.

Burgrabia hohenauski przyłożył ręce, zwinięte w trąbkę, do ust i krzyknął:

— Ojcze Wolframie!

Na jego wołanie odpowiedziały głosy różnych zwierząt leśnych. Szczekał zajadle lis, wył wilk, mruczał niedźwiedź.

— Pani z Hohenau przybywa do was w gościnę!—wołał burgrabia.

W otworze chaty ukazała się nasamprzód łysa głowa i długa siwa broda.

— Kto zakłóca spokój pustelnika? — pytał głos ochrypły.

— Pani z Hohenau pragnie złożyć hołd Waszej Pobożności.

Z otworu wydobyła się na czworakach postać, która mogła niegdyś zadziwiać wzrostem i siłą. Ale długie lata i trwarde życie złamały ją w pół, zostawiwszy jej tylko szeroką pierś i muskularne ramiona.

Do Judyty zbliżał się starzec, okryty długą, aż do kostek sięgającą suknią, której barwę strawił czas, a krój zniszczyły dziury. Brudne, stargane łachmany, podtrzymywane na biodrach powrozem, były ubraniem pustelnika. Jego prawą rękę przykuwał do prawej nogi łańcuch żelazny.

— Uspokójcie się, to przyjaciele — mówił starzec do całej menażeryi, towarzyszącej mu z gniewliwym pomrukiem. — Trzeba być grzecznym, żeby was pani z Hohenau nie kazała obedrzeć ze skóry. Mogłaby to uczynić. To wasza pani.

Niedźwiedź, wilk, lis i borsuk nie rozumieli snać przestrogi starca, bo szczerzyli kły do gości.

— Do domu dziateczki — fuknął pustelnik. — Nie wolno straszyć tak dostojnej pani.

Uderzył niedźwiedzia łańcuchem po łbie, kopnął wilka w żebra. Lis zwinął pierwszy ogon pod siebie i powlókł się wilk. Tylko niedźwiedź wyciągnął się na trawie i, złożywszy głowę na przednich łapach, wpatrywał się pożądliwym wzrokiem w konie, które wspinały się, chrapiąc.

Pustelnik, stanąwszy przed Judytą, podniósł rękę do oczu. Jego twarz kościstą, powleczoną żółtą, wyschłą skórą, ogrzał ciepły promień.

— Uta!— rzekł głosem miękkim. — Z uciesznej dzieweczki wyrosła piękna, cześć nakazująca dziewica. Widzę przed sobą nieboszczkę panią z Hohenau. Jak dobrze, że przypomniałaś sobie starego samotnika. Bóg miłosierny przebaczy mi wkrótce grzechy życia i powoła do Swej łaski nieprzebranej, a moje oczy pragnęły jeszcze twojego widoku.

Judyta pochyliła się do ręki pustelnika. Całując ją, mówiła:

— Zgrzeszyłam wobec waszej dobroci, ojcze Wolframie, albowiem nie pamięć, lecz troska przywiodła mnie do was. Ale nie gniewajcie się na mnie za opieszałość. Strzeżono mnie, śledzono, szpiegowano.

Pustelnik dotknął jej głowy lewą ręką, nie obciążoną łańcuchem, i odparł:

— Troska przywiodła cię do mnie, dziecino? I ciebie, taką młodą, piękną, bogatą i dostojną, trawi ból ukryty? Przykrą wędrówką jest życie śmiertelnika na tym padole namiętności i zawodów.

— Rady pragnę od waszej świątobliwości, ojcze Wolframie, słowa pociechy i przebaczenia od waszych lat sędziwych. Wiem, że nie będziecie dla swojej Uty sędzią zbyt srogim.

Serdeczny uśmiech okrasił zwiędłe usta starca.

— Pan, co króluje w niebiosach — rzekł — jest sędzią stokroć pobłażliwszym od najsprawiedliwszego człowieka. Miej ufność w Bogu.

Wziął Judytę za rękę i poprowadził ją przed chatę. Tu usiadł na pniu ściętej sosny i oparł głowę na dłoni.

— Słucham cię, siostro w Chrystusie!

Judyta uklękła, tuląc się do starca.

Głosem przyciszonym spowiadała się ze swoich utrapień, mówiąc pustelnikowi wszystko, co jej serce dręczyło. Opowiedziała mu o opiece panów z Grimmingen i o klątwie, rozdzielającej ją od narzeczonego. Kiedy skończyła, utkwiła wzrok z bolesnem oczekiwaniem w zamyślonej twarzy Wolframa.

— Wy, ojcze świątobliwy, oczyszczeni z namiętności ludzkich, jesteście bliżsi Boga, aniżeli my, dzieci świata, skażone złością tej ziemi — mówiła. — Rozmawiając ciągle z Panem wszelkiego stworzenia, słyszycie lepiej Jego głos, napominający śmiertelnika w tajemniczym szumie drzew i w śpiewie ptasząt

Powiedzcie mi, ojcze, czy klątwa Kościoła jest klątwa Boga?

Przeraziwszy się zuchwalstwem własnej myśli, przeżegnała się szybko i uderzyła się w piersi.

— Moja wina, moja wina, moja wielka wina!— szeptała.—Wybaczcie, ojcze, grzeszną wątpliwość, ale szatan czyha na cierpienie człowieka.

Pustelnik, nie podnosząc głowy, ruszał bezzębnemi ustami, jakby coś przeżuwał. Po dłuższem milczeniu zaczął:

— Kościół jest najwyższym sędzią na ziemi, on bowiem jeden posiada środki i moc do poskromienia złości ludzkiej. Spojrz dokoła siebie. Co widzisz w rzeszy niemieckiej? Urzędnicy korony nadużywają władzy do swoich celów, książęta nie dotrzymują przysięgi królowi, rycerstwo książętom, mieszczanie walczą z biskupami, poddani zazdroszczą wolnym prawa noszenia miecza. Nikt nie jest zadowolony ze stanowiska, jakie mu Bóg na ziemi wyznaczył, i z mienia, odziedziczonego po przodkach. Świat się zestarzał, moja córko. Cnoty dawnych pokoleń: wierność, umiarkowanie i bojaźń Bożą strawiła rdza pychy i chciwości. Jedynem prawem stało się dobro osobiste, gardzące przysięgą i obowiązkiem. Książęta szanują i uznają tylko hojnego króla, rycerze służą tylko rozrzutnemu seniorowi. Zbrojno i dworno, jak na wojnę, ciągną kupcy po towary, straszeni ciągłemi napadami, a poddani świeckich panów, gnębieni nad miarę cierpliwości ludzkiej, uciekają pod opiekuńcze skrzydła klasztorów.

Pustelnik ustał, patrząc przed siebie wzrokiem szklistym. Po chwili ciągnął dalej:

— Słyszę, iż czwarty Henryk wstępuje w ślady swojego wielkiego ojca, odważny i stanowczy, jak nieboszczyk cesarz. Ale młody król nie da już rady rozkiełznanemu samolubstwu rycerstwa, zbyt długo bowiem była rzesza bez pana. Przywykli podczas małoletności ukoronowanego dziecka do swobo-

dy, nie zniosą książęta jarzma władzy najwyższej. Znam ich dobrze, tych pysznych wojewodów, palatynów i margrabiów, co chcą koniecznie zapomnieć, iż są tylko urzędnikami korony. Wieżą i mieczem musiał trzeci Henryk przypominać wassalom obowiązki. Upokorzeni dziś, podniosą jutro harde karki i będą je podnosili dopóty, dopóki nie zrzucą z siebie nienawistnego wędzidła. Każdemu z nich zachciewa się przywilejów monarszych, choćby kosztem całości rzeszy. A jeszcze gorzej dzieje się w innych krajach chrześciańskich. Mówią, iż Filip francuski rozbija sam po drogach, chciwszy od najdrapieżniejszego rabusia, a Rzymian i Lombardów zowie Ojciec święty bezbożniejszymi od żydów i pogan. Świat się zestarzał, moja córko, chyli się do upadku. Już go najsilniejsza ręka najdzielniejszego króla nie podźwignie z tego bagna bezprawia, w którem nurzają się wielcy i mali [1]).

Powtórnie zamilkł pustelnik, westchnąwszy ciężko.

Minął czas dłuższy, zanim nawiązał myśl przerwaną.

— Jeden tylko Kościół może wrócić cnocie jej dawną siłę, albowiem on jeden rozporządza środkami, które przerażają najzuchwalszych grzeszników. Komu on odmówi przebaczenia, tego odtrąci Bóg od swego łona; przed kim on zamknie bramy Królestwa niebieskiego, tego nie dopuści św. Piotr przed promieniste oblicze Pana świata. A któż chciałby gorzeć wiecznie w ogniach piekielnych?

Zaczerwienione powieki starca zaczęły drgać, jak u dziecka, zabierającego się do płaczu.

— Patrz na mnie—mówił głosem drżącym.— Na świecie nazywano mnie hrabią okręgu i służyła mi liczna drużyna. Jeździłem razem z twoim ojcem

---

[1]) Pisarze XI-go stulecia skarżą się na „starość świata.“

w orszaku pana cesarza, lśniący purpurą i drogiemi kamieniami. Jadałem na srebrze i złocie, sypiałem na jedwabiu. Ludzie zazdrościli mi urody, siły, waleczności i dostatku, a ja, zepsuty powodzeniem, wierzyłem, iż niema nademną prawa. Kupcom, przejeżdżającym podle moich zamków, zabierałem towary, poddanych przekłuwałem własnym oszczepem i szukałem chluby w uwodzeniu kobiet. Zapomniałem do tego stopnia o przykazaniach Bożych, iż podniosłem w chwili gwałtownej rękę na rodzonego brata i zadałem mu ranę śmiertelną.

Jego powieki drgały coraz szybciej, w źrenicach błysnęły łzy.

— Ale miłosierdzie Boże zatrzymało mnie w samą porę na drodze pochyłej. Przerażony groźbami spowiednika, kazałem z miecza, którym zabiłem brata, ukuć ten oto łańcuch (potrząsł łańcuchem, łączącym jego rękę z nogą), rzuciłem świat i poddałem się dobrowolnej pokucie, aby przebłagać Boga za pychę i rozpustę wielu lat nierozumnych. Długo miotałem się w pustelni, jak spętany jeleń, zanim moja krew wystygła. Szatan krążył bezustannie dokoła mojej kryjówki, kusząc mnie rozkoszami tej ziemi. Ból i rozpacz były mojemi towarzyszkami, buntując mnie przeciw Bogu. Ale miłosierny Ojciec pozwolił mi zwalczyć słabość ludzką, i dziś mogę już odejść w krainy wiecznego światła bez żalu za przemijającem szczęściem tego świata.

Hrabia Wolfram wyciągnął ręce do nieba i zawołał głosem tak silnym, iż Judyta spojrzała na niego zdumiona.

— Skróć moją pokutę, Panie nieba i ziemi, albowiem moja chora dusza pragnie się ogrzać w blasku Twojego oblicza. Ulituj się nademną! Ty wiesz najlepiej, iż wszystkie pożądliwości i próżności ziemskie zastygły we mnie już dawno, zgaszone łzami gorzkiemi.

Dwa strumienie łez ciekły po wychudłej twarzy starca, spływając na brodę. Jego piersią wstrząsało urywane łkanie.

Po jakimś czasie rzekł do Judyty:

— Czy rozumiesz teraz, dlaczego wyroki Kościoła są wyrokami Boga? Bez Kościoła stałaby się ziemia jedną wielką knieją, pełną drapieżnych zwierząt, pożerających się nawzajem. Zbyt słabe jest prawo świeckie, aby mogło okiełznać złość ludzką.

— Rozumiem, ojcze, na moje nieszczęście — odpowiedziała Judyta, ukrywając głowę w dłoniach.

— Na twoje nieszczęście?...

Uśmiech pogardliwy zawisł na ustach pustelnika.

— Ciebie nęcą jeszcze złudne rozkosze doczesne — mówił — ciebie przykuwa młodość, zdrowie i majątek do ziemi. Dla ciebie kwitnie jeszcze świat różami nieznanego szczęścia, które zasłaniają ci kolce grzechu. Dopóki nie przesycisz się słodyczami ciała, dopóty nie uwierzysz, iż łakniesz trucizny. Niemądrą bywa zawsze jesień, gdy chce przekonać wiosnę. Ale nie rozpaczaj, siostro w Chrystusie, albowiem Kościół nie pragnie śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył. Jako matka dobrotliwa, łaje on, gromi nawet czasami surowo, każdego jednak, choćby najzatwardzialszego bezbożnika, przygarnia, po odbytej pokucie, z miłością do litościwego łona. Jeśli się twój narzeczony ukorzy przed głową Kościoła i przyzna się do winy, wówczas zdejmie z niego Ojciec święty klątwę i kapłan połączy was przed ołtarzem.

Szybko podniosła Judyta głowę, dziękując pustelnikowi wzrokiem promiennym.

— Prawda-ż to, ojcze Wolframie? — zawołała radośnie.—Klątwa nie potępia na zawsze, może być cofniętą?

— Szczera pokuta maże grzech najcięższy,

— Jacy wy jesteście dobrzy, ojcze Wolframie! Wiedziałem, że nie będziecie sędzią zbyt surowym dla swojej Uty. Byliście dla mnie zawsze pobłażliwi. I prawda, że wolno mi myśleć o Bertoldzie bez narażenia się na gniew Boży, modlić się za niego?...

Spojrzała z prośbą na pustelnika.

— I widywać... go... czasami... zdaleka...—dodała z wahaniem.

— Jeśli twoje słowo pobożne skruszy jego pyszne serce, przebaczy ci Bóg obcowanie z wyklętym—rzekł pustelnik.

Judyta pochwyciła rękę starca, skrępowaną łańcuchem, i obsypała ją gorącemi pocałunkami.

— Moja udręczona dusza dziękuje wam za pociechę ojcowską. Tak się gniewu Boga lękałam... Będę Bertolda prosiła, aby się upokorzył przed Ojcem świętym, aby zrzucił z siebie wszelką pychę i uczynił, co Kościół nakazuje. Gdyby nie Grimmingenowie, byłabym juz pojechała do Meersburga, ale oni straszą mnie ciągle ogniem piekielnym i rozdzielili mnie nawet z matką Bertolda. Mówią, iż samo powietrze, którem wyklęty oddycha, zakaża duszę wiernego katolika.

— Grzesznicy bywają zawsze surowszymi sędziami cudzych błędów od mężów sprawiedliwych— odpowiedział hrabia Wolfram, gładząc pieszczotliwie włosy Judyty.—Niech cię groźby pana Wernera nie zatrważają, albowiem nieczyste jest źródło jego powolności dla Kościoła. Opieki zresztą Grimmingenów możesz się w każdej chwili pozbyć.

— Powiadają się moimi krewnymi—zauważyła Judyta.

— Nietylko nie byli nigdy twoimi krewnymi, lecz są nawet wassalami państwa hohenauskiego. Ojciec starego Wernera, poddany waszego domu, wziąwszy z łaski twojego dziada nasamprzód wolność, a następnie pas rycerski, otrzymał od niego zamek

Grimmingen, z warunkiem dostarczania na wyprawy wojenne dziesięciu mieczów.

— Radosną wiadomość słyszę z ust waszych— rzekła Judyta.

— Wiadomość tę potwierdzą ci pergaminy, które znajdziesz w skarbczyku kaplicy hohenauskiej. Tam chowali twój dziad i ojciec wszelkie dowody.

Rysy twarzy Judyty stały się znów ostre, jak wówczas, kiedy łajała Bertwinę. Na czole, pomiędzy brwiami, utworzyła się głęboka zmarszczka.

— I ten chłop, ten zuchwały wassal ośmielił się...—zawołała.

— Szatan pychy wciska się do twojego serduszka — przerwał jej pustelnik, wygładzając palcami fałdę nad jej nosem. — Niech duma nie marszczy twojego jasnego czoła, w takich bowiem zmarszczkach gnieżdżą się wszystkie grzechy główne. Grimmingenowie przestali być chłopami z chwilą, gdy im twój dziad pozwolił nie obcinać włosów, lecz choćby nosili dotąd ciemne, bezbarwne suknie i mieli głowy golone, nie wolno tobie, posłusznej córce Kościoła, gardzić nimi dlatego, że im Bóg wyznaczył na ziemi trud i poniewierkę. Kościół nie dzieli ludzi na wolnych i niewolnych, na panów i sługi. Przed obliczem Boga wszyscy są równi, a po jego prawicy zasiądą kiedyś nie możni tego świata, jeno sprawiedliwi.

Napomnienie Wolframa nie przekonało Judyty.

— I biskupstwa i klasztory mają poddanych— zauważyła nieśmiało.

— Bo i duchowni są tylko ludźmi skażonymi nieprawością ziemi—tłómaczył pustelnik—ale Kościół pracuje nad tem od lat tysiąca, aby samolubną duszę śmiertelnika oczyścić z błędów pogaństwa.

— Wierzycie, ojcze, iż nie będzie kiedyś poddanych, że chłop zrówna się z panem?—mówiła Judyta zdziwiona.—Któżby orał w polu, kto pasał bydło i służył rycerzom?

— I tobie dał Bóg takie same ręce, jak poddanym.

Judyta spojrzała na swoje białe dłonie

— Inne, ojcze — odrzekła z uśmiechem rozpieszczonego dziecka.

Pustelnik dostrzegł ten uśmiech niewierny, bo pokiwał głową, westchnąwszy.

— Najwymowniejsze słowa nie przekonają upartego w grzechu człowieka—mówił ze smutkiem—jedyne tylko cierpienie uczy go rozumieć głos Boga, który przypomina dzieciom tej ziemi ciągle, w każdej godzinie, śmierć wszystkiego, co żyje, nicość pychy doczesnej. Przeto nie będę zasępiał twoich młodych lat ponurem doświadczeniem wieku sędziwego, zapisz sobie jednakże głęboko w duszy, iż Kościół grozi karą wieczną bogaczom bez serca i panom bez litości. Bądź hojną dla ubogich, łaskawą dla słabych i pobłażliwą dla grzesznych, jeśli chcesz kiedyś, gdy, wysączywszy do dna kielich rozkoszy i goryczy tej ziemi, zapragniesz wiecznego spoczynku, doznać miłosierdzia Bożego. A teraz zostaw mnie mojej samotności, zbyt długo bowiem plamiłem duszę sprawami świata, z którym mnie już nic nie wiąże.

— Gniewacie się na mnie, ojcze?—mówiła Judyta, ocierając głowę o ramię pustelnika miękkim ruchem kotki.

— Na ciebie, dziecino? Jesteś, jak wszystkie córki świata twojego urodzenia i stanowiska. Nie do ciebie mam żal, lecz do ślepoty duszy ludzkiej, która nie chce widzieć drogi, prowadzącej do zbawienia. Pokój z tobą, siostro w Chrystusie. Gdyby ci znów kiedy jakie wątpliwości dokuczały, pamiętaj, że stary Wolfram nie odmówi nigdy rady i pociechy dziecku swojego przyjaciela.

Rzekłszy to, podniósł się hrabia i wyciągnął nad Judytą ręce.

— Odstąp od niej, szatanie, nie kuś jej młodego serca, przeklęty wrogu światłości—szepnął.

— Gdyby wam córka przyjaciela mogła czem służyć, byłaby bardzo szczęśliwa—mówiła Judyta.

Pustelnik wzruszył ramionami.

— Wody mam dosyć w ruczaju, jagód i korzonków za wiele w lesie, posłanie ścielą mi codziennie uschłe liście — odpowiedział. — Proszę cię tylko, ażebyś mnie nie kazała wypędzić z lasu.

— O, ojcze Wolframie. Wszystkie moje zamki otworzą przed waszą świątobliwością bramy uradowane. Powiedzcie, gdzie chcecie mieszkać.

— Na zamkach przebywa gwar grzechu, a tu otacza mnie cisza pokuty. Pokój z tobą.

Pustelnik przeżegnał dziewczynę i odszedł w las. Za nim skoczyła jego menażerya.

Z lekkiem sercem wracała Judyta do domu.

Słońce dobiegło już do połowy swojej dziennej wędrówki, ziejąc na bór takie żary, że ich nawet cień drzew nie łagodził. Powietrze, przesycone nadmiernie zapachem żywicy, stało się duszne, suche. Ptactwo zamilkło, schroniwszy się przed gorącem pod zielony dach gałęzi. Tylko muszki brzęczały i motyle pławiły się z rozkoszą w fali promiennej.

Konie, pokryte pianą, zwiesiły łby, znosząc cierpliwie kłucia bąków. Pachołkowie, zdjąwszy szyszaki, siedzieli ospale w siodłach.

Senność południa kładła się na przyrodę, ludzi zwierzęta. Kwiatki opuściły główki, wysokie trawy obwisły, jakby znużone, świerki i dęby stały bez ruchu.

Ale Judyta nie czuła ani gorąca, ani niewygody drogi. Niosło ją uspokojone sumienie.

Jak wszyscy przeciętni wierni jej czasu, ogarniała i ona tylko grubsze rysy nauki Chrystusowej. Do głębi etycznej i społecznej ewangelii, z której wypływał świat cały nowych pojęć i wyobrażeń, nie wnikała jej dusza na pół barbarzyńska.

Wiedziała ona i wierzyła, iż w niebie króluje

Bóg w Trójcy Świętej jedyny, wynagradzający po śmierci cnotę, a karzący grzechy. Wiedziała i wierzyła, iż można sobie wysłużyć światłość wiekuistą życiem bogobojnem, ścisłem wykonywaniem przepisów kościelnych, modlitwą i jałmużną.

Jej sumienie prawowiernej katoliczki straszyła głównie kara pozgonna. Ogni piekielnych lękała się z trwogą dziecka.

Ten strach zdjął z niej hrabia Wolfram słowem pobłażliwem. Już nie będzie gorzała w czeluściach piekielnych, choćby się zbliżyła do Bertolda. Będzie go prosiła, aby się poddał pokucie kościelnej, a ta prośba zmaże jej winę. Wszakże uczył tak Bogu miły pustelnik, uważany za świętego przez duchowieństwo całej okolicy. Pobożny mąż wie lepiej od tych zbogaconych chłopów z Grimmingen, co trzeba czynić, aby dostąpić zbawienia.

Ojciec Wolfram kazał jej być łagodną dla poddanych i hojną dla ubogich... Te cnoty nie sprawią jej żadnej trudności, miała je bowiem we krwi, odziedziczyła je po szeregu walecznych przodków. Uprzejmość i hojność należały do przednich obowiązków prawdziwego rycerza. Szlachetni panowie gardzili skąpstwem i karali surowo okrutników, znęcających się nad niedolą. Nie oszczędnością, lecz rozrzutnością chełpiły się wieki średnie.

Mało-ż kościołów postawili jej przodkowie, mało ż poddanych wyzwolili, nagradzając ich za wierną służbę wolnością? Znaczna część licznych dóbr klasztorów w Reichenau i w St. Gallen należała niegdyś do rodu jej i Bertolda.

Jeśli zbawienie zależy od hojności dla Kościoła i ubogich i od sprawiedliwości względem poddanych, może jej dusza czekać bez obawy na śmierć ciała. Jeszcze dziś pośle ona do St. Gallen nowy ornat, który wyhaftowała sama złotemi nićmi i przyozdobiła drogiemi kamieniami. Przyda nawet dwanaście sre-

brnych lichtarzów z prośbą, aby się pobożni ojcowie modlili za nawrócenie Bertolda.

Tak uspokojona, obrzuciła Judyta świat Boży wzrokiem weselszym. Drzewa wydały jej się zieleńsze, kwiaty barwniejsze. Już dawno nie czuła się tak swobodną.

Ten sam uśmiech rozpieszczonego dziecka, który zasmucił pustelnika, pojawił się na jej ustach.

— Jaki ten ojciec Wolfram dobry—myślała.— Chcialby przytulić wszystkich do kochającego serca, nawet poddanych stawia na równi z sobą.

— Tak nie można, święty mężu! — mówiła do siebie. — Na tej ziemi musi zawsze ktoś rozkazywać.

Jak Bertold, pochodziła i ona z ojca od owych pierwszych wodzów frankońskich, którzy prowadzili już w czwartem stuleciu swoje plemiona przeciw ówczesnym panom świata. Niejeden z jej przodków zginął od miecza rzymskiego.

Zwyciężywszy potężną Romę i Allemanów, rozlali się Frankowie po całem *imperium*, pokrywając ziemie zdobyte swojemi strażnicami. Okolice Konstancyi, ważne z powodu blizkiego sąsiedztwa z Italią, powierzyli królowie wiernemu oku protoplastów Bertolda i Judyty. Tu, wpośród Allemanów, siedzieli dawni naczelnicy plemion przez lat sześćset, nie zapomniawszy ani na chwilę, iż należeli do wielkiego narodu Franków [1]).

Praprawnuczka niezależnych wodzów, którzy zrzekli się dobrowolnie swojej udzielności dla dobra rzeszy, miała Judyta we krwi cześć dla porządku społecznego. Jakkolwiek sobie jej młodość nie zdawała jeszcze dokładnie sprawy z warunków życia

---

[1]) Szwabami nazywano w XI-em stuleciu dawnych Allemanów. Szwabia obejmowała dzisiejszą Wirtembergię, Bawaryę i Wschodnią Szwajcaryę. Frankonią nazywano dzisiejsze prowincye nadreńskie ze stolicą w Wormacyi.

doczesnego, tyle jednak wiedziała, raczej przeczuwała, iż w każdem większem zbiorowisku ludzkiem musi panować jakiś z góry określony ład, aby się całość nie rozpadła na drobne części. Ktoś rozumniejszy, silniejszy powinien rozkazywać, ktoś głupszy, słabszy —słuchać. Jej chłopi byli barbarzyńcami w porównaniu z nią. Przeto obowiązkiem ich—poddać się jej woli.

Dziwna wydawała się praprawnuczce wolnych panów frankońskich dobroć pustelnika, równająca wszystkich ludzi. Ojciec Wolfram, odwykłszy w swojej samotni od świata, stracił sąd o rzeczywistości. Rozmawiając ciągle z Bogiem, z niebem, stał się obcym na ziemi.

I dziwną wydawała się Judycie pobłażliwość świątobliwego męża dla Grimmingenów, bo nie same tylko cnoty wzięła dziedziczka po przodkach, którzy zawsze rozkazywali. Nie bez przyczyny ostrzegał ją pustelnik przed zmarszczką pomiędzy brwiami. Bruzdę tę żłobiła duma, dziecię gwałtu i samowoli.

I teraz ściągnęły się znów brwi pani z Hohenau.

Ten rycerz od wczoraj, ten wnuk chłopa jej dziada, śmiał ją, wolną panią, której przysługiwało prawo noszenia gronostajów, jak królowi, znieważyć miłosną pożądliwością, a ona miałaby mu zuchwalstwo przebaczyć. Takiej dobroci nie może od niej żądać nikt, nawet Kościół.

Tym razem nie przeraziła jej myśl buntownicza, była ona bowiem krzykiem jej temperamentu, nie odznaczającego się bynajmniej łagodnością.

— Burgrabio!—zawołała Judyta.

— Waszej Szlachetności podoba się? — odparł sługa, nadbiegłszy.

— Gdyby rycerz Werner z Grimmingen przybył do Hohenau, nie wpuścić go przez bramę bez mojego pozwolenia.

— Stanie się podług rozkazu.

— Załoga niech będzie dziś przez cały dzień pod bronią.

Wróciwszy do domu, udała się Judyta natychmiast do kaplicy zamkowej, gdzie kazała otworzyć skarbczyk, z którego wyjęła wszystkie pergaminy, zaopatrzone woskowemi pieczęciami.

Ochmistrzyni dziwiła się, że młoda pani, zapomniawszy o obiedzie, grzebała się w pożółkłych szpargałach z cierpliwością starego mnicha. Kilkakrotnie przypominała jej godzinę posiłku, lecz odbierała zawsze tę samą odpowiedź: później!

Osobliwe zajęcie pani drażniło ciekawość Bertwiny, daremnie jednak usiłowała zawiązać rozmowę.

— Nie przeszkadzajcie!—ofuknęła ją Judyta.

Słońce zaczęło się już zbliżać do szczytów Alp, kiedy się na bramie zamku odezwał róg stróża. Po chwili wszedł do komnaty Judyty burgrabia.

— Pan Werner z Grimmingen stoi pod mostem zwodzonym—oznajmił.

— Czy rycerz z Grimmingen przybywa sam?—zapytała Judyta.

— Towarzyszy mu tylko czterech pacholków.

— Wpuścić go na dziedziniec. Niech się cały mój dwór zbierze natychmiast w sali rycerskiej i ustawi w zwykłym porządku. Na dany znak wprowadzić rycerza z Grimmingen.

Z przestrachem spojrzała ochmistrzyni na panią.

— Co wasza szlachetność zamierza?—rzekła.—Moralność nakazuje witać opiekuna na progu pałacu.

Nie otrzymawszy od pani żadnej odpowiedzi, wybiegła Bertwina na dziedziniec.

Tu panował ruch niezwykły. Z domków wychodzili tłumnie uzbrojeni pachołkowie, rycerze kładli na siebie białe pasy, służba zbiła się w kupki, gawędząc półgłosem

Coby to było? Czy załoga rusza na wyprawę?

Zamiast jednak śpieszyć do stajen, utworzyli pachołkowie na rozkaz burgrabiego długi szpaler, sięgający do bramy.

Na końcu tego szpaleru ukazał się starzec w niebieskiej sukni i w płaszczu takiej samej barwy. Siedział na gniadym ogierze, który wyrzucał łbem, gryząc niecierpliwie wędzidło.

— A wy dokąd się wybieracie bez mojej wiedzy? — zawołał głosem potężnym, ujrzawszy załogę pod bronią.

— Dlaczego nie odpowiadacie, łajdaki? — krzyknął, gdy się nikt nie odezwał.

Chciał najechać koniem najbliższego pachołka, ecz ogier, uderzony kopią po żebrach, rzucił się tak gwałtownie w tył, że byłby go wysadził z siodła, gdyby się nie był uchwycił grzywy.

Szybko dobył miecza.

— Zachowujcie się przystojnie, Wernerze z Grimmingen — zawołał teraz burgrabia — jeśli wam stare kości miłe.

— Co to wszystko znaczy?—ryknął starzec.

— Zaraz się dowiecie, a tymczasem schowajcie miecz do pochwy, bo nasza pani nie lubi zwady na dziedzińcu.

Na schodach pałacu ukazał się podkomorzy i oznajmił głosem podniesionym:

— Wolna pani z Hohenau wzywa pana Wernera przed swoje oblicze.

Stary rycerz zatoczył dokoła wzrokiem zdumionym. Nie rozumiał, co się stało na zamku, który słuchał jeszcze wczoraj jego rozkazów. Widać było, że dobywa całej woli, aby zapanować nad gniewem. Żyły na czole nabiegły mu krwią, oczy skrzyły się, jak ślepie dzikiego zwierzęcia, wargi drżały.

Był on podobny do syna wzrostem i atletyczna

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

budową ciała. Mimo lat sędziwych, trzymał się krzepko na koniu i zsiadł bez pomocy z siodła. Długie lata poorały jego twarz zmarszczkami, ale ruchy miał jeszcze młode, sprężyste.

— Gdzie wasza pani? — zapytał głosem chrapliwym, w którym gotowała się wściekłość tłumiona.

— Nasza pani czeka na was w sali rycerskiej— odpowiedział podkomorzy.

— W rycerskiej?!

Coraz większe zdumienie malowało się w oczach pana Wernera, sala bowiem rycerska służyła tylko do obchodów uroczystych lub aktów znaczenia urzędowego.

W głębi czworobocznej sali, której ściany zdobiły różnobarwne tarcze, zbroje i stargane sztandary, spoczywała Judyta na krześle, ustawionem na podwyższeniu, zasłanem czerwonem suknem. Otaczał ją cały dwór hohenauski. Na nizkich zydlach siedzieli z obu stron pani: podkomorzy, stolnik, podczaszy i kapelan. Rycerze i wolni kmiecie utworzyli przed nim półkole.

— Co to znaczy, Judyto? — zawołał pan Werner z Grimmingen, wbiegając gwałtownym krokiem— dlacze...

Głos utkwił mu w gardle, bo oczy jego spotkały się ze wzrokiem tak chłodnym, iż byłby on nawet gorącą miłość zmroził.

— Wernerze z Grimmingen—odezwała się Judyta ze spokojem monarchy, przemawiającego z tronu — czas, abyś sobie przypomniał, że wassalowie składają w rzeszy niemieckiej hołd swoim dobrodziejom.

Słowa te zrobiły piorunujące wrażenie nietylko na rycerzu, lecz także na otoczeniu Judyty, nie wszyscy bowiem wiedzieli, jaki stosunek łączy zamek Grimmingen z panami z Hohenau.

Twarz starca pokryła się trupią bladością; nogi zadrżały pod nim.

— To kłam... stwo...—wykrztusił z trudem.

Judyta podniosła do góry pergamin, przy którym wisiała duża, czerwona pieczęć.

— Niewdzięczny sługo!—mówiła Judyta z tym samym, ciągle wzgardliwym spokojem.—Za dar wolności, za pas rycerski płacisz kłamstwem. Gdyby nie łaska mojego dziada, nosiłbyś dotąd na ręku pierścień poddanego.

Z wściekłością, jakby go chciał pożreć, wpatrywał się rycerz w dokument.

— To było dawno, bardzo dawno... — mówił, chwytając się za gardło.

Dusiło go upokorzenie wobec dworu Judyty.

— Jeszcze dawniejsze wiarołomstwa karze król szubienicą.

Na wspomnienie króla rzucił rycerz z podełba spojrzenie ściganego wilka.

A Judyta ciągnęła dalej:

— I ty, niewierny wassalu, ośmieliłeś się krępować wolę swojej seniorki, ty, synu moich poddanych, usiłowałeś we mnie wmówić, iż łączą cię ze mną węzły krwi, ty, podły kłamco, złodzieju, rozbijający po drogach, znieważałeś mnie pieszczotami opiekuna? Gdyby nie twoje siwe włosy, kazałabym cię wtrącić do najciemniejszego lochu wieży...

Wszystka krew buchnęła na twarz starca. Jego żyły na szyi i na czole napęczniały tak, iż zdawało się, że pękną.

— Przekleństwo!—warknął, rozrywajac suknię na piersiach—do rycerza mówicie...

— Do zdradzieckiego wassala mówię—zawołała Judyta, podnosząc się z krzesła.—Na kolana!

Stała wyprostowana, groźna, z ręką wyciągniętą, z błyskawicami gniewu w błyszczących oczach.

Rycerz rzucił się ku drzwiom, lecz miecz burgrabiego zagrodził mu drogę.

— Na kolana!—zahuczało w sali—złóżcie hołd seniorce!

Dziesięć silnych pięści schwyciło go za kark, zawlokło wnet przed Judytę i cisnęło pod stopnie krzesła.

— Wasza Szlachetność...—jęknął rycerz, pochylając się nad ręką, którą mu Judyta podała. — Nie chciałem was znieważyć...

— Nasza święta wiara i cnota rycerska nakazują słabszym przebaczać — mówiła Judyta głosem łagodniejszym.—Jeśli będziesz odtąd wiernym wasalem państwa hohenauskiego, przywrócę cię do łaski i przyjmę od ciebie chętnie radę życzliwą. Wrazie jednak, gdybyś mi chciał dalej narzucać swoją opiekę, przywołam na pomoc hrabiego palatyna. Możesz odejść! Pokój z tobą.

Rycerz, ucałowawszy rękę Judyty, oddalił się chwiejnym krokiem. Lecz na dziedzińcu szedł znów pewną stopą, niosąc głowę hardo.

Dopadł konia, skinął na swoich pachołków i opuścił zamek.

— Ten stracił na długo ochotę do wina hohenauskiego—mówił burgrabia do podczaszego.

Wtem świsnęło coś w powietrzu. Przed same schody domu padła żelazna rękawica, rzucona z drugiej strony muru.

— O, łotr!—zawołał burgrabia, podnosząc zwiastuna wojny. — Ładnie chce dochować przysięgi wasala.

A zwróciwszy się do załogi, rzekł:

— Chłopcy, trzeba teraz czuwać dzień i noc. Źleby nam poszło, gdyby się który z nas dostał w pazury tego rabusia. Oddałby nam z czubem za dzisiejsze widowisko.

V.

Ludno i gwarno było w tydzień potem na drogach, wiodących do zamku meersburskiego. Ze wszystkich stron, lądem i jeziorem, ciągnęły do rezydencyi Bertolda zbrojne poczty, gromady wolnych kmieci, rycerze z giermkami i piesi wędrowcy.

Dokoła wzgórza, które wieńczył gród cesarski, za krzakami, drzewami w parowach, wszędzie, gdzie można było z ukrycia być niedostrzeżonym świadkiem widowiska, stały kupy poddanych. Chociaż święto kościelne nie zwalniało chłopów od zwykłych zajęć, mimo to nie wezwały ich dziś rogi stróżów zamkowych do roboty w polu. Postykawszy głowy, szeptali, chichocząc zcicha.

A mieli się z czego śmiać.

Oto jechał wóz, zaprzężony w cztery woły, a posuwał się tak wolno, ostrożnie, jak gdyby nadmierny ciężar jego koła powstrzymywał. Ale wóz był pusty. Na środku tylko leżał jeden kłos żyta.

Z innej strony zbliżał się rycerz w bogatych sukniach. Otaczała go drużyna w białych płaszczach na zbroi, z grzebieniami z pawich piór na hełmach. Lecz on, pan świetnego orszaku, siedział na koniu bez kapy i nakrycia głowy, z czarną, starą łatą na jedwabnej, szkarłatnej pończosze prawej nogi.

Ścieżką, wijącą się po skałach, piął się pieszo pod górę drugi rycerz, który niósł pod pachą prosię. Zwierzę kwiczało, a on ciągnął je za ogon i przemawiał do niego pieszczotliwie.

Do brzegu jeziora przybił duży statek. Wysiadł z niego możny pan, bo towarzyszyło mu wielkie mnóstwo służby. Ów magnat wlókł za sobą sieć rybacką, napełnioną zielskiem.

Byli to lennicy państwa meersburskiego. Któryś z przodków Bertolda, senior wesołego usposobienia, obdarzając swoich wiernych, zasłużonych pachołków

wolnością i ziemią, przydał do zwykłych obowiązków dóbr feodalnych, gwoli własnej zabawie, takie śmieszne powinności. Od owego czasu ułożyło się już kilka pokoleń do snu wiecznego, niejeden z wyzwolonych poddanych zbogacił się wojną, łupem lub rządnością, niejeden stał się sam seniorem w stosunku do innych, uboższych rycerzów; kaprys jednak twórcy ich rodu nie stracił nic na sile pierwotnej. Składając hołd potomkom swoich dawnych panów, wykonywali lennicy bez oporu ciężące na nich dziwactwa.

Bertold, który nie był od lat kilku w Meersburgu, wezwał na dzień dzisiejszy „młodszych" [1]) swojego domu, aby dali odnowieniem hołdu świadectwo zależności do państwa meersburskiego; wassalowie bowiem, nie trzymani w karbach przez seniorów, zapominali już w drugiej połowie jedenastego stulecia bardzo chętnie o zobowiązaniach, zaciągniętych przez ich przodków względem dobrodziejów.

Szli wszyscy, zblizka i zdaleka, z tej i z tamtej strony jeziora, szli, jak im nakazywała tradycya, jedni pieszo, samotnie, drudzy dworno, buńczucznie, z rozwiniętemi proporcami, z muzyką i śpiewem. Nikt nie ośmielił się oprzeć rozkazowi seniora, bo ten senior, z łaski króla najmożniejszy pan w okręgu Konstancyi, mógł zmusić nieposłusznych siłą do powolności. Wszakże zburzył temu lat pięć, kiedy odwiedził strony rodzinne, zamek jednego z najbogatszych wassalów, który, ufając złotu, nie dostawił na wyprawę wojenną do obozu króla przepisanej ilości mieczów. I lenno mu odebrał, i jego samego oddał pod sąd palatyna.

Nie sami tylko „młodsi" domu ciągnęli na zamek meersburski.

---

[1]) „Młodszych" *(juniores)* nazywano wassalów w przeciwstawieniu do „starszych" *(seniores)*, do panów.

Od strony Konstancyi zbliżał się około południa liczny hufiec, oznajmiający zdaleka świetną oprawą wielkiego pana. Zbroje rycerzów i pachołków lśniły złoconemi sprzączkami, zielone płaszcze z cienkiej tkaniny mieniły się w słońcu. Na szyszakach powiewały zielone, niebieskie i czerwone pióra, jedwabne proporce z białym pastorałem w zielonem polu zdobiły kopie.

Przodem tej błyskotliwej drużyny jechał konno mąż w sile wieku, w fioletowej sukni, obramowanej futrem sobolowem, z dużym, złotym krzyżem na piersiach.

Był to biskup Otton, przeciwnik Grzegorza VII, zacięty wróg wszystkich rozporządzeń, pochodzących z Rzymu.

I opat z St. Gallen, i hrabia okręgu, i wielu innych panów śpieszyło do Meersburga, aby powitać doradcę króla w jego gnieździe rodzinnem.

Co chwila rozlegał się na wieży róg stróża i brama otwierała się przed nowym gościem.

Gospodarz, który zwolnił na dzień dzisiejszy wszystkich swoich poddanych od pracy, przyjmował na schodach przed domem łaskawych sąsiadów słowem uprzejmem i pocałunkiem.

W sali rycerskiej zebrali się tymczasem lennicy i wolni kmiecie państwa meersburskiego. Pierwsi stanęli po lewej, drudzy po prawej stronie.

Zewsząd spoglądały na zbrojnych mężów sceny, miłe ich oku. Pracowite ręce niewieście wydzierzgały na ogromnych kobiercach, które, rozwieszone na sztalugach wzdłuż ścian, zdobiły salę, bitwy, polowania i walki zwierzęce. Tu potykał się rycerz ze smokiem, owiany dymem i ogniem, buchającym z paszczy potwora; tam opadły ogary dzika, goniły jelenia, zagryzały lisa.

Skraje kobierców obciążało mnóstwo małych srebrnych dzwonków.

Któryś z kmieci dotknął końcem miecza jednego z nich. To samo uczyniło kilku innych. Zagrały wszystkie, co wywołało śmiech pusty. Tak bawią się dzieci natury, gdy ujrzą nieznaną błyskotkę.

Nie wszyscy z obecnych widzieli takie kosztowne ozdoby ścienne, dostępne tylko dla bogaczów. Bertold przywiózł owe kobierce z Wormacyi, gdzie je nabył od kupców arabskich.

W sali było duszno. Zapach lawendy, róż i fiołków, rozesłanych grubą warstwą na marmurowej posadzce, drażnił powonienie i płuca ludzi, przywykłych do świeżego powietrza pól i lasów.

Ktoś z zebranych kichnął. Ten i ów ocierał pot z czoła, poprawiając na sobie napierśnik. Wszyscy byliby zdjęli z siebie z przyjemnością ciężkie blachy, gdyby nie obyczaj, który nakazywał lennikom stawać przed obliczem seniora w zbroi.

Nareszcie otworzyły się w ścianie, przeciwległej wejściu, małe drzwi i pośród „młodszych“ swojego domu ukazał się Bertold.

— *Heil hero, Heil Liebo!* — krzyknęli kmiecie i rycerze.

Bertold skłonił się i zasiadł na krześle, ustawionem na podwyższeniu.

W sali nastała taka cisza, iż było słychać wyraźnie brzęk muszek, unoszących się nad kwiatami. Zbrojni mężowie powstrzymali oddech, zwróciwszy oczy na pana.

Bertold wodził w milczeniu wzrokiem po zgromadzonych, jakby obliczał, czy się wszyscy stawili.

Teraz podniósł rękę.

Na dany znak odczepił się od szeregu rycerzów ten, który wlókł za sobą sieć, napełnioną zielskiem. Podszedł do krzesła, przyklęknął i złożył u stóp pana osobliwą daninę.

Rycerz z prosięciem biegł w podskokach, cią-

gnął rozkwiczone zwierzę za ogon, lennik z kłosem żyta postępował wolno, zgięty wpół, jakby się załamywał pod wielkim ciężarem, „młodszy,“ którego szkarłatną pończochę szpeciła czarna łata, udawał kulawego.

I był jeszcze taki, co świecił obnażonem biodrem, i taki, co trąbił na pięści, i taki, co zbliżając się do krzesła pana, robił dwa kroki naprzód, a jeden w tył.

Cały ten szczególnego rodzaju hołd, wymyślony w chwili dobrego humoru przez butnego pana, odbywał się wśród głębokiego milczenia zgromadzonych. Usta Bertolda, złożone surowo, nie zadrgały ani razu swawolnym uśmiechem. Odbierał on daninę z powagą, wręczając każdemu rycerowi, po dokonanem upokorzeniu, garść ziemi.

Tylko twarze kmieci rozjaśniały od czasu do czasu odbłyski tłumionego wesela.

Ci ludzie ubodzy, którzy przybyli na zamek meersburski w wytartych kubrakach, w starych, połatanych napierśnikach, pamiętających przeszłe stulecie, i w grubych butach z surowej skóry, bawili się szczerze hołdem rycerstwa. Ich, potomków wolnych towarzyszów pierwszego słynnego protoplasty Bertolda, łączyła z nim tylko tradycya. Przodkowie ich bili niegdyś pod wodzą jego przodka Rzymian i Allemanów i przybyli z nim razem nad jezioro Bodeńskie. Naczelnik plemienia rozdzielił wprawdzie pomiędzy swoich żołnierzy część ziemi, wziętej z rąk króla, lecz darowizna ta była dziedziczna, alodyalna, nie obciążona żadnemi obowiązkami względem seniora. Jak wolny pan [1]), tak przysięgali i oni, wolni kmiecie, tylko na wierność głowie całej rzeszy. Żaden wojewoda, biskup, margrabia lub opat nie miał władzy nad nimi. Służyli państwu zbrojno

[1]) Wolny pan=dynasta.

i rządzili pospołu ze swoimi wodzami krajem podbitym.

Lecz stosunki zmieniły się od pewnego czasu. Między nich a panów wcisnął się nowy stan, składający się przeważnie z wyzwolonych poddanych. Rycerze, wyrastający gromadnie z niewolnej służby, z pachołków i giermków, spychali wśród ogólnego zamętu społecznego, jaki panował od początku jedenastego stulecia w Europie zachodniej, powoli kmieci z zajętego od wieków stanowiska. Wczorajszy chłop, przyozdobiony białym pasem, wzniósłszy do nowego zakresu działalności sprężystość i wytrwałość świeżej rasy, i chciwość dorobkiewicza, bogacił się i szedł szybko w górę, nie przebierając w środkach. Niejeden z wojewodów i hrabiów mógł wskazać zaledwo dwóch lub trzech wolnych przodków. Stary porządek, zbudowany przez Franków, chwiał się, jak sędziwy dom, nad którym szalały nieustanne burze.

Ciemni kmiecie nie zdawali sobie sprawy z przewrotu społecznego, który zbliżał się wielkiemi krokami, czuli tylko, że dokoła nich dzieje się coś groźnego, co wstrząśnie podwaliną ich bytu i swobód. Przeto spoglądali okiem zawistnem na wzmagającą się siłę rycerstwa i cieszyli się żywym obrazem ich zależności. Rozweselał ich widok wyzwoleńców, błyszczących jedwabiem i złotem, a zmuszonych mimo bogactwa, do śmiesznego hołdu i, gdyby nie obecność pana, nie omieszkaliby się zabawić kosztem „młodszych“ domu meersburskiego.

Ostatni lennik podniósł się z kolan, obdarzony przez seniora garścią ziemi na znak, iż wolno mu nadal korzystać z dóbr feodalnych.

Po skończonym obrzędzie zwrócił się Bertold do kmieci i rzekł:

— W imieniu naszego pana, króla Henryka, dziękuję wam, przyjaciele mojego rodu, za liczny udział w wyprawie przeciw Sasom. Jeśli który z was

potrzebuje czego od sprawiedliwości monarchy, niech wystąpi, a ja złożę chętnie jego prośbę u stóp tronu, łaskawego zawsze na potomków pierwszych zdobywców Allemanii.

Kmiecie spojrzeli po sobie, porozumiewając się oczami. Na czele ich szeregu stał mąż, którego mnogie lata nagięły do ziemi. Oparty na grubej lasce, prostował się daremnie. Głowa, trzęsąca się na cienkiej, wychudłej szyi, opadała na piersi. Porosły cały siwym włosem, który pokrył mu ręce i twarz, wyglądał jak pień omszony.

— Może przemówisz ty w imieniu gromady, ojcze Wernerze — rzekł Bertold do niego.—Nie obcą jest mowa zwięzła i rozważna mężowi, który służył siołu przez całe życie, jako ławnik w sądzie hrabiego.

Stary ławnik zastukał kijem i posunął się wolno ku panu. Nogi drżały pod nim, głowa ruszała się ciągle, jakby wisiała na nitce.

Szybko podniósł się Bertold i, ująwszy kmiecia za ręce, zaprowadził go na swoje miejsce.

— Spocznij, ojcze Wernerze — zapraszał.—Nie twoim wysłużonym nogom stać jeszcze przed młodzieńcem.

A kiedy się staruszek wzbraniał, posadził go sam na krześle.

Szmer zadowolenia dziękował mu za uprzejmość. Oczy kmieci śledziły jego ruchy z życzliwością i przyjaźnią.

— Może jaki złośliwy sąsiad znieważył twoje siwe włosy — poddawał Bertold starcowi.—Mów bez obawy, ojcze Wernerze, abym mógł krzywdę twoją pomścić.

Zamiast odpowiedzi, wodził ławnik tępym wzrokiem po Bertoldzie.

— Zdjęliście skórę ze swojego dziada, młody panie — zaczął po dłuższem milczeniu. — Jakbym na

niego patrzył, kiedy szliśmy obaj na Węgry, na tych dzikich rabusiów, co to...

Ustał, pocierając czoło. Wątek pamięci rwał się w starym mózgu.

— Aha, tak—odezwał się znów.—Tylko wasz dziad był słuszniejszy... Tura wyprowadzał za rogi z kniei... Oho... O czem to mówiłem?... Prawda... Polowaliśmy zawsze razem, a ładne dziewczęta to pomykały przed nami niby sarenki. He, he, nie darowaliśmy żadnej buziaka... Udawały, że się drożą...

Oparł głowę na dłoni, uśmiechając się do wspomnień młodości.

— One wszystkie takie...

— O czem to mówiłem? — ciągnął po chwili dalej, oglądając się, jakby się ze snu przebudził.—Aha... Pytaliście, czy jaki złośliwy sąsiad nie znieważył moich siwych włosów? Kto mnie już dziś może znieważyć, skrzywdzić? Najsrożej krzywdzi mnie starość, bo ssie ze mnie resztki sił i czyni mnie pośmiewiskiem mocnych.

Starowina pokiwał głową.

— Już mi jadło nie smakuje i polowanie mnie nie bawi. Czas zawieźć mnichom kilka korcy jęczmienia, aby wskazali staremu drogę, prowadzącą do Królestwa Niebieskiego. Mnie nie pytajcie o krzywdy, szlachetny panie. Oni (wskazał laską na młodszych kmieci) powiedzą wam, jak nowi ludzie gnębią wolnych przyjaciół waszego domu.

— Prawdaż to? — zapytał Bertold. — Mówcie! Sprawiedliwość będzie każdemu wymierzona. Dla naszego pana, króla Henryka, niema możnych i ubogich. Im wyższy zbrodniarz, tem wyższą stawiamy dla niego szubienicę.

Z grona kmieci wystąpił jeden z młodszych. Objąwszy Bertolda za kolana, rzekł:

— Doradca królewski zna lepiej od nas prostych ludzi, pychę rycerstwa, które wynosi się już

nawet ponad wolnych panów. Doradca królewski wie, że każdy rycerz pragnie posiąść jak najwięcej ziemi, aby rozszerzyć swoją władzę i pomnożyć drużynę. Nie dość tym nowym panom siół i zamków, które trzymają z łaski seniorów. Słabszego sąsiada straszą dzień i noc napadami, usiłując go zmusić w ten sposób do hołdu. Gdy który z nich piastuje urząd królewski, przeciąża rozmyślnie uboższego podatkami i karami. Wolny kmieć lub podupadły wolny pan, znużony ciągłem prześladowaniem, zrzeka się w końcu dla spokoju prastarych przywilejów i służy wnukom swoich byłych poddanych. Dawny obyczaj nakazuje mojej zagrodzie dostarczać na wojnę jednego pieszego pachołka, uzbrojonego w łuk i oszczep, ale hrabia okręgu, w którego dobra wrzynają się moje łąki klinem, domaga się odemnie dwóch konnych szermierzów. Zkąd ja wezmę dwie pełne zbroje i dwa konie bojowe, kiedy nie mam nawet sam dla siebie porządnego napierśnika i wierzchowca? Hrabia wie o tem bardzo dobrze i właśnie dlatego nasyła mi swojego wikaryusza i grozi sprzedażą ojcowizny. Hrabia chce, abym mu oddał dobrowolnie zagrodę, odziedziczoną po przodkach, i przyjął ją z jego rąk jako lenno jego domu. Każdy z tych nowych ludzi pragnie być koniecznie możnym seniorem kosztem słabszych sąsiadów. I jeśli mnie wasza potęga, szlachetny panie, nie zastawi przed chciwością hrabiego, będę musiał uledz jego sile, jak to uczyniło już przedemną wielu wolnych panów i kmieci. Wy, panie, którego łączą z nami wspólna krew i wspólne podania, brońcie nas w radzie królewskiej przed uroszczeniami rycerstwa, bo gdy my, podwalina rzeszy niemieckiej, pójdziemy w niewolę byłych chłopów, zgaśnie blask korony frankońskiej. Ci nowi ludzie kochają tylko swoje dobro, nic bowiem nie łączy ich ze sławną przeszłością naszych prodków.

Zdziwiony spojrzał Bertold na kmiecia.

— Słyszę głos męża — rzekł—którego młodość nie ubiegła wśród zwykłych zajęć ubogiego kmiecia. Kto ciebie nauczył mowy tak rozważnej?

— Matka złożyła mnie kiedyś dziecięciem na ołtarzu — odpowiedział kmieć — i poświęciła służbie Bożej. Ale duszne powietrze klasztoru reichenauskiego nie służyło moim płucom, przywykłym do szerokiego oddechu gór i lasów. Ukończywszy szkołę zewnętrzną pobożnych ojców, wróciłem do zagrody, do sochy i miecza.

— Domyślałem się tego — mówił Bertold.—Ponieważ, jako wychowaniec klasztoru, znasz tajemnice pisma, zestawisz dla mnie na pergaminie, którego ci dostarczy mój dyktator [1]), wszystkie nadużycia urzędników królewskich waszego okręgu, a ja przedłożę krzywdy ubogich naszemu panu. Możesz być spokojny o swoje dziedzictwo, jak tylko bowiem załatwi się król z Sasami, przywrócimy w rzeszy dawny porządek.

A podniósłszy głos, odezwał się do wszystkich obecnych:

— Wam, prastarym przyjaciołom mojego rodu (spojrzał na kmieci), i wam, młodszym mojego państwa (mówił do rycerz), niech będzie wiadomo, iż z rozkazu naszego pana, króla Henryka, wyrusza w październiku nowa wyprawa przeciw Sasom. Ktobykolwiek z moich lenników nie stawił się w końcu września w miejscu zbornem pod Gerstungen, z przepisaną ilością pachołków—straci nietylko dobra, trzymane z łaski moich przodków, lecz także prawo do noszenia białego pasa. Ciężkie czasy wymagają ciężkich kar. A teraz rozbierzcie się ze zbroi, abyście mogli zasiąść do biesiady i zapomnieć przy dzbanie o troskach dnia powszedniego.

---

[1]) Wikaryusz = zastępca hrabiego; szkoła zewnętrzna klasztorów=szkoła, w której uczono świeckich i kandydatów do stanu duchownego; dyktator *(dictator)*=pisarz, sekretarz.

Na dziedzińcu zamkowym, pod zachodnią ścianą pałacu, złożyła służba czworobok z mnóstwa zwyczajnych stołów, zbitych z desek sosnowych, które spoczywały na kozłach. Nad tą letnią salą jadalną rozpięto płótna, przymocowane do drągów, wkopanych w ziemię.

Cały rój chłopców, wolnych i niewolnych, kręcił się pomiędzy stołami. Jedni wygładzali białe obrusy z płótna angielskiego, ozdobione barwnemi szlakami, drudzy ustawiali cynowe naczynia, kładąc obok każdego z nich serwetę, duży kawał chleba, nóż i łyżkę, inni znosili solniczki, dzbany z wodą i olbrzymie widelce, które służyły do przenoszenia mięsa z półmisków na talerze [1]).

Stół pod ścianą pałacu, miejsce gospodarza i jego gości utytułowanych, nakrył sam stolnik jedwabnym obrusem. Wszystkie naczynia były tu srebrne. Tylko dla panów przysunięto zydle. Dla reszty biesiadników przeznaczono ławy bez poręczy.

Na dziedzińcu panował ciągły ruch.

Chłopcy biegali po schodach z domu do mieszkania urzędników dworskich i napowrót. Dziewki czerpały wodę z cysterny kułakując pachołków, którzy im przeszkadzali w robocie, od czasu do czasu wylatywał z podziemi zaperzony kuchcik i wrzeszczał jak opętany:

— Podawajcie prędzej! Ażeby was Hunnowie pożarli!

Wszystko śpieszyło się, biegło, klęło, popychało się, waliło po karku, po łbie, gdzie kto trafił, a całą tę rozhukaną zgraję prowadził potężny głos stolnika, który pomagał sobie pięścią, gdy rozkaz nie skutkował.

— Śpieszcie się, niedołęgi! — krzyczał naczelnik

---

[1]) Dzisiejszego użytku widelców nie znano jeszcze w XI wieku.

kuchni i śpiżarni. — Goście głodni, a wy marudzicie, jakby już było po obiedzie.

Służba nie marudziła. Pot spływał strumieniami z czoła dziewek i pachołków, a stolnik łajał bezustannie.

Podszedł do okienka kuchni.

— Czy będziecie gotowi do jutra rana?—wrzasnął.—Wam cielęta paść, nie karmić wielkich panów.

W otworze ukazała się zaczerwieniona od ognia twarz głównego kucharza.

— A wam kury sadzić i pierze drzeć. Patrzcie go, jaki mi chybki! Zamiast pyskować po próżnicy na świeżem powietrzu, zejdźcie-no do tego piekła i postójcie z godzinę przy piecu, a odechce się wam krzyku. Rozedrzeć się nie mogę i dmuchać sam w ogień. Za pół godziny możecie zabeczeć na rogu, a teraz nie przeszkadzajcie, jeżeli nie chcecie, bym wam zalał ślepie sosem pieprzowym.

Na taką groźbę kucharza odskoczył stolnik wystraszony od okienka. Kto go tam wie, parzygnata! Mógłby bryzgnąć ostrym wywarem w oczy, a wówczas miałby się on, kierownik biesiady, zpyszna. Zamiast pełnić służbę, musiałby lecieć do lasu po zioła.

— Żeby ci osy język podziurawiły, jak rzeszoto, łapikuro!—krzyknął stolnik, ale zdaleka.

— Prosimy bliżej—śmiał się kucharz, wywijając warząchwią. Pod namiotem z płótna szkarłatnego było już wszystko w porządku. Wyczyszczone naczynia lśniły, jak nowe. Chłopcy opletli drągi wieńcami z zieleni i rozrzucili na ziemi kilka koszów róż, goździków, lawendy.

Jak wódz doświadczony, zanim da znak do boju, przebiega jeszcze raz szeregi wojska, tak obchodził stolnik czworobok dokoła, badając nakrycia okiem znawcy. Nie brakowało ani jednego. Stu mężów, panów, rycerz i wolnych kmieci miało zasiąść

do biesiady pod namiotem. Dla zbrojnej ich służby zastawiono stoły wzdłuż murów.

Aby zaś każdy wiedział, gdzie ma spocząć, trzeba było oznaczyć miejsca.

— Proporce!—krzyknął stolnik na chłopców.

Wnet przyniesiono mu kopje rycerzy, u których wisiały długie, szerokie, jedwabne, różnobarwne wstęgi, zaopatrzone osobliwemi znakami. Były tam smoki w polu czerwonem, żółtem, niebieskiem i czarnem, z paszczą rozwartą i zamkniętą, z ogonem podniesionym i opuszczonym, ze skrzydłami i bez nich, były lwy w najrozmaitszych postawach, jelenie, wilki, lisy, ptaki wszelakie, płazy; były podkowy, miecze, kosy i krzyże.

Stolnik rozpoznawał znaki gości i zatykał kopje w ziemi w tem miejscu, gdzie właściciel ich miał siedzieć według urzędu lub wieku. Gdy kończył zmudną robotę, nadbiegł z kuchni pachołek z wiadomością, że obiad gotów.

Jeszcze raz rzucił stolnik okiem na dzieło swoje i przyłożył róg do ust. Przeciągły dźwięk okrążył dziedziniec, odbijając się od murów. Zewsząd, ze wszystkich domów i domków wyroiła się czereda chłopców, którzy pędzili galopem. Mieli oni na sobie krótkie sukienki, spięte pasem, długie pończochy i płytkie trzewiki. Część ich należała do służby Bertolda, inni przybyli ze swoimi panami.

— Tylko ostrożnie, bezecne pasikoniki! —napominał stolnik. — Niech mi który upuści półmisek, to mu poskakam. Figielków zachciewa się smarkaczom, koziołków! A za uszy nie łaska? Głowa do góry, brzuch naprzód i jazda do kuchni!

Z powagą dygnitarza sunął stolnik do królestwa kuchmistrza, a za nim podreptała swawolna gromada, chichocząc i częstując się kułakami.

Po jakimś czasie ukazał się znów stolnik na dziedzińcu. Szedł z namaszczeniem i oglądał się cią-

gle po za siebie, bo z kuchni wychodzili chłopcy, dźwigający olbrzymie półmiski.

— Niech mi tylko który... Ostrożnie... Ja wam poskakam, kręciszyje...—zrzędził.

„Kręciszyje“ pilnowały się same. Z uwagi i wysiłku aż im oczy na wierzch wyłaziły, ale drobne ręce trzymały krzepko znaczny ciężar.

Gdy z piwnicy nadszedł podczaszy, który prowadził drobny oddział wyrostków, obarczonych dzbanami, zadął stolnik po raz wtóry w róg.

— Baczność! — zawołał, ściągnąwszy groźnie brwi.

Trzeciemu sygnałowi odpowiedział z ganku brzęk ostróg i mieczów.

Parami wychodzili goście Bertolda z pałacu. Przodem szedł gospodarz z biskupem Ottonem, dalej palatyn Ulryk z opatem santgalskim, hrabia okręgu ze swoim wikaryuszem i długi szereg rycerzy i kmieci. Wszyscy zdjęli z siebie szyszaki, napierśniki, ciężkie buty i włożyli miękkie suknie, sięgające aż do kostek, i lekkie trzewiki; wszyscy mieli na sobie płaszcze bez rękawów, spięte na prawem ramieniu. Gdyby nie wąsy i broda, nie różniliby się zewnętrznie niczem od niewiast.

Trębacze biskupa Ottona zagrali na rogach z kości słoniowej fanfarę. Jak spłoszone ptactwo, wzbiły się jasne, wesołe dźwięki po nad mury zamkowe i rozpierzchły się szeroko wokoło, padając na modrą szybę jeziora. Chciwym ruchem chwytała je liczna zgraja poddanych i żebraków, wyczekujących pod bramą, fanfara bowiem zwiastowała im początek biesiady, której resztki szły zwykle dla ubogich.

Już stanęli goście, każdy obok swojego proporca. Teraz zbliżyli się chłopcy z miednicami i ręcznikami i podawali je kolejno, klęcząc, naprzód panom, potem rycerzom i kmieciom.

Gdy wszyscy umyli ręce, przeżegnał biskup Ot-

ton stoły i wygłosił krótkie błogosławieństwo po łacinie:

— *Domine, Jesu Christe, Filii Dei vivi*—mówił wśród nabożnego milczenia — *qui es verus et immaculatus Agnus, quique immaculatus in ara crucis oblatus peccata mundi delesti, et nos in tuum ovile reportasti: has carnes, quas ad usus hominum creasti, bene dicere et sanctificare digneris, ut omnes ex eis sumentes...*

Drugą połowę błogosławieństwa dokończył szeptem.

Po raz wtóry rozbrzmiała fanfara. Goście, zdjąwszy płaszcze, zajęli swoje miejsca.

Na boku, przy osobnym stole, siedziała gromadka komedyantów i grajków. Wędrując od sioła do sioła, od miasta do miasta, zjawiali się oni wszędzie, gdzie odbywało się większe zebranie. Witano chętnie ich pieśni i sztuki, chociaż przesąd czasu odmawiał im samym czci i praw wolnych ludzi. Wzgardzeni nawet przez poddanych, zarabiali w upokorzeniu na gorzki, jakkolwiek czasami bardzo spory kawałek chleba.

Stolnik skinął długą laską, oznaką swojej godności na dziatwę Apollina.

Zapiszczały flety, zarzępoliły basy, zagrały skrzypce. Duży drab, podobny do zbója, huknął w bęben.

Wśród dźwięków krzykliwej muzyki zabrali się goście do przekąski, składającej się z wiśni, chleba i młodego wina.

Tymczasem roznosili jedni chłopcy na półmiskach pieczone prosięta, króliki i dzikie kaczki, inni napełniali puhary winem meersburskiem, cenionem w całej rzeszy niemieckiej.

Milcząc zaspokajali mężowie pierwszy głód. Rycerze i kmiecie jedli z taką łapczywością, iż było słychać chrzęst poruszających się szczęk. Biorąc z półmisków pocięte przez służbę kawały mięsa, maczali je w sosie pieprzowym, aby podniecić pragnie-

nie. Tyle beczułek i worków omszonych czekało na ich gardła...

— Pierwszy toast wnoszę—odezwał się Bertold— na cześć naszego pana, czwartego Henryka i na szczęśliwe ukończenie zatargu z Sasami. Niech żyje król Henryk i przesławna rzesza niemiecka!

— Niech żyje! — huknęło sto głosów. — Niech żyje! — zagrała fanfara.—Niech żyje!—wtórowała panom służba.

Konie w stajniach, zdziwione niezwykłą wrzawą, zarżały, psy zaczęły ujadać, drób odezwał się w kurnikach.

I znów rzępoliły basy, huczał bęben, śpiewały skrzypce.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu i wypiciu pierwszego puhara, zrobiło się pod namiotem gwarniej. Sąsiad otarłszy ręce o serwetę, przysunął się do sąsiada.

— Mam nadzieję, że obrzydzimy w październiku Sasom ostatecznie ich ciągłe bunty — mówił biskup Otton do Bertolda — od kilku lat nie można swobodnie odetchnąć. Zaledwie wróciło się z jednej wyprawy, trzeba się gotować do drugiej. Czas uładzić się z tą hołotą, bo zdaje mi się, że nasze miecze będą wkrótce potrzebne po drugiej stronie Alp.

— Sądzicie, iż Hildebrand?...—spytał Bertold.

— Wiem napewno, że biskup rzymski knuje zamach na majestat korony niemieckiej. Co zamierza, nie mogłem jeszcze dociec, tyle tylko dowiedziałem się od biskupów lombardzkich, iż postanowił zwołać w początkach przyszłego roku synod powszechny.

— Nic nam nie zrobi—wtrącił Ulryk z Godesheimu:—Jesteśmy zbyt silni, zwłaszcza teraz po zwycięztwie nad Sasami.

— A jednak radziłbym wam porozumieć się w Lombardyi z arcybiskupem Rawenny — odparł bi-

skup. — To pan mądry i królowi szczerze oddany. Kiedy jedziecie?

— Opuszczam jutro wasze niegościnne strony— rzekł palatyn.

— Dlaczego niegościnne? Wina, chleba i serc otwartych dla gościa nie brak u nas.

— Ale wasze niewiasty unikają przyjaciół króla.

— Rozumiem i właśnie dlatego radziłbym wam dowiedzieć się w Rawennie o knowaniach Hildebranda. Nie same tylko niewiasty są nam krzywe. I niejednemu z hrabiów i rycerzy, których miecze bardzoby nam się przydały, przewracają mnichy w głowie. Nie wasi—zwrócił się biskup do opata santgalskiego — ale ci nowi, reformowani, jak się sami nazywają, co chcą być cnotliwsi i pobożniejsi od świętych. Mówią, że Hugon kluniacki puszcza swoją wychudłą od postów i nocnych modlitw sforę na Niemcy. Niech nas św. Bonifacy broni przed tymi gorliwcami. Niewiasty lgną do wszystkiego, co dziwne, niezwykłe, a z białogłowami trudna wojna. Od strony Rzymu ciągnie na północ burza groźniejsza, aniżeli się zdaje tym, co znają usposobienia ludności.

Nad stołami kmieci i rycerzy rozeszło się ciche: aaa... bo chłopcy wynosili właśnie z kuchni ulubiony przysmak wieków średnich—pieczone pawie, zatknięte na rożnach. Było ich tyle, ilu gości, co wprawiło zebranych w zdziwienie i zachwyt. Nawet w bogatych domach przeznaczano zwykle jednego ptaka na dwie osoby i to nie podawano go wszystkim biesiadnikom.

Tylko goście znakomici mieli prawo do pawia, ustrojonego piórami z ogona.

Szły teraz zdrowia jedno po drugiem. Pito kolejno na cześć wszystkich obecnych dygnitarzy: biskupa Ottona, opata santgalskiego, palatyna Ulryka, hrabiego okręgu, jego wikaryusza, pito za powodzenie: rycerzy, kmieci, poddanych państwa meers-

burskiego, na dobre żniwa i winobranie, na szczęście w polowaniu i t. d.

Mocne imbirowe i pieprzowe sosy paliły wnętrzności. Trzeba było gasić pragnienie, czego głównie rycerze i kmiecie nie zaniedbywali.

Komedyanci wędrowni zabawiali tymczasem biesiadników dziełami swojej zręczności. Pospolite to były sztuki — zwykłe koziołki, chodzenie na rękach, stawanie na głowie, noszenie i podrzucanie wielkich ciężarów — ale widzowie, parafianie, nie zepsuci wykwintniejszemi uciechami większych miast i dworu królewskiego, wybuchali szczerym śmiechem i klaskali zapamiętale, ciskając domorosłym artystom drobne, srebrne pieniążki, kawały mięsa i chleba.

Tylko stół panów nie zwracał uwagi na łamańce komedyantów. Dygnitarzy zajmowały inne, ważniejsze sprawy.

— Mówicie, że się usposobienie ludności zmienia pod wpływem kazań reformowanych mnichów?— zapytał palatyn Ulryk. — Wieści o karygodnych knowaniach golonych łbów... nie gniewajcie się, tak mi się jakoś wymówiło... doszły już do dworu, lecz nie mieliśmy dotąd czasu sprawdzić przestróg, nadsyłanych nam przez wiernych tronowi opatów.

— W łonie ludności szwabskiej wre coś i ki pi—odpowiedział biskup Otton — czego dotąd nie rozumiem. Niezwykle liczne tłumy ciągną od pewnego czasu do miejsc cudownych. Klasztory, które łaska Boża obdarzyła większemi relikwiami, nie mogą pomieścić pielgrzymów. Pobożni modlą się chętniej, goręcej, aniżeli dawniej; mężowie posiwiali na koniu z mieczem przy boku, rzucają niepewne zamki i tulą się pod skrzydła bezpieczniejszego kościoła; bogate wdowy rozdają cały majątek ubogim i zamykają się w pustelniach albo w domu świętobliwych panien w Szafuzie. Jakiś duch niebieski, wrogi sprawom tego świata, wieje nad Szwabią. Zdaje się, że Hil-

debrand wie o tem usposobieniu i dlatego występuje śmielej od swoich poprzedników.

Opat santgalski, mąż otyły, czerwony, który jadł dotąd za trzech, otarł usta serwetą i rzekł:

— Wszystkiemu temu są winni owi wymokli prorocy w sukni św. Benedykta, którzy wmawiają w głupich, że tylko głód, nędza i ciągłe szlochanie otwierają bramy Królestwa Niebieskiego. Jakby to grzeszny śmiertelnik nie mógł chwalić Pana Boga uczciwie, szczerze, całą duszą i pamiętać równocześnie o potrzebach ciała. Wszakże Ojciec dobrotliwy stworzył lasy i pola, owoce i szczepy winne i wszelką rzecz, jaka jest, dla uciechy i wygody swoich dzieci. Sam św. Benedykt nakazuje trzebić lasy, uprawiać rolę i dbać o dobro klasztoru. Zamiast dziękować Bogu za dary, których wszystkowiedzący Pan nie poskąpił słabej kreaturze, wrzeszczą owe głodomory, że wszelka rzecz doczesna jest dziełem szatana. Poprzebierali się cudacznie, włożyli na siebie szerokie habity, niby skrzydła anielskie, jak mówią, ogolili łby aż pod sam kark, zostawiwszy dokoła czaszki tylko wąziutką koronę, nie myją się, nie czyszczą ani sukien, ani obuwia, karmią się polewką jaglaną i krzyczą z ambon, że się świat zestarzał, że trzeba go odmłodzić pokutą, biczowaniem, głodem, ciągłym płaczem i tarzaniem się w prochu. Niech się mażą, jak baby, niech się kąpią w brudzie i piasku, kiedy im z tem dobrze, ale dlaczego przewracają w głowie ciemnemu gminowi i wrażliwym niewiastom? Gdybym był królem, nauczyłbym moresu tych burzycieli spokoju publicznego.

— Waszą rzeczą przekonać tych głupców, iż są na świecie dwa królestwa, doczesne i niebieskie— wtrącił Ulryk z Godesheimu.

Opat wzruszył ramionami.

— Albożby mnie oni raczyli wysłuchać! — odparł.—Nas, opatów, wiernych królowi, i całe ducho-

wieństwo świeckie nazywają ci przewrotnicy pomocnikami szatana. Odmawiają nam godności kapłańskiej, pyszniąc się swoją świętobliwością, wychudzoną szpetnie gębą, nagiemi łbami i pomiętą, wyplamioną suknią. Biskup Otton zwraca słusznie uwagę na szkodliwość mnichów reformowanych. Trzebaby ukrócić ich zuchwalstwo, bo motłoch zaczyna im więcej ufać, aniżeli nam, dawnego obyczaju zwolennikom.

— Przyznajcie, opacie — rzekł palatyn Ulryk z uśmiechem złośliwym—iż trochę więcej skromności i świątobliwości życia przydałoby się owym zwolennikom dawnego obyczaju. Ludzie, którzy ślubują ubóstwo i pokorę, zagarnęli już połowę dóbr koronnych i zachowują się nieraz z taką butą, iż nie wiadomo, kto pokorniejszy: my rycerze, czy wy mnichy. W waszych piwnicach dojrzewa najlepsze wino, w waszych stajniach i oborach próżnuje najtłustsza kreatura. Gdyby Hildebrand nie był wrogiem korony, poradziłbym mu sam, jak okiełznać pychę klasztorów.

Opat żachnął się.

— I wy to mówicie, wy, palatynie — zawołał, sapiąc — któregoby ten wysłaniec piekła kazał usmażyć na stosie, gdyby was jego długa ręka mogła dosięgnąć? Kole was w zazdrosne oczy dostatek klasztorów? Pracujcie, zabiegajcie, jak my, a będziecie mieli pełne gumna, piwnice i obory.

— I straszcie ludzi ogniami piekielnemi...—dorzucił palatyn z przekąsem — a będą wam pobożni oddawali zamki i sioła, abyście im wyprosili u św. Piotra łaskawe przyjęcie w Królestwie Niebieskiem.

Ze zgrozą spojrzeli hrabia okręgu i jego wikaryusz na palatyna. Mowy tak bezbożnej nie znano na prowincyi.

Na czoło opata wystąpił rumieniec gniewu.

— Was nie weźmie żaden z braci św. Benedykta pod habit, gdy będziecie się chcieli wślizgnąć niepoznani do nieba—wyrzekł.

— Jeszcze wielkie pytanie, czy suknia św. Benedykta jest w niebie dobrem poleceniem — drażnił palatyn opata ku wielkiej zabawie biskupa, który, nie lubiąc mnichów, jak wszyscy duchowni świeccy, wybuchnął serdecznym śmiechem.

Bertold, zmiarkowawszy, iż się sprzeczka zaostrza, skinął na stolnika i zawołał:

-- Niech śpiewak wystąpi!

Rozkaz ten podziałał na powaśnionych, jak pieszczota matki na rozkapryszone dziecko. Pochmurna twarz opata zaczęła się wygładzać, usta palatyna straciły wyraz uszczypliwy.

— Niech nam śpiewa pieśń o Zygfrydzie, co zgromił saskiego Liudgasta! — rzekł Ulryk z Godesheimu.

— O Zygfrydzie, o niezwyciężonym synu króla Zygmunta!—wolali biesiadnicy.

I wszystkie oczy zwróciły się na chudego starca, który zbliżał się powolnie od stołu grajków.

Skłonił się panom, skłonił się rycerzom i kmieciom, przyłożył prawą rękę do serca i zaczął śpiewać, raczej mówić w takt wtórujących mu skrzypiec:

Zacny to mąż wojennej podjął się usługi,
Złoty puklerz mu z ramion spływał, lśniący, długi.
Był to Liudgast, wartę pełnił nieleniwo,
A już nań dzielny Zygfryd pomyka co żywo.

Zatrzymał się—obrzucił spojrzeniem badawczem zgromadzenie. Na wszystkich twarzach widział ciekawość dzieci, czekających z powstrzymanym oddechem na bajkę. Naiwne dusze wieków średnich kochały stare powieści, przesiąkłe krwią, owiane szczękiem oręża.

— Śpiewaj! — krzyknął Bertold i rzucił grajkowi złoty pierścień.

Więc podniósł starzec glos i recytował dalej:

Zoczył go król i czwałem puścił się na wroga,
Bodzie konia do biegu żelazna ostroga,

Na tarcze mierzą długich kopij ostre groty —
Dla króla ztąd nie małe urosły kłopoty.

Zewsząd, od stołów pachołków, sypali się słuchacze. Służba nawet przystanęła z uchem wyciągniętem, niestrofowana przez stolnika.

Pękły drzewce, lecz dalej poniosły ich konie
Rozhukane, jak wicher, co szumi przez błonie,
Zwrócili je wędzidłem, ostrogami sparli,
I z mieczem w dłoni znowu na siebie natarli.

— I z mieczem w dłoni znowu na siebie natarli—powtórzyło za śpiewakiem kilkadziesiąt głosów. Płomień zapału bił z oczu rycerzów i pachołków. Ten i ów sięgnął do boku, pokręcił wąsa, przybrał postawę wyzywającą.

Ciął Zygfryd po szyszaku wroga siłą całą,
Grzmot się rozległ i pole od ciosu zadrżało,
Prysły iskry szyszaka, jak z ognistej głowni—
Zeszli się zapaśnicy, siłą prawie równi.

Liudgast mu na każde odpowiadał cięcie,
Godził w tarcz przeciwnika i rąbał zawzięcie,
A już w pomoc Duńczyków trzydziestu pomyka—
Lecz, nim przybyli, Zygfryd pobił przeciwnika.

Takie okropne zadał królowi trzy rany
Przez zbroje—bo był cały w żelazo odziany—
Iż miecz po cięciu z rany wyniósł krwawe znaki.
Więc Liudgasta spotkał smutny kóniec taki.

Posypały się na śpiewaka pieniądze srebrne i złote, padały do jego stóp noże, pasy, płaszcze. Czem kto mógł płacił grajkowi za powieść starodawną, która krążyła od wieków wśród wojowniczego ludu Szwabii i Frankonii. Chłopcy, nie mając nic do rozdania, klaskali, uderzając talerzami o talerze.

Ulryk z Godesheimu trącił puharem o puhar opata.

— Nie gniewajcie się, ojcze wielebny, na mój

zły język—rzekł.—Wszak wiecie, że cenię was nad wszystkich opatów rzeszy. Tak wiernych prałatów, jak wy, posiada korona niewielu. Wasze zdrowie, ojcze!

— Macie szczególny sposób wyrażania swojej czci—odparł opat udobruchany — ale rzeczą kapłana przebaczać. Na podziękowanie, palatynie!

I wychylili obaj potężne naczynia do dna.

— A zabierzecie mnie z sobą do nieba?—żartował palatyn.

— Jeśli będziecie szczerze żałowali za paskudną gębę, to przypomnę sobie może waszą grzeszną duszę przed bramami raju.

— Przeznaczyłem już dla waszego klasztoru zamek Igelsburg.

— Jeżeli tak, obiecuję wam uczciwe słowo u św. Piotra. Ale wystawcie pergamin u hrabiego okręgu.

— Jeszcze nie teraz, ojcze wielebny — zaśmiał się palatyn.—Chciałbym pożyć jeszcze z dziesięć lat na grzesznej ziemi, a gdyby wasze mnichy zaczęły piać na moją intencyę psalmy, gotówby mnie św. Piotr wezwać wcześniej do raju. Będzie dość czasu, gdy mi wino zbrzydnie.

— To poczekamy bardzo długo na zamek Igelsburg—rzekł opat.—Tymczasem wasze zdrowie, palatynie.

I znów wysączyli puhary.

Przy stołach rycerzy i kmieci zrobiło się bardzo gwarno. Jaki taki, zagrzany pieśnią starego śpiewaka, jął opowiadać swoje czyny rycerskie.

Podnieceni winem, zapomnieli rycerze i kmiecie o panach, których obecność krępowała dotąd ich ruchy. Ten i ów, lekceważąc przepisy „moralności", brał z półmisków palcami kawały mięsa, wycierał nos w garść lub w obrus, pluł na ławę i wrzeszczał na chłopców: wina!

Służba rozwiązywała jeden worek po drugim,

odbijała beczułki, napełniała dzbany, obnosiła ciągle nowe potrawy.

Po pawiach nastąpiły pasztety z ryb, i groszek gotowany w mleku, i ryż z migdałami, i pieczone ptactwo.

Połowa licznych dań znikała szybko w żołądkach biesiadników, druga połowa szła za bramę, gdzie się poddani i żebracy rzucali z żarłocznością kacząt na niezwykłe dla nich przysmaki. Hołotka, podchmieliwszy sobie, zaczęła objawiać zadowolenie tak głośno, iż śmiechy i okrzyki przelatywały przez mur, zlewając się z rosnącą ciągle wrzawą na dziedzińcu.

Tylko przy stole panów zachowywano się spokojniej. Tu klęczał za każdym zydlem paź wolnego stanu, który odbierał z rąk służby półmiski i zmieniał noże i łyżki. Bertoldowi i Ulrykowi z Godesheimu służyło dwóch chłopców. Jeden z nich podtrzymywał z tyłu długie rękawy pana, aby nie zawadzały przy jedzeniu.

Te długie rękawy, przywiązane złotemi sznurami do ramion, i trzewiki o zagiętych nosach budziły widocznie zazdrość hrabiego okręgu, bo przypatrywał się im uważnie z pod czoła, jakby brał miarę. Wprowadzone dopiero od lat kilku z Burgundyi do Niemiec, nie były one jeszcze powszechnie przyjęte. Noszono je dopiero na dworze królewskim.

Hrabia, rycerz młody, utrefiony i odziany z wielką starannością, lśniący pierścieniami i kosztownemi spinkami, wstydził się za swoje parafiaństwo. Rękawy miał wązkie, trzewiki bez wygiętych nosów i suknię wiszącą na ciele równo, bez wcięcia, w pasie.

— Czy nie mogłaby mi Wasza Szlachetność wskazać dobrego krawca?—spytał hrabia Bertolda.

— Dobrych krawców jest wielkie mnóstwo w Wormacyi i Goslarze—odpowiedział gospodarz.— Każde dziecko wskaże wam ich mieszkania

— Zamiast dowiadywać się o dobrych krawców—odezwał się palatyn Ulryk szorstko— uczynilibyście lepiej, gdybyście pilnowali z większą troskliwością swojego okręgu.

Hrabia rzucił na palatyna spojrzenie szybkie, niepewne.

— Nie rozumiem waszego zarzutu, panie palatynie—odrzekł.—Służę wiernie królowi.

— Dochodzą nas z waszego okręgu wiadomości o ciągłych napadach i rabunkach. Niechby się to skończyło, w razie bowiem przeciwnym ustąpicie miejsca innemu, czujniejszemu urzędnikowi.

— Godność hrabiego odziedziczyłem po ojcu— odparł hrabia obrażony.

— Godność hrabiów nie była w rzeszy nigdy dziedziczną. Rozdaje ją korona. Jeżeli was król Henryk zostawił na hrabstwie, trzymanem przez waszego rodzica, to tylko dlatego, iż się spodziewał, że syn wysokiego urzędnika będzie pożyteczniejszym od rycerza, nieobeznanego z prawem krajowem. Tymczasem mówiono mi, iż wy sami, którzy macie być stróżem i wykonawcą sprawiedliwości, bawicie się w napady uliczne.

Hrabia przybladł i spojrzał pytająco na swojego wikaryusza. Ten spuścił głowę, udając, że poprawia coś przy pasie.

— Raz tylko jeden przetrzepałem trochę jakichś kupczyków — mówił hrabia, omijając bystry wzrok palatyna—którzy płoszyli mi zwierzynę w lesie.

— Wiedzcie o tem i pamiętajcie to sobie raz na zawsze, że łaska króla broni mieszczan przed gwałtownością rycerstwa. To powiedziawszy, piję wasze zdrowie.

Hrabia podziękował ukłonem uprzejmym, widać jednak było, iż zadawał sobie przymus. Jego uśmiech był nieszczery, a w źrenicach migotały żółte błyski nienawiści.

— Może wam już wiadomo—odezwał się Ber-

told—iż pochwyciłem Rudolfa z Grimmingen na występku, który prawo salickie karze bardzo surowo. Proszę was, abyście tego rycerza nie oszczędzali.

— Przyspieszę dzień sądu i stanie się zadość sprawiedliwości — odrzekł hrabia, uśmiechnąwszy się chytrze.

Na górze zamkowej zrobiło się chłodniej. Słońce, przebiegłszy dzienną drogę, zbliżało się powoli do szczytu Alp. We wschodniej połowie dziedzińca snuły się już cienie wieczoru, ale zachodnia pławiła się jeszcze w fali drżącego złota, które kładło się na ściany pałacu i wież, na twarze ludzi i na liście drzew. Mieniły się w blaskach gasnącej gwiazdy srebrne naczynia, jedwabne suknie panów i bogatszych rycerz, lśniły drogie kamienie i głowice mieczów. Proporce, poruszane lekko wietrzykiem, furkotały dokoła stołów.

Nadchodziła godzina owej dziwnej, uroczystej ciszy, która odbiera nawet pijanym ochotę do nieprzystojnego wrzasku. Z układającą się do snu przyrodą czuje się człowiek jakby pokorniejszy, lepszy, bliższy Bogu.

Bertold oparł głowę na dłoni i patrzył przed siebie zamyślony, biskup i opat szeptali pacierze, kmiecie tłumili krzykliwą gawędę.

W tej uroczystej ciszy rozbrzmiały nagle za bramą ku zdumieniu biesiadników przeciągłe głosy męzkie. Ktoś śpiewał tam psalmy. Czyby żebracy dziękowali w ten sposób za gościnność? Ale nie! Ci nędzarze nie znali pieśni łacińskich, a do Bertolda dochodziły wyraźnie dźwięki mowy rzymskiej.

Gospodarz zerwał się z zydla, tknięty złem przeczuciem.

— Nie otwierać obcym bramy!—rozkazał podkomorzemu.

Ale było już za późno. Stróż, upiwszy się z wesołą hołotką, koczującą za murami, zapomniał o swoich obowiązkach.

Otwartą na rozcież bramą wkraczał na dziedziniec orszak szczególnego rodzaju. Przodem postępował dziadek kościelny z krzyżem, za nim posuwał się szereg mnichów z kapturami na głowach, z płonącemi świecami w rękach. Czterech z nich niosło na ramionach jakieś błyszczące, drogiemi kamieniami nabijane pudło.

— Mnichy z Reichenau — mruknął Bertold, zasępiwszy się. — Wybrali sobie chwilę odpowiednią, chytre węże.

A głośno zawołał do burgrabiego:

— Zapytać ich, z czem przychodzą?

Ale zakapturzone mnichy nie odpowiadały ani podkomorzemu, ani burgrabiemu. Śpiewając psalmy głosem grobowym, szli wprost ku stołowi panów, a gdy się do niego zbliżyli, postawili tuż przed Bertoldem owo błyszczące pudło.

— Święty Pirmin przychodzi upomnieć się osobiście o swoją własność — odezwał się jeden z nich.

Bertold zbladł, bo domyślił się, co owo pudło w sobie zawierało. Był to relikwiarz, w którym mieściły się szczątki doczesne św. Pirmina, założyciela klasztoru w Reichenau.

Widok relikwiarza, mnichów i świec płonących oddziałał tak potężnie na wierne serca biesiadników, iż odjął im mowę. Wszyscy powstali z ław, żegnając się nabożnie.

— Ponieważ ani skargi, zaniesione do tronu, ani klątwa Ojca Świętego nie zdołały zwrócić Waszych Szlachetności z drogi grzechu śmiertelnego — mówił mnich do Bertolda i Ulryka z Godesheimu — przeto objawił się św. Pirmin we śnie naszemu czcigodnemu opatowi i wskazał mu drogę do waszych serc zatwardziałych. Oddajcie świętemu dobra klasztorne, które trzymacie bezprawnie, jeżeli nie chcecie się na drugim świecie spotkać z jego gniewem.

Bertold stał z głową opuszczoną. Z ludźmi, choćby z samym papieżem, mógł walczyć, ale krzy-

wdzić świętego zabraniała mu jego żywa wiara. Co począć, jak wyjść z tego niespodziewanego położenia?... Zabranych klasztorowi reichenauskiemu zamków nie mógł oddać bez zgody rady królewskiej, a lękał się zemsty św. Pirmina.

Pierwszy Ulryk z Godesheimu ochłonął z wrażenia.

— Mówicie, że św. Pirmin przychodzi po swoją własność?—odezwał się.—Po jaką własność? Święty Pirmin, jako mąż bogobojny, gardził dobrami tej ziemi i wam, następcom swoim, przykazał surowo dochowywać ślubu ubóstwa. Święty Pirmin, radując się widokiem oblicza Boga Ojca, nie pożąda zamków, siół i lasów. Nędzarzem on był z dobrej woli i żywił się tem, co mu pobożność wiernych przynosiła do pustelni. To nie święty Pirmin upomina się o swoją własność, bo własności żadnej nie posiadał, lecz wasze chciwe gardła, coby chciały pochłonąć wszystką ziemię rzeszy, łakną naszych dóbr.

Mnich, podniósłszy świecę do góry, zawołał głośno:

— Bądź przeklęty, bądź...

Ale szybko przerwał mu palatyn.

Doskoczywszy do niego z zaciśniętą pięścią, krzyknął:

— Milcz, głupcze, bo każę ci zuchwały ozór wyrwać z gęby. Ty mnie będziesz wyklinał, ty, marny mnichu? Czy nie wiesz, że Ulryka z Godesheimu wyklął sam biskup rzymski? Takich, jak ja, nie wyklinają takie gnidy, jak ty. Precz mi z oczu, łbie golony, jeśli ci twoje żebra miłe!

Mnich, widząc nad sobą podniesioną pięść i twarz dziką, cofnął się przerażony. Ludzie owego czasu nie grozili podaremnie.

— Ulri...—wyrzekł Bertold półgłosem, chwytając przyjaciela za rękę—to poświęcona głowa...

Ale palatyn odepchnął go z gniewem.

— Takich głów poświęconych włóczą się setki

za dworem króla i żebrzą o dobra koronne — wołał zapienionemi ustami.—Poświęcono im głowę, ale nie żebra. Pobożność naszych przodków oddała w ich ręce chciwe połowę cesarstwa, a im ciągle mało. Władzy im się jeszcze zachciewa, rządów, panowania! Pierwszy lepszy zdechlak, niezdolny do noszenia zbroi i oręża, przyodziawszy się w suknie mnicha, stawia się ponad rycerstwo, ponad króla nawet. Pracujcie na ziemię, jak przystało mężom, na polu bitwy, a łaska króla nie odmówi wam zasłużonej nagrody. Wynoście się natychmiast!

Zbrojni mężowie spoglądali po sobie zgorszeni. Ten i ów z rycerz słyszał o bezbożności Ulryka z Godesheimu, żaden jednak z nich nie wystawiał sobie, by prawowierny katolik mógł zionąć taką nienawiścią do braci zakonnych. Wielu z pomiędzy nich nie szanowało po za murami klasztorów mnichów—ludzi, nie noszących miecza—ale wszyscy uznawali w nich pośredników między ziemią a niebem.

— *Godeshass!* — odezwał się ktoś. — Nieprzyjaciel Boga...

Przezwisko to, które rzucano mu często w twarz, jako obelgę, podrażniło palatyna jeszcze więcej.

— Cicho tam, wy, których rzeczą słuchać, gdy przemawia doradca korony!—krzyknął.— Czy wiecie, do czego dążą te gałgany z Reichenau? Chcą zerwać z pomazanej głowy naszego króla koronę przodków i cisnąc ją, jak podłe, rozbite naczynie, pod stopy biskupa rzymskiego; chcą zmienić rzeszę niemiecką w lenno Lateranu i uczynić z nas, rycerzy, podnóżki mnichów. Może wam tęskno za obrożą Rzymu, starganą przez waszych przodków!?

Pomiędzy gośćmi Bertolda była większa część Franków. Tych zdziwiła groźba, którą po raz pierwszy słyszeli.

Oni, potomkowie zwycięzców Rzymu, mieliby znów pójść w niewolę pysznego miasta? Oni, filary

BIBLIOTEKA JANA SZKODZIŃSKIEGO

rzeszy, mieliby się ukorzyć przed obcym władcą, oni, wojownicy—przed mnichem?

— Prawdaż to, co mówicie, panie palatynie?— zapytał jeden z kmieci.

— Mówi do was przyjaciel króla, który zna lepiej od was położenie rzeszy — odpowiedział Ulryk z Godesheimu.

— Niech żyje król Henryk! — huknęli rycerze i kmiecie frankońscy.

I groźne spojrzenia poszły w stronę mnichów.

— Za szczerą modlitwę wynagrodzimy was obficie — mówił ten sam kmieć, który zwrócił się z zapytaniem do palatyna—za żywot świątobliwy będziemy was czcili, ale dołków pod naszym królem nie kopcie, jeśli chcecie dokonać dni spokojnych w klasztorach reichenauskich.

— Za bramę z nimi!

— Wyrzucić tych sprzedawczyków!

Mnichy skupili się dokoła relikwiarza, jak stado spłoszonych owiec. Biskup i opat przypatrywali się w milczeniu scenie gorszącej, jeden bowiem i drugi prowadzili ustawiczną wojnę z opatem reichenauskim.

Lecz nie wszyscy goście Bertolda wtórowali okrzykom Franków. Byli pomiędzy nimi Szwabowie, dawnych Allemanów następcy. Na dnie ich pamięci tliła jeszcze nieugaszona wiekami niechęć do hardego plemienia, co pozbawiło ich niezależności. A znienawidzony przez Franków opat reichenauski, hrabia Ekkehard z Nellenburga, szedł w prostej linii od książąt allemańskich. Mieliżby oni, Szwabowie, znoszący tylko z konieczności przewagę rasy, zdolniejszej do boju i rady, pozwolić na znieważenie braci klasztoru, któremu przewodził ich ziomek, wolny pan z ich krwi?

Biesiadnicy rozpadli się na dwie części. Bez porozumienia się odczepili się Szwabowie od Franków, tworząc zbite gromady.

— Niech żyje biskup rzymski opat Ekkehard!— zawołał jeden z rycerzy szwabskich i miecz błysnął w jego ręku.

— Psie!—ryknął palatyn Ulryk.—Gardłem przypłacisz zdradę!

Przeskoczył stół, porwał ogromny dzban cynowy i cisnął go w rycerza.

Zadzwonił oręż, dobywany z pochew. Dwa zwarte szeregi szły przeciw sobie z nienawiścią wrogów śmiertelnych.

— Otoczyć ich! Wyciąć w pień! — wołał Ulryk z Godesheimu, który stanął na czele Franków.

Właśnie chowało się słońce za wierzchołki gór, rzucając na ziemię ostatnią garść stopionego złota. W drgających blaskach migotały miecze, jak węże ogniste; rozgrzane winem i gniewem twarze wyglądały jak spiżowe, oczy błyszczały złowrogo.

Już skrzyżował się oręż, już trysnęły iskry ze stali... Za chwilę poleje się krew ciepła...

Wtem odezwał się nagle, na wzgórzu sąsiedniem, na którem stał kościół, dzwon wieczorny.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, opadły miecze, pochyliły się głowy, zamknęły się usta.

Cisza powiała nad dziedzińcem, a w tej ciszy skarżył się dzwon na zapamiętałość ludzką, żądną cierpienia i krzywdy bliźniego.

— Nie mordujcie się niebaczni — jęczał — albowiem śmierć nie ominie żadnego z was, gdy wybije jego godzina.

To nałożył Kościół hamulec na dzikość swoich dzieci.

Od czwartku do poniedziałku, od zachodu do wschodu słońca, zabroniły synody pod groźbą klątwy wszelkich zwad, najazdów, bitew i pojedynków. W dniach tych miał spoczywać oręż, aby słabi mogli odetchnąć pod osłoną „Pokoju Bożego" po ciągłej trwodze. Dziś był czwartek, przeto wzywał dzwon

powaśnionych do zgody, mocnych do pobłażliwości, grzesznych do pokuty, a wierni synowie Kościoła, tak Frankowie, jak Szwabowie, usłuchali bez oporu napomnienia Boga.

Jedyny tylko Ulryk z Godesheimu nacierał jeszcze na przeciwnika. Więc ujął go Bertold z tyłu za ręce i zawołał:

— *Treuga Dei!* Nie plam mojego domu herezyą.

Klnąc pod wąsem, oddał palatyn miecz paziowi.

A Bertold zwrócił się do mnichów i rzekł:

— Wracajcie do domu! Jeźli mi król pozwoli oddać zamki, należące do waszego klasztoru, nie będę ich zatrzymywał, aczkolwiek są one dawniej własnością moją, aniżeli św. Pirmina, wiadomo wam bowiem, iż większą część swoich dóbr wzięło opactwo reichenauskie z hojnej ręki moich przodków. Zamiast niepokoić potomka dobrodziejów klasztoru, módlcie się raczej za niego, by mu Bóg dał moc spełniania podwójnych obowiązków: przyjaciela króla i syna Kościoła. Krzywdy waszej nie pragnę, ziemi klasztornej nie pożądam. Gdyby opat Ekkehard nie był wrogiem korony, pamiętałbym o was z taką samą życzliwością, jak moi przodkowie. Odejdźcie w pokoju!

Mnichy wzięli znów relikwiarz na ramiona i opuścili miarowym krokiem dziedziniec.

Rycerze i kmiecie nie zajęli już dawnych miejsc. Zamiast wrócić pod swoje proporce, rozdzielili się podług narodowości: osobno Frankowie, osobno Szwabowie

Daremnie kazał Bertold wytoczyć z piwnicy świeże beczki. Nawet słodkie wino włoskie, podane do ciast i owoców, uważane w Niemczech za specyał, nie zdołało przywrócić dobrego humoru. Frankowie i Szwabowie spoglądali na siebie z pod czoła, warcząc zcicha, jak psy poskromione.

— Cóż wy na to? — zapytał biskup Otton palatyna Ulryka półgłosem.

— Widzę, iż koronie grozi nowy wróg, którego dotąd lekceważyliśmy — odpowiedział palatyn. — Nasz Henryk ma lepsze i dalsze oko od swoich doradców, bo zwracał już kilkakrotnie uwagę na dwuznaczne postępowanie wojewody Szwabii. Trzeba Rudolfa z Rheinfeldem otoczyć szpiegami, aby nam nie wypłatał jakiego figla.

— Mówił mi mnich, który przychodził do St. Gallen z pozdrowieniem od Wilhelma hirszańskiego — odezwał się opat — że spotkał na drodze gońców Ottona z Nordheimu. Szli do Rudolfa szwabskiego z jakiemiś poleceniami.

— Otton z Nordheimu ryje pod tronem z cierpliwością kreta — rzekł palatyn — ale nie wie, że moi ludzie śledzą jego kroki. Niechbyśmy go tylko przyłapali na gorącym uczynku, a dałby gardło. I biskupowi halbersztadzkiemu należy się dawno stryczek.

— Sądzicie, iż Henryk nie ustraszyłby się krzyku panów rzeszy? — pytał biskup — Otton z Nordheimu i Buko mają licznych przyjaciół.

— Król czeka tylko na sposobność, by dowieść wojewodom i margrabiom czynem, iż potrafi bronić powagi korony z taką samą stanowczością, jak jego ojciec, świętej pamięci cesarz. I czasby był, aby kilka głów pysznych spadło pod mieczem kata, bo tak dalej rządzić nie można. Jeśli nie poskromimy najbutniejszych warchołów, rozpadnie się wkrótce rzesza na mnóstwo drobnych państewek.

Hrabia okręgu słuchał z wielką uwagą rozmowy prałatów z palatynem, trącając swego wikaryusza nogą pod stołem. Był on Szwabem i jeśli nie wziął w zwadzie strony ziomków, uczynił to tylko przez wzgląd na obecność dostojników koronnych.

Bertold milczał. Osobliwy najazd mnichów reichenauskich rzucił nowy cień na jego wierną du-

szę. Każdy dzień, spędzony w stronach rodzinnych, przekonywał go coraz więcej, iż, lekceważąc wyrok Rzymu, podjął grę niebezpieczniejszą, aniżeli się spodziewał. Matka opuściła zamek meerburski, by się nie ocierać o jego przyjaciół, narzeczona omijała go, lennicy pochodzenia szwabskiego stanęli jawnie po stronie papieża, święty Pirmin przychodził sam z groźbą.

Bertold nie pochwalał bezbożności Ulryka z Godesheimu. Szczególny pomysł mnichów przeraził go, zatruł mu resztę wieczoru; dla niego była siła, utajona w szczątkach doczesnych świętego, taką potęgą, iż przewyższała wszelką moc ludzką. Wierny katolik, który nie lękał się nikogo na ziemi, drżał przed gniewem religii. Wojny ze świętymi nie chciał, a rozum stanu zmuszał go do nieposłuszeństwa względem Kościoła. Jak wybrnąć z tego niewygodnego położenia?— pytał sam siebie po raz setny, ale odpowiedzi nie dawał mu głos wewnętrzny.

Służba ustawiła na stole panów świece woskowe w srebrnych lichtarzach, a wzdłuż ław rycerzy i kmieci pozatykała w ziemi płonące łuczywa.

Przyniesiono kości, szachy, warcaby.

Ale nawet kości, ulubiona zabawa Germanów od czasów niepamiętnych, nie zdjęły z powaśnionych chmury niechęci.

Pierwszy ruszył z miejsca i pożegnał się hrabia, za nim uczynił to samo jego wikaryusz; za urzędnikami okręgu poszli rycerze szwabscy.

Po godzinie zostali na zamku meersburskim tylko Frankowie.

— Trzeba pchnąć natychmiast gońców do wojewody Rudolfa — mówił hrabia do wikaryusza, gdy byli za bramą — aby się strzegł przed szpiegami króla. Za kilka dni zwołamy sąd i uwolnimy tego zucha z Grimmingen.

— Śmielibyście uwolnić Rudolfa z Grimmingen pod bokiem doradcy korony? — zapytał wikaryusz.

— Właśnie dlatego. Niech ci pankowie frankońscy wiedzą, że Szwabia ma jeszcze ostre zęby.

— A gdyby was wielki łowczy chciał zmusić do surowego wyroku?

— Zmusić może mnie tylko ten, ktoby mnie zwyciężył, a mój zamek wytrzyma długie oblężenie.

— Wielki łowczy mógłby wezwać pomocy samego króla.

— Król daleko, a nasz wojewoda blizko. Król zresztą ma obecnie inne, ważniejsze sprawy do załatwienia.

— Rudolf z Grimmingen nie zasługuje wistocie na pobłażliwość — przekonywał jeszcze wikaryusz. — To człowiek zły, chciwy i gwałtownik, jakich mało nad jeziorem bodeńskiem.

— Ale pochodzi z krwi szwabskiej. Nie możemy na to pozwolić, aby się Frank znęcał nad naszym ziomkiem. Dziś wtrącił wielki łowczy do lochu pana z Grimmingen, jutro mógłby spotkać ten sam los mnie, was. Kupczyków broni, uczciwe najazdy rycerskie zowie występkiem. Jacy cnotliwi... A panów rzeszy chcą wieszać... Niedoczekanie ich... I nasz wojewoda ma głowę, na którejby korona bardzo dobrze wyglądała, a byłby uleglejszym królem od tego bezbożnego Franka.

VI.

Bertold, ubrany do wyjazdu, chodził krokiem niecierpliwym po ganku pałacu.

Dziś zrana przysłał hrabia okręgu dwóch woźnych po Rudolfa z Grimmingen. Aby rycerz nie uciekł w drodze do sądu, oddał go Bertold pod straż swojego burgrabiego.

Nie wątpił ani na chwilę, że sędziowie ukarzą

burzyciela pokoju publicznego, nie wiedział tylko, jakie prawo do niego zastosują, allemańskie, miejscowe, czy salickie, obowiązujące całą rzeszę. Chciał pojechać sam na sprawę, by dopilnować surowego wyroku, lecz jemu, wysokiemu dostojnikowi, nie wypadało stawać w zwyczajnym sądzie.

Burgrabia powinien był dawno wrócić, słońce bowiem stało już nad jeziorem, zbliżając się ku zachodowi. Czyby go zatrzymała jaka niespodziewana przeszkoda, albo może spotkał znajomych i gawędził z nimi przy kuflu wina?

Bertold zawołał na pachołka, aby się udał na wieżę i spojrzał na drogę, gdy się na bramie odezwał róg stróża.

Wkrótce potem rozległ się na dziedzińcu brzęk podków, uderzających o kamienie. Zbrojni mężowie zajeżdżali przed pałac.

— Niech ludzie nie zsiadają z koni — rozkaza Bertold pachołkowi.

Po chwili wszedł na ganek stary burgrabia Wecel. Zamiast szyszaka, miał na głowie zawój z gałganów, przesiąkłych krwią.

— Mówcie mi o wyroku — rzekł Bertold z pośpiechem, postrzegłszy jednak krew, zmarszczył brwi.

— Widzę, żeście się bawili za dobrze z przyjaciołmi. Oj, stary! Małoż wam wina w domu? Zachciewa się wam jeszcze szynku i guzów?

— Żeby to w szynku, proszę Waszej Szlachetności — odpowiedział burgrabia — toby człowiekowi nie było żal dziury we łbie. Wesoła kłótnia przypomina staremu dobre czasy młodości. Ale oberwałem guza na trzeźwo, niewiadomo za co i po co. Co się tam nie działo na tych zatraconych sądach!

— Jaki wyrok zapadł?

— Jaki tam wyrok, proszę Waszej Szlachetności. Uwolnili Rudolfa.

— Uwolnili?!—zawołał Bertold zdumiony.—Był przecież występek, byli świadkowie.

— Świadkowie dostali po łbie tak samo, jak ja, a z występku śmiał się hrabia okręgu.

— Ależ to gwałt publiczny! Mówcie, jak się sąd odbył.

— Wcale się nie odbył—opowiadał burgrabia.—Kiedy przybyliśmy z podsądnym na zamek hrabiego, opadła nas zaraz zgraja hałaśliwa, rozpętała pana Rudolfa i, wziąwszy go na ramiona, obnosiła po dziedzińcu, jak bohatera. Zjechało się tam mnóstwo rycerzy szwabskich; starv Grimmingen przybył z całą załogą.

— A hrabia?—spytał Bertold.

— Hrabia rzekł do mnie ze śmiechem: donieś swojemu panu, jak u nas karzą uczciwy najazd. Nie warto żyć, gdyby sąsiadowi nie było wolno poturbować trochę sąsiada. I powiedz jeszcze swojemu panu, żeby się u nas grzeczniej zachowywał, jeżeli chce wrócić cały na dwór królewski. Potem wykrzykiwał na pychę Franków, na uroszczenia tronu i tym podobne różne zuchwalstwa, z których każde zasługiwało na wybicie zębów. Kiedy hrabia skończył, doskoczył do mnie stary Grimmingen i, rzuciwszy mi w twarz rękawicę, krzyczał jak opętany: Zanieś temu pankowi z Meersburga moją rękawicę i powiedz mu, żehy się strzegł zemsty rycerzów z Grimmingen. Porwała mnie wściekłość. Taki chłystek, taki cham, będzie wypowiadał wojnę mojemu panu? Niedoczekanie jego. Cisnąłem mu rękawicę pod nogi, wołając: swój podły znak posyłaj takim świniom, jak ty. Dla takich kpów ma mój pan rózgi. Ryknęła bestya, niby rozjuszony tur, i, zanim się spostrzegłem, grzmotnęła mnie po łbie raz, drugi, trzeci — pękł szyszak — krew zalała mi ślepie—nasi chłopcy dopadli i zaczęła się okrutna bijatyka. Gdyby nie kmiecie, którzy przybyli na sądy, byłyby nas te gałgany szwabskie zarąbały na śmierć. Nie w szyn-

ku zabawiałem się z przyjaciołmi, Wasza Szlachetności, lecz w klasztorze, gdzie nam pobożni ojcowie opatrywali rany.

Bertold słuchał opowiadania starego sługi bez przyjemności. Wprawdzie nie był jawny opór przeciw prawu w latach ostatnim wypadkiem niezwykłym, każdy bowiem z możniejszych panów i rycerzy starał się korzystać z niepewnego położenia, lecz rada koronna sądziła, iż zwycięztwo, odniesione nad Sasami, przerazi niespokojnych warchołów. Tymczasem nie obawiał się nawet taki świeży dorobkiewicz, jak Grimmingen, zemsty przyjaciela króla.

— Któryż z rycerzy szwabskich wykrzykiwał najgłośniej przeciw koronie?—zapytał Bertold.

— Wrzeszczeli potrosze wszyscy—odpowiedział burgrabia—ale najciężej zawinił hrabia okręgu.

— Hrabiego oddamy pod sąd palatyna, a tych z Grimmingen ukarzemy sami przy pierwszej sposobności.

— Najlepiej byłoby zrobić to samo i z hrabią, a miałaby okolica raz na zawsze spokój. Wprawdzie siedzi hrabia w gnieździe bardzo mocnem i może sobie drwić z groźby zwyczajnego rycerza, lecz połączonym siłom państwa meersburskiego i hohenauskiego nie oprze się jego nora kamienna. Najechać buntownika, spalić mu budę, jego samego pomacać dobrze po żebrach i będzie porządek.

— Lepszy skutek wywrze surowy wyrok palatyna.

Burgrabia machnął ręką.

— Zaraz widać, że Wasza Szlachetnośś z przeproszeniem—mówił — nie był długo w kraju. Może tam, pod bokiem króla, ulegają ludzie prawu, ale u nas nie dość wyroku, trzeba go wykonać, a wykonywa go tylko siła. Na co tu długo marudzić? Kto ma dwa tysiące dobrych mieczów, jak my, ten jest prawem.

— Nie można, stary, nie można—odrzekł Ber-

told. — Rada koronna dąży do przywrócenia czci dla prawa, kto zaś chce, by wolę kapitularzów [1]) szanowano, powinien przyświecać sam dobrym przykładem.

— Będzie, jak Wasza Szlachetność postanowi, gdyby jednak odemnie zależało, poradziłbym sobie inaczej.

Burgrabia plunął w garść i uderzył ręką w głowicę miecza.

— Nie było na świecie nigdy innego prawodawcy, oprócz tego kapitularza — mówił. — Ale tych z Grimmingen możemy trochę połaskotać, gdy ich gdzie przydybiemy?

— Grimmingowie rzucili nam rękawicę, przeto nie potrzebujemy ich oszczędzać.

— Chwała Bogu. Nie spocznę dopóty, dopóki nie wybiję staremu Wernerowi przynajmniej jednego ślepia. Gałgan, wyzwoleniec! Będzie wolnemu panu wojnę wypowiadał... Widzicie go, jaki wielki...

— Chciałem was zabrać z sobą, widzę jednak, iż potrzeba wam spoczynku—rzekł Bertold. — Mocno was stary Grimmingen poturbował?

Burgrabia uśmiechnął się pogardliwie.

— Mógł lepiej, gdyby umiał—odparł. — Ale to taki dureń, któremu się zdaje, że dobrze bije, kto wali po łbie, jak kłonicą. Zwyczajnie chłop. O porządnym fechtunku nie ma takie bydlę żadnego wyobrażenia. Podrapał mi trochę czaszkę, zrobił zwierzchu dziurę i tyle. Już nawet rana nie pali. Pobożni ojcowie wymyli ją porządnie wywarem pieprzowym, święty Benedykcie, jak parzyło... zalepili chlebem, pajęczyną, ziołami, zażegnali i przeżegnali uczciwie i wszystko w porządku. Mogę jechać z Waszą Szlachetnością, choćby na wojnę. Wypocznę w nocy.

---

[1]) Kapitularze prawa, wydawane przez królów i sejmy

W kwadrans potem spuszczał się Bertold w dolinę. Szedł za nim orszak inwalidów. Prawie wszyscy pachołkowie mieli albo głowy przewiązane gałganami, albo plastry na twarzy. Temu przecięto czoło, owemu przetrącono nos, trzeciemu podbito oko.

Guzy i rany nie odebrały bynajmniej tym ludziom, przywykłym do bijatyki, dobrego humoru. Gawędzili wesoło, przypominając sobie szczegóły walki.

Bertold jechał na granicę swojego państwa. Drogę tę odbył już kilka razy, a nie zastał dotąd Judyty na miejscu umówionem.

Z każdym dniem rosła w nim tęsknota, z której nie zdawał sobie na razie sprawy. Czuł potrzebę widoku Judyty, myślał o niej ciągle, widział ją we śnie, zaniepokojony brakiem wiadomości z Hohenau. Czyby zmieniła zamiar i nie chciała mu dotrzymać obietnicy? Może ją ktoś przekonał, że nie powinna obcować z wyklętym nawet zdaleka...

Serca dziewiczego, łaknącego pierwszej miłości, nie posiadał Bertold. Biło ono już niejednokrotnie, ale nigdy z taką trwogą. On, kochanek wykwintnych dam pałacowych, lękał się Judyty, pragnął, aby mu wierzyła, aby o nim dobrze trzymała. Może odwrócił ktoś jej myśli od niego opowieścią o jego dworskich sprawkach? Znali je wszyscy, bo ani król, ani jego przyjaciele nie ukrywali się dawniej z miłostkami. Balamucili jawnie, z fantazyą i humorem młodości, panny, wdowy i mężatki, bawiąc się łatwemi zwycięztwami.

Jeśli Judyta wie o jego wesołej przeszłości, stroni może dla niej od niego...

Myśl ta bolała Bertolda. Jeszcze temu niedawno nie zaprzątały jego głowy takie błahostki, jak względy kobiety. Nie będzie ta, będzie inna... Tyle pięknych ust uśmiechało się zalotnie do potężnego pana, który mógł płacić hoinie nietylko złotem. Na

jego prośbę rozdawał Henryk dobra koronne, hrabstwa, biskupstwa i opactwa.

Ale o szacunek Judyty szło mu bardzo. Z innemi myślami, z innem uczuciem, aniżeli do swoich dawnych kochanek, udawał się na schadzkę. Od jego narzeczonej biła aureola czystości, owo coś, co spotykał rzadko na dworze królewskim!

Ilekroć wracał do domu, nie zastawszy dziewczyny na skraju lasu, czuł, że braknie mu jej z każdym dniem więcej.

Na polach uciszyło się już, jak zwykle o tej porze. Słońce stało wprawdzie jeszcze wysoko nad górami, lecz jego promienie nie paliły, chłodniejsze, bledsze. Poddani schodzili z łąk, pędząc przed sobą gromady bydła i owiec.

Z głową opuszczoną, z rękami, splecionemi na siodle, zamyślony, przejęty tęsknotą, zbliżał się Bertold wolno do lasu.

Bór czuwał jeszcze, rozgwarzony śpiewem ptactwa. Nawoływały się turkawki, odzywał się od czasu do czasu na samym wierzchołku najwyższej sosny grzywacz, sójki i sroki przelatywały z wrzaskliwym krzykiem z drzewa na drzewo, chrapnęła kraska, usadowiona na czubku nagiej gałęzi. Jastrząb, rabuś leśny, ważył się na skrzydłach nieruchomy, nagle spuścił się z góry na dół, chyży jak strzała, przemknął tuż nad ziemią i wzbił się znów wysoko ponad dęby i świerki.

Już wjeżdżał Bertold do lasu, kiedy ujrzał nad drogą na małej łączce dwóch podróżnych. Jeden z nich, mąż zbrojny, stał pod krzakiem, trzymając za uzdy trzy konie. Drugi, człowieczek nizki, szczupły, ubrany w habit mnicha, podkasany po bokach, skakał na prawo i lewo, wymachując grubym kijem. Zakonnik miał tylko jedną ostrogę.

— Mnich w podróży — domyślił się Bertold — ale czego on tak skacze i bije, jakby kogoś odganiał?

Kiedy się Bertold zbliżył, spuścił zakonnik szybko habit, nie ustając w szczególnej robocie.

— Niech będzie pochwalony—odezwał się Bertold.

— Na wieki wieków—odpowiedział mnich, rzuciwszy na rycerza spojrzenie podejrzliwe.

— Kogo tak bijecie, ojcze?

— Szatana, mój synu, szatana...

— Czy was straszy?

— Pobożnej dziatwy św. Benedykta nie straszy szatan nigdy, bo wie, że się go żaden zakonnik, spełniający swoje obowiązki, nie obawia. Mężów, oddanych służbie Bożej, kusi tylko ten wróg wszelkiej cnoty, próbując, czy mu się nie uda wcisnąć jaką szczeliną do grzesznego serca śmiertelnika. Mnie drażni książę ciemności, szepcąc mi do ucha o rozkoszy wygodniejszego posłania. Piąty dzień jestem już w drodze, ciało mam obolałe od noclegów pod gołem niebem, przeto zdaje się kusicielowi, że mnie namówi na łóżko pod dachem. Głupi! *Apage satanas*, odczep się odemnie — krzyknął mnich i walił dokoła siebie laską.

Bertold uśmiechnął się pod wąsem.

— Po tylu nocach, przespanych na ziemi, należałoby się wam wistocie ciepłe łóżko—rzekł.—Każdy zamek ugości was chętnie, a jeśli się obawiacie domów świeckich, jest w tych stronach mnóstwo klasztorów.

— W zamkach i klasztorach stron tutejszych gnieździ się śmiertelny grzech pychy—odparł zakonnik, przypatrując się nieufnie Bertoldowi i jego ludziom.—Mógłbym się otrzeć mimowoli o jakiego potępieńca, od których się wasza okolica roi. Wolę pod sobą gołą ziemię, a nad sobą jasne niebo. Bezpieczniej tak...

— Nie lękacie się złych ludzi?

— Zkąd przychodzicie, iż nie wiecie, że nawet najgorsi z pomiędzy złych szanują suknię św. Benedykta—rzekł mnich zdziwiony.—Kto wy jesteście?

Bertold spojrzał uważnie na zakonnika. Nie miał on na sobie zwykłego, obcisłego habitu benedyktynów niemieckich, lecz obszerną suknię z szerokiemi rękawami. Na jego czaszce świeciła ogromna tonsura.

Po tym stroju poznał Bertold mnicha reformowanego, jadnego z owych ascetów jedenastego stulecia, którzy usiłowali zamienić całą ziemię w klasztor.

Dwór królewski nie lubił tych nowatorów, posądzał ich bowiem o szerzenie nienawiści do tronu i świeckiego duchowieństwa.

Bertold odpowiedział zapytaniem:

— A wy zkąd przychodzicie, iż nieznacie pana tej ziemi?—rzekł szorstko.

— Jakiej ziemi?

Bertold wskazał ręką swój zamek.

— Czy nie słyszeliśbie nigdy o Meersburgu?

— Bertold z Meersburga?! — krzyknął mnich, kreśląc przed sobą znak krzyża.

Wyciągnąwszy ręce w stronę wyklętego, szeptał egzorcyzmy.

Bertold dotknął konia ostrogami i wpadł szybko do lasu, jakby uciekał przed niebezpieczeństwem.

Gdyby był wiedział, kim był ów mnich i z czem jechał do Niemiec, byłby go był kazał zamknąć w wieży meersburskiej aż do dalszego rozporządzenia króla. Nikły człowieczek z twarzą wysuszoną, na której gorzały duże niebieskie oczy blaskiem niezwykłym, niósł w głąb rzeszy pożar, od którego zapaliły się miliony wiernych serc, którego dym tłukł się jeszcze wówczas nad zachodnią Europą, kiedy nienawiści i namiętności aktorów wielkiej tragedyi, znanej pod nazwą „*Kanossa*“, zgasły już dawno w grobowcach kościołów i kaplic zamkowych.

Bertold pędził galopem, ścigany egzorcyzmami zakonnika. Nie lubił reformowanych braci św. Benedykta, ale lękał się ich zażegnywań z trwogą za-

bobonną. Wszakże wiadomem było powszechnie, iż nowatorowie świecili szczerą pobożnością, zachowywali ścisłą regułę klasztorną, męczyli się postem, biczowaniem, nocną modlitwą. Lud czcił ich, jak istoty nadziemskie, przyznając im moc cudotwórczą.

I Bertold, chociaż należał do oświeconych swojego czasu, podzielał wiarę gminu.

Przeto uciekał w las, obawiając się, by mnich nie rzucił na niego jakiego czaru. Dopiero, gdy oddalił stę znacznie od łąki, zwolnił biegu.

Wyjechawszy znów na drogę, posłał tęskny wzrok ku granicy egolheimskiej. Tyle razy wyczekiwał daremnie aż do późnej nocy...

Na ścieżce polnej przysiadła samotnie rozłożysta grusza. Otaczały ją zewsząd cienie wieczoru, które padały z lasu na drogę i zagony. Ona tylko jedna rumieniła się, skąpana w promieniach zachodzącego słońca. Smuga złotawych blasków usłała się przed nią.

Na tem jasnem tle świeciło coś zdaleka, jakby puklerz błyszczący. Ktoś stał pod drzewem w zbroi, z ręką opartą na mieczu.

Bertold przysłonił oczy dłonią. Nagle zabiło mu serce gwałtownie. Z pod szyszaka nieznanego rycerza spadały na purpurowy płaszcz czarne, długie włosy, poniżej napierśnika było widać białą suknię niewieścią.

— Judyta!—szepnął Bertold uradowany.

— Zostaniecie tu — rozkazał burgrabiemu. — Gdybyście usłyszeli mój róg, nadbiegniecie niezwłocznie.

Zsiadłszy z konia, szedł ku gruszy.

Kiedy się zbliżył do Judyty na kilka kroków, zdjął szyszak z głowy i ugiął zwyczajem rycerskim przed narzeczoną kolan.

— Tęsknota moja pragnie ucałować kraj twojej sukni—mówi głosem smutnym—ale dane słowo krępuje jej lotne skrzydła. Witaj mi, Uto! Już mniema-

łem, iż chcesz o mnie zapomnieć. Tyle razy przybywałem daremnie na miejsce, wskazane przez ciebie.

Judyta pochyliła się ku przodowi, jak gdyby chciała ku niemu podejść, cofnęła się jednak szybko i odrzekła:

— Nie moja zła wola naraziła cię na zawód przykry, dwa razy jechałam na granicę twojego państwa, lecz zawsze nawracała mnie z drogi nieprzewidziana przeszkoda. Raz ciągnęli gościncem kupcy do Konstancyi, drugim razem powstrzymał mnie hufiec grimmiński. Witaj mi, Berti, i bądź dobrej myśli. Bóg miłosierny zdjął z mojej duszy srogi niepokój.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie i pochyliła się znów ku przodowi, ale cofnęła się powtórnie.

Wzrokiem promiennym obrzucił ją Bertold.

— A ja obawiałem się—mówił, nie podnosząc się z kolan — że złość ludzka odwróciła twoje serce odemnie. Więc ty nie brzydzisz się wyklętym, nie podzielasz nienawiści gorliwców do wiernych sług korony, nie lękasz się kary Boga za obcowanie z nieszczęśliwym, którego obowiązki rycerza i Franka poróżniły z Kościołem? Powiedz mi to, Uto, powiedz najdroższa, dziesięć, sto razy, abym mógł dziś śnić o naszem szczęściu przyszłem.

— Mówił mi ojciec Wolfram, świątobliwy pustelnik, zaszczycający moje lasy swoją pobożnością — odpowiedziała Judyta—że szczera pokuta maże grzech najcięższy, a ojciec Wolfram rozumie lepiej głos Boga od wielu mnichów i świeckich duchownych. I mówił mi jeszcze ojciec Wolfram, że słodki Jezus, który przygarnął do litościwego serca nawet jawnogrzesznicę, przebaczy mi obcowanie z wyklętym, jeśli moja prośba skruszy twoją pychę. Ty nie będziesz pysznym wobec Kościoła, Berti, ty ukorzysz się przed namiestnikiem Chrystusowym, ty poddasz się pokucie, aby ci Bóg przebaczył błąd młodości i przyjął cię napowrót do łaski Swojej.

Złożyła ręce z prośbą i mówiła głosem ciepłym

— Nie opieraj się, najdroższy, nie oddalaj siei bie własnowolnie odemnie, nie chciej, by się nas rodziciele, co nas złączyli na wędrówkę doczesną. smucili na drugim świecie.

A kiedy Bertold milczał, uczyniła krok naprzód i błagała:

— Nie rozrywaj węzła, który nas spętał do śmierci, nie obciążaj swojego sumienia moją rozpaczą. Kocham cię, Berti, i chcę należeć tylko do ciebie.

On wyciągnął do niej ramiona i posunął się ruchem mimowolnym ku niej na kolanach.

— I ja kocham ciebie, Uto—rzekł głosem drżącym — i jedynie twojej miłości będę odtąd pożądał, ale między tobą a mną stoi nietylko moja wola. Gdybym był zwykłym rycerzem, nie wahałbym się ani chwili. Za cenę twojej miłości leżałbym w prochu przez trzy dni i trzy noce w kruchcie kościelnej, spełniłbym bez szemrania najcieższą pokutę. Posłuchaj mnie, Uto...

I znów posunął się ku niej na kolanach, a ona uczyniła jeszcze krok naprzód. Dzieląca ich przestrzeń zmniejszyła się znacznie.

— Będę mówił do ciebie, jak Frank do Frankonki—ciągnął Bertold dalej.—Wiedz, iż nie bezbożność poróżniła mnie z biskupem rzymskim, albowiem i ja jestem wiernym synem Kościoła katolickiego i pragnę gorąco oglądać Boga po śmierci. Gniew Hildebranda ściągnęły na mnie względy świeckie, przyczyny, nie pozostające w żadnym związku z wiarą. Ty nie wiesz może, iż zamiary Hildebranda grożą potędze korony niemieckiej, iż nowy papież chce zdruzgotać władzę króla i oddać jego i nas wszystkich, cały świat pod panowanie duchowieństwa. Nie my, których ojcowie zbudowali rzeszę, mamy rozkazywać na ziemi, zlanej obficie krwią wielu pokoleń, lecz rzymskie mnichy, cudzoziemcy, potomkowie naszych wrogów dziedzicznych. Na to nie może się król zgodzić.

Judyta słuchała bardzo uważnie. Po raz pierwszy dowiadywała się o rzeczach, o których z nią dotąd nikt nie mówił.

Wiedziała jednakże, iż należała do wielkiego narodu, powołanego przez Boga do rządów na ziemi. Tak uczył ją ojciec, tak wierzyła jej duma. Od czasów niepamiętnych było plemię frankońskie prawodawcą cesarstwa rzymskiego i wójtem, puklerzem Kościoła. Miałżeby się ten stosunek zmienić? Dlaczego?

Jak Bertold, jak znakomita większość rycerstwa średniowiecznego, oddzielała Judyta sprawy świeckie od duchownych. Mimo żywej wiary, zdziwiłaby się bardzo, gdyby kto chciał krępować jej wolę w granicach jej państwa. Na zamkach hohenauskich rozkazywała ona — w województwie wojewoda — w całej rzeszy król. Inaczej nie wystawiała sobie porządku społecznego. Wyżsi duchowni, biskupi i opaci posiadali przecież rozległe dobra i własne drużyny zbrojne. Niech rządzą u siebie...

Tylko jednostki, sterane długiem życiem, jak matka Bertolda, lub trawione wyrzutami sumienia, jak pustelnik Wolfram, zlewały się zupełnie z Kościołem, obojętne na sprawy tego świata. Ale Judyta była jeszcze zbyt młodą i zbyt spragnioną szczęścia doczesnego, którego dotąd nie zaznała, by się mogła wznieść do ascetycznego ideału chrześcijaństwa.

— Dziwną opowieść słyszę z ust twoich—odezwała się.

— Oprócz zamiarów biskupa rzymskiego—pouczał ją Bertold dalej — grozi koronie samolubstwo książąt, którzy dążą do niezależności. Każdy z większych wojewodów i margrabiów chce być u siebie panem samowładnym, niepomny na dobro całości. I na to nie może się zgodzić król, jedyny łącznik poszczególnych części państwa. Broniąc starej sławy rzeszy niemieckiej, walczymy my, przyjaciele i doradcy króla, z jednej strony z biskupem rzymskim,

z drugiej z książętami, i oto nasza cała wina. Żaden z nas nie pragnie rozterki z Kościołem, wszyscy bolejemy nad tem, co się stało, ale Hildebrandowi ustąpić nie możemy, bo gdybyśmy uznali jego uroszczenia, zasiadłby wkrótce na tronie niemieckim jaki mnich.

— Mnich? — zawołała Judyta, zapomniawszy o klątwie, ciążącej na Bertoldzie. — Mnich na tronie?

Córę rodu rycerskiego, praprawnuczkę naczelników walecznego plemienia, rozśmieszył ten pomysł.

— Mnich będzie rozkazywał wojsku, zasiadał na sądach, wynagradzał zasłużonych wojowników?— mówiła, potrząsając głową przecząco. — Żartujesz, Berti. Tego żaden papież nie może chcieć, byłoby to bowiem szaleństwem.

— Czy tego Hildebrand chce — odrzekł Bertold — trudno dziś jeszcze odgadnąć, tyle jednak już pewna, iż uważa królów za swoje sługi.

— Królów.... za... swoje... sługi? — mówiła Judyta, dziwiąc się coraz więcej.

Ani ona, ani Bertold nie rozumieli, że śmiałemi krokami Grzegorza VII-go powodowały cele, nie pozostające w żadnym związku ze zwykłemi namiętnościami ludzkiemi. Ich dusze, przykute do ziemi, nie mogły podążyć za wysokim lotem męża, który chciał wcielić królestwo niebieskie ewangelii na tym tu świecie. W ich mniemaniu grzeszył, kto podnosił rękę na koronę.

— Tego nie chce Bóg—rzekła Judyta—stoi bowiem wyraźnie napisano: oddaj cesarzowi, co jest cesarskie.

— Tak samo twierdzą nasi biskupi dworscy — zawołał Bertold uradowany. — Widzisz, Uto, iż nie jestem tak winny, jak mniemałaś.

I znów przysunął się do Judyty. Dzieliła ich już tylko mała przestrzeń.

— Rozmiarów twojej winy nie znam — odpowiedziała Judyta—wiem tylko od ojca, że rycerz fran-

koński, opuszczający króla w chwili ciężkiej, jest godniejszym pogardy od niewolnika, który znęca się nad chorym panem.

— Uto, śnie złoty nocy moich, ty mnie nie potępiasz?

Był tuż przy niej; widział nad sobą jej usta uśmiechnięte, jej oczy płomienne, wpatrzone w niego z miłością. Chciał objąć jej stopy, jej kolana, ale przypomniał sobie dane słowo i zapanował nad sobą.

— Powiedz, że mnie nie potępiasz—prosił.

Ona pochyliła się nad nim tak nizko, iż czuł na twarzy jej oddech.

— Nie szanowałabym cię, gdybyś opuścił króla—mówiła—lecz staraj się pogodzić przysięgę wasala z obowiązkami katolika. Ukorzysz się przed Bogiem?

— Korzę się przed nim codziennie..

— Pogodzisz się z Kościołem?

— Nie pragnąłem nigdy wojny z szafarzem łask Boskich.

— Poddasz się pokucie?

— Uczynię to natychmiast, gdy nasi biskupi uznają Hildebranda.

— Pamiętaj, Berti— rzekła Judyta głosem stłumionym, rumieniąc się — że twój spokój jest moim spokojem, twoje zbawienie mojem zbawieniem.

Podała Bertoldowi obie ręce. On pochwycił je, przycisnął do czoła, do ust, do piersi.

— Za twoją dobroć zapłacę ci miłością całego życia—szeptał.

Chciał ją objąć, przygarnąć do bijącego serca, ale ona cofnęła się nagle, przypomniawszy sobie klątwę.

— Za wiele dziś grzeszyłam, Berti — wyrzekła, przykładając róg do ust.—Rozejdźmy się, by nas Bóg nie ukarał za nieposłuszeństwo.

Trzy krótkie dźwięki zmąciły ciszę wieczorną, rozlewając się echem po lesie.

Na znak ten wypadło z po za olbrzymiego kopca granicznego, który rozdzielał Egolsheim od Hohenau, dwudziestu zbrojnych mężów.

— Pokłońcie się wolnemu panu z Meersburga— rzekła Judyta do swoich ludzi. — To wasz przyszły rozkazodawca.

Pachołkowie hohenauscy uchylili przed Bertoldem mieczów, a on pomógł Judycie dosiąść konia i patrzył za nią dopóty... dopóki jej cienie wieczoru nie przesłoniły. Poczem wrócił do swojej drużyny.

Jeszcze było słychać na drodze brzęk zbroi i broni, kiedy się z lasu, nawprost owej gruszy, wychyliło dwóch ludzi.

Jeden z nich ogromny drab, rozejrzawszy się ostrożnie dokoła, odezwał się półgłosem:

— Znów się nie udało. Ta hałastra hohenauska była za blizko. Byliby nas dogonili.

— Bo mówiłem—mówił drugi — żeby wziąć tę dzierlatkę siłą. Z hohenauczykami daliby sobie nasi chłopcy radę.

— Jak kto głupi, nie powinien otwierać dzioba—ofuknął go pierwszy. — Myślisz, że to zabawka z kupczykami, albo zwykła bijatyka. To porwanie dziewicy szlachetnego rodu. Za taką sztukę możemy dyndać na murach zamku, a najwyżej nasz stary zbój, któremu się powróz już dawno należy.

— Strasznie zaciął się stary na panią z Hohenau. Musiała mu bardzo dokuczyć, kiedy obiecał nam wolność za jej porwanie.

— Rozumie się, że mu dokuczyła. Przypomniała mu, że jest wasalem hohenauskim, jemu, który opowiada nawet grajkom wędrownym, iż pochodzi od książąt allemańskich; zmusiła go do hołdu i kazała wypędzić z dziedzińca, jak włóczęgę. Tego upokorzenia nie zapomni jej stary Werner, chociażby miał zemstę gardłem przypłacić. Ale co nam do tego. Pan rozkazuje, poddany słucha. Za obiecaną

wolność warto się otrzeć o szubienicę. Już mi się ciężka ręka pana Rudolfa sprzykrzyła.

— I mnie — mówił drugi grimmińczyk.—Jadła i piwa nasi panowie nie żałują, trzeba im to przyznać, ale pięści mogliby rzadziej używać. Za byle co buch w gębę, że zęby trzeszczą. Na plecach i pod krzyżem mam skórę tak niebieską, jak nasze jezioro w dzień pogodny. Wolałbym już wisieć, niż kłaść się ciągle na ławę i brać rózgi, nie wiadomo za co.

— Gdybyśmy się tym razem wzięli niezręcznie do roboty, kazałby nas stary zasiec na śmierć. Pamiętaj, co mówił: pochwycić panią z Hohenau tak, żeby gwałtu nawet ptaki nie dostrzegły. Porwać ją nagle w chwili, gdy się nie będzie spodziewała zdrady, i biedz z nią dla zmylenia pogoni w stronę przeciwną naszemu zamkowi. I wara od jej ciała, krzyczał stary. Trzymać ją w łapach ostrożnie, noża nie dobywać z za pasa... Straci obiecaną wolność, kto zadraśnie skórę pani z Hohenau, choćby tylko paznogciem. A tybyś ją chciał wziąć siłą... żeby się nazajutrz cały okrąg trząsł na nas z oburzenia. Stary wie bardzo dobrze, iż przedsiębierze tym razem coś takiego, za co można się poznać z katem.

BIBLIOTEKA

VII. JANA SZKODZIŃSKIEGO

Mnich kluniacki, uciekając przed Bertoldem, zatrzymał się dopiero po drugiej stronie Konstancyi.

Nazajutrz ze świtem ruszył w dalszą drogę pod opieką zbrojnego pachołka, który trzymał się jego boku z uporem cienia.

Jechali ostro, chociaż reguła św. Benedykta zalecała braciom ruchy wolne, poważne, namaszczone.

Gdy mijali wsie, osady, mieszkania ludzkie wogóle, nasuwał mnich na głowę kaptur, gdy spotkali na drodze niewiastę, odwracał oczy, aby ich nie zgorszyć widokiem córy Ewy, której „niemądra ciekawość oddała ród ludzki w ręce szatana". W godzinach, oznaczonych przez regułę, przystawał, schodził z konia, zdejmował rękawiczki i odmawiał przepisane modlitwy.

Trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem, posilał się ubogą strawą nędzarza. Skibka chleba i kawałek suszonej ryby wystarczały dla jego nikłego ciała. Wodę czerpał sam z rowów i strumyków.

Przed każdym wypoczynkiem czytał z „Żywotów świętych," modlił się, kładł się twarzą na ziemię i płakał gorzkiemi łzami, przepraszając Boga za to, że nie mógł się obyć bez pokarmu.

Zbrojny pachołek klasztorny towarzyszył mu właściwie tylko dla zwyczaju, nie groziło mu bowiem żadne niebezpieczeństwo. Słaby mnich jechał bez obawy krajem, najeżonym zamkami, rozbrzmiewającym ciągle szczękiem oręża. Mijały go tabory kupieckie, ciągnące, jak na wojnę, pod osłoną licznych łuków, kusz i włóczni; mijali go rycerze, ale nikt nie podniósł ręki na sługę ołtarza. Mieszczanie ustępowali mu z drogi, szlachta pozdrawiała go uprzejmie, chłopi całowali kraj jego sukni.

Jeszcze nie zawrzała walka pomiędzy królem a papieżem, jeszcze nie podzieliła nienawiść katolików na dwa obozy, nastające na siebie z wściekłością śmiertelnych wrogów. W rzeszy nie rozległ się dotąd burzą brzemienny okrzyk: tu król — tu papież! Ludy germańskie nie rozpadły się jeszcze na zwolenników tronu i Stolicy Piotrowej.

Mnich zdążał na północ. Trzeciego dnia przekroczył Dunaj pod Sigmaringen, piątego pod wieczór zbliżał się do Nekara, w pobliżu Tybingi. Gdy stą-

nął nad rzeką, zastał u przewozu drugiego zakonnika.

Pozdrowiwszy się zwykłem: *benedicite!* spojrzeli na siebie konfratrowie, jak dwa psy z innych wsi, nieufnie, z podełba.

Łączyła ich ta sama suknia, ale było to wszystko, co mieli z sobą wspólnego.

Drugi mnich, mąż dobrego wzrostu, dobrej tuszy, czerstwy, rumiany, doskonale wykarmiony, miał na sobie nowy, czysty habit z lekkiej wełny. Wiało od niego zdrowie i zadowolenie z życia.

Jego suknia różniła się krojem od habitu konfratra. Więcej obcisła, niż luźna, bez szerokich rękawów, była podobna do sutanny świeckich duchownych.

Jak sługa obok pana, wyglądał obok niego mnich kluniacki, odziany w wyszarzałą, poplamioną, u dołu wystrzępioną suknię. I pokornie, jak sługa, stał nad brzegiem rzeki, spuściwszy głowę.

— Wy zdaleka, bracie? — zapytał drugi mnich po łacinie.

— Z Burgundyi, z Clugny—odpowiedział pierwszy w tym samym języku.

— Z klasztoru wielkiego Hugona?

Ciekawie spojrzał teraz drugi mnich na Burgundczyka.

— Powinienem się był tego domyślić po waszym stroju—rzekł.—Czy wam nie za gorąco w tym obszernym, ciężkim habicie?

— Naszemu Panu, Jezusowi Chrystusowi, było jeszcze goręcej, gdy szedł z krzyżem na Golgotę — odpowiedział Burgundczyk, nie podnosząc głowy.— A wy zkąd?

— Z Lorsz, bracie.

— Z tego, pod Wormacyą?

— Tak, z Lorsz frankońskiego.

Szybko nakreślił Burgundczyk na piersiach krzyż i wystawił w stronę Franka dwa palce. Cho-

ciaż się odwrócił, spostrzegł mimo to konfrater jego ruchy.

Rozśmiawszy się całą gębą, rzekł Frank:

— Nie obawiajcie się, nie wezmę was na rogi, bo ich nie mam, i nie zjem was, bo wolę dobrego szczupaka, niż wasze stare kości, powleczone wyschłą skórą. I my, w Lorsz, chwalimy naszego Pana, Jezusa Chrystusa, i czcimy Jego Niepokalaną Matkę, Przeczystą Maryę.

Burgundczyk milczał ze wzrokiem utkwionym w ziemi, odsuwając się nieznacznie od konfratra.

— Powiedzcie mi, dlaczego was opat Hugon przebrał w takie niewygodne suknie — zapytał po chwili Frank — dlaczego nie nosicie naszej starej *cuculli* i golicie prawie całą głowę?

— Słudzy ołtarza, poświęceni wyłącznie Bogu—mówił Burgundczyk—powinni się nawet wyglądem zewnętrznym zbliżać do istot niebieskich. Okrywamy się *froccusem*, zamiast dawną *cucullą*, jak okrywają się cherubowie sześciu skrzydłami. Kaptur ma przedstawiać pierwszą parę skrzydeł, szerokie rękawy drugą, obszerne poły trzecią. Głowę zaś golimy dlatego, albowiem stoi napisano: „Cierniami swoich grzechów opletli skroń moją". Nie dla uczczenia naszego Pana, Jezusa Chrystusa, włożono Mu na skroń koronę cierniową, lecz dla pohańbienia Jego godności. Przeto słuszna, by słudzy ołtarza, których obowiązkiem nieść wstyd Zbawiciela, oszpecali się sami.

Mnich z Lorsch słuchał z uśmiechem pogardliwym.

— Dlatego, by się stać podobnym do Zbawiciela, mrzecie z głodu, pijecie wodę i ubieracie się w brudne łachmany? — rzekł drwiąco.

— Dziwi was to, uczniu św. Benedykta? — zapytał Burgundczyk, podnosząc głowę. — Chyba wiecie, że i Zbawiciel był na ziemi ubogim.

W jego głosie, dotąd cichym, pokornym, było

tyle stanowczości, w jego błyszczących oczach tyle jakiejś wyniosłej pogardy, że się mnich frankoński zaniepokoił. Zwykły brat nie spoglądałby w taki sposób na konfratra.

— Kto wy jesteście? — rzekł. — Jaki jest wasz urząd w klasztorze kluniackim?

— Jestem tak samo, jak wy, najniższym sługą najuboższych ubogich, pocieszycielem nieszczęśliwych i nędznym prochem przed majestatem Odwiecznego. Przypominam wam, iż zbliża się czas nieszporów.

Odwróciwszy się od konfratra, wydobył Burgundczyk z worka psałterz i pogrążył się w modlitwie.

Z niechęcią przypatrywał się Frank kluniacczykowi.

Był on członkiem zgromadzenia, które należało do najbogatszych w rzeszy niemieckiej i szczyciło się rozległemi swobodami. Opactwo Lorsz, przysiadłe na żyznej ziemi frankońskiej w pobliżu Wormacyi, stało tak samo, jak St. Gallen i Fulda, pod bezpośrednią opieką króla, który był jego wójtem i sędzią. Żaden wojewoda, biskup lub hrabia okręgu nie miał prawa mieszać się do spraw klasztornych.

Spory, powstałe między lennikami opactwa, rozstrzygał osobny wyslannik korony, lub w wypadkach nadzwyczajnych, sam monarcha.

Wypłacając się za przywileje, odznaczały się wolne klasztory wiernością dla tronu. Jak wolni panowie i wolni kmiecie, szły i one zawsze z królem, służąc mu chętnie w każdej potrzebie. Był on ich puklerzem przeciw gwałtom rycerstwa, przeto starali się podtrzymać jego potęgę.

A miały czego bronić...

Zwykłą koleją rzeczy na ziemi, na której człowiek psuje, przekształca, nagina wszystko do swojej ułomnej natury, nawet przykazania Boże, wydała chrześcijańska cnota ubostwa skutki wręcz przeciwne

tym, jakie ewangielia zamierzała. Ci, co nie mieli posiadać nic własnego, co mieli wcielić ascetyczny ideał pierwszych Ojców Kościoła, stali się magnatami, zbogaceni właśnie przez ową cnotę ubóstwa.

Prawie każdy rycerz wieków średnich zapisywał, umierając, pewną część swojego mienia zakonnikom, „opiekunom ubogich"; wielu panów fundowało jeszcze za życia kościoły, wyposażało klasztory, oddawało im zamki i sioła, osiadając w nich na stare lata. Kto miał na sumieniu jaki ciężki grzech, starał się przebłagać Boga dobrowolnem ubóstwem i pokorą. Byli wojewodowie i margrabiowie spełniali nieraz w klasztorach najniższe posługi.

Wielką hojnością dla Kościoła odznaczali się wszyscy królowie z domów frankońskich. Nawet znany z oszczędności Henryk III nie skąpił na uczynki miłosierdzia, a Henryk IV miał rękę tak szeroką, iż rozdawał prawie całe swoje dochody osobiste.

W ten sposób stały się klasztory, które miały być dalszym ciągiem pustelniczego życia pierwszych ascetów chrześcijańskich, gwarnemi ulami, przepełnionemi słodkim miodem, znoszonym zewsząd. Dobra opactwa Fulda ciągnęły się od granic południowych aż do północnych rzeszy, rozrzucone po wszystkich dzielnicach, opactwo Lorsz dostarczało na wyprawy wojenne pięciu tysięcy wojowników, swoich lennych rycerzy i pachołków. Nie jeden z opatów był władcą możniejszym od wojewodów i margrabiów.

Dostatek rozluźniał powoli karność klasztorów, pokora zmieniała się w pychę — reguła św. Benedykta wychodziła z użycia. Zakonnicy jedli i pili lepiej od świeckich, modlili się niewiele, ubierali się wytwornie, w kosztowne tkaniny, i wyciągali chciwie ręce po dary i zapisy.

W tej ciężkiej dla Kościoła chwili powstał mąż, który rozniecił znów na czas dłuższy przygasający ogień ascetyzmu. Hugon, zwany Wielkim, opat kluniacki, osobisty przyjaciel cesarza Henryka III, ojciec

chrzestny Henryka IV, nagiął silną ręką nasamprzód swoich mnichów do reguły zakonnej, a następnie rozesłał misyonarzy po Francyi i Niemczech, by podnosili, co upadało, odświeżali, co więdło.

— Byłżeby to jeden z owych psów gończych Hugona—myślał Frank, zerkając z pod czoła na modlącego się konfratra—którzy wietrzą u nas za zwierzyną dla klątw rzymskich?

Kluniacczyk nie zwracał na niego uwagi. Gdy ich rybak przeprawił przez rzekę, rzucił Frankowi krótkie: *benedicite!* dosiadł konia i ruszył dalej ku północy.

Sió[illegible]nego dnia około południa okrążył miasteczko Kalw, leżące na pograniczu Szwabii i Frankonii, i posuwał się wzdłuż rzeczki Nagold.

W obszernej dolinie, otoczonej zewsząd górami, czerniło się tu na zielonem tle łąk i ogrodów mnóstwo drewnianych domków, tulących się do piętrowego, czworobocznego gmachu, obok którego wznosił się kościół.

Sama natura przeznaczyła to miejsce zaciszne na schronisko dla ludzi, zmęczonych wrzawą świata.

Odcięta górami od miast i zamków, zakryta lasami od wichrów, robiła dolina wrażenie pustelni, zapomnianej przez walkę o byt powszedni.

I nikt nie walczył tu wistocie o byt, o potrzebach bowiem mieszkańców osady pamiętała żywa wiara wieków średnich. Kilkadziesiąt wsi dostarczało im chleba, ryb, wina, owoców, wełny i konopi. Pracowały na nich liczne ręce poddanych, młyny, kuźnie i piekarnie.

Cisza pokoju unosiła się nad domkami, których broniły wieże kościoła lepiej od ostrokołów i murów.

Pod osłoną tych wież żyło bez troski o jutro trzystu mężów, oddanych służbie Bożej lub rozpamiętywaniu grzesznej przeszłości. Stu pięćdziesięciu zakonników—kapłanów, dyakonów i alumnów—roiło się w dużym, czworobocznym gmachu, zamkniętym

dzień i noc ze wszystkich stron; reszta, braciszkowie i służba, mieszkali po za klauzurą.

Tej gromadzie, składającej się z najrozmaitszych żywiołów, z dzieci rycerskich, kmiecych i chłopskich, z wielkich niegdyś panów i z nędzarzy, z ludzi światłych i ciemnych, rozkazywał opat Wilhelm, najuczeńszy mnich niemiecki jedenastego stulecia, astronom, matematyk i muzyk, autor kilku dzieł, napisanych w języku łacińskim, i kapłan, głośny z życia bogobojnego.

Do niego to, do rządcy słynnego opactwa Hirszau, jechał mnich kluniacki.

Znali się oddawna, od lat chłopięcych.

Pochodzą obaj ze szlachty bawarskiej; przeznaczeni jeszcze w kołysce przez rodziców do stanu duchownego, chowali się razem, w klasztorze św. Emmerama. Wilhelm okazywał od najwcześniejszej młodości wielką ciekawość do książki—jego przyjaciel Ulryk, wątły, chorowity syn hrabiego z Triburga, krewny książąt z Zähringen, odznaczał się niepospolitą pobożnością.

Zawinięty przez matkę, gdy był niemowlęciem, dlatego w obrus oltarza, by zasiadł kiedyś na stolicy bogatego biskupstwa, zaczął się już hrabia Ulryk posuwać zwykłą drogą paniczów, obleczonych w sukienkę kościelną. Był jakiś czas kapelanem cesarza Henryka III-go, następnie archidyakonem przy boku swojego wuja, biskupa Nizo z Freisingen, miał włożyć wkrótce sam infułę na młodą głowę, kiedy rzucił nagle zaszczyty i odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Wróciwszy z dalekiej drogi, rozdał majątek swój ubogim i został mnichem w Clugny.

Była to jedna z owych natur ascetycznych, których gwałtowne, zmysłowe, brutalne nieraz wieki średnie wydały więcej, aniżeli czasy późniejsze, łagodniejsze. Przeniknięty nawskroś zasadami ewangelii, chrześcijanin podług wzoru pierwszych wyznawców Chrystusa, żył on tylko dla Kościoła.

Teraz jechał do Wilhelma, aby go nakłonić do zreformowania klasztorów niemieckich. Jedyny bowiem tylko opat hirszański, szanowany powszechnie uczony i kapłan, mógłby stawić skutecznie czoła rozluźnionym obyczajom zakonników.

Gdy się ojciec Ulryk zbliżył do opactwa, doszedł go ze wszystkich stron brzęk różnych narzędzi i łoskot z fabryk. W drewnianych domkach pracowali brodaci braciszkowie, ubrani w szare suknie i w buty z cholewami. Tu walił kowal młotem, wyrabiając podkowy i łańcuchy, tam dzwonił złotnik małym młoteczkiem, nabijając okładki do ksiąg drogiemi kamieniami, w innym warsztacie strugał stelmach koła, heblował stolarz deski, zelował szewc trzewiki.

Wszystkie rzemiosła krzątały się dokoła klasztorów, ale nie każdy z majstrów uczył się na świecie dzieł pokoju, które tu wykonywał. Niejeden z nich siedział kiedyś na warownym zamku i żył głośno a hulaszczo, aż mu sterane zdrowie przypomniało, iż czas godzić się z Bogiem.

Z obu stron furty klasztornej znajdowały się dwa większe gmachy. Były to gospody dla pódróżnych, zawsze gościnnie otwarte, zarówno dla możnych, jak dla ubogich. Troska i nędza szły bez obawy do siedzib sług Bożych, wiedziały bowiem, iż znajdą tam zawsze dobrą radę i pomoc.

Ojciec Ulryk zastukał do furty.

W otworze, umieszczonym w murze, ukazała się nasamprzód siwa głowa, potem zaskrzypiał klucz w zamku.

— *Benedicite!*—pozdrowił przybyły furtyana.

— *Benedicite!*—odpowiedział zakonnik i, nie pytając gościa, kim był, zkąd przybywał, pociągnął za sznurek od dzwonka.

Na znak ten wybiegł z klauzury młody mnich, który wziął od kluniacczyka jego węzełek i płaszcz, mówiąc:

— Służę wam, bracie.

Podróżny, odczepiwszy od trzewika ostrogę, z którą zakonnikowi nie było wolno stawać przed obliczem Boga, udał się za konfratrem do kościoła. Tu rzucił się krzyżem na stopnie wielkiego ołtarza i modlił się długo, gorąco Kiedy się nareszcie podniósł, stał obok niego przeor klasztoru.

Szepnąwszy do ucha zastępcy opata hasło, po którem się bracia św Benedykta poznawali, ucałował przeora w oba policzki.

— Wasze zakurzone suknie opowiadają o dalekiej drodze—mówił gospodarz klasztoru.—Może pokrzepicie się nasamprzód, zanim opowiecie, co was do Hirszau przywiodło.

— Słudze Bożemu nie wolno odpoczywać bez potrzeby, bo nikt nie wie, kiedy go Sędzia Odwieczny powoła przed Swój trybunał — odpowiedział ojciec Ulryk. — Chciałbym paść natychmiast do nóg wielebnego opata.

— Wielebny Wilhelm pracuje w bibliotece — rzekł przeor i poprowadził gościa kurytarzem, który łączył kościół z mieszkaniem mnichów.

Klauzura była dużym czworokątem, którego boki tworzyły piętrowe kamienice, a środek zajmował ogród, ozdobiony cysterną. Dokoła ciągnęła się kolumnada, ocieniona lipami.

Na zewnątrz klauzury, tuż pod jej murami, znajdował się dom drewniany, oświetlony małemi szybami, oprawionemi w ołów.

Przed tym domem zatrzymał się przeor z gościem i rzekł:

— Wejdźcie! Pana opata poznacie po złotym łańcuchu.

W obszernej nizkiej izbie ujrzał ojciec Ulryk dwa szeregi pulpitów, ustawionych wzdłuż ścian, a na każdym z nich leżały olbrzymie księgi, przykute do niego łańcuchem.

Kluniacczyka zdziwiło bogactwo biblioteki hirszauskiej, księgi bowiem takie były bardzo drogie

i nie każdy klasztor mógł sobie pozwolić na wolumina pergaminowe.

Oprócz owych wielkich tomów, świeciły na półkach złocone grzbiety kilkuset mniejszych, a z szaf wyglądały różne narzędzia matematyczne.

W środku izby było kilka stołów. Siedzieli przy nich bracia św. Benedykta, zajęci pisaniem.

Jeden tylko z nich, który miał na szyi złoty łańcuch z pieczęcią klasztoru, nie pisał, lecz czytał, rozłożony w wygodnem krześle z poręczami.

Do tego podszedł ojciec i, zanim opat Wilhelm zdążył podnieść głowę, rzucił się do jego stóp.

— Czego to? — odezwał się opat głosem ostrym, w którym drgała niechęć.—Nawet tu mnie niepokoicie? Nie możecie to czekać na kapitułę?

Sądził, że któryś z jego mnichów przyszedł go prosić o przebaczenie za jakieś przestępstwo reguły, poznawszy jednak po stroju obcego, odsunął książkę, przetarł ręką oczy, znużone czytaniem, i podniósł się z krzesła.

Był to mąż wysoki, chudy, zupełnie łysy, chociaż liczył dopiero lat czterdzieści ośm. Na tyle czaszki miał kilka strzępów zwiędłych włosów. Życie ascetyczne wyssało z jego przedwcześnie pożółkłej pergaminowej twarzy wszystką krew i rozpaliło jego czarne, przenikliwe oczy owym dziwnym ogniem, który tryska tylko ze źrenic natchnionych, fanatycznych lub rozgorączkowanych chorobą. Zwarte usta i mocno rozwinięta broda świadczyły o silnej woli.

— Z drogi przybywasz? Z którego klasztoru?— pytał opat Wilhelm.

— Przynoszę Waszej Wielebności pozdrowienie z Clugny, od wielkiego Hugona—odpowiedział ojciec Ulryk.

— Podnieś się!

Głos opata był szorstki, słowa wypadały z jego ust urywane, szybkie, jakby niecierpliwe.

Kiedy się gość dźwignął z ziemi, spojrzał na niego opat uważnie.

Nagle otworzył ramiona i zawołał uradowany:

— Ulryk? Prędzejbym się nagłej śmierci spodziewał, aniżeli ciebie w naszych stronach. Tyle lat, tyle lat... Witajże mi stary druhu... Opowiadał mi jakiś mnich wędrowny, że zarobiłeś sobie już życiem bogobojnem na koronę niebieską. Musisz być znużony, głodny...

Przyjaciele uściskali się serdecznie.

Opaci bogatszych klasztorów mieszkali zwykle w osobnych pałacach, znajdujących się po za murami klauzury, chociaż reguła nakazywała im przebywać ciągle z braćmi. Historya zna nawet takich, którzy stawiali sobie na poblizkich wzgórzach zamki i żyli w nich obyczajem rycerskim, otoczeni zbrojnym dworem.

Ale Wilhelm, posłuszny regule zakonnej, nie chciał się oddalać od gromady, powierzonej jego pieczy. Przeto zajął dla siebie w klauzurze trzy cele, z których jedna była skarbcem klasztoru, druga jego sypialnią, trzecia pracownią.

Odprowadziwszy gościa do swojego mieszkania, kazał podać wina, chleba i owoców.

— Do wieczerzy jeszcze daleko — zachęcał. — Pokrzep się i mów, co cię przywiodło do Hirszau, bez celu bowiem nie podjąłeś drogi tak dalekiej. Zestarzałeś się, Ulri. Gdyby nie twoje oczy, zawsze gorejące światłem niebieskiem, nie byłbym cię poznał.

Przyjaciele patrzyli na siebie.

Nie widzieli się już lat dwadzieścia. Życie ascetyczne przeszło po nich stopą niszczącą. Zbliżali się dopiero do kresu piątego krzyżyka, a byli już starcami.

— I ciebie nie szczędziły lata—odezwał się ojciec Ulryk, zwilżywszy usta winem.

— Dużo pracowałem, modliłem się, szamotałem się z sobą, zanim zdobyłem spokój serca i pogodę umysłu—odrzekł opat. — Ty wiesz, Ulryku, że szatan kusi głównie nas, sługi ołtarza, a walka z nim bywa nieraz ciężka.

— Bardzo ciężka—przywtórzył ojciec Ulryk.

Siedzieli na prostych zydlach w małej izbie, założonej książkami. Na półkach, na stołach, na podłodze — wszędzie było widać zwoje pergaminów, mapy i plany.

Ojciec Ulryk obrzucił warsztat uczonego wzrokiem pogardliwym.

— Tobie utrudniały walkę z szatänem te zdradzieckie szpargały, przesiąkłe pychą człowieka—rzekł, wskazując ręką książki i narzędzia. — Na co ci kusiciele? Na co przyda się zaciekanie w rzeczach zakrytych, kiedy w dzień sądu nie oskarżą nas o to, żeśmy ich nie znali? Wielki to nierozum, iż zaniedbawszy rzeczy pożytecznych, uganiamy się za tem, co jest ciekawe a niebezpieczne. Co nas mogą obchodzić szkolne rozprawy o rodzajach i gatunkach prawdy? Do kogo przedwieczne słowo przemawia, ten się nie wikła w rozliczne zdania. Czy ciebie zajmują jeszcze te kłamstwa, wymyślone przez pogan gwoli zabawie próżniaków?

Wilhelm utkwił wzrok w suficie, zamyślony, skupiony w sobie. Gorycz rozlała się na jego ustach.

— Pożegnałem się od pewnego czasu z mądrością świata, albowiem szukałem w niej daremnie spokoju i równowagi—mówił półgłosem. — Pogańscy mędrcy nie powiedzieli mi nic takiego, o czemby nie wiedział najgłupszy brat św. Benedykta i najciemniejszy chłop, słuchający z uwagą naszych kazań. Nicością jest wszystko, czego człowiek pożąda na ziemi, za czem dąży, co go roznamiętnia — uczą ostatecznie filozofie Grecyi i Rzymu tak samo, jak ewangielia. A ta garść wiadomości? Jaki z nich po-

żytek? Czemże one w porównaniu z trwogą, która męczy człowieka na progu grobu? Ludzie zowią mnie uczonym, bardzo uczonym. Wiem wistocie więcej, niż prałaci, wychodzący ze szkół dworskich, wypiłem morze domysłów, hypotez, pewników naukowych; tłukłem się po wszystkich polach wiedzy. I czegóż się dowiedziałem? Oto tego, iż siła rozumu ludzkiego jest ograniczona, malutka, nie warta, by śmiertelnik poświęcał dla niej spokój sumienia. Przeto położyłem krzyż na księgach mędrców pogańskich i odwróciłem się od nich, jako od wstrętnych trupów. Teraz wiem i wierzę całą duszą, iż jedno jest tylko potrzebne człowiekowi, to jest zbawienie, a niema w nikim innym zbawienia, tylko w Jezusie Chrystusie i przez Jezusa Chrystusa. Wiara w Jego słowo, posłuszeństwo przykazaniom, naśladowanie cnót Jego, oto całe życie, a nadto niema innego; reszta jest marnością, bo co więcej ma człowiek ze wszystkiej pracy swej? Bogactwa, rozkosze, nauka, sława, czemże są, kiedy ciało pójdzie do ziemi, z której wzięte, a duch powróci do Boga, który go dał?

W miarę jak opat mówił, ożywiała się zwiędła twarz mnicha kluniackiego. Na jego policzki wystąpił ceglasty rumieniec, oczy błyszczały fosforycznie.

— Chwała Tobie, Boże, na wysokościach! — zawołał, podnosząc ręce do góry, kiedy Wilhelm skończył. — Obawiałem się, że twoja namiętność do książek będzie się zamiarom naszym sprzeciwiała. Ty porzuciłeś naprawdę grzeszną naukę świecką, odwróciłeś się od tego cmentarzyska ludzkiej głupoty? Powiedz mi to, powtórz jeszcze raz, aby się serce moje radowało. Zastałem cię w bibliotece. I twoje mnichy ślęczały nad księgami.

— Moje mnichy teraz już przepisują tylko Ojców Kościoła i poprawiają kopię Pisma Świętego, do których zakradło się wiele błędów — odrzekł opat.— Ksiąg świeckich nie otwieram od lat kilku, od chwi-

li, kiedy zmiarkowałem, że odwodzą mnie one od cnoty pokory. Zaczynałem być wrażliwy na to, co ludzie o mnie mówili, gniewałem się na przeciwników moich odkryć i wynalazków, pochlebiał mi rozgłos, nadymała sława. Przeto wszedłem w siebie i wyrzekłem się mądrości tego świata, albowiem kto zna siebie dobrze, ten czuje całą nikczemność swoją i nie kocha się w pochwałach ludzkich.

Powiódł wzrokiem z żalem po swojej pracowni i zakrył oczy dłonią, jak gdyby nie chciał patrzeć na niemych świadków wielu nieprzespanych nocy, które spędził wśród nich, śledząc bieg gwiazd, dowiadując się, iż rozum ludzki jest tak nikły, tak ułomny, jak ciało.

— Mów, z czem przyjechałeś do Hirszau — rzekł.

Ojciec Ulryk przysunął się do niego z krzesłem i zaczął stłumionym głosem.

— Tobie, gorliwemu pracownikowi w Winnicy Pańskiej, nie potrzebuję przypominać, że świat się zestarzał, że błyszczy jak spróchniała wierzba zwodniczym blaskiem zgnilizny. Odwróciło się słabe serce ludzkie od Boga, skuszone obietnicami księcia piekieł. Na górze i na dole, w pałacach możnych i w chatach ubogich, tarza się cielsko w rozpuście, jako wieprz w błocie, rozgościła się chciwość złota, ziemi, zaszczytów. Mądrość tego świata podała na pośmiewisko cnoty pokory, ubóstwa i posłuszeństwa, rozum śmiertelny gardzi koroną niebieską. Nawet słudzy ołtarza, którzy powinni być jasną pochodnią w ciemnościach grzechu, modlą się do szatana, błagając go o pastorały i lenna. Biskupi i opaci kupują stolice za podłe pieniądze, plebani nie chcą się poddać celibatowi, zakonnicy stroją się w wykwintne suknie i błyszczą pierścieniami jak zalotne niewiasty, które niechby piekło już raz pochłonęło, by przestały kusić wiernych synów Kościoła. W takich czasach należy naprawa ginącego świata do nas, ubo-

gich, pokornych, posłusznych naśladowców Chrystusa Pana, do uczniów św. Benedykta, nad którymi szatan, krążący ciągle nad ziemią, nie ma żadnej mocy. Ale kto chce naprawiać, dźwigać, leczyć, powinien być sam zdrowym, tylko bowiem zdrowa, światłem niebieskiem ogrzana dusza, przemówi skutecznie do serc chorych. Trzeba zmusić mnichów do dawnej prostoty, wypędzić z nich pychę, chciwość i niedbalstwo w służbie Bożej, aby się mogli oddać wszystką myślą wielkiemu dziełu odrodzenia ludzkości.

— Może ci wiadomo — wtrącił opat — że trzymam w moich klasztorach na wodzy przyrodzoną złość natury ludzkiej, o ile to w mocy jednego męża.

— Sława twojej bogobojności doszła i do nas, do Clugny — mówił ojciec Ulryk żywiej — ale to za mało, Wilhelmie, za mało. Komu Bóg dał władzę, od tego żąda więcej.

— Cóż mam czynić, by przebłagać Boga za owe lata, które książki zabrały trosce o zbawienie duszy? Powiedz, czego żąda odemnie opat Hugon?

— Wielki Hugon prosi cię przezemnie, abyś mu pomógł do zreformowania klasztorów rzeszy, jego bowiem siły nie starczą do walki ze wszystkimi opatami. Poślij do Clugny dwunastu ze swoich kapłanów. Przypatrzywszy się tam świętobliwemu żywotowi braci kluniackich, nauczywszy się karności, bezwzględnego posłuszeństwa i cnót pierwszych chrześcian, wrócą do ciebie, jako siewcy zdrowego ziarna. Gdy naprawisz z ich pomocą swoje klasztory, wówczas rozrzucisz najzdolniejszych kaznodziejów po Frankonii i Szwabii, by oddziaływali z ambon na świeckich wiernych. Ja ze swojej strony uczynię to samo z Zellu, gdzie obejmuję w przyszłym miesiącu nowy klasztor, jako przeor z ramienia Hugona. W ten sposób ogarniemy we dwóch te dzielnice rzeszy, w których szatan najwięcej wichrzy.

Rzekłszy to, wpatrzył się chciwie w twarz opa-

ta, czekając z zapartym oddechem na odpowiedź. Jego powieki i usta drgały nerwowo.

— Dochodzą mnie wieści, że mnichy kluniackie podburzają lud przeciw władzy świeckiej — mówił opat zamyślony. — Nie chciałbym się przyczynić do pomnożenia niezgody w rzeszy. Jest jej i tak za wiele.

Ojciec Ulryk zerwał się z krzesła i stanął tuż przed opatem.

— Cóż ciebie, sługę Boga, może obchodzić rzesza niemiecka!—zawołał gwałtownie.—Jedyną rzeszą jest dla ciebie Kościół, jedyną władzą Namiestnik Chrystusowy. Wszakże uczy św. Tertulian: nie ma dla nas nic obojętniejszego od państwa, a św. Chryzostom mówi: tylko grzech uczynił państwo koniecznem. Z gwałtu, z samowoli rodzi się wszelka władza świecka, a jedyny tylko Kościół pochodzi z Boga, bo Kościół, to Bóg. Dla nas, uczniów Jezusa Chrystusa, niema rzeszy, króla, cesarza. Ojczyzną naszą jest cały świat chrześcijański. Gdzie się wierni modlą do Boga w Trójcy Świętej Jedynego, gdzie czczą Przeczystą Maryę, gdzie mocny wspiera słabego, bogaty ubogiego, szczęśliwy nędzarza, gdzie prawda panuje nad kłamstwem, sprawiedliwość nad nieprawością, tam nasz dom, nasza ojczyzna, nasza rzesza.

— Tak błogosławionego kraju niema na ziemi, Ulryku—rzekł.

— Ale być powinien, być musi! — wołał kluniacczyk coraz goręcej. — Gdy Kościół złamie opór grzesznej władzy świeckiej, wowczas zakwitnie na ziemi raj, zapowiedziany przez naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Światło rozproszy ciemności, cnota zwycięży występek, miłosierdzie zdepce samolubstwo.

Duże oczy mnicha lśniły, jak gwiazdy, natchnione, promienne.

— Mówi przez ciebię Hildebrand — wtrącił opat—znam marzenia tego męża świętobliwego.

— I ty tak mówisz, ty? Ty, który widzisz nędzę tego świata lepiej od książąt i królów? Ty nie chcesz przyłożyć ręki do wielkiego dzieła odrodzenia, ty, który wnikałeś w nicość zabiegów doczesnych? Oto są skutki owych przeklętych ksiąg, zatrutych jadem pogaństwa. Grzeszna nauka osłabiła twoją wolę, podkopała wiarę, odwróciła serce od spraw niebieskich. Pamiętaj, Wilhelmie, iż staniesz wkrótce przed sądem Boga, abyś zdał sprawę z czynności życia. Cóż odpowiesz Najwyższemu Władcy, gdy cię zapyta: dlaczego nie słuchałeś głosu mojego namiestnika Grzegorza?

Opat poruszył się niespokojnie na krześle.

— Sądzisz mnie zbyt surowo, Ulryku — odezwał się z wyrzutem. — W pokorze ducha i umartwieniu ciała służę mojemu Bogu i nie cofnę się przed żadną ofiarą, ale nie chciałbym siać nienawiści. Tyle złości chodzi po ziemi... Za dużo, za dużo...

— Sieje-ż nienawiść, kto nawraca grzesznych, umacnia w wierze obojętnych, uczy pysznych pokory, gwałtownych łagodności, samolubnych miłosierdzia? Poślij swoich mnichów do Clugny! Tam wskaże im Hugon drogi, prowadzące do serc zatwardziałych. Objaśniono cię źle... Wielki opat nie każe swoim kaznodziejom podburzać ludu przeciw tronowi. Wszakże modlą się wszystkie klasztory kluniackie za króla i królowę, chociaż czwarty Henryk nie zasługuje na łaskę Kościoła.

— Wiem, że opat Hugon — mówił Wilhelm — nie jest wrogiem króla, ale przegorliwość uczniów psuje zwykle robotę mistrzów.

— O cóż ci idzie?—nalegał ojciec Ulryk. — Jeżeli nie chcesz, by się twoi kapłani mieszali do spraw świeckich, posiadasz przecież władzę ograniczenia ich działalności. W twoje ręce składali bracia hirszańscy przysięgę posłuszeństwa, i tobie jedynie służy

prawo wskazać im tę drogę, jaką będziesz uważał za właściwą. Nie opieraj się, Wilhelmie... Wyciąga do ciebie ręce błagalne sam Chrystus, mówiąc: nie dopuść, synu mój wierny, by szatan zaludnił swoje państwo dziećmi ziemi, która wydała tylu męczenników i wyznawców. Poślij swoich mnichów do Clugny! Ty sam nie złamiesz szkodliwego wpływu tych grzeszników z Lorsz, z Fuldy i z St. Gallen. Potrzeba ci gorliwych apostołów, którzyby roznosili twoją bogobojność po kraju, a tylko Clugny kształci mężów, oddanych z zaparciem się pierwszych chrześcian sprawie Boga.

I znów wpatrzył się chciwie w twarz opata, drżąc na całem ciele z niecierpliwości.

Wilhelm był tak samo ascetą, jak on, ale obcowanie z księgami rozszerzyło widnokrąg jego pojęć. Znając lepiej człowieka i warunki życia doczesnego od zwykłych mnichów, oddanych tylko rozpamiętywaniu tajemnic wiary, miał więcej pobłażliwości dla słabej natury ludzkiej. I on pragnął odrodzenia zepsutego świata, naprawy rozprzęgających się obyczajów, nie pochwalał jednak środków gwałtownych, co zaś słyszał o działalności mnichów kluniackich, nie świadczyło wcale o ich usposobieniu pokojowem. Wszędzie, gdzie ci reformatorzy się zjawiali, wybuchała nienawiść. Chłopi wypędzali z parafii żonatych księży, rabowali, palili plebanie, zamykali kościoły, rycerstwo napadało klasztory, wojewodowie wiedli spory z biskupami.

Śladami kluniacczyków szły furye wojny domowej.

Jakby się domyślił przyczyny wahania się opata, odezwał się ojciec Ulryk:

— Straszą cię skutki naszej Bogu miłej roboty? Naszą-ż winą, iż zatwardziała w grzechu natura ludzka nie chce zrozumieć głosu prawdy, że z posiewu miłości i pokoju lęgną się żmije niezgody? Nie do buntu, do rozlewu krwi i wszelakiego gwałtu nawo-

łujemy, lecz do posłuszeństwa przykazaniom Bożym. Nie wojny pragniemy, lecz Królestwa Niebieskiego na ziemi. Nie opieraj się dłużej, Wilhelmie, albowiem wiedz, iż przez usta moje przemawia do ciebie wola namiestnika Chrystusowego.

Ostatnie słowa wypowiedział uroczyście, głosem podniesionym.

Zdumiony spojrzał opat na przyjaciela.

— Przybywasz do mnie, jako delegat apostolski?—zapytał.

— Jako delegat wielkiego Hugona, którego zamiary popiera Stolica Piotrowa. Nie chciałem cię tą wiadomością upokorzyć, ponieważ jednak moje prośby nie zdołały cię nakłonić do powolności, musiałem się uciec do tego środka ostatecznego.

Opat Wilhelm pochylił głowę z rezygnacyą.

— Rozkazowi wysłannika Stolicy Apostolskiej — rzekł — poddaję się z pokorą, jako jest moim obowiązkiem. Uczynię, czego Hugon odemnie żąda.

— Pan papież rozkazuje ci jeszcze — mówił ojciec Ulryk—abyś się udał do Rzymu i wziął udział w tajnych obradach kardynałów. W Stolicy Piotrowej przygotowują się wielkie postanowienia, które wyniosą Kościół ponad wszystkie potęgi tej ziemi, i dlatego pragnie Ojciec Święty widzieć znakomitszych prałatów świata chrześcijańskiego u stóp swojego tronu.

— Stanie się podług rozkazu pana papieża.

Ojciec Ulryk osunął się na krzesło, zawijając się w obszerną suknię. Przykry dreszcz wyczerpania nerwowego wstrząsał jego nędznem ciałem. Powieki zapadły mu na oczy, usta wklęsły. Wydawał się o dziesięć lat starszym.

— Może spoczniesz—odezwał się opat ze współczuciem. — Za wiele pościsz i czuwasz po nocach.

— Ciało moje wypocznie w grobie — odparł kluniacczyk głosem słabym — dusza zaś pracowała jeszcze za mało dla chwały Bożej.

— Trud dalekiej drogi policzy ci Bóg za całodzienną modlitwę. Jako opat, z mocy mojej władzy, zwalniam cię z obowiązków, przepisanych regułą, na resztę dnia.

— Chciałbyś mnie pozbawić jedynej rozkoszy, jakiej mi wolno używać na ziemi? Z łoża śmiertelnego zwlókłbym się na dzwonek klasztorny. Może ż być większa nagroda dla sługi ołtarza nad rozpamiętywanie nikczemności ludzkiej? Nie troszcz się o mnie. Takie nędzne ciała, jak moje, wytrzymują więcej od naczyń, pełnych zdrowia i chuci.

— Wola gościa jest rozkazem dla gospodarza — odrzekł Wilhelm.

Bez szelestu wsunął się do celi młody mnich i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, stanął pokornie z głową pochyloną, przy progu.

— Potrzebujesz czego?—spytał opat.

— Ubodzy czekają na was, panie opacie—odezwał się mnich głosem stłumionym.

Natychmiast podniósł się Wilhelm i udał się ze, swoim kapelanem przed furtę klauzury.

W dwóch szeregach stali tu nędzarze różnego wieku, ale jednej tylko płci. Kobietom nie było wolno zbliżać się do miejsca, poświęconego wyłącznie świętobliwej kontemplacyi. Reguła św. Benedykta starała się usuwać od swoich uczniów wszelką pokusę.

Codziennie, pod wieczór, przybywali do Hirszau z wiosek okolicznych ubodzy, chorzy i strapieni. Głodnych karmił podkomorzy klasztoru, słabych badał lekarz-mnich, nieszczęśliwych pocieszał sam opat.

Gdy się Wilhelm ukazał, zgięły się wszystkie kolana. On pobłogosławił rzeszę wydziedziczonych i zbliżył się do małego chłopca, który miał oczy zapuchłe od płaczu.

— Matuś twoja już zdrowa? — spytał łagodnie,

głaszcząc ręką pieszczotliwie głowę chłopczyka.—Czy lekarstwo pomogło?

— Matuś skarżą się, że ich ciągle coś upiera na dołku—mówiło dziecko, ocierając łzy.—Chyba już nie pójdą więcej do roboty.

— Pójdą, nie obawiaj się—pocieszał go opat.—Pan Bóg jest mocniejszy od najmocniejszej choroby. Ale kochać go trzeba i ufać Mu szczerze. Czy zmówiłeś dziś rano paciorek?

— Trzy razy powtórzyłem „Ojcze nasz".

— To dobrze, bardzo dobrze. Módl się i proś gorąco, a gdyby Bóg, który wie lepiej od nas, co człowiekowi potrzeba, odwołał twoją matkę do Swojej chwały, pamiętaj, że klasztor nie zamyka nigdy furty przed sierotami. Pokój z tobą.

I szedł od strapionego do strapionego z uśmiechem dobrotliwym na ustach. Każdego znał z imienia i nazwiska, wiedział, co mu dolega, z czem przyszedł; do każdego przemawiał serdecznie, głosem miękkim, nie szczędząc rady i pociechy.

Już chciał wrócić do klauzury, kiedy się na drodze rozległ tętent koni.

Przodem, pieszo z rozwianą suknią, pokryty kurzem, leciał jakiś człowiek, wyciągając ręce rozpaczliwie w stronę klasztoru. Za nim, w pewnem oddaleniu, pędziło kilku jeźdźców.

Przestrzeń, która dzieliła ściganego od ścigających, zmniejszała się z każdą chwilą. Już dobiegali konni pieszego, gdy się na wieży kościoła odezwały dzwony, i jeźdźcy zatrzymali się w miejscu, jak wryci.

Skorzystawszy ze zwłoki, dobył uciekający ostatnich sił, przeskoczył rów i padł do stóp opata.

— Zmiłujcie się nademną, ojcze wielebny! — wołał głosem zdyszanym.

Jeźdźcy zbliżali się wolno do miejsca, na którem stał Wilhelm, otoczony ubogimi.

Jeden z nich, zsiadłszy z konia, uchylił czapki przed prałatem i rzekł:

— Wybaczcie, panie opacie, że zakłócamy spokój klasztoru, ale ten nieposłuszny chłop uciekł przed karą zasłużoną.

Surowo spojrzał Wilhelm na niego.

— Poznaję was, jesteście rządcą hrabiego z Kalwu — odezwał się. — Smutna sława waszej srogości doszła i do mnie. Cóż ten człowiek zawinił, że ścigacie go, jak zwierzę drapieżne?

Rządca milczał, spoglądając z podełba na chłopa, który tulił się do kolan opata. W ręku obracał bat rzemienny, zakończony kulą ołowianą.

— Powiedz więc ty, bracie w Chrystusie — mówił opat do poddanego z Kalwu — czem ściągnąłeś na siebie gniew zwierzchności? Może zaniedbujesz się w służbie, może szatan pychy podmawia cię do nieposłuszeństwa?

— Szatan pychy gardzi takim wołem roboczym, jak poddany, Wasza Wielebności — skarżył się chłop. — Jakąż pociechę miałby z nędzarza, który mierzy życie na dnie, przepracowane w pocie czoła? Szatan pychy kusi tylko wolnych, możnych... Służbę pełnię gorliwie, bo na cóż zdałby się opór? Bat pana rządcy nauczyłby mnie posłuszeństwa.

Bat rządcy poruszał się, jak wąż, linią falistą.

Dostrzegłszy go, skurczył się chłop, wsunął głowę pomiędzy ramiona i mówił dalej głosem jękliwym:

— Zmiłujcie się nademną, ojcze wielebny, przykryjcie mnie litościwem skrzydłem Kościoła, nie pozwólcie się nademną znęcać zemście pana rządcy, który nie może mi przebaczyć, iż nie chciałem oddać córki na pastwę jego chuci...

— Kłamiesz, podły chłopie! — wrzasnął rządca, podnosząc bat.

Ale opat zastawił sobą poddanego.

— Jak śmiecie — wyrzekł — grozić w mojej obecności nieszczęśliwemu?

Nie był to już dobrotliwy mnich, który przemawiał do strapionych głosem pobłażliwego ojca. Pan, przywykły do rozkazywania, spojrzał wyniośle na rządcę.

— Czy nie wiecie, że stoicie przed opatem hirszauskim?

— To tylko poddany, Wasza Wielebności... — mruknął rządca stropiony.

— Poddany?! — odparł Wilhelm. — A wy nie jesteście poddanym Boga, nędznym parobkiem Stwórcy świata? Czy nie wiecie, iż przed obliczem Odwiecznego niema wolnych i poddanych, możnych i ubogich, silnych i słabych, a są tylko podli śmiertelnicy, wracający do prochu, z którego powstali? Tak że to spełniacie przykazania naszego Pana, Jezusa Chrystusa, opiekuna wydziedziczonych i przygotowujecie się na sąd ostateczny, gdzie czekają ognie piekielne na wszystkich przestępców Zakonu?

Na wspomnienie ogni piekielnych zmieszał się rządca.

— Ten chłop kłamie — odezwał się głosem niepewnym. — Jego córka była mi potrzebna do kuchni.

Ale poddany z Kalwu wyciągnął ręce do nieba i wołał:

— Bóg miłosierny widzi w tej chwili moją nędzę i słyszy krzyk serca. Prawdę mówię, ojcze wielebny, szczerą prawdę. Cała wieś potwierdzi, że nie kłamię. Nie wrócę więcej pod bat rządcy z Kalwu. Wolę umrzeć natychmiast, niż konać wolno pod zemstą złego człowieka.

Wyrwał nóż z za pasa i przyłożył jego ostrze do piersi.

Szybko ujął go opat za ramię.

— Nieszczęśliwy! — rzekł. — Chcesz duszę za-

tracić. Tulisz się pod skrzydła Kościoła, a obrażasz litościwą matkę grzeszną rozpaczą?

Poczem nakrył poddanego z Kalwu habitem i mówił głosem podniesionym:

— Tego brata w Chrystusie bierze Kościół pod swoją opiekę, aby mu służył w pokorze serca. Odtąd nie ma nikt prawa do niego, oprócz klasztorów, podległych mojemu pastorałowi. Rękę, któraby się po niego wyciągnęła, zdruzgocze klątwa.

Rzekłszy to, pobłogosławił opat Wilhelm jeszcze raz rzeszę ubogich, chorych i strapionych i wrócił do klauzury.

Chociaż poddanego z Kalwu nie broniły miecze i kopie, nie śmiał go rządca dotknąć, odpowiadałby bowiem ciężko przed sądem wójta klasztoru, gdyby się był targnął na własność Kościoła.

Klnąc zcicha, wsiadł na konia i odjechał.

W kwadrans potem rozbrzmiała świątynia hirszauska w ciszy wieczornej, jak olbrzymia harfa, potrącana mnóstwem wprawnych rąk. Trzystu mężów i młodzieńców dziękowało Bogu za dzień dokonany.

Po lewej stronie wielkiego ołtarza, w krześle wykutem z kamienia, spoczywał opat Wilhelm z głową opuszczoną na piersi. Za nim stał mnich kapłan w białej stule, obok kapelan, trzymający pastorał.

Rzędem, w stalach siedzieli dostojnicy klasztoru: na czele przeor, potem proboszcz, podkomorzy, bibliotekarz i wszyscy uczeni w piśmie, presbyterowie i dyakoni; chór zajęli alumni, nawę braciszkowie, zwani brodatymi, bo nie golili włosów i zarostu na twarzy.

Pierwszy Wilhelm wprowadził do zgromadzeń niemieckich laików świeckich pobożnych, których nędza i rozpacz lub burze życia zagnały do przy-

stani klasztornej. Im powierzył pracę około dóbr doczesnych opactwa, by się właściwi zakonnicy mogli oddać wyłącznie uczynkom miłosierdzia, służbie ołtarza i kontemplacyi.

Żółtawy blask świec woskowych padał na to wojsko Chrystusowe, ubrane w barwy wydziedziczonych średniowiecza, w czarne i szare suknie poddanych. W epoce, która lśniła jaskrawemi kolorami, złotemi i srebrnemi zbrojami błyszcząca — oni jedni, słudzy ołtarza, nie wstydzili się uciętych włosów i sukni nędzarzy.

I oni jedni poświęcali życie dziełom pokoju w czasach, dyszących wojną. I oni jedni głosili równość wszystkich ludzi, miłosierni dla najuboższych.

Wspaniałą falą płynęła pieśń nabożna, wylewając się przez drzwi otwarte na zewnątrz, na łąki i pola, aż do stóp gór, a gdzie potrąciła o pierś wierną, tam budziła uczucia łagodniejsze.

Artystycznie ułożonym chórem śpiewali kapłani, dyakoni i alumni psalmy wieczorne, opat Wilhelm bowiem, miłośnik i znawca muzyki, kierował umiejętnie głosami mnichów.

Równocześnie, o tej samej godzinie, na kilkuset punktach rzeszy niemieckiej rozbrzmiewały takie same domy Boże taką samą pieśnią. Nie wszędzie śpiewano tak dźwięcznie, jak w klasztorze hirszauskim, ale ze wszystkich tych przystani modlitwy tryskały na kraj, zmieniony w warownię, szumiący nieustannym szczękiem oręża, ciepłe promienie pokoju, które działały dopóty na gwałtowne dusze świeżych. półbarbarzyńskich ludów, dopóki nie stopiły ich dzikości i nie złagodziły obyczajów.

Nawet te klasztory, które reformatorzy kluniaccy nazywali gniazdami pychy i rozpusty, były rozsadnikami cnót chrześciańskich w porównaniu z zamkami panów i rycerzów. Bo wszędzie, tak w Clu-

gny, jak w Lorsz, w Reichenau, jak w St. Gallen, otwierała się furta ojców Benedyktynów dla nędzy i troski, dla krzywdy i rozpaczy, nigdzie nie kołatał Chrystus daremnie.

A tu i owdzie siedział zwiędły mnich nad zwiędłymi pergaminami i przepisywał dzieła mędrców greckich i rzymskich dla przyszłych pokoleń.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

OD REDAKCYI.

P. W. w Petrowskoje. Zapowiadaliśmy nie 4, lecz 6 tomów i sześć będzie. Zatem rachunek był dokładny. Trzeci tom musiał Sz. P. odebrać. Czwarty składa się.

P. K. J. w Malatyczach. Objaśnienie listownie. Nr. 110 wysłany powtórnie.

P. M. A. E. w Bobrojsku. „Don Kiszot“ w oprawie wysłany. Warunki w prospekcie.

P. K. Sz. w Brześciu. Pierwszy tom Konopackiego wysłany.

P. W. B. w Warszawie. Brak nam jeszcze bliższych szczegółów o odkryciu dra Prusa, prof. uniwersytetu we Lwowie, ale to, co podaje „Kuryer Codzienny,“ zasługuje na wiarę. Masaż zawsze był używany do przywracania oddechu i ruchów serca u omdlałych, zwłaszcza przy zatruciu chloroformem: ugniata się wtedy brzuch w ten sposób, ażeby klatkę piersiową zmusić do ruchów oddechowych. Ale nikomu nie przyszło do głowy stosować masażu *na samo serce*, zwłaszcza w wypadku prawie pewnej śmierci. Doświadczenia prof. Prusa, odbywane dotychczas na psach tylko, mają jednak olbrzymią doniosłość teoretyczną. Rozcięcie dwóch lub trzech żeber i odchylenie ich celem poddania serca masażowi niema w sobie nic niemożliwego. Żebra mogą się zrosnąć bez szkody. Zapewne masaż ten musi być bardzo delikatnym i ograniczać się raczej do podrażnienia osierdzia, celem wywołania odruchów w samem sercu, a tem samem jego skurczów żywotnych. Pewnem jest, że w opisanym wypadku pies nie byłby powrócił do życia, gdyby nie masaż serca. Profesor

Prus znanym jest z kilku prac anatomo-fizyologicznych; zajmował się też hypnotyzmem i jest lekarzem chorób nerwowych.

P. Annie. Fakt, że istnieją rodziny polskie, przenumerujące niemieckie „Familien Blatty," dowodzi tylko braku poczucia godności narodowej. Rozumiemy, że specyalista nie może się obejść bez czasopisma niemieckiego, ale sprowadzać niemieckie tygodniki powieściowe, mając tyle swoich, to wstyd. Dla wprawy w języku są tanie wydania klasyków, daleko odpowiedniejsze, niż po większej części niedbale pisane utwory współczesnych powieściopisarzy *minorum gentium.* Rozpowszechnieniu tygodników niemieckich sprzyja, niestety, fakt, że ich wydawcy umieją wszędzie zorganizować kolporteryę, gdy tymczasem nasi nie mogą się na to zdobyć. A temu znów stoi na przeszkodzie brak ludzi ruchliwych a wytrwałych i punktualnych, ceniących wartość zarobków drobnych, a przytem odpowiedzialnych. Za granicą bardzo wielu bogatych księgarzy tak zaczynało karyerę— my zaś chcielibyśmy odrazu zaczynać od pięknego sklepu.

P. J. W. w N.-Aleksandryi. 1) Czwarty tom Chmiel. wyjdzie w b. kwartale, piąty w drugim, szósty w trzecim, w odstępach o tyle blizkich, o ile na to pozwalają warunki techniczne. 2) Co do zbyt wielkiej ilości powieści, na którą Sz. P. narzeka, to doprawdy zarzut ten nie wydaje się nam słusznym. W ostatnim kwartale daliśmy tylko cztery powieści, na siedem prac innych, mniej lub więcej poważnych, chociaż łatwych w czytaniu; a i powieść Jeża z kampanii węgierskiej należy przecież do poważniejszych utworów. W kwartale bieżącym daliśmy już dwa dziełka niepowieściowe i również pouczającą powieść historyczną Choińskiego. Nie możemy zaś całkiem zaniedbywać działu powieściowego, bo tylko przez powieści, odpowiednio dobrane, można wciągnąć szersze koła czytelnicze do poważniejszej lektury, a zresztą i rozrywka wchodzi w zakres celów naszego wydawnictwa. Z działu popularno-naukowego daliśmy w tym czasie: „Jak u nas chowano dzieci?" Dolińskiego, „Transwaal i Boerowie" Seydla i bogatą w spostrzeżenia, dotyczące historyi naturalnej, podróż Foà. Wkrótce zaś wydrukujemy głośną już, chociaż niedawno wydaną „Chemię życia codziennego" prof. Lassara Cohn'a, w której znajdzie Sz. P. niezmiernie bogaty materyał wiadomości popularno-naukowych z najrozmaitszych i najbar-

dziej interesujących dziedzin przemysłu. A wszakże i „Literatura“ Chmielowskiego należy do działu popularno-naukowego? Niech Sz. P. z ołówkiem w ręku sprobuje zmieścić więcej w kilkunastu tomach, uwzględniając różne działy i różne potrzeby czytelników, a przekona się, że jest to niemożliwe.

P. Z. S. we Lwowie. „Najwcześniejszego“ terminu nadsyłania prac na konkurs nie oznaczyliśmy, można więc nadsyłać już obecnie. Powieść, przedtem ogłoszona drukiem, nie może należeć do konkursu. Kantor „Bibl. Dz. Wyb.“ we Lwowie mieści się przy placu Maryackim, l. 4. Tam objaśnią szczegółowo.

P. L. J. z Ukrainy. Odbieraliśmy różne listy, ale taki, jak pański, mamy dopiero jeden. Żąda Sz. P., żeby nie bawić się w wyszukiwanie prac nowych, lecz dawać przedruki już gotowe, mianowicie całego Krasińskiego, całego Kraszewskiego etc. Widocznie Sz. P. nie zdaje sobie sprawy, coby się w takim razie stało z „Biblioteką“ i ileby to czasu zajęło, gdybyśmy chcieli np. przedrukować, choćby tylko Krasińskiego! A powtóre, w jakim celu? Olbrzymi wybór pism Kraszewskiego sprzedaje p. Lewental po bardzo nizkiej cenie. Również po bardzo zniżonej cenie dotychczas niewyczerpany nakład powieści historycznych p. Glücksberg. Dzieła Krasińskiego dodaje bezpłatnie swoim prenumeratorom „Kuryer Codzienny“ etc., etc. Czyż byłoby to rozsądnem, żebyśmy przeszkadzali drugim, bez niczyjego pożytku? Dla Sz. P. powieść St. Reymonta jest „niepotrzebną,“ bo prace takie „obecnie (!) i na wsi (!) są bez wartości,“ a my przeciwnie, byliśmy bardzo radzi, że mogliśmy dać nową, nigdzie dotychczas niedrukowaną powieść utalentowanego autora. Dziełko o Transwaalu także dla Sz. P. „niepotrzebne,“ bo „o Boerach aż nadto mamy w dziennikach“—a my przeciwnie, bardzośmy się śpieszyli, żeby dać Czytelnikom „Biblioteki“ poważną i zajmującą pracę o Boerach *w chwili, kiedy jeszcze żadnej podobnej pracy w naszej literaturze nie było.* Występuje też Sz. P. przeciwko przeznaczaniu 2,000 rubli na konkurs, ponieważ... „suma ta musi być (?) zaoszczędzona na wartości książek nadsyłanych (?)“. Upewniamy Sz. P., że suma ta nie będzie „zaoszczędzoną“ na wartości dzieł drukowanych, lecz dodaną do zwykłych wydatków, podobnie, jak dodaną do zwykłych wydat-

ków była suma przeznaczona na „Literaturę“ Chmielowskiego, podobnie, jak wyższe honoraryum za „Tyarę i Koronę“ Choińskiego i t. p. Dodatki takie robią wydawcy dlatego, ponieważ wiedzą, że za lepsze honorarya można mieć lepsze książki, a lepsze książki powinnyby ściągnąć większą liczbę prenumeratorów i tym sposobem zwrócić większe wydatki. Taką jest kombinacya wydawnicza, a słuchając pańskiej rady i dając przedruki, wydawca zaoszczędziłby na wydatkach, ale stracił na zyskach. Sz. P. zapewnia nas, co prawda, bez dowodów, że „wszyscy pięciu prenumeratororowie „Biblioteki“ z jednej wsi ukraińskiej“ są tego samego zdania. Być może, ale my znów musimy upewnić Sz. P., że inni prenumeratorowie z innych wsi ukraińskich są innego zdania. W końcu objaśniamy, że co innego jest *Redakcya*, a co innego *Administracya* pisma, i że ta ostatnia nie może być odpowiedzialną za dobór prac drukowanych, podobnie jak Redakcya nie może być odpowiedzialną za finansowe kombinacye *Wydawców;* nadmieniamy tylko, że ponieważ stali prenumeratorowie „Biblioteki“ otrzymują „Literaturę“ bez dopłaty, a tom oprawny „Biblioteki“ kosztuje w prenumeracie 30½ kop., więc *rzeczywiście* 6 tomów „Literatury,“ dla stałych prenumeratorów kosztować będzie w oprawie rs. 1 k. 83, a bez oprawy nawet mniej, bo tylko rs. 1 k. 17, to znaczy mniej, niżby kosztowała u introligatora *sama oprawa* takich sześciu tomów. Wprawdzie może ktoś zarzucić, że z tak nizkiej ceny korzystają tylko stali prenumeratorowie „Biblioteki,“ podczas, gdy inni muszą płacić drogo—ale też wydawca nie chciał faworyzować tych innych, tylko jedynie i wyłącznie stałych swoich prenumeratorów, do czego chyba miał prawo. Zresztą, kto chciał, mógł jeszcze 1-go października r. z. przyłączyć się do stałych prenumeratorów, otrzymując dwa pierwsze tomy bezpłatnie i bez potrzeby wykupywania poprzednich kwartałów „Biblioteki.“ Obecnie nowi prenumeratorowie mają jeszcze prawo nabywać trzy pierwsze tomy za 2 rs., ale od 28-go lutego i to udogodnienie zostanie zniesione. Czas płaci, czas traci.

Teodor Jeske-Choiński.

Tyara i Korona

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Tom II.

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

WARSZAWA.
DRUKARNIA
„Biblioteki Dzieł Wyborowych"
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Января 1900 года.

VIII.

Drogą z Hohenau do Meersburga pędził mąż zbrojny. Koń, pokryty pianą, dobywał ostatnich sił, ale jeździec naglił go ostrogą i głosem do pośpiechu.

U stóp wzgórza, na którem stał zamek Bertolda, zeskoczył rycerz z siodła, przywiązał znużone zwierzę do drzewa i ruszył pieszo ścieżką skalistą.

— Otwieraj, otwieraj! — wołał już zdaleka na stróża.

Gdy most zwodzony opadł z brzękiem łańcuchów, wbiegł na dziedziniec.

— Gdzie wasz pan?—zapytał pachołka, trzymającego straż przed pałacem.

— Na ganku, od strony jeziora — odpowiedział sługa.

Bertold leżał na ławce, rozparty wygodnie na skórze niedźwiedziej, i dyktował swojemu sekretarzowi listy.

Niespodziewany gość, nie oznajmiony przez podkomorzego, zdziwił go.

— Wy zkąd?—spytał, nie podnosząc się na powitanie.

Rycerz, zmęczony jak jego koń, pracował piersiami. Przez kilka chwil nie mógł z siebie wydobyć ani jednego dźwięku.

Potem wybuchnął:

— Nasza pani zginęła...

— Jaka pani? Kto wy jesteście?

— Burgrabia z Hohenau... nasza pani...

— Pani Judyta?

— Zginęła, przepadła, jak kamień w wodę...

— Oszalałeś, człowieku!—zawołał Bertold, zrywając się z ławy.

— Zginęła, Wasza Szlachetności, przepadła...

— Gdzie, co, jakże się to stało? — pytał Bertold gorączkowo.—Mówcie prędko...

— Wyszła dziś zrana z ochmistrzynią do chorej poddanki i nie wróciła do domu.

— Dokąd poszła?

— Owa poddanka mieszka tuż pod bokiem zamku, za gajem dębowym. Pani chodziła tam codziennie...

— A wy gdzieście byli? — krzyknął Bertold z gniewem.—Także to strzeżecie swojej pani!

— Pani nie brała z sobą nigdy straży w obrębie zamku — odrzekł burgrabia hohenauski. — Gaj dębowy jest tak blizko, iż widzi się go bardzo dobrze z wieży.

— Stróż nic nie spostrzegł, nie słyszał?

— Nic, Wasza Szlachetności.

— A ludzie ze wsi?

— Byli wszyscy w polu.

— Musieliście znaleźć jakieś ślady.

— Na brzegu gaju widzieliśmy ślady dużych stóp męzkich.

— W którą stronę oddaliły się te ślady?

— Zginęły w lesie hohenauskim.

— I nic więcej.

— Pod samym lasem znalazł jeden z pachołków kilka piórek pawich z kapelusza naszej pani.

— Waszą panią porwali jacyś zbrodniarze—zawołał Bertold gwałtownie — a wy, niewierni słudzy, drzemaliście zapewne w tym czasie!

— Wasza Szlachetności...

— Milczeć! Zasłużyliście na wieżę o chlebie i wodzie.

Bertoldowi przyszło natychmiast na myśl, iż sprawcami gwałtu mogli być tylko rycerze z Grimmingen. Bo któżby inny chciał się mścić na dziewczynie, która nikomu nic nie zawiniła? Zwykli rabusie nie śmieliby się podsunąć w biały dzień pod mury warownego zamku. Tylko ktoś, co znał doskonale zwyczaje Judyty i położenie okolicy, odważył się na krok tak śmiały.

— Czy nie widziano w ostatnich dniach w pobliżu Hohenau nikogo z Grimmingen?—zapytał.

— Od owego dnia, kiedy nasza pani wypędziła ludzi grimmińskich z zamku—odpowiedział burgrabia—omija służba pana Rudolfa nasze granice. Raz tylko jeden, wieczorem, spotkał pasterz pod lasem dwóch pachołków grimmińskich.

— Jacy to ludzie?

— Piekło wypluło tych łotrów, by mu służyli na ziemi.

— Dobrze—rzekł Bertold.—Wracajcie do domu i roześlijcie gońców do wszystkich zamków i siół państwa hohenauskiego. Niech rycerze, kmiecie i słudzy wolnej pani będą gotowi każdej chwili na moje wezwanie. Jeśli wasza pani jeszcze żyje, oswobodzimy ją, choćby cała Szwabia miała stanąć przeciw nam pod bronią.

Kiedy się burgrabia hohenauski oddalił, zwrócił się Bertold do swojego sekretarza.

Był to człowiek młody, odziany w długą, czarną suknię, podobną krojem do mnisiego habitu. U jego pasa wisiała torebka, w której nosił zawsze z sobą przybory do pisania: kałamarz, scyzoryk i pióro.

— Czy chciałbyś sobie zarobić sto bizantyńców?—zapytał go Bertold.

— Z łaski Waszej Szlachetności nie choruje moja kiesa nigdy na suchoty — odpowiedział dykta-

tor—od przybytku jednak nie zabolała jeszcze nikogo głowa.

— Ale bez wysiłku nie napełnisz tym razem worka.

— Byle mój pan nie żądał odemnie pracy orężnej, spodziewam się zarobić ową sumkę okrągłą.

— Do roboty orężnej mam chłopców żelaznych; od ciebie żądam tylko przebiegłości.

Dyktator uśmiechnął się chytrze.

— Jeśli tylko o to idzie...—rzekł, zacierając ręce.

Widział on, mimo lat młodych, dużo świata, jadł chleb z niejednego pieca. Przeskrobawszy coś w klasztorze hirszauskim, gdzie przygotowywał się do służby Bożej, i nie chcąc się poddać biczowaniu, uciekł nocą z klauzury i ruszył w świat za chlebem. Długo włóczył się z bandą grajków wędrownych po całej rzeszy, zanim dostał się jako sekretarz na dwór Bertolda. Pobratał się on z przebiegłością, jak każdy nędzarz, który musi sobie zdobywać własnym przemysłem prawo do życia.

Bertold, zbliżywszy się do niego, mówił głosem zniżonym:

— Słyszałeś, co opowiadał burgrabia hohenauski. Ktoś porwał panią z Hohenau. O zbrodnię tę posądzam rycerzy z Grimmingen, ale bez pewnych wiadomości nie mogę ich najechać. Trzeba się przekonać, czy się mój domysł zgadza z prawdą. Ciebie tu nikt nie zna. Ty jeden mógłbyś się dostać na zamek grimmiński bez wzbudzenia podejrzliwości tych zbójów. Rusz dowcipem, a jeśli ruszysz dobrze, dołożę jeszcze pięćdziesiąt bizantyńców [1]).

— Nic łatwiejszego nad to, szlachetny panie—rzekł dyktator.—Przebiorę się za pielgrzyma i przejrzę wszystkie kąty zamku grimmińskiego. Czy zarobiłem sto pięćdziesiąt bizantyńców?

---

[1]) Bizantyniec=złoty pieniądz, bity w Bizancyum.

— Zarobiłeś! — odparł Bertold. — Doskonale! Przed pobożnym pielgrzymem otwierają się w rzeszy wszystkie drzwi z radością. Wierny katolik jest chciwy opowieści o miejscach cudownych. Ale trzeba sie pośpieszyć.

— Wybiorę się natychmiast. Zanim słońce zajdzie, będę opowiadał w Grimmingen o Ziemi Świętej, której nigdy nie widziałem, i pokazywał relikwie, które pozbieram na drodze. Kamieni i kości nie braknie w Szwabii.

— Takiego dowcipu nie uczono cię chyba w klasztorze hirszauskim—rzekł Bertold surowo.

— Komu pani nędza skąpiła przez szereg lat skibki czarnego chleba do zaspokojenia głodu, ten uczy się różnych rzeczy, o których się sytym nawet nie śniło. Rozmaitych widziałem po świecie pobożnych...

— Twoich doświadczeń nie jestem ciekawy — przerwał Bertold niedoszłemu mnichowi.—Jeżeli chcesz zarobić sto pięćdziesiąt bizantyńców, zabieraj się natychmiast do drogi.

Wtem odezwał się róg stróża trzy razy. Ktoś znakomity zbliżał się do zamku.

Przypasawszy miecz, zeszedł Bertold na dziedziniec, aby przyjąć gościa przed schodami pałacu.

W bramie ukazał się orszak, składający się z dziesięciu konnych. Przodem jechał rycerz w zbroi posrebrzanej. Z pod napierśnika wysuwał się jedwabny, purpurowy kaftan, na kopii powiewała purpurowa chorągiewka z herbem państwa.

Bertold poznał gościa zdaleka. Był to jeden z trabantów królewskich, który przywoził mu niewątpliwie odpowiedź od Henryka w sprawie Judyty.

Jakoż, zsiadłszy z konia, przyklęknął ów rycerz przed Bertoldem i, podając mu zwój perga-

minowy, przewiązany purpurową wstążką, odezwał się:

— Nasz pan miłościwy, czwarty Henryk, przesyła wielkiemu łowczemu swojego dworu pozdrowienie królewskie.

Szybko rozerwał Bertold wstążkę i spojrzał naprzód na podpis. Energicznym charakterem nakreślił pod dokumentem sam król: *Henricus, rex m. p.*

Henryk przychylał się do jego prośby i rozkazywał mu, aby dostawił wolną panią z Hohenau do Wormacyi, jako pupilkę króla.

— Teraz potańczę z wami, rycerze z Grimmingen — postanowił Bertold i, ściskając rękę trabanta, który się tymczasem podniósł, rzekł:

— Witajcie mi, panie trabancie, i rozgoście się pod moim dachem, jak w domu własnym. Przed tygodniem nie puszczę was z Meersburga, abyście wypoczęli dobrze po drodze uciążliwej. Cóż tam u was słychać w Wormacyi? Czy nasz pan zażywa w pokoju dobrze zarobionego wypoczynku?

— Gdzieżby tam pan Henryk wypoczywał, panie wielki łowczy—odpowiedział trabant.—Nie znacie go. Ani jednego dnia nie może usiedzieć spokojnie na miejscu. Jeszcze nie wysapaliśmy się dobrze po wojnie, kiedy zaczął nas, zwyczajem swoim, gnać po kraju, jak banitów. Odbyliśmy już dziesięć sądów, a to dopiero początek. Strasznie uwziął się pan król na nieposłusznych wassalów. Hrabiego Uda, tego starego — przypominacie go sobie, panie wielki łowczy, co to najechał dobra opactwa Lorsz — kazał oślepić i zamknąć w klasztorze. Hrabiemu Ottonowi uciąłiśmy obie rączki, a rycerz Kuno skończył pod mieczem kata. Okrutny strach padł na zamki. Zrobiliśmy się we Frankonii tak grzeczni, iż najmizerniejszy kupczyk może nam wygrażać pod samym nosem, a my się mu za to uniżenie kłaniamy.

— I w moich stronach przydałyby się sądy

królewskie—rzekł Bertold.—Wybaczcie, panie trabancie, że was teraz powierzę służbie, ale muszę wydać kilka rozkazów, które nie znoszą zwłoki.

Skinął na burgrabiego i odszedł z nim ku stajniom.

Gdy byli sami, odezwał się:

— Roześlecie natychmiast gońców do moich wasalów i wolnych kmieci, aby byli gotowi każdej chwili na wezwanie z Meersburga. Do Konstancyi, do biskupa Ottona, pojedziecie sami i poprosicie go o pożyczenie maszyn oblężniczych. Ale sprawcie się cicho i szybko.

Stary wilk zamkowy uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Miarkuję, że będziemy wykurzali z nory jakiegoś lisa — rzekł, zacierając ręce. — Doskonały pomysł, bo nasi chłopcy zaczynają się już nudzić.

— Reszty dowiecie się jutro, tymczasem zaś przygotujcie wszystko do wyprawy.

Kiedy Bertold wracał do pałacu, zstępował ze schodów zgarbiony starzec w płóciennym habicie, przewiązany powrozem. W ręku niósł długą, na górze zakrzywioną laskę, przy boku miał wydrążoną dynię. Idąc, nucił psalmy.

— Byłżeby to mój dowcipny dyktator?—pomyślał Bertold.

— Czy to ty, Piotrze?—spytał.

Pielgrzym podniósł z trudem chwiejącą się na szyi głowę i spojrzał na niego z pod siwych, krzaczastych brwi zapadłemi oczami.

Zwiędły, pokryty zmarszczkami, nie przypominał niczem młodego sekretarza. Był to więc pielgrzym prawdziwy.

— Czy was podkomorzy nie przyjął dość gościnnie—rzekł Bertold—że opuszczacie mój dom bez udzielenia błogosławieństwa gospodarzowi?

— Srebrna zbroja trabanta królewskiego zaćmiła ubogą suknię pielgrzyma—odpowiedział starzec trzę-

sącym się, bezdźwięcznym głosem.—O, grzeszne, niepoprawne dzieci świata! Nie w zbroi, lecz w nagości ciała staniecie przed sądem Najwyższego. Pan stworzenia nie będzie w dniu straszliwym pytał nikogo, jaką suknię nosił na ziemi, lecz co czynił dla zbawienia duszy.

— Odpuście mojemu podkomorzemu, ojcze pobożny — mówił Bertold — że nie przyjął was sercem pokornem. Co sługa zawinił, to naprawi gospodarz.

Nachylił się do ręki starca, aby ją ucałować, gdy się pielgrzym nagle wyprostował i roześmiał pusto.

— Jak sądzicie, panie wielki łowczy—odezwał się wrzekomy pielgrzym. — Czy mogę iść do Grimmingen?

Teraz poznał Bertold po głosie swojego dyktatora.

— Zarobiłeś sobie na dzban starego wina, łobuzie — rzekł zdziwiony. — Rodzona matka nie zwietrzyłaby cię w tem przebraniu. Gdzieś ty się takiej sztuki nauczył?

— Mówiłem wam, panie, że byłem wędrownym komedyantem.

— Nie chwal się swoją bezecną przeszłością w Meersburgu, jeśli chcesz, ażeby moja służba siadała z tobą do stołu. W Szwabii są ludzie pod tym względem surowsi, niż na dworze królewskim. Szczęść ci Boże! A spraw się dobrze.

Wyszedłszy z bramy zamkowej, spuszczał się sędziwy starzec tak szybko i zręcznie na dół, iż się stróż z zabobonną trwogą przeżegnał.

— Chyba to jaki czarnoksiężnik—mruknął i splunął przed siebie.

Idąc drogą ku Grimmingen, rozglądał się sekretarz Bertolda uważnie dokoła. Szukał „świętych pamiątek.“ Każdy rzadszy kamyczek obejrzał, wię-

ksze rzucał, mniejsze obcierał starannie i kładł do torby.

— Z góry Golgoty—mówił do siebie z uśmiechem złośliwym.—Któżby śmiał przeczyć? Kamienie są wszędzie do siebie podobne.

Ze strumyka nabrał białego piasku i wsypał do flaszeczki.

— Z rzeki Jordanu... A jakże... Ten piasek leczy wszystkie choroby... Rozumie się... Tylko trzeba go usmarzyć w poświęconym oleju. Zdałoby się jeszcze kilka kostek.

Kości nie brakło na drodze. Sępy, kruki i psy biesiadowały nieraz na polu, racząc się zwierzyną, która, uciekłszy przed obławą, przyszła skonać samotnie pod drzewem.

— W sam raz, kostka ze stopy króla Dawida—zawołał sekretarz uradowany. — Mały był podobno ten wielki władca Judy, drobne więc musiał mieć kosteczki.

I podniósł z ziemi kawałek gnata, zbielałego na słońcu.

— Hej, jacy ludzie bywają nieraz głupi, a najgłupsi ci, co się mają za bardzo uczonych. Dużom się w klasztorze napatrzył tych uczonych osłów.

Podskoczył sobie obieżyświat i zaczął świstać wesołą piosnkę, wziąwszy laskę pielgrzymią na ramię, jak halabardę.

— Żeby mnie tak zrobili biskupem lub opatem, zarzuciłbym cały świat relikwiami, zbiłbym ogromne pieniądze i kupiłbym sobie na starość kapelusz kardynalski. Na starość dobrze wygrzewać się w szacunku dudków. Ha, ha...

Dzień był pogodny. Słońce sierpniowe grzało jeszcze, ale nie piekło już tak, jak lipcowe.

Dokoła drzemały w błękitnawej mgle milczące, jakby zadumane góry. Chłodzący wietrzyk szedł nad polami, niosąc z lasów woń sosen.

Droga nie utrudzała pieszego wędrowca. Rze-

komy pielgrzym posuwał się raźno, usposobiony doskonale. Pośpiewywał sobie, pogwizdywał na przemiany, jakby śpieszył na wesołą zabawę.

Dopiero widok zamku grimmińskiego nastroił go poważniej.

Gród rycerski uczepił się samego szczytu skały, spadającej z jednej strony prostopadle w przepaść, zarosłą krzewami. Z trzech stron pochylała się góra łagodnie ku obszernej dolinie.

Sekretarz, przypatrując się zamkowi, mówił do siebie:

— Mądrześ się usadowił, drapieżniku, ale dobre maszynki wybiją ci w przeciągu kilku godzin wszystkie ząbki. Nie takie ja gniazda widziałem w Saksonii, a dziś niema po nich ani śladu. Nasz wielki łowczy umie łamać szczęki kamienne. Ho, ho, i jak jeszcze. Niby on taki uprzejmy, dworski, ale gdy poczuje krew, rany Boskie... Pożegnaj się z łbem, panie Grimmingen, bo nie domacasz się go wkrótce na karku. Lecz ty, Piotrze, niedoszły mnichu-komedyancie, a obecnie szanowny dyktatorze Jego Szlachetności wolnego pana na Meersburgu, weź teraz mózgownicę pod pachę, rozum i ślepie w garść i pilnuj języka, abyś czego nie oberwał. Dyabeł nie śpi. Dosyć nagrzeszyłeś, gałganie. Mógłby cię pan Lucyper capnąć przed uczciwą pokutą, Oj, oj, nie chcę...

Skrzywił się pocieszne, zdjął laskę z ramienia, zgarbił się i, śpiewając głośno pieśń nabożną, zaczął się drapać pod górę.

Na zamku Grimmingen odpoczywała drużyna po obiedzie.

Rozłożywszy się na ziemi, drzemali pachołkowie w cieniu murów.

Kiedy służba trawiła wygodnie, pocił się młodszy pan zamku nad lekcyą „moralności."

Rudolf z Grimmingen siedział na ganku przy stole nakrytym, jak do obiadu. Podnosił łyżkę do

ust, udając, że je, chociaż na talerzu była tylko woda.

— Już lepiej—mówił tłuściutki, okrągły mistrz moralności, który, służąc czas dłuższy na pańskich dworach jako stolnik, znał z osobistego doświadczenia obyczaje dobrze wychowanych rycerzów. — Tylko łyżki nie trzeba tak wysoko podnosić, żeby się zupa nie wylewała na suknie.

Stanąwszy przed rycerzem, uczył ochmistrz namaszczonym głosem kaznodziei:

— Więc pamiętajcie, panie Rudolfie. Rycerz dworski nie zjada nigdy chleba przed pierwszem daniem, aby mu go nie zabrakło do sosów, nie kładzie do ust mięsa obiema rękami, nie pije lub mówi pełną gębą, nie sięga razem z innymi do półmiska. Gdy w domu bawi tylko jeden gość i gdy ten gość siedzi po prawicy gospodarza, trzeba jeść lewą ręką. Zanim się siada do stołu, należy umyć dobrze ręce, wyczyścić i obciąć paznogcie. Przy stole nie wolno się drapać, choćby ciało jak najwięcej swędziło, nie wolno dotykać palcami nosa, oczu i uszu, nie wolno brać soli gołą ręką, dłubać w zębach, opierać się łokciami na stole, pić z kielicha zatłuszczonemi ustami. Ogryzionych kości nie rzuca się napowrót do półmiska, krając chleb, nie przyciska się bochenka do piersi i nie kładzie się palców na grzbiecie noża.

Rudolf z Grimmingen słuchał tych wskazówek z głupkowatym uśmiechem na pospolitej, szerokiej twarzy. Widać było po jego tępym wzroku, że nie chwyta łatwo przepisów „moralności."

— Tyle tego pamiętać—mówił, pocierając ręką czoło.—Ja się chyba nigdy tej głupiej dworskości nie nauczę.

— Nauczycie się, panie Rudolfie, tylko trochę cierpliwości—pocieszał go ochmistrz.—Zbogaceni chłopi naśladują z latwością dworskich rycerzów, a wy

pan z panów, nie mielibyście się nauczyć dobrych obyczajów?

Podejrzliwie spojrzał młody rycerz na ochmistrza, badając, czy dworak nie kpi z niego.

Wykwintnych obyczajów nie miał on w krwi, należał bowiem do świeżych dorobkiewiczów i nie bywał dotąd nigdy w lepszem towarzystwie. Zajmując się od lat najwcześniejszych razem z ojcem rozbojem, stronił od zamków możniejszych, niepewny dobrego przyjęcia.

Kiedy jego rówieśnicy stanu rycerskiego przyswajali sobie praktycznie moralność, służąc na dworach wielkich panów, jako paziowie i giermkowie, on, syn rozbójnika, chodził już w wieku chłopięcym na wyprawy nocne. Władał koniem, mieczem i kopią, jak niewielu, lecz o zwyczajach i obyczajach rycerskich nie miał żadnego wyobrażenia.

— Powiedzcie mi jeszcze — odezwał się — jak moralność nakazuje młodemu rycerzowi zachować się wobec niewiast?

— To bardzo trudna nauka — rzekł ochmistrz z powagą—gdy skończymy ze stołem, przejdziemy do dworskości komnatowej.

— Kto płaci, ten ma prawo żądać, ażeby robiono, co się jemu podoba. Chcę wiedzieć, co rycerz dworski czyni, gdy spotka niewiastę swojego stanu.

Głos Rudolfa był spokojny, ale jego oczy rzuciły ochmistrzowi groźne spojrzenie.

— Jedno po drugiem, młody panie—mówił nauczyciel moralności.—Nie umiecie jeszcze siedzieć i jeść przyzwoicie.

— Jak jem i siedzę, to moja rzecz, a waszym obowiązkiem słuchać. Rozumiecie?!—krzyknął nagle rycerz, uderzywszy pięścią w stół.—Otwórzcie gębę i wyplujcie swoją głupią mądrość, jeśli nie chcecie mieć talerza na łbie.

Przerażony, odsunął się od niego ochmistrz. Z takim uczniem trzeba być ostrożnym.

— Gdy rycerz spotka na drodze damę, idącą pieszo — recytował z pośpiechem — powinien zsiąść z konia, a jeżeli tego nie może uczynić, powinien się do niej zbliżyć wolno, drobnemi krokami, aby jej nie przestraszył. W towarzystwie dam nie należy spoglądać zbyt często na nogi, dotykać rękami spodni, bujać się na krześle, mówić głośno, walić pięścią w stół.

— Nie tego chcę—przerwał mu Rudolf.—Nauczcie mnie, jak się zdobywa serce panny szlachetnego rodu?

— Do serca niewiasty prowadzą drogi rozmaite. Jedną bierze się uprzejmością, drugą podstępem, trzecią siłą...

— Czwartą darami, piątą kłamstwem, szóstą fałszem—przedrzeźniał Rudolf ochmistrza, naśladując jego głos i ruchy. — Aby wiedzieć, że do każdej dziewki należy się zabierać inaczej, na to nie potrzeba moralności. Wasza mądrość powinna znać sposoby nieomylne na miłość, a jeżeli ich nie zna, to jest głupsza od pierwszej lepszej starej baby, która wie, gdzie rośnie lubczyk. Wynoście mi się na dziś ze swoją moralnością do wszystkich dyabłów!

Ochmistrz nie czekał na powtórzenie rozkazu. Trzymając się jak najdalej od gwałtownego ucznia, przesunął się pod filarami i wybiegł szybko na dziedziniec.

Ciężko podniósł się Rudolf z krzesla. Zmęczył się lekcyą więcej, aniżeli szybką jazdą.

— Potrzebne mi to?—mówił.—Lepiej było wyciągnąć się po obiedzie na skórze niedźwiedziej. Ojciec miewa czasem szczególne pomysły.

Z ławy, na której leżał, przysłuchując się lekcyi, odezwał się stary Werner z Grimmingen:

— Zamiast podziękować rodzicowi, że chce zrobić z ciebie pana, szczekasz nie wadomo co. Ziemi i złota mamy już dosyć. Trzeba się teraz postarać o zaszczytne pokrewieństwo i o jaki urząd

w powiecie. Kiedyś sam głupi, nie psuj ojcu roboty.

— Daleko nas ta robota ojcowa zaprowadzi. Żeby tylko nie na szubienicę. Co też ojcu przyszło do głowy, kazać chwytać w jasny dzień narzeczoną tego panka z Meersburga? Wie ojciec, czem to pachnie?

— Znów gadasz, jak dziecko — odrzekł stary rycerz.—Ciekawy jestem, co mi kto zrobi na zamku Grimmingen. Tysiąc łbów rozbije się o skały, zanim jedna stopa żelazna dotknie naszych murów.

— Nie tysiąc, lecz dwa tysiące łbów poświęci wielki łowczy, żeby wydostać z naszych rąk swoją synogarlicę, a potem co?

— Tymczasem siedzimy na zamku i będziemy siedzieli jeszcze bardzo długo. Takich gniazd jak nasze, nie bierze się bez dobrych maszyn, tych zaś niema w Meersburgu. Chciałeś, żebym się pozwolił znieważyć temu pysznemu dzieciakowi? Suka! Jak psa, kazała mnie starego cisnąć pod swoje stopy i jak psa wyrzuciła mnie za bramę. Za włosy przywleczesz ją po ślubie do mojego krzesła, aby błagała o przebaczenie. Gdyby jej nasi ludzie nie byli porwali, drwiłaby sobie razem ze swoim gaszkiem z mojego pohańbienia. I ciebie sponiewierał ten chłystek z Meersburga.

— Nie taki on marny, jak się ojcu zdaje—mówił młody rycerz.—Ma wygląd delikatny, ale w garści taką moc, iż najtęższy chłop leci na ziemię, jak dojrzała gruszka. Czuję jeszcze na dołku jego pchnięcie.

— Zemścisz się na nim najdotkliwiej, gdy mu zdmuchniesz z przed nosa dziewkę—radził ojciec synowi. — Na to kazałem porwać Judytę, aby jej on gdzie nie wysłał. Jako członek rady królewskiej, mógłby się dla niej wystarać bardzo łatwo o opiekę samego pana Henryka, a wtedy przepadłaby dla nas na zawsze, z nią zaś nasze nadzieje i nasza zemsta.

Widzisz, że ojciec myśli za ciebie. Stąd nie wie nikt o naszym gwałcie i nie dowie się tak prędko, bo kazałem zamknąć bramy i nie wpuszczać nikogo, prócz pielgrzymów. Mając teraz Judytę pod ręką, staraj się pozyskać jej względy.

— Łatwo ojcu mówić—wtrącił Rudolf—ale jak pozyskać względy dziewki, która nie raczy nawet ze mną rozmawiać?

— Czy to z ciebie nie chłopiec urodziwy! W całym okręgu niema takiego drugiego olbrzyma. Zabierz się tylko gracko do dziewki, jak to umiesz, a ona będzie cię sama prosiła, żebyś z nią stanął na ślubnym kobiercu.

Ojciec zmierzył dumnym wzrokiem potwornie rozrosłe cielsko syna.

— Niewiasty wiedzą, co dobre -- rzekł głosem przekonanym.—W Hohenau byłeś zanadto bojaźliwy. Tu, u siebie, będziesz śmielszy.

— Gdyby się do tej synogarlicy można zabrać po mojemu, dałbym sobie z nią prędko radę, wiem o tem—mówił Rudolf—ale ojciec chce, żebym do niej przystąpił z moralnością, a te śmieszne przysiudy nie chcą mi leźć w kości.

— Koniecznie z moralnością—napominał stary Werner—nie można odrazu inaczej. Idzie o to, ażeby się sama, po dobrej woli, zgodziła na związek z tobą, bo tylko w ten sposób będziemy przy pomocy hrabiego okręgu zakryci przed zemstą pana z Meersburga i króla. Gdy Judyta będzie twoją żoną, odbijesz sobie na jej skórze dworskie łamańce i zniewagę rodziciela.

— A gdyby mnie moralność zawiodła?

— Wówczas wezwiesz do pomocy siłę. Nie takie dziewki zmuszałeś do powolności.

— Wolałbym zacząć odrazu od siły.

— Próbujmy najwpierw z moralnością. Dziewka, przerażona więzieniem, nie będzie taka dumna,

jak u siebie. Włóż tę nową suknię, którą ci przywiozłem z Konstancyi, i ruszaj natychmiast do niej. Ale schowaj pazury, a gdyby ci wyrzucała gwałt, odpowiedz tak, jak cię nauczyłem. Czy pamiętasz jeszcze?

Rudolf, skinąwszy głową na znak, że nie zapomniał o wskazówkach ojca, opuścił ganek.

Kiedy się po godzinie znów ukazał, lśnił cały od jedwabiu, złota i drogich kamieni. Miał na sobie długą, do kostek sięgającą suknię z zielonej materyi, spiętą pasem, nabijanym rubinami. Na jego grubych palcach błyszczały szerokie pierścienie. Niebieski płaszcz podtrzymywała na lewem ramieniu turkusowa agrafa.

— Dam sobie radę?—spytał z uśmiechem zwycięzcy, rozkrzyżowawszy przed ojcem ręce.

Stary aż klasnął w ręce z radości.

— Gdzież temu paniczykowi z Meersburga do ciebie!—zawołał.—Nie miałaby oczu, gdyby sobie nie upodobała tak tęgiego chłopa. Trzeba przebiedz kawał kraju, aby spotkać takie potężne bary, ramiona i pięści.

Judyta siedziała w obszernej komnacie w krześle, z głową opartą na poręczy.

Pachołkowie grimmińscy napadli ją w jasny dzień, pod bokiem jej rezydencyi, zarzucili jej kaptur na oczy, skrępowali ją, ukryli w lesie, a nocą przynieśli na zamek.

Tu zamknięto ją w narożnej komnacie i postawiono straż przed drzwiami.

Izba nie robiła bynajmniej wrażenia lochu; wszystko bowiem, co stary Werner miał najlepszego w domu, kazał do niej poznosić. Krzesła, ławy i posadzkę nakryto skórami niedźwiedziemi, ściany obwieszono dywanami, przy łóżku był klęcznik ze złotym krzyżem.

Przed krzesłem Judyty znajdował się stolik, zastawiony srebrnemi naczyniami.

Ale uwięziona nie dotknęła obfitych potraw. Siedziała z przymkniętemi powiekami, blada, znużona.

Napad odbył się tak szybko, iż nie mogła nawet użyć sztyletu, który miała zawsze przy sobie. Zanim domyśliła się, co się z nią dzieje, zamknięto jej usta i obezwładniono ręce.

Mylił się stary Werner, mniemając, że więzienie wpłynie uśmierzająco na dumę Judyty. Nie trwoga ogarnęła jej serce, kiedy się dowiedziała, gdzie się znajduje, lecz gniew. Ci nędznicy, jej wassalowie, śmieli się targnąć na jej cześć niewieścią i na dostojeństwo seniorki. Za taką zbrodnię powinni być wykluczeni z szeregów rycerstwa. Ona sama zaniesie skargę do tronu i nie spocznie dopóty, dopóki sprawiedliwość króla nie pomści jej zniewagi...

Kiedy drzwi skrzypnęły, drgnęła Judyta i wyprostowała się ruchem gwałtownym. Ujrzawszy Rudolfa, ściągnęła brwi, zacięła usta i utkwiła w nim wzrok spokojny, w którym nie było ani cienia obawy.

Jak drobny ptaszek traci przytomność, przerażony spojrzeniem węża, tak zmieszał się olbrzym pod wzrokiem dziewczyny. Wszedł z hałasem, szeleszcząc jedwabiami, z głową podniesioną, z uśmiechem zwycięzcy na ustach. Chciał Judytę powitać odrazu swobodnie, dworsko, lecz przygotowane słowa uwięzły mu w gardle.

Nie obcował on nigdy z kobietami dobrze wychowanemi, zwracał bowiem swoje afekty jedynie do dziewek podwórzowych i do córek poddanych, z któremi nie potrzebował naginać grubych kości do ukłonów i wdzięcznej postawy. W życiu swojem nie ułożył zręcznego zwrotu, splecionego z gładkich słów. W jego otoczeniu wystarczał krótki rozkaz lub klątwa, poparta kułakiem.

— Niech piekło pochłonie moralność i dworskość—myślał—stojąc przy progu, bezradny.

Ale trzeba się było posunąć naprzód, bo ten chłodny wzrok, którego milcząca Judyta nie zdejmowała z niego, palił go, jak słońce lipcowe. Czuł, że mu krew uderzała do głowy.

„Gdy rycerz spotka na drodze damę, powinien się do niej zbliżyć wolnym, drobnym krokiem, aby jej nie przestraszyć", przypomniał sobie, nie rozważywszy, iż owe drobne kroki odnosiły się tylko do konia.

Więc szedł ku Judycie maczkiem, plącząc się w sukniach, z których był tak dumny.

Przepędziwszy całe życie na polowaniach, najazdach, rozbojach i hałaśliwych biesiadach, w gronie takich, jak on sam prostaków, ubierał się najchętniej krótko i nie umiał chodzić w długim płaszczu, unoszonym przez dworskich rycerów prawą ręką.

W połowie drogi przystanął, rzucając z pod czoła na Judytę niepewne spojrzenie. Zmieszał się jeszcze więcej, bo spostrzegł na ustach dziewczyny uśmieszek ironiczny.

Czyby go ochmistrz źle uczył?—przebiegło mu przez głowę.

I przeklinał znów w duszy moralność, a swojemu nauczycielowi obiecywał sowitą zapłatę na ławce.

Robiło mu się coraz goręcej.

Nie wiedział, że jego postać olbrzymia, niezgrabna, podobna do nieociosanego pnia, była śmieszną z ruchami mizdrzącej się kotki. Posadzka uginała się pod nim, a on drobił nogami, jak rozpieszczone dziecko.

Teraz odezwała się Judyta:

— Czy przychodzisz mnie, Rudolfie z Grimmingen, błagać o przebaczenie za bezbożny gwałt, dokonany przez twoich pachołków na mojej osobie? Wierzę, iż kazałeś już tych łotrów powiesić.

Głos jej był tak spokojny, jak wzrok.

Rudolf podniósł głowę, zdumiony.

Uwięziona, zostająca w jego mocy, oddana na jego łaskę i niełaskę, przemawiała do niego, jak seniorka, odbierająca hołd od wassala.

W pierwszej chwili nie umiał sobie ten półdziki człowiek zdać sprawy z położenia, w jakiem się znalazł. Był-że on u siebie, w Grimmingen?

— Przebaczyć tobie, zuchwały wassalu, nie mogę tego gwałtu—mówiła Judyta dalej—lecz jeżeli odeślesz mnie natychmiast do Hohenau, wstawię się za tobą do wolnego pana na Meersburgu i poproszę go o karę łagodniejszą.

Nazwisko Bertolda uderzyło Rudolfa w twarz, jak żelazna rękawica. Przypomniał sobie pogrom na polu egolsheimskiem, zniewagę, wyrządzoną mu przez starego Wecla, i więzienie w ciemnym lochu.

— Zabiję tego pysznego panka!—krzyknął, zapomniawszy o moralności i wskazówkach ojca — gdziekolwiek go spotkam, rozłupię mu czaszkę, jak makówkę!

— Miałeś sposobność przekonać się, iż dostęp do pana z Meersburga nie jest łatwy — wtrąciła Judyta.

Ciemny rumieniec wstydu oblał twarz olbrzyma.

Judyta przypomniała mu hańbę, i to w jego własnym zamku... Mógł ją zgnieść, zdeptać, a ona drwiła z niego.

Nie chciało się to pomieścić w głowie gwałtownika, który widział u swoich stóp niejednego kupca, błagającego pokornie o życie. Czyżby Judyta nie wiedziała, że znajduje się w jego mocy?

— Zapominasz, iż twoje życie zależy od mojej łaski!—wybuchnął.

— Życie moje, jak każdego śmiertelnika, jest w ręku Boga, i włos nie spadnie z mojej głowy bez Jego wiedzy; ale na twoją grzeszną duszę czeka już szatan, rozniecając ognie piekielne.

Rudolf przeżegnał się. I on był wiernym katolikiem.

A Judyta mówiła tym samym, zawsze spokojnym głosem, jak gdyby była u siebie:

— Gdyby się Bogu podobało, mógłbyś mnie tylko zabić, bo znieważyć, zbezcześcić nie pozwoliłabym się nigdy. Jakąż jednak korzyść miałbyś z mojej śmierci? Pan Bertold rozrzuciłby twój zamek, iż nie zostałby po nim kamień na kamieniu, a sprawiedliwość króla oddałaby ciebie i twojego ojca w ręce kata. Bo nie jesteś tyle nieroztropnym, iżbyś sądził, że zabójstwo wolnej pani z Hohenau, narzeczonej członka rady królewskiej, mogłoby się długo ukryć. Zły duch waszego rodu poddał wam w chwili mściwej ten gwałt bezbożny.

Rozmowa z Judytą układała się inaczej, aniżeli się Rudolf spodziewał. On sądził, że będzie mówił do dziewczyny przerażonej, złamanej nieszczęściem, jakie ją spotkało, a znalazł się przed obliczem seniorki.

Bo wistocie... Zbyt znaną osobistością była w okolicy wolna pani z Hohenau, zbyt potężną narzeczona członka rady królewskiej, aby mogła zginąć bez śladu, niepomszczona. Dziś czy jutro dosięgłaby morderców ręka sprawiedliwości, zwłaszcza teraz, kiedy król, wzmocniony zwycięztwem nad Unstrutą, posiadał środki do poparcia swoich wyroków. Wprawdzie wykrzykiwali rycerze szwabscy u hrabiego okręgu przeciw Frankom i Henrykowi; lecz każdy z nich umyłby ręce i schowałby się w mysiej dziurze, gdyby wojsko rzeszy stanęło nad jeziorem Bodeńskiem. Wszakże odgrażali się tak samo przed wojną, a mimo to poszli na wezwanie korony do Saksonii.

Rudolf nie umiał czytać i pisać, nie uczył się moralności, lecz położenie chwili znał bardzo dobrze, rozprawiano bowiem o niem w każdym szynku Konstancyi.

— Ojciec nawarzył piwa — myślał syn — a ja będę je musiał wypić...

Najchętniej byłby się wycofał z komnaty, której podłoga go paliła, lecz wstyd przykuł go do miejsca.

Nie patrząc na Judytę, rzekł:

— Tylko z troskliwości o zbawienie waszej duszy kazał was ojciec przenieść do Grimmingen. Jako przyjaciel waszego rodzica, nie mógł mój stary na to pozwolić, ażeby was wyklęty pociągał za sobą do piekła. Tu nie dotknie was ręka nędznika, odrzuconego od łona Kościoła.

Mówił teraz, jak go ojciec nauczył.

Sucho rozśmiała się Judyta.

— Od jakiego to czasu zajmujecie się opieką nad cudzemi duszami, wy, których ręce nurzają się w krwi niewinnej? — odezwała się. — Troskę o zbawienie mojej duszy zostawcie kapłanom, którzy, poświęciwszy życie służbie Bożej, mają moc nad grzechami dzieci tego świata. Jakiem prawem zresztą narzucacie mi swoją opiekę nieproszoną? Kto wy jesteście, wy, chłopi moich przodków, iż ośmielacie się krępować swobodę córki dobrodziejów waszego rodu?

Potrąciła o najdrażliwszą strunę w duszy Rudolfa. Świeży rycerz nie lubił, ażeby mu jego niedawną przeszłość przypominano.

— Należymy do stanu rycerskiego tak samo, jak wy—odparł Rudolf.

— Wy, do stanu rycerskiego? Prawdziwy rycerz oddaje swój miecz wierze, królowi, ubogim i prześladowanym, brzydzi się cudzą własnością, lekceważy złoto, czci płeć słabą i broni sierot. A wy co robicie? Wszystkie drogi nad jeziorem Bodeńskiem skarżą się na waszą dzikość; złoto zgarniacie z chciwością handlarzów, niewiasty znieważacie, sieroty zamykacie w więzieniu. Wy, do stanu rycer-

skiego? Gorsi jesteście od wędrownych komedyantów. Do stanu zwykłych rabusiów należycie...

— Przestań! — krzyknął Rudolf, skoczywszy ku niej.

Krew zalała mu oczy, na czoło wystąpiły grube, sine żyły, nozdrza latały...

— Nadużywasz mojej cierpliwości—wołał, wyrywając nóż z pochwy.—Mówisz, iż wszystkie drogi nad jeziorem Bodeńskim skarżą się na naszą dzikość... Nie drażnij tej dzikości!...

Blada twarz Judyty przybladła jeszcze więcej. Szybko jednak podniosła i rzekła:

— Uderz, zbóju, aby krew moja rzygnęła na twoją czarną duszę potokiem, którego nie zmyją łzy najgorętsze. Utop żelazo w piersi bezbronnej dziewicy, aby dalekie pokolenia przeklinały pamięć wiarołomnego wassala i straszyły dzieci w kolysce imieniem najnikczemniejszego z morderców.

Jej oczy wpiły się z takiem wytężeniem w twarz Rudolfa, jak wpatruje się pogromca w rozjuszone zwierzę drapieżne.

Rycerz wytrzymał przez pewien czas jej zimne, rozkazujące spojrzenie. Potem zaczął kręcić głową, przestępować z nogi na nogę i cofać się wolno tyłem ku drzwiom.

— Dlaczego nie uderzasz?—mówiła Judyta.— Wszak to tak łatwo zamordować kobietę uwięzioną i chorą...

Rudolf odetchnął z głębi piersi. Spojrzawszy jeszcze raz z tłumionym gniewem na dziewczynę, oddalił się szybko, sapiąc i mrucząc.

Na kurytarzu krzyknął na pachołka, który trzymał straż przed komnatą.

— Dlaczego podsłuchujesz, łotrze!

— Nie podsłuchiwałem, panie — odpowiedział wystraszony sługa.

— Kiedy mówię, że podsłuchujesz, to podsłuchujesz!

Palnąwszy pacholka w kark, pobiegł Rudolf na ganek.

Tu czekał na niego stary Werner.

— Udało się?—zapytał ciekawie.—Opowiadaj, jak było.

— Niech ojca, moralność, dworskość i tę zuchwałą gęś trąd strawi, woda wyrzyga i ziemia wypluje po śmierci! Niech was wszystkich razem jasne zatrzasną pioruny! Niech się linoskoki mizdrzą do takich dzierlatek! — wrzeszczał Rudolf na całe gardło.

— Ludzie słyszą—łagodził go ojciec.

— Co mi tam ludzie! Niech sobie słyszą, kiedy mają uszy.

Wyjrzał na dziedziniec.

— Kuno! — huknął. — Nie widziałeś tam gdzie ochmistrza? Dawajcie mi go zaraz! I dobry bat przynieście.

— Wściekłeś się, czy co? — odezwał się stary Werner.

— Niech mi ojciec zejdzie z oczu, bo mnie garść świerzbi.

— Patrzcie go! Mnie będzie groził...

Dwóch pacholków wprowadziło za kark dygocącego ze strachu mistrza moralności.

— Kładź się!—krzyknął Rudolf.

— To gwałt, to zbrodnia!—wrzasnął ochmistrz.

— Za gwałt możesz mnie zaskarżyć do hrabiego okręgu, jeśli cię żywego wypuszczę z zamku, a tymczasem połóż się. Uczyłeś mnie ty moralności, dam ci i ja lekcyę sztuki łamanej. Chcę zobaczyć, jak się fika moralnie nogami, kiedy skórę swędzi.

Rudolf schwycił szamocącego się ochmistrza w pół i rozciągnął go na ławie.

Wkrótce potem rozległ się przy wtórze ordynarnego śmiechu pachołków przeraźliwy krzyk niewinnie bitego człowieka.

— Ulżyło mi trochę—rzekł Rudolf, wychłostawszy ochmistrza do krwi. — A na drugi raz ucz ludzi porządniej swojej mądrości.

Judyta osunęła się po wyjściu niepożądanego wielbiciela na krzesło. Zmęczyła ją nierówna walka z człowiekiem, znanym z dzikości.

Broniły jej wprawdzie siła woli i duma, i obroniły ją dziś przed zniewagą, zdołają-ż jednak te słabe w niewoli pomocnice złamać po raz wtóry podrażnioną złość gwałtownika?

Wiedziała, że nie zejdzie z tego świata niepomszczona. Ale ludzie jej czasu nie obliczali się trwożliwie z następstwami zbrodni. Przywykli do widoku krwi, do śmierci niespodziewanej, korzystali z chwili, nie troszcząc się o jutro. Gdyby Rudolfowi przyszło na myśl zemścić się za dzisiejszą porażkę, nie powstrzymałby go od czynu brutalnego strach przed sprawiedliwością króla.

Judyta otrząsnęła się, jak gdyby ujrzała coś bardzo obrzydliwego.

— Ten prostak mógłby się targnąć na jej cześć dziewiczą—przeszło jej przez myśl.—Był silniejszy od niej; nie potrafiłaby mu długo stawić oporu...

Obejrzała się po swojem więzieniu. Nigdzie nie było broni. Na stoliku tylko leżały obok talerzy dwa noże.

Wzięła jeden z nich i ukryła go pod suknią.

Gdyby mogła dać znać do Hohenau lub Meersburga, gdzie się znajduje, uwolnionoby ją natychmiast. Lecz rabusie odcięli ją od swiata. Nie usługiwały jej kobiety, nie pozwolono jej opuścić izby. Stary pachołek przynosił jej potrawy i odchodził, nie odpowiadając na zapytania.

Wzrok Judyty przesuwał się wzdłuż ścian. Nigdzie nie było szczeliny. W głębokiej niszy, wysoko pod sufitem, znajdowało się okrągłe okienko, do którego wchodziło się po stopniach kamiennych.

— Moze dostrzeże mnie ktoś z dołu — łudziła

się Judyta—i zaniesie wiadomość o mojem więzieniu do Hohenau.

Weszła na okno, otworzyła je.

W dolinie, u stóp wzgórza, na drodze do Hohenau, posuwały się jakieś postacie. Byli to niezawodnie ludzie, oddalenie jednak zatarło ich kontury.

Choćby krzyknęła, wołając o pomoc, wsiąkłby jej głos w szum lasu, niedosłyszany przez nikogo.

Każda inna dziewczyna byłaby szukała ulgi w łzach, ale dumna natura Judyty nienawidziła pociechy słabych. Zamiast się roztkliwiać, myślała nad odwetem.

— Niech tylko ztąd wyjdę—ślubowała—a nie będę czekała na wyrok sądu. Ale jak wydostać się z warowni, strzeżonej troskliwie?...

Wtem doleciał ją z dołu, z dziedzińca, śpiew nabożny. Zdziwiło ją to, na zamku bowiem Grimmingen słyszała od wczoraj same tylko klątwy i gniewliwe nawoływania.

Wychyliła się oknem i słuchała.

Ktoś szedł od bramy, śpiewając psalmy łacińskie. Nie myliło jej ucho. Rozróżniała wyraźnie dźwięki mowy rzymskiej.

Głos rósł, zbliżał się do pałacu. Z powstrzymanym oddechem czekała Judyta na ukazanie się uczonego męża.

Teraz ujrzała zgarbionego starca, który posuwał się wolno, poprzedzany przez pachołka. Judyta poznała po sukni, po lasce i wydrążonej dyni pielgrzyma.

— Może mi Bóg wszystkowiedzący przysyła tego gońca — pomyślała i, przechyliwszy się jeszcze więcej w oknie, zawołała:

— *Salve, viator!*

Pielgrzym usłyszał ją, bo podniósł głowę i wodził wzrokiem po murze pałacu.

— *Ave, domina*—odpowiedział, wplatając te słowa do psalmu.

— *Audi, frater in Christo, meas preces*...—prosiła Judyta.

A na dole śpiewał pielgrzym:

— *Cave, ne vehementiam augeas* [1]).

I poszedł dalej, na wschodach bowiem pałacu ukazał się stary Werner.

Judyta wyciągnęła ręce dziękczynnie do nieba. Domyśliła się, że ów pielgrzym przybył dla niej do Grimmingen. Ktoś czuwa nad nią... Mogła-ż o tem wątpić? Wszakże w oddali rysował się na błękitnawem tle gór zamek Bertolda.

Nizko kłaniał się Werner z Grimmingen zakapturzonemu sekretarzowi Bertolda. Pocałowawszy go w rękę, rzekł:

— Witajcie, ojcze pobożny, i raczcie moją ubogą chatkę zaszczycać jak najdłużej swoją świątobliwością. Pobożny gość w domu, łaska Boża w domu. Zdaleka idziecie?

— Z Ziemi Świętej wracam, panie rycerzu— mówił dyktator Bertolda, pokaszlując.—Daleką drogę odbyły moje stare nogi. Za grzechy młodości... tak... za grzechy...

Głowa jego chwiała się na szyi, ręce trzęsły się, oczy rozglądały się bezmyślnie dokoła, jak gdyby ich otoczenie wcale nie obchodziło. Ale w tych przygasłych pozornie źrenicach, nakrytych do połowy powieką, zaświecił od czasu do czasu błysk jasny. Ktoś uważniejszy od starego Wernera byłby dostrzegł, że pielgrzym patrzy bystro i widzi wszystko...

— Z Ziemi Świętej?—odezwał się rycerz z nabożnym podziwem.—Bóg na was łaskaw, że pozwo-

---

[1]) *Audi, frater* i t. d.=Wysłuchaj, bracie w Chrystusie moich próśb.—*Cave, ne* i t. d.=Strzeż się, abyś nie pomnażała gwałtowności.

lił wam oglądać żywemi oczami kołyskę naszego Pana, Jezusa Chrystusa.

Zewsząd tłoczyli się pachołkowie do pielgrzyma. Nadszedł i Rudolf. Każdy chciał otrzeć się pierwszy o suknię, laskę, rękę pobożnego męża.

— Z Ziemi Świętej idzie—podawano sobie z ust do ust.

Wszystkie oczy świeciły ciekawością.

— Błogosławcie nas, ojcze—proszono.

Pielgrzym kładł ręce na głowy pachołków, schylonych pokornie, i mruczał po łacinie:

— Łajdaki, zbóje, szubieczniki, żeby wam choroba ręce i nogi powykręcała, żeby wam kruki za życia ślepie wydziobały.

A po szwabsku dodał:

— Łaska Boża niech będzie nad wami!

I podniósł laskę i spuszczał ją na głowy pachołków.

Delikatne nie były dotknięcia, potrącani bowiem spoglądali wzrokiem zdumionym na pobożnego męża.

Ciężką rękę miał ten starzec niemocny.

— Prowadźcie mnie do kaplicy! — rzekł były komedyant, pobłogosławiwszy wszystkich.

Z dwóch stron wzięli obaj panowie z Grimmingen pod ręce i wiedli ostrożnie, z uszanowaniem przez ganek. On, stąpając niepewno, zwyczajem starości, udepnął kilka razy to starszego, to młodszego gospodarza, a za każdym razem usuwał rycerz z pośpiechem nogę, dziwując się wielce.

Ciężką nogę miał ten dziad roztrzęsiony.

— Musieliście kiedyś chodzić w butach żelaznych—zagadnął go Rudolf.

— Bywało rozmaicie, i tak i owak... Grzeszyło się na świecie, grzeszyło... — odpowiedział pielgrzym, kiwając głową.

W kaplicy zamkowej ukląkł przed wielkim ol-

tarzem, rozkrzyżował ręce i wołał po łacinie wielkim głosem, jakby z siebie duszę wyrzucał.

W nabożnem skupieniu przysłuchiwali się rycerze „gorącej modlitwie" pielgrzyma.

Były komedyant wzdychał tak naturalnie, bił się w piersi tak szczerze, iż nie wątpliwi, że błagał Boga o zmiłowanie za grzechy.

Wreszcie dźwignął się z kolan i wrócił na dziedziniec. Posadzono go na ławie, pod lipą, i podano mu zwykłą przekąskę pielgrzymów: słodkie mleko, miód i chleb.

W milczeniu otoczyli go zbrojni mężowie. Oczy wychodziły im na wierzch z ciekawości, ale nikt nie śmiał przerwać gościowi skromnego posiłku.

On jadł wolno, żuł z namysłem. Wiadomo, że starcy nie mają zębów.

— Tak, z Ziemi Świętej idę—zaczął po jakimś czasie i ustał.

Koło pachołków zwęziło się. Każdy chciał być bliżej pielgrzyma, aby nie uronić ani jednego słówka.

Palestyna była już w jedenastem stuleciu ową ziemią cudowną, o której marzył cały świat katolicki. Jeszcze niewielu rycerzy widziało ją, wszyscy jednak słyszeli coś o niej i pragnęli oglądać własnemi oczami.

Złoty sen wojen krzyżowych unosił się już nad Europą zachodnią widmem, strojnem w barwy tęczowe, wabiącem młodą wyobraźnię młodych ludów.

— Czy modlił się kto z was na grobie Zbawiciela? — spytał ostrożny pielgrzym, aby nie być pochwyconym na kłamstwie.

Spojrzał bystro po twarzach otaczających go wojowników.

— Zbyt kosztowna to droga dla zwykłego rycerza — odpowiedział stary Werner. — To musi być bardzo daleko.

Pielgrzym pokiwał głową.

— Najzdrowsze nogi mdleją, zanim dojdą do Ziemi Świętej — odpowiedział. — Trzeba przejść dziesięć pasm gór, tak wysokich, jak wasze Alpy, dziesięć państw, tak rozległych, jak nasza rzesza, i przepłynąć dziesięć mórz, czarnych, niebieskich, zielonych, białych, czerwonych i rozmaitych innych.

— O, o, o...—dziwili się rycerze i pachołkowie, trącając się łokciami.—Słyszycie?

— Byłem mężem w pełni sił, kiedy udałem się w drogę, a widzicie, że wracam starcem.

Powiekami przysłonięte oczy pielgrzyma śmiały się, rozbawione skupioną uwagą słuchaczów, nikt jednak nie dostrzegł ich błysku chytrego.

— A jakie narody spotyka się po drodze!— opowiadał sekretarz Bertolda. — Zaraz za granicami rzeszy mieszka jakieś osobliwe plemię, co je nogami a pije nosem. Kiedy ludzie tamtejsi mówią, to jakby prosię kwiczało, targane za ogon, śpiew zaś ich jest podobny do piania naszych kogutów.

— Osobliwy naród!—zauważył Rudolf.—Ktoby się tego spodziewał... Rozumie się, że takie dzikie stworzenia nie znają prawdziwego Boga, bo gdzieżby tam prawdziwy Bóg chciał być czczonym przez bestye, co piją nosem. Czy to można wysączyć nosem uczciwy puhar?

— To jeszcze nic—drwił sekretarz.—Zaraz za owym osobliwym narodem mieszka jeszcze osobliwszy. Wystawcie sobie, że są ludzie, co nie wiedzą nic o wolności i poddaństwie. Król całuje się w gębę z pastuchą, królowa ceruje dziewce pończochy, wódz trzyma straż zamiast pachołka, chłop chodzi sobie po ulicy pod rękę z wojewodą. Ten osobliwy naród powiada, że człowiek człowiekowi równy, bo każdy ma dwie ręce i nogi, dwoje oczu i uszu, nos i taką samą głowę.

Z przyjemnością słuchali pachołkowie tej po-

wieści, spoglądając po sobie znacząco, ale stary Werner zmarszczył brwi i rzekł:

— Mówcie nam o Ziemi Świętej, o grobie Zbawiciela.

Zanim pielgrzym odpowiedział, podniósł oczy do nieba, złożył ręce nabożnie i szeptał modlitwę.

— Kto nie widział Ziemi Świętej i owych dziwnych obrazów, które ukazują się od czasu do czasu na niebie nad grobem Zbawiciela — mówił z namaszczeniem—ten nie może mieć wyobrażenia o raju i o piekle. Ziemia Święta?! Jakież usta zdołają opisać ten kraj obiecany! Rośnie tam wszystko bez pracy człowieka: wino, zboże, warzywa i owoce. Gdy rycerz potrzebuje zbroi, przynosi mu ją anioł. Sukni, trzewików, sprzętów domowych, koni, mułów i wszelakiego dobra dostarczają ręce niewidzialne. Pieniędzy tam wcale niema, bo dostanie wszystkiego za darmo.

Oczy pachołków błyszczały pożądliwie. Niejeden z nich postanowił w duchu uciec z Grimmingen i przyłączyć się do pierwszej wyprawy, udającej się na Wschód.

— Jeśli tak jest, jak mówicie—odezwał się jeden z pachołków, bystrzejszy od innych — to dlaczego tam nie zostaliście?

Uwaga ta nie zmieszała bynajmniej pielgrzyma. Uśmiechnąwszy się drwiąco, odparł:

— Pobyt w Ziemi Świętej dozwolony jest tylko wiernym bez grzechu. Kto ma na sumieniu choćby najmniejszą plamę, tego straszą owe obrazy dopóty, dopóki nie opuści grobu Zbawiciela. A dusza moja pławiła się w grzechach tego świata przez szereg lat. Grzeszyłem zbyt obfitemi obiadami i zbyt wielkiemi puharami, grzeszyłem słodkiem pieczywem i różnemi smakołykami, przeto każdy, kto mnie nazwie workiem, pełnym wszelakich obrzydliwości, i gąbką nienasyconą, nazwie mnie słusznie. Grzeszyłem głupią pychą rycerza i zbrodniczą nienawi-

ścią do bliźnich, przelewałem krew słabszych i krzywdziłem uboższych, i dlatego wypędziły mnie owe obrazy z Ziemi Świętej, albowiem jestem niegodny szczęśliwego żywota sprawiedliwych.

I jął pielgrzym zawodzić, szlochać, targać sobie włosy i bić się w piersi.

Udawał tak doskonale skruszonego grzesznika, iż mu się widzowie przypatrywali ze współczuciem.

— Jakie to obrazy wypędziły was z Ziemi Świętej? — spytał Werner z Grimmingen.

— O, bracia w Chrystusie — mówił pielgrzym — gdybyście wy to widzieli, co ja widziałem, rzucilibyście świat i jego zdradzieckie obietnice. Pytacie, jakie obrazy wypędziły mnie z Ziemi Świętej? Obrazy mąk, które czekają grzesznika po śmierci. W' dobroci Swojej nieprzebranej maluje słodki Jezus od czasu do czasu na niebie podziemia piekielne na użytek zbłąkanych owieczek. Widzi się wówczas wszystko dokładnie — wiecznie płonące ognie i szatanów, męczących duszyczki. Każdy grzech pokutuje w osobnej przegrodzie. Kto obżerał się za życia i opijał zbytecznie, głupszy od nierozumnego zwierzęcia, ten dostaje w piekle tylko raz na tydzień miseczkę czarciego łajna, okraszonego śliną babki dyabelskiej; kłamcę kąsają jadowite żmije w język, wiarołomnemu dzicbią kruki serce, mężobójcę wiesza kat piekielny trzy razy dziennie na powrozie z płomieni.

Zaciekawione dotąd twarze słuchaczów mierzchły w miarę, jak sekretarz Bertolda wyliczał różne męki. Prawie każdy z towarzyszów załogi grimmińskiej miał na sumieniu jakiś cięższy występek. Wszyscy upijali się, łamali wiarę swoim panom, a wielu z nich plamiło ręce krwią niewinną.

W ponurem milczeniu stali zbrojni mężowie, utkwiwszy wzrok w ziemi. Żaden z nich nie przy-

puszczał ani na chwilę, iż wrzekomy pielgrzym bawi się ich kosztem.

A on opowiadał:

— Pewnego razu, zmęczony płaczem i modlitwą, zasnąłem przy grobie Zbawiciela. Wtem obudziło mnie jakby skowyczenie duszonego psa. Otwieram oczy, patrzę w niebo i widzę obraz szczególny. Na różowym obłoczku, ciągnionym przez cztery łabędzie, płynęła postać niewieścia w białej szacie, a tuż za nią biegł rycerz z rękami, złożonemi błagalnie. Prosił ją o coś, jęcząc, szlochając, za każdym jednak razem, gdy się do niej zbliżał, wpadała na niego gromada ohydnych potworów, chwytała go za włosy, wydzierała z niego oczy, szarpała ciało na strzępy. Krwawe szmaty zrastały się szybko, rycerz biegł znów za ową postacią niewieścią, wyciągał ręce, błagał, jęczał, ażby się kamień nad jego nędzą ulitował, ale znów zagradzał mu zastęp szatanów drogę, a z góry, z gwiazd, wołał głos, podobny do grzmotu piorunów: niema dla ciebie przebaczenia, albowiem znieważyłeś dziewicę.

Mówiąc to, wpijał się pielgrzym wzrokiem w twarz starszego pana z Grimmingen. Gdyby go powitanie łacińskie Judyty nie było wprowadziło na jej ślad, byłby przestrach, malujący się w oczach rycerza, potwierdził jego domysł.

W gromadzie słuchaczów zapanowała przykra cisza.

Ci prości ludzie, nie znający nic oprócz rzemiosła wojennego, mieli o wierze, którą wyznawali, jeszcze grubsze wyobrażenie od Judyty. Cała ich wiedza religijna polegała na mieszaninie fantastycznych baśni o nagrodach i karach pogrobowych. Usiłowania duchowieństwa nie wyparły jeszcze z ich pamięci legend pogańskich. Bogowie Walhalli z liczną świtą duchów, gnomów i nimf łączyli się dotąd w ich powieściach ze Świętymi chrześciaństwa.

Ciemni, opętani przez naiwną wyobraźnię, wie-

rzyli chętnie we wszystko, co im podawano w szacie cudowności.

Tylko ów bystrzejszy pachołek spoglądał badawczo na pielgrzyma. Wydało mu się podejrzanem, iż mąż nabożny widział właśnie obraz, odnoszący się do porwania Judyty.

Nieufny wzrok nie uszedł uwagi zakapturzonego dyktatora Bertolda Zrozumiał, że przeciągnął strunę, że trzeba nawrócić, by nie podrażnić zanadto strachu grzeszników. Mogliby sobie odbić na jego skórze niepokój, wzbudzony jego opowiadaniem.

— Mówił mi jeden ze stróżów Grobu Świętego — odezwał się—że owe widziadła są tylko przestrogą dla wiernych. Słodki Jezus, chcąc zbłąkanym owieczkom obrzydzić grzech, zatrważa je rozmyślnie obrazem kary straszliwej. Ale uczeni w piśmie twierdzą, że Zbawiciel nie jest tak srogi. Jego litościwe serce przebacza każdemu, kto wierzy szczerze w miłosierdzie Boże i pokutuje przed śmiercią.

— Tak stoi napisano? — spytał Werner skwapliwie.

— Piszą o tem Św. Jan na słupie, Św. Piotr pustelnik, Św. Mateusz brodaty i wielu innych Ojców Kościoła — odpowiedział pielgrzym, wymyśliwszy sobie naprędce kilka nazwisk. — Jest zresztą wiele sposobów na przebłaganie gniewu Bożego. Kto sobie potrze czoło kamieniem z góry Golgoty — dostępuje odpustu mniejszych grzechów, a kto zje na noc szczyptę piasku z rzeki Jordanu, budzi się nazajutrz bez zmazy, jak nowonarodzone dziecię. Gdybym nie był obiecał wojewodzie szwabskiemu świętych pamiątek, które niosę z sobą z Palestyny, udzieliłbym wam owych środków cudownych, ale zostało mi już niewiele, bo mi po drodze różni niewierni zabrali znaczną część moich skarbów. Udało mi się ocalić zaledwie kilka kamyczków z Golgoty, trochę piasku z Jordanu i kość króla Dawida.

— Kość króla Dawida? — zawołał stary Werner ze szczerym podziwem.

O Dawidzie wiedzieli wszyscy rycerze. Mężny król należał pospołu z Aleksandrem Wielkim i Karolem Wielkim do ulubieńców wieków średnich.

Pielgrzym wydobył z zanadrza kawałek gnata i, ucałowawszy go nabożnie, pokazał zdaleka.

— Małe kosteczki miał ten wielki władca — rzekł.

— Zaprawdę, jak sarenka — dziwował się Rudolf.

— Chciał dotknąć „relikwii", lecz pielgrzym schował ją szybko za suknię, wołając:

— Na miłość Boską, nie wolno. Mogłoby was spotkać jakie nieszczęście. Takich relikwii można dotykać jedynie po trzech dniach postu.

— A wy pościcie? — wtrącił ów bystrzejszy pachołek.

— Widziałeś, że spożywam tylko postne potrawy — odpowiedział pielgrzym.

Uwagi wścibskiego zaczęły mu się nie podobać. Zanadto badawczo przypatrywał się mu ów pachołek. Trzeba się było zabierać do odwrotu, coraz bowiem bliżej przysuwał się do niego natrętny niedowiarek. Gdyby mu przyszło na myśl pociągnąć go dobrze za przyprawioną brodę, wydałaby się zdrada, a wówczas...

Mrowie przeszło po skórze sekretarza Bertolda. W rogu dziedzińca, pod murem, straszyła wieża kamienna... Najchytrzejszy dowcip nie wydobyłby go z tej klatki...

Nie miał już zresztą co robić w Grimmingen. Wiedział teraz napewno, że się Judyta znajduje na zamku.

Więc podniósł się i, wyciągnąwszy ręce nad pałacem, rzekł:

— Pokój temu domowi! Niech łaska Boża okrywa swem skrzydłem...

A po łacinie dodał szeptem:

— Aż do jutra.

— Czy nie raczycie u nas przenocować? — zapraszał stary Werner.— Tak chętnie posłuchalibyśmy jeszcze opowieści o Ziemi Świętej...

— Ślub zabrania mi nocować pod świeckim dachem — odpowiedział pielgrzym.

— I nie pozostawicie nam żadnej pamiątki? Złota u nas dosyć, nie pożałujecie...

Pielgrzym udawał, że się namyśla.

— Ślub nie pozwala mi nosić przy sobie pieniędzy — rzekł. — Jeżeli jednak obiecacie kupić dla swojej kaplicy nowy kielich i ornat, zostawię wam kilka kamyków z Golgoty i trochę piasku z Jordanu. Kości króla Dawida nie mogę naruszyć, bo przysiągłem złożyć ją w tumie spirskim. Godziwa, by szczątki królewskie spoczywały w świątyni, umiłowanej przez królów.

I wydobywszy swoje „relikwie", obdarzył niemi obu gospodarzów i owego niewiernego pachołka.

Łapczywie pochwycili wojownicy „swięte pamiątki". Stary Werner potarł sobie natychmiast czoło kamykiem.

— Pokój temu domowi! — wyrzekł pielgrzym jeszcze raz i zwrócił się ku bramie, nucąc psalmy.

Kiedy przechodził pod oknem Judyty, podniósł głos i śpiewał po łacinie:

— Nie lękaj się, gołąbko... Twój sokół czuwa i oswobodzi cię wkrótce ze szpon tych nędznych kobuzów. Bądź dobrej myśli...

IX.

Cicha, pogodna noc sierpniowa stała nad zamkiem Grimmingen.

Księżyc posuwał się wolno, wśród gwiazd roz-

iskrzonych, szlakiem lazurowym, zasypując ziemię pyłem srebrzystym, który wypełniał doliny, wciskał się we wszystkie zagłębienia, mieszał się z falą strumieni, obrzucał blaskiem magicznym skały, lasy i mieszkania ludzkie.

Białe ściany domów wydawały się jeszcze bielsze, złote krzyże na wieżach kościołów, koguty na strażnicach zamków migotały, jak błędne ogniki, ciemne kontury drzew odcinały się wyraźnie od błękitnego nieba.

Było tak widno, iż dobre oko mogło na odległość strzału z łuku rozróżnić każdy większy przedmiot.

Światłem księżyca oblany, do widma podobny, wyrastał zamek grimmiński z czarnego tła wzgórza, pokrytego choiną. Śnił rozbójnik tak spokojnie, jakgdyby zbrodnia nie przestąpiła nigdy jego bramy. Spali gospodarze, spała załoga, drzemały konie przy żłobach.

Jeden tylko pachołek czuwał na strażnicy. Oparłszy ręce na halabardzie, spoglądał w dolinę leniwym wzrokiem człowieka, który nie spodziewa się niebezpieczeństwa. Cóż mogłoby zamkowi grozić? W ostatnich czasach nie przysłał żaden sąsiad do Grimmingen rękawicy, a miejsca pobytu Judyty nie znano jeszcze ani w Hohenau, ani w Meersburgu.

Tak sądził.

Był to ten sam ogromny drab, który czatował pod lasem hohenauskim na Judytę z drugim rabusiem. I jego to ręka bezbożna targnęła się na dziewicę w granicach jej własnego państwa.

Od czasu do czasu mąciły ciszę nocną głosy tajemnicze. To zdawało się, że się kłoś śmieje w zaroślach u stóp wzgórza, to przypływały zdaleka naszczekiwania psów lub załopotały nad wieżą miękie skrzydła sowy.

Wówczas wytężał pachołek wzrok i słuch, i rozglądał się uważnie dokoła.

Lecz noc wchłaniała w siebie głosy stłumione i nad uśpioną ziemią szła znów cisza uroczysta.

Stróż zaczął się nudzić. Ziewnął, wyprostował zmęczone członki i spojrzał na księżyc, badając, rychło-li nadejdzie godzina zluzowania. Do świtu jednak było jeszcze daleko.

Na ławce, pod murem, leżał drugi pachołek, przykryty kołdrą wełnianą. Spał niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Nagle krzyknął przez sen i wyciągnął ręce przed siebie, jak gdyby kogoś odpychał.

— Nie chciałem cię zabić! — jęczał.

— Czego wrzeszczysz? — odezwał się stróż, pchnąwszy towarzysza halabardą w żebra. — Gotowi myśleć na dole, że się ktoś zbliża, i uderzą w dzwon.

Przebudzony wytrzeszczył oczy przerażone na stróża.

— Krzyczałem? — pytał jeszcze na pół nieprzytomny.

— Jak gdyby cię hohenauczycy chwytali za czuprynę.

— Hohenauczycy?

— Przetrzyj ślepie i zbierz myśli. Babka dyabelska całowała cię zapewne we śnie.

Zupełnie już rozbudzony pachołek usiadł na ławie.

— Wiesz, co mi się śniło, Kuno? — rzekł.

— Zawsze krzyczysz we śnie, kiedy wlejesz w brzuch na noc za wiele wina. A słyszałeś, co pobożny pielgrzym opowiadał o żarłokach i pijakach?

— Śniło mi się—opowiadał drugi pachołek—że ta gruba Winryda, pamiętasz? co to ją zeszłego roku kopnąłem tak nieostrożnie w dołek, że zadarła odrazu kopyta, przyszła do mnie i kiwała palcem.

Kuno spoważniał.

— Kiwała? — pytał ciekawie. — Od siebie, czy do siebie? Przypomnij sobie, Rupercie.

— Zdaje mi się, że do siebie.

— Do siebie? To źle. Stara Kunegunda opowiada, że gdy duch kiwa palcem do siebie, znaczy się, iż wzywa żywego na drugi świat. Będziesz pewno niezadługo wisiał.

Wróżba ta nie przeraziła Ruperta.

— Gdybym mógł przed szubienicą zebrać tyle złota, żeby zakupić sto mszy u pobożnych ojców w Reichenau, nie lękałbym się stryczka — odrzekł. — Czy tak, czy owak, wyciągnąć kopyta raz trzeba, a w służbie takich zbójów, jak nasi panowie, trudno doczekać się lat sędziwych.

Zdala, z trzech atron, od Meersburga, Hohenau i Konstancyi, nadpłynął w tej chwili niewyraźny szmer, jakby cichy brzęk żelaza.

Pachołkowie nastawili uszu. Obcując ciągle z przyrodą, mieli czujny sluch i bystre oko.

— Czy słyszysz? — zapytał Kuno szeptem.

— Ktoś jedzie drogą — odpowiedział Rupert.

Szmer zdawał się to zbliżać, to oddalać, przenosząc się z miejsca na miejsce

Kuno spojrzał na Ruperta wzrokiem pytającym.

— Inaczej skrzypią koła wozów — odezwał się.

Rupert wzruszył ramionami.

— Zdaje się, jakby ciche granie płynęło do nas z ciemności — rzekł.

Wyszli na ganek strażnicy i wpatrzyli się w migotliwą przestrzeń.

Jak daleko wzrok ich sięgał, nie było widać nic podejrzanego, chociaż każdy kamień odcinał się wyraźnie od srebrzystego tła doliny. Nawet pies nie mógłby się był zbliżyć do wzgórza, żeby nie był dostrzeżonym z wieży.

A ów cichy brzęk nietylko nie ustawał, lecz rozlewał się coraz szerzej.

— Chyba przebudził się wicher w boru — mówił Kuno.

Rupert wskazał ręką w stronę Meersburga.

— Na granicy egolheimskiej drzewa bez ruchu — objaśniał. — Gdyby się wiatr był przebudził, widzielibyśmy kołysanie wierzchołków.

Nad wieżą załopotało, i zaraz potem odezwał się puszczyk.

Ilekroć pachołkowie trzymali straż nocną, słyszeli zawsze głos sowy. Przywykłszy do nieprzyjemnego krzyku, nie zwracali na niego uwagi. Ale dziś wstrząsnął ich ciałem dreszcz zimny.

— Dziwna noc — zaczął po dłuższem milczeniu Rupert. — Jakiś strach łazi mi po kościach. To granie... ten sen... te obrazy pielgrzyma...

— I mnie łapie coś za gardło—mówił Kuno.— Tfu! Tyle się w życiu ludzkiej juchy przelało, tyle widziało się ślepiów, zachodzących bielmem, tyle nóg, kopiących ziemię w kurczu śmiertelnym, i mrowie nie chodziło po skórze... Jak ci się zdaje, Rupert? Czy pielgrzym nie kłamał?

— Nie bluźniłbyś. Tacy świętobliwi pokutnicy nie kłamią nigdy.

— Tem gorzej dla nas... Gdyby mi się udało zadusić gdzie w kącie jakiego bogatego kupca, sprawiłbym zaraz dla klasztoru w Reichenau złoty kielich. Możeby mi ojcowie wyprosili miłosierdzie u słodkiego Jezusa. Ale bo to można u naszego starego co zarobić? Chciwiec! Zabiera sam wszystkie łupy.

W stronie Konstancyi odezwał się teraz głuchy łoskot, jakby się coś ciężkiego posuwało drogą.

Pachołkowie wytężyli wzrok... Dolina, spowita w błękitnawe opony, była ciągle pusta.

— Chyba obudzić starego? — radził Rupert. — Coś niezwykłego dzieje się w ciemnościach.

— Zębyby ci wybił, gdybyś mu podaremnie sen przerwał. Noc nie jest wieczna. Czekajmy cierpliwie.

I znów nasłuchiwali.

Szmer ustał tymczasem. Jedynie głuchy łoskot dudnił coraz głośniej, bliżej.

Czasami zdawało się pachołkom, że postrzegają poruszające się błyski, ale było to widocznie tylko złudzenie, owe błyski bowiem gasły szybko. Różne światła błąkają się w nocy nad łąkami.

Przytuliwszy się do siebie, czekali na świt. Chociaż po jakimś czasie zamilkł nawet ów łoskot, mimo to niepokoiły ich bezustannie zagadkowe głosy, idące ku nim z dali tajemniczej.

Błękit nieba zaczął tymczasem blednąć. Srebrzysty pył znikał powoli, jakby wsiąkał w ziemię. Księżyc świecił jeszcze, lecz stracił już swą moc cudotwórczą. Ktoś silniejszy od niego obejmował panowanie nad światem.

Z dolin, łąk i strumieni wysnuwała się szara mgła, która rozlała się szeroko dokoła zamku, tłukąc się pomiędzy drzewami.

Ze strażnicy było jeszcze mniej widać, niż poprzednio.

Lecz w chwili, kiedy mgła otoczyła wzgórze gęstą zasłoną, odezwał się ze wszystkich stron wyraźny już teraz szelest ludzkich i zwierzęcych kroków. Wielkie mnóstwo pieszych i jezdźców zbliżało się do Grimmingen.

Pachołkowie spojrzeli na siebie zdumieni.

— Ktoś okrąża naszą norę! — zawołał Kuno.

I przyłożywszy szybko róg do ust, zadął dwa razy, przeciągle, jękliwie.

Zanim w bramie zdążono uderzyć w dzwon alarmowy, odpowiedziały z mgły liczne rogi niewidzialne, i zaraz potem rozległ się tętent galopujących koni. Nieprzyjaciel, zmiarkowawszy, że go dostrzeżono, przyśpieszył kroku.

Na dziedzińcu wszczął się popłoch. Ze snu przebudzeni pachołkowie narzucali na siebie płaszcze i biegli pólnadzy na mury. Z pałacu wyleciał rycerz Rudolf w koszuli, z obnażonym mieczem w ręce.

— Gdzie... co? — wołał, wpadłszy na strażnicę.

— Mówcie, łotry, co się stało? — krzyczał, kiedy pachołkowie milczeli.

— Coś strasznego dzieje się w dolinie — odezwał się Rupert pokornie. — Nie nasza wina, panie, że nie dostrzegliśmy wcześniej najazdu.

Pusta dotąd mgła zaludniła się dziwacznem postaciami. Z każdą chwilą przybywało na dole coraz więcej ludzi i koni, ale ci ludzie i te konie miel rozmiary olbrzymie, ręce i nogi wydłużone. Widać było potworne cienie, przesuwające się z miejsca na miejsce.

Rudolf obiegł dokoła mury wewnętrzne. Wszędzie, na północy i południu, na wschodzie i zachodzie, groziły mu te same postacie fantastyczne.

Kiedy wrócił na strażnicę, zastał tam ojca.

— Jesteśmy otoczeni — rzekł, osuwając się na ławę. — Chyba sam dyabeł wydał wielkiemu łowczemu naszą tajemnicę, bo to on. Nikt inny nie mógłby zebrać w tak krótkim czasie tylu ludzi.

— Czekajmy na słońce — odparł stary Werner spokojnie. — Ono wskaże nam, co trzeba czynić, by się wydostać z matni.

Na wschodnim skraju nieba rozlała się smuga miedziana. Księżyc, który świecił ciągle, stał się bledszym, przezroczystszym, gwiazdy gasły, jedna po drugiej, mgła opadała powoli.

Małe obłoczki, rozłożone leniwo, jakby senne, w pobliżu owej smugi, zaróżowiły się po brzegach, z lasów podniósł się lekki wiatr i szedł nizko nad ziemią, płosząc przed sobą szary oddech łąk, strumieni i moczarów.

Z miedzianej smugi zaczęło się wysuwać słońce, nasamprzód rąbek, potem sama tarcza—duża, purpurowa, ognista. A gdy krwawe promienie rozproszyły resztki mgły, wówczas przedstawił się rycerzom z Grimmingen obraz, który nie usposabiał ich wcale do radosnego powitania gwiazdy dziennej.

Dokądkolwiek się oko ich zwróciło, wszędzie

dostrzegło obręcz żelazną, zamykajacą przystęp do zamku. Łańcuch, spleciony z błyszczących zbroi, opasał wzgórze, a nad tym łańcuchem sferczał płot z kopii, ozdobionych czerwonemi, żółtemi i zielonemi proporcami.

Z tyłu, drogą z Konstancyi, wlokły się wolno, postękując i skrzypiąc przeraźliwie, ogromne maszyny oblężnicze. Powiewała na nich chorągiew biskupa Ottona.

Osowiałym wzrokiem przypatrywali się ojciec i syn niespodziewanemu tak rychło wrogowi. Byli oni zanadto doświadczonymi wojownikami, by się mogli łudzić zwycięztwem. Gdyby nie owe maszyny, broniłoby ich przez jakiś czas wyborne położenie zamku. Lecz pociskom z tych przeklętych smoków nie oprą się długo najgrubsze mury... Wiedzieli o tem...

— A teraz co będzie, stary?... — odezwał się Rudolf z uśmiechem szyderskim. — Kto gadał, jak dziecko: wy, czy ja?

Werner z Grimmingen, wymijając urągliwy wzrok syna, odrzekł z pozorną obojętnością:

— Co ma być? Będziemy się bronili.

— Czy długo?

Zamiast odpowiedzieć synowi, krzyknął stary na dziedziniec:

— Strzelcy na mury! W piekarni nastawić wszystkie kotły! Z piwnicy wytoczyć beczki ze smołą!

Poczem zeszedł krokiem pewnym ze strażnicy.

A Rudolf siedział na ławie, jakby oczarowany barwnym obrazem, który mienił się w dolinie w złotych promieniach żółknącego szybko słońca.

Poznał on po kolorach proporców hohenauczyków, meersburczyków i ludzi biskupa Ottona. Stawili się wszyscy: lenni rycerze, wolni kmiecie i drużyny zamkowe. Około czterech tysięcy wojowników godziło na zgubę gniazda zbójeckiego.

Od gromady rycerzy, rozpatrujących się z małego wzgórza po okolicy, odczepił się jeździec, zakuty w srebrną zbroję. Żółty płaszcz, obramowany gronostajem, powiewał na jego ramionach, sokół z rozpostartemi skrzydłami chwiał się na jego hełmie. Zbliżył się do zamku na odległość strzału i stanął za drzewem, zasłoniwszy twarz puklerzem.

Na widok tego rycerza zmarszczył się Rudolf. Sokół, znak rodowy panów na Meersburgu, i gronostaje zdradziły Bertolda.

— Gniazdo nasze weźmiesz, boś silniejszy, lecz nie twoje usta wyssą z ust Judyty miód pierwszej miłości.

Brzydki uśmiech oszpecił zmysłowe wargi Rudolfa.

Podniósł się z ławy, już bowiem przysuwały się do zamku maszyny, a on nie był nawet jeszcze ubrany.

Z dołu, z po za drzewa, obrzucał Bertold bystrym wzrokiem znawcy położenie warowni. Gdyby chciał był czekać, otworzyłby głód po jakimś czasie jej bramy, Grimmingenowie bowiem, zaskoczeni nagle, nie mogli się przygotować na dłuższe oblężenie.

Ale jemu szło o pośpiech.

Tam, za szaremi murami pałacu, wyciągała do niego ręce stroskana Judyta i męczyła się każdą godziną zwłoki. Zanim słońce dziś zajdzie, powinna odetchnąć na jego piersiach po trwodze dwóch dni, choćby miał dotrzeć do niej po moście, zbudowanym z głów ludzkich.

Dla dobrych maszyn nie przedstawiało zdobycie zamku wielkich trudności. Gród przysiadł wprawdzie na samym szczycie wzgórza, to wzgórze jednak nie było tak wysokie, iżby go kusze oblężnicze nie mogły dosięgnąć. Jeden bok skalisty, spadający pionowo w przepaść — doskonała obrona przeciw zwykłemu najazdowi—ułatwiał właśnie robotę trabucyów i triboków, z tej bowiem strony, odkrytej zupełnie,

było widać główną wieżę, strażnicę, baszty narożne i znaczną część murów.

Przypatrując się zamkowi, układał Bertold plan szturmu, mierzył wzrokiem odległość, szukał dla swoich maszyn odpowiednich stanowisk. Spełniał on tę czynność nie po raz pierwszy. Niejeden z zamków saksońskich lizał się dotąd z ran, zadanych jego ręką umiejętną Głównie on i stary hrabia Eberhard z Nellenburga oblegali zamki nieposłusznych wassalów króla. Ulrykowi z Godesheimu powierzał Henryk tylko komendy w boju otwartym.

Rozpatrzywszy się w położeniu zamku, cofnął się Bertold do owej gromadki rycerzy, od której się odłączył.

Gdy się z nią zrównał, rozkazał:

— Wielkie kusze biskupa i strzelcy meersburscy zajmą bok skalisty; jazda moja hohenauska i rycerze lenni otoczą wzgórze, aby się Grimmingenom nie zachciało próbować szczęścia w ucieczce. Strzelcy hohenauscy podsuną się stroną pochyłą ku zamkowi. Cała piechota będzie ścinała drzewa i kopała ziemię dopóty, dopóki ich sygnał nie odwoła. Maszynami będę sam kierował. Do roboty!

Burgrabiowie zamków, lenni rycerze i starostowie siół kmiecych rozpierzchli się na wszystkie strony. Każdy niósł swoim ludziom rozkazy seniora.

W pół godziny potem stanęło nawprost skalistego boku sześć olbrzymich kusz, zwanych niedyś w Rzymie *trabucia*. Dwudziestu silnych mężów było potrzeba, by wprawić w ruch ich walce. Trzycentnarowe, gładko ociosane kamienie wylatywały z nich, jak z procy, uderzając tak celnie, że odcinały wierzchołki drzew na odległość dwóch łuków. Przed ogniem, rzucanym z murów, bronily ich dachy, pociągnięte świeżemi skórami.

W małych budkach, zwanych kotami, podsunęli się strzelcy meersburscy pod samą skałę. Śmielszy wyskoczył szybko z ukrycia, przykucnął w rowie

i spoglądał wzrokiem pożądliwym na mury, upatrując głowy, któraby się wychyliła nieostrożnie z po za daszków drewnianych.

Teraz podniósł Bertold do ust małą, srebrną trąbkę i zadął w nią trzy razy. Sygnałowi temu odpowiedziały zewsząd rogi burgrabiów i starostów. Byli gotowi... Szerokiem kołem rozlały się dźwięki ponure, oplatając zamek pieśnią złowróżbną.

Bój się rozpoczął.

Na dole grały trąby, skrzypiały maszyny, szumiał okrzyk wojenny Franków — na górze skarżył się dzwon i przebiegały wzdłuż murów krótkie nawoływania komendy.

Chłopi na polu, kupcy na drogach żegnali się przerażeni, bydło uciekało z pastwisk z głośnym rykiem, pastuszkowie rzucali się twarzą na ziemię, niewiasty, zaskoczone przy pracy wrzawą bitwy, krzyczały w niebogłosy.

Na wieżach poblizkich kościołów zakwiliły sygnaturki; sąsiednie sioła zamykały z pośpiechem wrota.

Śmierć rozsiadła się na dachu pałacu grimmińskiego, rozwinąwszy czarne skrzydła.

Pierwsze kule przeleciały nad murami. Chybiły, ku wielkiemu zadowoleniu panów zamku, którzy, zająwszy swoje stanowiska na strażnicy, kierowali obroną.

— Kiepskie masz oko, paniczku—drwił Rudolf, uśmiechając się złośliwie:

Włożył on na siebie tylko koszulkę ogniwkową i lekki szyszak, nie sądził bowiem, by mu ciężka zbroja była już dziś potrzebna. Nie biorąc nigdy udziału w oblężeniu, nie znał siły i celności wielkich maszyn. Mniemał, iż ostrzeliwanie murów potrwa przynajmniej tydzień.

Na dole przesuwał Bertold kusze. Jedne przybliżył do skały, drugie oddalił, inne ustawił bokiem do zamku.

Poprawiał omyłkę...

Z pewnem zaciekawieniem przypatrywał się Rudolf tej robocie.

— Zobaczymy, jak to będzie...

Lecz wkrótce odeszła go ochota od drwin i uśmiechów złośliwych.

Jedna z kusz skrzypnęła, a zaraz potem rozległ się łoskot druzgotanych desek. Świsnęła druga kula, posypał się grad kamieni... Drewniany płot, zbudowany na murach dla ochrony strzelców, rozlatywał się w drzazgi.

Okrzyk przerażonej załogi wtórował celnym strzałom.

Z trzaskiem rozrywanego drzewa zmieszał się głuchy huk. Kule bokiem stojących maszyn padały na główną wieżę, ostatnią zwykle ucieczkę oblężonych po zdobyciu bramy.

Runął dach, sypały się gruzy ze ściany zewnętrznej.

Panowie z Grimmingen, ojciec i syn, spojrzeli na siebie. Bezradność malowała się w ich oczach osłupiałych. Przywykli do utarczek w otwartem polu, gdzie mąż nastaje na męża, puklerz uderza o puklerz, miecz spaja się z mieczem, nie mieli wyobrażenia o prawidłowej obronie warowni. Drobni zresztą rycerze, siedzący tylko na jednym zamku, nie posiadali takich maszyn, któreby mogły stawić opór skuteczny wielkim kuszom oblężniczym.

— Co robić?—pytał wzrok syna.

— Co robić?—odpowiadały oczy ojca.

A ściany wieży zmniejszały się z każdą chwilą. Jak spłoszone ptactwo, rozpryskiwały się odłamy muru na wszystkie strony.

— Może nasze kusze dosięgną — odezwał się stary Werner.— Rzucać ognie na te przeklęte potwory! I ochronę strzelców trzeba podtrzymywać, dopóki się da.

Zaledwo to wyrzekł, zadrżała strażnica, jak drzewo podcięte siekierą. Dwie kule utkwiły w dachu, tuż nad głową Rudolfa.

— Na mury! — krzyknął młody rycerz. — Stawiać nowe ochrony!

Na chwilę tę czekali strzelcy meersburscy. Gdzie się tylko ukazała głowa, zwrócona odkrytą twarzą w dolinę, tam biegła strzała z sykiem żmii. Nie wszystkie trafiały. Od czasu jednak do czasu wypuszczał pachołek grimmiński z ręki siekierę i leciał z góry na dół, jak pusty worek.

W komnacie narożnej pałacu, w więzieniu swojem stała Judyta w oknie, łowiąc chciwem uchem wrzawę walki.

Dzwon alarmowy zastał ją w łóżku, w którem przepędziła noc bezsenną.

Córka rycerska domyśliła się natychmiast znaczenia sygnału. Wiedziała, że dzwon na strażnicy odzywa się tylko w chwilach niebezpieczeństwa. Ktoś groził zamkowi...

Radosne przeczucie spłoszyło ją z posłania. Zerwawszy się na równe nogi, podbiegła do drzwi. Ruszyła klamką... Były zamknięte...

Przez pewien czas otaczało ją głuche milczenie, potem rozbrzmiał korytarz szczękiem oręża i głosami męzkiemi. Zbrojni ludzie przebiegali szybko, drzwi otwierały się, stary Werner krzyczał...

I znów ucichło.

Ale z dziedzińca dochodziła ją wrzawa, znana szlachciance, urodzonej w warowni.

— Gotują się do obrony — szeptała Judyta i przyciskała serce ręką, rzucało się bowiem tak gwałtownie w klatce piersiowej, że czuła je w gardle.—Gdyby to już Bertold był...

Weszła na okno... Z początku nie dostrzegła nic, oprócz kłębów mgły, lecz gdy słońce stopiło

szare płachty, odsłaniając dolinę, wówczas złożyła dłonie do kornej modlitwy.

— Dzięki tobie, Opiekunie sierot...

Poznała czerwone proporce swojej drużyny i żółtą chorągiew Bertolda.

Dźwięki rogów hohenauskich i meersburskich przenikały do jej więzienia psalmem pociechy, trzask rozpadających się ochron i łoskot dziurawionych murów wydawał się jej muzyką niebieską. Byle więcej tego zbawczego huku, byle więcej gruzów...

Lecz godziny wlokły się dziś okrutnie wolno.

Judyta przypatrywała się już całą wieczność walce, a słońce nie przebiegło nawet jeszcze połowy swojej zwykłej drogi.

Jej stróżowie zapomnieli dziś o niej. Pachołek nie przyszedł zabrać resztek wczorajszej wieczerzy, nie przyniósł jej śniadania.

Trawiona niecierpliwem oczekiwaniem, nie czuła głodu.

Gdyby chcieli zapomnieć o jej istnieniu aż do chwili, kiedy Bertold zastuka do jej więzienia...

Ale łczy zapomną? Nawet wtedy, kiedyby się jej oswobodziciele już wdarli na mury, miałby Rudolf jeszcze dość czasu do pomszczenia doznanej zniewagi.

Myśl ta odrzuciła Judytę od okna.

Opuściwszy niszę, posuwała się wzdłuż ścian, przypatrując się uważnie zagłębieniom w murze. Może wyprowadzą ją ukryte drzwiczki z tej klatki...

Nie znalazła żadnego wyjścia. Stary Werner był zanadto przezorny, by miał ją zamknąć w komnacie, z której mogłaby się uwolnić.

Więc wydobyła nóż i zaczęła go ostrzyć na marmurowej oprawie komina.

Na dworze sypały się ciągle gruzy z głównej wieży, ze strażnicy i baszt narożnych. Nie chybiała już teraz ani jedna kula. Tumany białego kurzu kłębiły się bezustannie nad dziedzińcem, wyrwane ze

ścian odłamy skał latały na wszystkie strony, raniąc oblężonych.

Załoga pracowała bez wytchnienia. Gdzie pocisk zdruzgotał ochronę, tam spieszyli rzemieślnicy z toporami i deskami. Łoskot młotów zlewał się z hukiem maszyn.

Skąpani w pocie, osuci pyłem wapiennym, dźwigali pachołkowie płot drewniany, puszczali w dolinę z kusz zapalone łuczywa, szmaty, wiechcie ze słomy. Rudolf biegał po murach, zachęcał znużonych ludzi, groził, klął. Raniony dwukrotnie strzałami łuczników meersburskich, w łydkę i w ramię, nie zważał na ból i na krew, która ściekała po koszulce żelaznej.

Zrozumiał, że nie dni jego zamku, lecz godziny są policzone.

Już zmiotły kule Bertolda połowę głównej wieży. I baszty narożne, i strażnica, postrzępione, jak suknia żebraka, dziurawe, stargane, straciły wartość dla obrony.

Potężny nieprzyjaciel rwał jego gniazdo i załogę po kawałku, a on nie mógł przeszkodzić tej robocie niszczącej, jego bowiem pociski ogniste albo padały przed maszynami Bertolda, albo, jeśli które z nich dosięgły dachów straszliwych potworów, tliły się nieszkodliwie na świeżych, mokrych skórach, gasnąc wkrótce.

A na dole, w lesie, porastającym spód wzgórza, nie ustawał ani na chwilę równomierny stuk, jakby tysiące dzięciołów kuło w drzewa. Co kilka minut stęknęła ziemia pod ściętym świerkiem.

Rudolf odgadł dawno znaczenie tego stuku: niewidzialne ręce przygotowywały materyał do zasypania fosy zamku.

W miarę, jak się młody rycerz przekonywał o niemożliwości utrzymania warowni, ogarniała go wściekłość drapieżnego zwierzęcia, pochwyconego w samotrzask. On, dziki Rudolf, jak go powsze-

chnie nazywano, taki dumny z potężnych ramion, był bezsilniejszym od najsłabszego, najbojaźliwszego tchórza. Ani swoich pięści, ani miecza nie mógł użyć.

Głosem, ochrypłym z kurzu, krzyku i gniewu, napędzał upadających ze znużenia ludzi do roboty daremnej. Jedna kula niweczyła trud wielu rąk, jedna chwila pracę całej godziny.

Oczami, nabiegłemi krwią, obrzucił Rudolf dolinę. O wycieczce nie można było nawet pomyśleć. Wszędzie dokoła, po za promieniem kusz z łuków, stały liczne gromady rycerzy. Samym ciężarem zbroi zgnietliby szczupłą drużynę grimmińską.

Wtem odezwał się pod skałą róg Bertolda. Zaraz potem umilkł w lesie stuk toporów i kule szły rzadsze.

Słońce przesunęło się tymczasem na drugą połowę nieba, tak jasne i promienne, jak gdyby spoglądało na raj, owiany pieśnią szczęścia. Na błękitnem niebie leżały tu i owdzie białe obłoczki, do niewinnych baranków podobne.

Ludzie grimmińscy, korzystając z przerwy walki, rzucili się chciwie do wiader z wodą. Pragnienie paliło wyschłe ich gardła i wnętrzności.

Słabszy przysiadł na murze i odpoczywał.

Ale Rudolfa nie złudziła cisza. Odgadł, że zbliżała się chwila stanowcza, że się niebawem rozpocznie szturm właściwy. Kazawszy podać załodze wina i mięsa, wszedł na wieżę pałacową. Była to jedyna strażnica, której nie dotknęły kule Bertolda.

Wyprzedził go tu stary Werner.

Ojciec i syn wytężyli wzrok, śledząc ruchy nieprzyjaciela. Widzieli, że Bertold opuścił swoje stanowisko przy maszynach i znikł w lesie.

Długo nie było nic słychać.

Nareszcie — słońce zaczęło już ślepnąć — ożywił się bór, jakby wiatr po nim przeszedł.

— Idą! — zawołali obaj rycerze.

Młodszy zbiegł na dół i krzyknął:

— Wszyscy na mury!

Pomiędzy zamkiem a lasem była wolna przestrzeń, oczyszczona z drzew. Na skrajach tej goląźni, w czterech miejscach równocześnie ukazali się nasamprzód strzelcy, zakryci dużemi tarczami. Posuwali się zygzakiem naprzód, a gdy zbliżyli się do zamku na odległość strzały, rozrzucili się z nadzwyczajną szybkością łańcuchem, przypadając za pniami ściętych świerków, za większemi kamieniami, w kotlinach i dołkach.

Tuż za nimi ciągnęły długie szeregi pieszych pachołków, w żelaznych szturmakach, zaopatrzonych drucianemi siatkami, które zasłaniały kark, w żelaznych blachach na piersiach i goleniach. Każdy z nich niósł przed sobą duży pęk gałęzi.

Wyszedłszy z lasu, zbili się w zwarte kupy i czekali.

Z powstrzymanym oddechem, wpatrzeni w nieruchome gromady, czaili się ludzie grimmińscy na murach, gotowi do walki ostatecznej.

Nastała chwila takiej ciszy, iż było słychać świergot wróbli, igrających na dachu pałacu.

Ciszę tę rozdarł przenikliwy sygnał srebrnej trąbki.

Na górze i na dole zagrały cięciwy, świsnęły strzały, rozległy się krótkie nawoływania. Kilka ramion podniosło się, kilka ciał stoczyło się ciężko z murów.

— Bertold i Judyta! — huknęło kilkaset piersi i zwarte kupy pędziły ku zamkowi pod osłoną strzelców.

Z góry, z kusz, sypały się na szturmujących kamienie, kawały ołowiu, żelaza, prażyły ich strzały, ale oni biegli, zakrywając się tarczami. Wdarli się na wały, cisnęli do fosy pęki gałęzi i cofali się z pośpiechem. Nikt nie oglądał się na towarzysza. Kto legł, tego zostawiono na pastwę łuków grimmińskich. Nie było czasu na litość.

Coraz liczniejsze gromady wypadały z lasu. Jeszcze pierwsi nie zdążyli dobiedz wałów, kiedy drudzy już nadciągali.

Szybko wypełniała się fosa, rosły mosty.

Z murów rzucano na dół rozżarzone węgle, słomę, gałgany, lecz mokre drzewo nie chwytało odrazu ognia, tam zaś, gdzie się dym pokazał, sypali ludzie Bertolda ziemię, tłumiąc płomień w zarodku.

Na pomoc drużynom zamkowym przybyli wolni kmiecie. Wyroili się z lasu, odziani w skórzane szyszaki i kaftany.

Nie gałęzie nieśli, lecz całe drzewa.

Na murach ustał głos komendy, zamilkły rogi dowódców. Pachołkowie spełniali sami, bez zachęty i rozkazu swoją powinność. Zagrzewała ich do nadludzkich wysiłków śmierć, wisząca nad ich głowami. Wybici do połowy przez strzelców Bertolda, rozdzieleni na cztery części, tworzyli w porównaniu z siłą oblegających garstki tak drobne, iż stracili wszelką nadzieję. Cali z matni nie wyjdą, lecz okupią przynajmniej życie drogo...

Już szedł nieprzyjaciel z drabinami.

Polała się na niego wrząca woda, kipiąca smoła, kłuły go strzały, tłukły kamienie.

Krzyk poparzonych, klątwy rannych podniecały gniew dalszych szeregów.

Kilka drabin uczepiło się murów.

Z puklerzem nad głową pięli się pachołkowie meersburscy i hohenauscy po szczeblach. Pierwszy runął w fosę, pociągając za sobą drugiego, trzeciemu jednak pomógł strzelec.

W chwili, kiedy się grimmińczyk zamierzył na wroga maczugą, utkwiła w jego gardle strzała.

Ze zręcznością kota skoczył napastnik na mur, a gdy uczuł pod stopami pewne oparcie, puścił miecz w ruch. Utorowaną drogą szła cała gromada.

Na murach powstał ścisk, tłok, zamieszanie. Pękały puklerze, tryskały iskry z szyszaków, kruszyło

się pod młotami i toporami żelazo, jak spróchniałe drzewo. Mąż brał się bary z mężem, jeden spychał drugiego.

Obryzgany krwią, bronił Rudolf przystępu do bramy. Gdzie miecz jego błysnął, tam rozległ się jęk. Ale w jego dłoni migotał tylko jeden brzeszczot, a zewsząd nastawał nieprzyjaciel.

Nie zdzierży... Przemoc zwali go z nóg, zanim dokona zemsty...

Westchnął ciężko, rozłupał jeszcze najbliższemu meersburczykowi głowę, zeskoczył z murów i pobiegł do pałacu.

Judyta przypatrywała się z okna walce nierównej. Z bijącem sercem czekała na chwilę oswobodzenia. Widziała Bertolda, jak prowadził z konia szturm do warowni. Gęsto szły strzały w jego stronę, a on podnosił tylko od czasu do czasu puklerz do twarzy spokojny, obojętny na czujność wroga. Widziała, jak jej pachołkowie zasypywali fosę, jak wdarli się na mury, jak miecze zwarły się z mieczami.—Prędzej, prędzej...—modliła się, miotana niecierpliwością.

Nagle odskoczyła od okna... Rudolf leciał ku pałacowi. Czyby sobie ją przypomniał?...

Stanęła za krzesłem, pochyliwszy się, jak kot, do skoku. W jej oczach nie było trwogi. Sina bladość gniewu pokryła jej oblicze. Wargi drżały, jak w febrze.

Klucz zgrzytnął w zamku, drzwi pchnęła ręka gwałtowna.

— Pozdrowienie ci przynoszę od twojego gacha—mówił Rudolf głosem zdyszanym—ale nic darmo na tym świecie. Za dobrą nowinę dasz buziaka i słodką pieszczotę.

Zaśmiał się całą gębą, ordynarnie, jak prostak, zadowolony z własnego dowcipu.

Skradał się do Judyty, pożerając ją wzrokiem lubieżnym.

— Gniewasz się? — drwił. — Jesteś jeszcze ładniejsza z tą zmarszczką na czole. Rozcałuję ci ją, wygładzę.

Ona milczała, wpatrując się w niego z zaciśniętemi zębami.

— Nie chciałaś mnie kochać po dobrej woli, będziesz mnie kochała przeciwko woli. Może zasmakujesz w mojej miłości.

I znów roześmiał się brutalnie.

Wyciągnął ręce do Judyty. Wtem zachwiał się, uderzony krzesłem.

Zdziwił się. Przez kilka chwil przypatrywał się Judycie z uznaniem atlety, który ma cześć dla muskularnych ramion. Jak lekką zabawkę podniosła ciężki sprzęt i cisnęła nim w niego bez żadnego wysiłku.

— Silnaś — mówi — ale nic ci to nie pomoże, bom od ciebie mocniejszy. Jaka szkoda, że nie chcesz być moją żoną. Coby to były za dzieci! Wyrywałyby dęby z korzeniem.

— Milcz, nikczemniku!—zawołała teraz Judyta, oblawszy się rumieńcem oburzenia — i nie zbliżaj się do mnie, jeśli...

— Jeśli co? — podchwycił Rudolf urągliwie. — Choćbyś mi dała po łbie stołem, nic mi nie będzie. Inne uderzenia wytrzymywała moja czaszka. Bądź grzeczna i litościwa dla skazańca. Policzone są moje godziny, a chcę pojechać na drugi świat z pamięcią twojej miłości.

Rzucił się ku Judycie, ale ona usunęła się zręcznie i przebiegła na drugą stronę komnaty.

Zaczęła się szczególnego rodzaju gonitwa.

Judyta uciekała, ciskając na Rudolfa wszystko, co jej wpadło w rękę. Leciały na niego zydle, talerze, dzbany, pościel.

Dziwne pociski drażniły jeszcze więcej roznamiętnionego olbrzyma.

Skoczył, objął dziewczynę wpół i pchnął ją na posadzkę, przyklękając.

Trzymana, jak w kleszczach, nie straciła Judyta przytomności. Nie usiłowała się uwolnić siłą z objęć straszliwych, czuła bowiem, iż nie złamie tych ramion żelaznych, które ją przygwoździły do płyt marmurowych.

Nad jej głową wisiała twarz piegowata, spocona, pomazana kurzem i krwią.

Dreszcz wstrętu, obrzydzenia wstrząsnął jej ciałem.

Jeszcze chwila, a ta twarz ohydna otrze się o jej policzki i grube, popękane wargi wpiją się w jej usta...

Nie było czasu do namysłu. Ocalić może ją tylko szybki podstęp...

— Puść mi ręce, nie będę się już opierała — rzekła drżącym głosem.

— A widzisz, żem silniejszy—mówił Rudolf.— Po co ten dziecinny opór? Chciałbym, żeby nas teraz twój gach widział. Ha, ha, ha...

Puścił ręce Judyty.

Ona, leżąc nieruchomo, wsunęła rękę ostrożnie za suknię. Nagle wydobyła nóż i utopiła jego ostrze w oku Rudolfa.

Olbrzym rzucił się w tył — Judyta zerwała się z posadzki, dopadła drzwi, zatrzasnęła je, przekręciła klucz w zamku i nasłuchiwała.

Z komnaty dochodził ryk zranionego tura.

— Siedź, niedźwiedziu, dopóki cię Bertold nie weźmie na łańcuch—mówiła Judyta do siebie.

Ale Bertolda nie było przy niej. Z dziedzińca dochodził ją szczęk oręża. Załoga broniła się jeszcze.

Ktoś mógł nadejść, usłyszeć krzyk Rudolfa. Pomszczonoby na niej jego oko...

Posuwając się bez szelestu wzdłuż ścian, szukała Judyta drzwi sali rycerskiej. Tam była zawsze broń. Gdyby miała miecz w ręku, nie lękałaby się pierwszego lepszego pacholka.

Znalazła salę i miecz. Stanąwszy za drzwiami, chwytała uchem wrzawę walki.

Szczęk oręża rozbrzmiewał ciągle, coraz jednak słabszy, bliższy. Bito się już pod samym pałacem.

Nareszcie rozległ się na kurytarzu brzęk butów żelaznych.

— Judyto! — wołał głos pełen trwogi i tęsknoty.—Gdzie jesteś? Odezwij się.

Judyta przycisnęła serce ręką. Latało z radości, jak gdyby je przestrach spłoszył. To był on, Bertold...

Zapomniawszy o całym świecie, wybiegła na kurytarz i rzuciła się w objęcia Bertolda.

Długo trzymali się narzeczeni w pierwszym niemym uścisku miłości. Ona przytuliła czoło rozpalone do zimnej zbroi, on przygarnął ją tak mocno ramieniem, jak gdyby ją chciał wziąć całą w siebie, zlać się z nią, stopić.

Z dworu wpadło na kurytarz kilku zbrojnych pachołków meersburskich. Ujrzawszy powitanie kochanków, przystanęli, pozdejmowawszy szyszaki. Ci prości ludzie odczuli, że się w tej chwili łączą dwie dusze na dolę i niedolę życia. Więc odkryli głowy, jak przed świętością, i czekali w milczeniu.

Pierwszy Bertold ocknął się z zachwytu. Rozplótłszy ramiona, ujął ręce Judyty.

— Jesteś ranna? — spytał, zatrwożony, z sukni bowiem dziewczyny ściekała świeża krew.

— To jego krew, nie lękaj się.

— Czyja?

— Rudolfa z Grimmingen.

— Gdzie on? Żywy?

Judyta wskazała na drzwi, do których olbrzym łomotał pięściami.

— Chciał mnie znieważyć... broniłam się... wykłułam mu oko... zamknęłam go...—mówiła.

— Wyprowadzić rycerza Rudolfa! — krzyknął

Bertold na swoich ludzi.—Beczkę wina zarobicie, jeżeli dostawicie go żywcem.

Rzekłszy to, wyszedł z Judytą przed pałac.

Kiedy ukazali się na wschodach, powitał ich grzmiący okrzyk zwycięzców. Powiały proporce, uderzyły tarcze o tarcze, schyliły się miecze.

Dziedziniec zamku przedstawiał smutny widok. Zasypany cały gruzami, robił wrażenie zwaliska.

Bertold zwrócił się ku cysternie. Tu leżało dwudziestu skrępowanych jeńców. Pomiędzy nimi był i stary Werner z Grimmingen.

— Który z was dopuścił się gwałtu na wolnej pani z Hohenau?—zapytał Bertold.

Zwyciężeni milczeli.

— Nie zmuszajcie mnie do użycia tortur. Ogień i żelazo wydrą z waszych czarnych dusz tajemnicę. Czy sami rycerze z Grimmingen podnieśli rękę na swoją seniorkę? Mówcie!

Nikt mu nie odpowiedział.

Przeto skinął na burgrabiego Wecla.

— Zaczynajcie od pierwszego z brzegu — rozkazał.

Burgrabia ściągnął z nóg grimmińczyka buty, a dwóch pachołków przypiekało jeńcowi podeszwy rozpalonem żelazem.

Parzony rzucał się, jak ryba, wydobyta z wody, lecz milczał, zacisnąwszy zęby.

I drugi jeniec wytrzymał ból okrutny. Dopiero trzeci, wrażliwszy, krzyknął rozpaczliwie, gdy uczuł ogień pod stopami.

— Kuno... Rupert!

— Którzy?—pytał burgrabia.

Dręczony wskazał winowajców.

Rabusie pozwolili się bez oporu rozpętać i udali się obojętnie na miejsce kaźni.

Kiedy im zakładano stryczek na szyję, odezwał się Kuno do towarzysza:

— Mówiłem ci, że będziesz dyndał.

— Będzie nam weselej w kompanii — odrzekł Rupert.

Z pałacu wynosili pachołkowie meersburscy Rudolfa. Skrępowali go i wzięli na ręce. On, nie mogąc użyć ani pięści, ani broni, tłukł ich plecami po głowach, co wywoływało głośne wybuchy śmiechu.

Kiedy go złożono obok ojca, odezwał się Bertold:

— Za złamanie przysięgi wassalów i za gwałt, dokonany na dziewicy, odpowiecie przed królem. Sam pan Henryk wymierzy wam sprawiedliwość.

A zwróciwszy się do reszty jeńców, mówił:

— Powinniście wisieć, jak zwykli rabusie, lecz cnota rycerska zabrania się pastwić nad zwyciężonym. Jesteście wolni!

— Kto z was stanął pierwszy na murach grimmińskich?—zapytał głośno swoich ludzi.

Gdy z gromady wystąpiło czterech zbrojnych poddanych, kazał im uklęknąć, wydobył z torebki, przyczepionej do pasa, złote pieniądze i rzekł:

— W narodzie Franków zrywała niezwykła odwaga po wszystkie czasy kajdany poddaństwa, godziwa bowiem, aby mężne ramię było panem swojej woli. Wyciągnijcie ręce!

Chłopi rzucili się nasamprzód do stóp pana, całując jego buty, potem wyciągnęli przed siebie ręce.

Na każdej dłoni położył burgrabia Wecel złoty pieniądz i podał panu gałązkę lipową.

Tak chciał prastary obyczaj salicki. Wyzwoleniec płacił pozornie za pełne prawo człowieka.

— Chcecie sobie kupić wolność? — mówił Bertold. — Zapłaty od was, walecznych sług moich, nie pozwala mi przyjąć godność rycerska.

Wytrącił końcem miecza z rąk poddanych monety, dotknął ich głów gałązką i zawołał głosem podniesionym:

— My, Bertold, wolny pan na Meersburgu,

zdejmujemy z was, którzy byliście naszą własnością, kajdany poddaństwa. Jesteście wolni pomiędzy wolnymi. Żadne nożyce nie mają odtąd prawa dotknąć waszych włosów, żadne hańbiące piętno nie znieważy waszych ramion. Podnieście się!

Z okrzykiem radości przypadli wyzwoleńcy do seniora i objęli jego kolana.

A Bertold pochylił się nad nimi i całował ich w policzki.

— Korzystajcie z wolności tak godnie, jak ją walecznie zdobyliście — napominał nowych obywateli rzeszy niemieckiej. — Mieczem służcie świętej wierze katolickiej i królowi, a hojną dłonią ubogim. Bądźcie odważni w boju, wspaniałomyślni dla zwyciężonych, pobłażliwi dla słabych, uprzejmi dla niewiast. Tak niech sprawi Bóg Przedwieczny w Trójcy Świętej Jedyny i wszyscy święci, amen.

X.

Jak do ślubu oblubienica, tak ustroiła się stara Wormacya w dniu 10-ym października. Ze wszystkich okien większych domów zwieszały się kobierce, jedwabne chusty i wieńce. Kogo nie było stać na bogatszą ozdobę, ten umaił przynajmniej drzwi choiną i uprzątnął śmiecie z ulicy.

Bo wczoraj, pod wieczór, wrócił ze zbrojnej wyprawy do Czech i Miśnii król Henryk do swojej ulubionej rezydencyi. Tu, w przesławnem gnieździe Nibelungów, mieszkała jego małżonka, królowa Berta, tu odpoczywał on sam najchętniej po trudach wojny i po troskach rządów.

Serdeczna nić tradycyi i wdzięczności łączyła młodego monarchę z sędziwym grodem, który pamiętał czasy przedchrześciańskie i widział w swoich murach różnych władców: Celtów, Rzymian, Hunnów, Burgundów, Allemanów, zanim go ostatni

zdobywcy wynieśli do godności stolicy ziemi frankońskiej.

Nietylko królem Wormacyi był Henryk, lecz równocześnie jej bezpośrednim zwierzchnikiem, hrabstwa bowiem Wormacyi i Spiry należały do dóbr alodyalnych Waiblingów [1]).

Za warownemi murami bogatego miasta czuł się u siebie, w domu, bezpieczniejszy, niż w innych rezydencyach królewskich, rozrzuconych po całej rzeszy. Był tu pod opieką swojego plemienia, znanego z wierności dla korony.

Ta wypróbowana wierność frankońska nie zawiodła go w chwili najcięższej, jaką dotąd w życiu przebył. Kiedy temu lat dwa Sasi, korzystając ze śmiertelnej choroby, która zaskoczyła go po nieszczęśliwej wyprawie wojennej, chcieli wybrać innego króla, wówczas uzbroiła się Wormacya bez wezwania i stanęła po stronie prawowitego pana. Za przykładem stolicy poszły inne miasta nadreńskie i tron Waiblingów ocalał.

Wdzięczny Henryk uwolnił odważną Wormacyę od ceł koronnych i umiłował ją najwięcej z pomiędzy wszystkich miast niemieckich; ona zaś, płacąc przywiązaniem za przywiązanie, broniła jego praw z bohaterstwem matki. Wypędziwszy z miasta nieprzychylnego królowi biskupa Alberta, brata wojewody szwabskiego, wzięła pod swoją opiekę królową i zamknęła bramy dla wszystkich wrogów domu panującego.

Cichy zwykle gród ożywiał się podczas bytności króla. Gospody nie mogły pomieścić przybyszów, kupcy i rzemieślnicy pracowali od świtu do zmierzchu, winiarnie rozbrzmiewały śmiechem i śpiewem zbrojnych mężów; na rynkach, placach, ulicach, wzdłuż murów i wałów, wszędzie, gdzie się zna-

---

[1]) *Waiblingowie* po włosku *Gibeling.*

lazło miejsce na torbę podróżną, rozkładali się żebracy.

Za dworem królewskim wlókł się zawsze długi łańcuch, spleciony z ludzkiej chciwości, pychy i nędzy. Ciągnęli za nim prałaci, rycerze i mnichy, żądni dostojeństw kościelnych i dóbr koronnych; szli całemi taborami ubodzy, chorzy i próżniacy, żyjący z okruchów pańskiego stołu.

Poprzedni król i cesarz, oszczędny Henryk III-ci, spoglądał krzywem okiem na tysiące rąk, wyciągających się bezustannie do niego, ale jego szczodry syn był tylko wtedy w dobrem usposobieniu, gdy rozdał wszystko, co miał w szkatule. Miłosiernym i ojcem ubogich nazywali go współcześni [1]).

Gwarną świtę króla pomnożyli tym razem panowie frankońscy i lotaryńscy, którzy nadciągnęli już z różnych stron, posłuszni rozkazowi korony, przygotowującej nową wyprawę przeciw Sasom. Czekali od tygodnia na Henryka hrabiowie z Nellenburga i Hohenstaufen, Ulryk z Godesheimu, Bertold z Meersburga i biskup spirski. I Judyta z Hohenau przyprowadziła sama swoją siłę zbrojną, wyruszywszy do Wormacyi pod opieką Bertolda. Za koniem jej szli spętani rycerze z Grimmingen, aby wziąć z rąk króla zapłatę za gwałt, dokonany na dziewicy.

Zwyczajem wieków średnich obudziło się miasto przed wschodem słońca. Pierwsze promienie gwiazdy dziennej zastały sklepy otwarte i ulice przepełnione pobożnymi, którzy śpieszyli do kościołów na mszę poranną.

Z wież pięciu świątyń wzywały dzwony wiernych na modlitwę. Dzwoniono u św. Pawła i św. Andrzeja, u św. Jana i św. Marcina, ale najgłośniej

---

[1]) W „Katalogu cesarzów rzymskich“ *(Catal. regum imperatorum)* stoi przy nazwisku Henryka IV-go: *Henricus misericors et pater pauperum.*

przypominał katolikom, iż należy dzień rozpocząć z Bogiem, wspaniały tum, wychylający się z szarej masy domów, jak olbrzym z pośród karłów. Zbudował go w samym początku stulecia biskup Burchard, mąż zasłużony dla miasta i Kościoła.

W stronę tumu płynęła fala niewiast i ciągnęło całe wojsko żebraków, obok niego bowiem, w starodawnym pałacu, mieszkał od wczoraj król Henryk. Ubodzy szli po śniadanie, jak do własnej kuchni, a mieszczki pragnęły nasycić ciekawe oczy widokiem ukochanego monarchy, do którego niejedna z nich skrycie wzdychała.

Zwykle brał Henryk udział w nabożeństwie porannem, dziś jednakże wpatrywały się Wormatki daremnie z wytężoną uwagą w wielki ołtarz. Krzesło królewskie było puste.

Na dworze, przed bramą pałacu, odbywało się tymczasem karmienie ubogich. Chłopcy w purpurowych, złotą frendzlą ozdobionych kaftanach, w białych pończochach i żółtych trzewikach, rozdzielali chleb, wino i zupę jęczmienną, lekarz królewski badał chorych, jeden z podkomorzych oglądał przyodziewek. Kto przyszedł w łachmanach, ten wracał do miasta w nowych sukniach.

Tak działo się wszędzie, gdzie król przebywał.

Nabożeństwo skończyło się. Z oczami spuszczonemi skromnie, z rękoma, splecionemi na łonie, wychodziły mieszczki z kościoła. Prawie wszystkie młodsze i przystojniejsze, mijając pałac, rzucały w jego stronę spojrzenia ciekawe. Może otworzy się brama i wielbicielkom swoim ukaże się król... Córy Ewy sprzyjały panu, który umiał cenić wdzięki płci pięknej i być uprzejmym dla każdej ładnej buzi bez względu na to, do jakiego stanu należała.

Lecz pałac, obwiedziony murem, wałem i rowem, jak zamek warowny, nie rozbrzmiewał jeszcze wrzawą licznego dworu, chociaż słońce oblało już

jego dach miedziany blaskiem czerwonym. Do połowy odemkniętej bramy strzegło dwóch trabantów w srebrnych zbrojach.

Dlaczego nie wyjeżdżał król od samego rana na miasto, aby powitać swoją wierną Wormacyę, jak to czynił zawsze, kiedy wracał do niej po dłuższej wycieczce? Czyby go choroba zatrzymała w komnacie?

Od gromady pobożnych, którzy śpieszyli do zwykłych zajęć, odczepiło się kilku poważniejszych mieszczan. I niecierpliwsze niewiasty zbliżyły się do bramy pod nabożnym pozorem. Rozdzielając między ubogich jałmużnę, przysuwały się nieznacznie do służby pałacowej.

— Wasza Miłość raczy wybaczyć — mówił jeden z mieszczan do trabanta — że śmiem zapytać o zdrowie naszego pana. W mieście chodzą pogłoski, iż wyprawa do Miśnii przyczyniła królowi nowych zmartwień.

— Pan król miewa się dobrze — odpowiedział strażnik uprzejmie — i byłby waszą troskliwość był osobiście uspokoił, gdyby nie ważna sprawa Bertolda z Meersburga. Zaraz po śniadaniu odbędzie się sąd królewski.

Wiadomość tę przyjęły białogłowy z wielkiem zadowoleniem. Henryk bowiem sądził latem pod gołem niebem, nie broniąc przystępu ciekawym. Więc ujrzą króla jeszcze dziś, za godzinę najpóźniej... Trzeba tę pożądaną nowinę zanieść przyjaciółkom...

Kiedy się niewiasty rozbiegły po mieście, zaczęła się ulica, która prowadziła do pałacu, ożywiać. Z drewnianych dworków, rozrzuconych zewnątrz murów, wychodzili dygnitarze koronni. Pierwszy ukazał się arcybiskup bremeński, Limar, wielki jałmużnik rzeszy niemieckiej, mąż, znany z nauki i świątobliwego żywota.

BIBLIOTEKA

Nizkiego wzrostu, szczupły blondyn, szedł sam, bez żadnej świty, bez kapelana nawet. Jego fioletowej, znoszonej, miejscami już wytartej sukni nie stroiły sobole i gronostaje. Idąc, błogosławił z dobrotliwym uśmiechem na cienkich, bezkrwistych ustach służbę pałacową, która się przed nim z uszanowaniem pochylała.

Pod bramą złączył się z nim stary hrabia Eberhard z Nellenburga, zwany Brodatym, z powodu długiej brody, która spływała mu aż do pasa. Wysoki, barczysty, jeszcze krzepki, mimo lat sześćdziesięciu, prowadził za sobą świetny orszak, lśniący drogiemi kamieniami i szeleszczący jedwabiem. Tłum łowczych, sokolniczych i podczaszych otaczał swojego zwierzchnika—seneszala państwa.

I biskup osnabrycki, Benno, znakomity budowniczy, rolnik, prawnik i administrator, najwszechstronniej wykształcony duchowny swojego czasu, zdążał do pałacu z rojem dyktatorów.

Ostatni zbliżali się do bramy Ulryk z Godesheimu i biskup spirski, Henryk. Trzymając się pod ręce, opowiadali sobie widocznie coś bardzo wesołego, bo śmiali się na cały głos. Biskup, który nie liczył jeszcze lat trzydziestu, nosił, wbrew przepisom kościelnym, długie, starannie utrefione włosy, i miał na palcach mnóstwo pierścieni. Paź podtrzymywał ogon jego rewerendy, obramowanej suto futrem sobolowem [1]).

Wieść o sądzie królewskim rozniosła się tymczasem po mieście. Kogo pilna robota nie przykuwała do warsztatu, ten nadziewał z pośpiechem odświętną kapotę i biegł do pałacu, spragniony widowiska.

Pałac króla był dużą, czworoboczną, piętrową kamienicą, jak wszystkie domy rycerskie. Tylko nie-

---

[1]) Wielki jałmużnik=minister wyznań; seneszal=minister dworu.

zwykłe mnóstwo bogato przybranej służby, włóczącej się po dziedzińcu z rękami założonemi, oznajmiało rezydencyę wielkiego pana.

W pobliżu wieży, w środku nizkiego ogrodzenia z pali i desek, znajdowała się stuletnia, rozłożysta lipa, a pod nią stało kamienne krzesło, którego potężne nogi, mające kształt łap niedźwiedzich, opierały się na czterech kulach granitowych.

Uwagę tłumu, gdy się brama pałacu otworzyła dla ludu, zajęła Judyta, otoczona swymi wassalami i burgrabiami. Siedząc w ogrodzeniu na nizkim stołku naprzeciw kamiennego krzesła, rozmawiała półgłosem z Bertoldem.

Wormatki, poznawszy po szkarłatnym płaszczu, podbitym gronostajem, wolną panią, dziwiły się skromnemu strojowi urodziwej dziewczyny. Obcisłą, białą suknię, z wązkiemi rękawami, zarzuciły już nawet córki mieszczańskie.

— Jakaś szlachcianka z przeszłego stulecia — zawyrokowały Wormatki pogardliwie i wyciągnęły szyje w stronę pałacu, zkąd prowadził od schodów aż do miejsca sądu szeroki, srebrny szpaler. Tworzyli go trabanci królewscy, mąż w męża rosły, szeroki w barkach, z piersią wypukłą, okrytą lśniącemi blachami. Wszystkie twarze, zdrowe, czerstwe, zdobił zawadyacki wąs frankoński. Białe pasy i złote ostrogi świadczyły o pochodzeniu rycerskiem przybocznej straży Henryka IV.

Słońce grzało już dobrze, a króla nie było jeszcze widać.

Mieszczki, zniecierpliwione, zaczęły się tłoczyć, posuwać ku szpalerowi, nie zważając na prośby trabantów, którzy powstrzymywali tłum halabardami.

Nareszcie...

Z wieży wyprowadzono skrępowanych rycerzy z Grimmingen. Szli z głowami pochylonemi, bez zbroi i mieczów.

Wkrótce potem ukazał się w ogrodzeniu herold

i, nakazawszy tłumowi milczenie, otrąbił sąd królewski na cztery strony świata.

Judyta podniosła się ze stołka, jej wassalowie i burgrabiowie ustawili się za nią w półkolu, tłum powstrzymał oddech...

Wśród ciszy oczekiwania rozległ się krótki głos komendy:

— Baczność!

Trabanci wyprężyli się, przycisnąwszy halabardy do boku... Z pałacu wychodził Henryk IV.

Srebrnym szpalerem, wyłożonym czerwonem suknem, poprzedzony przez marszałka dworu i doradców prawnych korony, postępował dwudziestopięcioletni młodzieniec, od którego bił taki blask, jak z monstrancyi.

Średniego wzrostu, miał on na sobie płaszcz bez rękawów ze szkarłatnego jedwabiu, obwiedziony pod szyją i u spodu szeroką, złotą taśmą. Ciężką, purpurową materyę pokrywały od góry do dołu złote orły, sępy, lwy, smoki, których oczy i pazury lśniły drogiemi kamieniami. I czerwona suknia, wyglądająca z pod kapy, i czerwone pończochy i trzewiki były obsypane rubinami, szmaragdami, szafirami...

Długa złota laska, zakończona kulą, na której świecił srebrny gołąbek—znane berło cesarza Henryka II—i złota, otwarta korona, wysadzona czerwonemi, zielonemi i niebieskiemi kamieniami, oznajmiały króla.

Grzmiący okrzyk ludu powitał Henryka; wszystkie twarze mieszczan i mieszczek rozjaśniły się uśmiechem szczerej radości. Kobiety powiewały chustkami.

Nie sam tylko blask majestatu olśniewał córki Ewy. Najpotężniejszy monarcha świata chrześciańskiego był równocześnie młodzieńcem niepospolitej urody. Wysmukły jak topola, miał głowę doskonałej rzeźby greckiej. Bujne, ciemne włosy, wysuwa-

jące się z pod korony, obejmowały ramką twarz ściągłą, ożywioną parą czarnych, płomiennych oczu. Z szerokiem czołem łączył się prostą linią kształtny nos o nozdrzach ruchliwych.

Mimo lat młodych wiała od niego powaga monarsza. Szedł wolno, podpierając się berłem, jak biskup pastorałem, z głową podniesioną, z surowym spokojem władcy na obliczu. Widać było, iż niesie na swoich barkach losy mnogich ludów, że posiada pełną świadomość swojego wyjątkowego na ziemi stanowiska.

Jak w słońce wpatrywały się Wormatki w ukochanego króla. Nie onieśmielał ich bynajmniej jego dumny chłód, wiedziały bowiem, że umiał po za czynnościami urzędowemi zdjąć maskę władcy i bawić się nawet bardzo swawolnie.

W tej jednak chwili postępowała obok niego śmierć, czekająca na jego skinienie, którego żadna siła ludzka nie mogła cofnąć. Gdzie on palcem wskaże, tam uderzy okrutny kościotrup bez wahania i namysłu.

Odczuł i tłum powagę najwyższego sądu, gdy bowiem Henryk zasiadł pod lipą, na krześle kamiennem, ustały okrzyki, rozpłynęły się szepty. Wszystkie oczy zwróciły się na Judytę, która przyklękła przed królem, schylając nizko głowę.

On, obrzuciwszy szybkiem, badawczem spojrzeniem jej postać urodziwą, dotknął berłem lekko jej czoła. Rysy jego gładko wygolonej, bladej twarzy były tak spokojne, iż Bertold, który śledził uważnie wrażenie, jakie piękność dziewczyny wywołała na doświadczonym znawcy wdzięków niewieścich, nie mógł z nich nic wyczytać.

— Podnieście się! — odezwał się król zimnym głosem urzędnika, spełniającego czynność służbową.— Wy jesteście wolną panią z Hohenau?

Minęła dłuższa chwila, zanim Judyta odpowiedziała.

Serce jej trzepotało się strwożone w klatce piersiowej, wargi drżały, głos uwiązł w gardle.

Po raz pierwszy w życiu stała przed obliczem człowieka, którego nazwisko wisiało jak mściwa groźba nad zamkami najwarowniejszemi. Ten, który spoglądał na nią z obojętnością przeznaczenia, był wcielonem prawem rzeszy niemieckiej. Pycha zwijała się przed nim w lęk, zuchwalstwo pokorniało, zbrodnia bladła. A ona miała do niego przemawiać, jak zwykły śmiertelnik do zwykłego śmiertelnika.

— Judyta z Hohenau składa u stóp Waszej Wzniosłości swoje sieroctwo... — zaczęła głosem cichym, nie podnosząc się z kolan.

Zamilkła, aby zaczerpnąć ustami powietrza. Przygniatał ją majestat królewski.

Henryk odgadł powód jej zakłopotania, bo rzekł łaskawiej:

— Podnieście się i mówcie bez obawy, co was przywiodło przed sprawiedliwość tronu, Bóg bowiem ustanowił królów na to, aby zasłaniali słabych przed mocnymi. Czy was bezbożny sąsiad skrzywdził lub znieważył?

Znając już występek rycerzów z Grimmingen z opowiadania Bertolda, stawiał Henryk pytania tylko dla zwyczaju.

Spostrzegłszy w oczach króla życzliwą zachętę, odezwała się Judyta śmielej:

— Wierna służebnica korony zanosi przed sprawiedliwość tronu skargę na swoich wassalów, rycerzy Wernera i Rudolfa z Grimmingen, którzy, niepomni na dobrodziejstwa, doznane od jej przodków, nietylko złamali jej wiarę, lecz targnęli się nawet, oślepieni pychą, na jej wolność osobistą. Rycerze z Grimmingen kazali mnie swoim ludziom porwać w granicach mojego własnego państwa, uwięzili mnie, i gdyby nie pomoc pana Bertolda z Meersburga, byliby znieważyli niewątpliwie moją cześć niewieścią.

Wymawiając nazwisko Bertolda, zarumieniła się Judyta pod same włosy, co wywołało na usta króla zaledwie dostrzegalny uśmiech.

Jeszcze życzliwiej spojrzały na nią jego oczy rozumne.

— Na potwierdzenie waszej skargi domaga się prawo dwunastu świadków stanu wolnego — rzekł Henryk.

— Oto świadkowie występku rycerzy z Grimmingen—odpowiedziała Judyta, już zupełnie ośmielona, wskazując swoich wassalów i burgrabiów.

— Czy możecie stwierdzić przysięgą oskarżenie wolnej pani z Hohenau? — zapytał król głosem donośnym.

— Przysięgamy! — odpowiedzieli świadkowie chórem, przykładając prawice do mieczów.

— A wy — zwrócił się Henryk do rycerzy z Grimmingen — czy możecie się powołać na jakie okoliczności, któreby pozwoliły łasce tronu złagodzić surowość prawa?

Znów pytał tylko dla zwyczaju wina bowiem rabusiów była tak oczywista, iż nie podlegała żadnej wątpliwości. Okrutna zresztą sprawiedliwość wieków średnich nie wnikała w ukryte pobudki karygodnego czynu. Naglona do pośpiechu gwałtownością czasów, które nie znosiły ustalonego porządku społecznego, wyrokowała szybko i bezwzględnie. Zdarzało się przecież dość często, iż możni przyjaciele winowajcy otwierali zbrojną ręką bramy jego więzienia, a nawet rozkuwali jego kajdany w obliczu sędziów.

Przed zwykłym sądem hrabiego okręgu można było jeszcze liczyć na pobłażliwość sąsiedzką, na stosunki lub sowity okup. Kogo jednak postawiono przed trybunałem samej korony, ten wiedział z góry, iż go zasłużona kara nie minie. Najgorsi królowie byli pilnymi stróżami prawa, poszanowanie bowiem prawa stanowiło jedyną siłę rządu, którego rozkazów nie popierało stałe wojsko.

Rycerze z Grimmingen milczeli. Cóż-bo mogliby powiedzieć na obronę swojego występku? Cobykolwiek wymyślili, nie usunęłoby to wiarołomstwa względem seniorki i gwałtu, dokonanego na jej osobie. A taką zbrodnię karało prawo śmiercią.

Pożegnawszy się z życiem, brali w sądzie tylko bierny udział. Gdzie ich trabanci postawili, tam stali bez ruchu, złamani uczuciem bezsilności. Tacy potężni i butni na swoim zamku, byli tu, przed majestatem rzeszy, słabsi od najsłabszego dziecka. Raz tylko, gdy król wstępował w ogrodzenie, spojrzeli na niego z pod czoła z przestrachem, jak spogląda skazaniec na miecz kata; potem spuścili głowy, przysłuchując się obojętnie oskarżeniu.

Jakiś czas czekał król na ich obronę, następnie. skinąwszy na herolda, podniósł się z krzesła.

Herold trąbił znów na cztery strony świata, a król mówił wolno, podkreślając głosem każdy wyraz.

— W imieniu świętej, niepodzielnej Trójcy!... Iżeście złamali wiarę seniorce, swojego rodu dobrodziejce, będzie wam odjęta prawa ręka. Iżeście się dopuścili gwałtu na dziewicy szlachetnego urodzenia, umrzecie na kole. Zamek Grimmingen wróci do wolnych panów z Hohenau, jako lenno z naszych rąk królewskich, reszta zaś waszego mienia, wydartego ubogim i słabym, przejdzie na własność klasztoru w St. Gallen. Zważywszy jednak, iż Sędzia Najwyższy nie udzielił nam władzy nad duszą, lecz tylko nad ciałem poddanych korony niemieckiej, zostawiamy wam dzień rozpoczęty i noc idącą do przebłagania Boga z pomocą świątobliwego kapłana, abyście mogli jutro, o wschodzie słońca, oczyszczeni z grzechów tej ziemi, stanąć bez trwogi przed sądem Przedwiecznego. Tak rzekliśmy i postanowiliśmy.

Nikt nie spodziewał się łagodności wyroku: gwałtowne czasy karały okrutnie.

— A wy — zwrócił się król do Judyty — zostajecie odtąd pod szczególną opieką tronu, który jest puklerzem sierot!

Ująwszy Judytę za rękę, odszedł z nią do pałacu. Dwóch paziów unosiło z boku jego ornat monarszy.

Dom, który służył od stu lat cesarzom św. państwa rzymskiego, nie różnił się i wewnętrznym układem niczem od zwykłych mieszkań rycerskich. I tu wchodziło się z dziedzińca do odkrytego ganku, zajmującego całą długość pałacu. Tylko, zamiast na słupach drewnianych, spoczywał dach na ogromnych filarach granitowych i ściany, przybrane gęsto łbami turów, dzików, jeleni, były kamienne.

Gdy się król ukazał na ganku, otoczył go natychmiast rój podkomorzych. Jeden zdjął z niego ornat, drugi koronę, trzeci wziął berło.

Wziąwszy na głowę zwykłą mitrę książęcą, podbitą szkarłatnym jedwabiem, którą nosił zamiast czapki, udał się Henryk z Judytą na piętro, gdzie były pokoje królowej.

Szedł teraz krokiem elastycznym, bez sztywnej powagi władcy.

— Czy kochacie bardzo Bertolda, piękna Judyto? — zapytał, spoglądając na dziewczynę przyjaźnie.

— Wasza Wzniosłość... — szepnęła Judyta zawstydzona.

— Pilnujcie go — mówił król z uśmiechem — aby go wam nasze damy pałacowe nie zbałamuciły i nie wierzcie złym językom. Szczera miłość budzi zazdrość, a z zazdrości rodzi się kłamstwo. Cokolwiekbyście słyszeli o Bertoldzie, puśćcie mimo uszu, wielki łowczy bowiem jest godzien miłości tak pięknej, jak wy, narzeczonej. Strzeżcie się przedewszystkiem hrabiny Adelajdy z Wolfenburga, zaciętej nieprzyjaciółki Bertolda.

Przed drzwiami ulubionej komnaty królowej przybrała twarz króla znów wyraz surowy.

— Trzymajcie się, o ile można, jak najdalej od dam pałacowych — mówił Henryk — a gdyby was która obraziła, odnieście się wprost do mnie. Aż do ślubu z Bertoldem będziecie mojem dzieckiem ukochanem.

Zapach fiołków i róż powiał na Judytę, gdy weszła za Henrykiem do komnaty królowej. Przez kilka chwil stała na progu, odurzona mocną wonią, olśniona błyskotliwą oprawą monarchini.

Ze ścian okrągłej izby zwieszały się bogate kobierce. Sufit zasłaniały sztuczne krzewy, uwite z zielonego jedwabiu, spojone srebrnemi gałązkami, na których kołysały się złote ptaszki. Szerokie, rzeźbione ławki i krzesła, zasłane białemi puszystemi skórami, były z drzewa cedrowego. Przysłał je Henrykowi w darze cesarz bizantyjski, dołączywszy do nich mnóstwo srebrnych stolików, służących za podstawki do waz kryształowych, napełnionych wonnościami.

Na tem świetnem tle mieniło się wszystkiemi barwami tęczy grono strojnych niewiast. Dwadzieścia młodych mężatek i panien otaczało królowę. Siedziały na nizkich zydlach, zajęte wyszywaniem ornatów kościelnych.

Gdy się król ukazał, podniosły się wszystkie panie, nie wyjąwszy królowej, średniego wzrostu brunetki z łagodną twarzą posłusznego dziecka. I wszystkie skłoniły się głęboko przed panem rzeszy niemieckiej.

On, prowadząc Judytę za rękę, zbliżył się do królowej.

— Dobroci Waszej Wzniosłości—odezwał się— polecamy Judytę, wolną panią z Hohenau, której sieroctwo ma prawo do naszej opieki i łaski królewskiej. Wolna pani zostanie na naszym dworze dopóty, dopóki nasz wierny doradca i przyjaciel, a jej narzeczony, pan Bertold z Meersburga, nie przysięgnie jej wiary dozgonnej w obliczu Boga.

Rzekłszy to, spojrzał nieznacznie na dwie panie, które stały po prawej stronie królowej. Obie były przystojne, chociaż każda w innym rodzaju. Jedna z nich, wysoka blondyna z dużemi niebieskiemi oczyma, zarumieniła się, gdy król nazwał Judytę narzeczoną Bertolda, druga, ruda, zbudowana posągowo, zbladła.

Złośliwy uśmiech mignął w oczach Henryka.

— Jest naszą wolą—mówił, spoglądając zukosa na blondynę i rudą — aby wolna pani z Hohenau znalazła na naszym dworze ognisko rodzinne. Ktobykolwiek ośmielił się obrazić tę naszą wolę monarszą, obraziłby prawo, które nakazuje cześć dla sierot.

— Judyta z Hohenau będzie mi córką drogą— odezwała się królowa głosem cichym, uległym, całując w czoło Judytę, która przed nią uklękła.

Henryk skłonił się małżonce ceremonialnie, posłał jeszcze raz blondynie i rudej spojrzenie złośliwe i opuścił komnatę. Na kurytarzu zaśmiał się zcicha, jak chłopiec, który splatał komuś figla. Szybko jednak, z wprawą dobrego aktora, przywołał na twarz wyraz poważny, na wschodach bowiem rozległy się kroki.

Na dole, w sali rycerskiej, czekali na pana jego doradcy. Był tu Bertold z Meersburga, Ulryk z Godesheimu, biskup spirski, rycerz Hartmann i hrabia Fryderyk z Hohenstaufen. Z wyjątkiem ostatniego, chowali się wszyscy od lat najmłodszych razem z Henrykiem, stanowili jego dwór chłopięcy podług starodawnego obyczaju, który nakazywał królowi dodawać do boku następcy tronu grono rówieśników stanu rycerskiego, aby przyszłemu władcy nie zabrakło wiernych przyjaciół, gdyby go pycha większych wassalów korony zdradziła.

Z gromadki towarzyszów króla zabrała śmierć przedwczesna już czterech młodzieńców. Gwałtowny hrabia Werner zgasł na progu młodości, Luitpold z Meersburga, starszy brat Bertolda, umarł z rany

którą zadał sobie sam wypadkiem, runąwszy z konia, a dwaj synowie hrabiego Eberharda z Nellenburga zginęli w bitwie nad Unstrutą. Hrabia Fryderyk z Hohenstaufen, protoplasta późniejszej dynastyi cesarskiej, dziad głośnego w dziejach Barbarossy, przyłączył się dopiero później do najbliższego otoczenia Henryka.

Ogromnych rozmiarów sala rycerska, czworoboczna, podłużna, nie przypominała urządzeniem miękkiego, wonnego gniazdka królowej. Sklepienie sufitu, ozdobionego malowidłami, opierało się na dwóch rzędach przysadzistych filarów, głębokie nisze okien ostrołukowych świadczyły o niezwykłej grubości murów. Posadzka składała się z kwadratowych, palonych kamieni, na których domorosły artysta wyrył dziwaczne smoki i potwory, dziecięcej wyobraźni płody nieudolne.

Zamiast kobierców, wisiały na ścianach, wysadzonych gładko ociosanym, czerwonym piaskowcem, poszczerbione zbroje, hełmy, miecze, topory, oszczepy i stargane sztandary, dawnych zapomnianych bitew i czasów czcigodne pamiątki.

W środku sali znajdował się stół dębowy, a dokoła niego krzesła.

Było tu wszystko ciężkie, mocne, zbudowane na wieki. Przyćmione kolorowemi szybami światło, które wpływało do sali, nadawało jej wygląd posępny, nie zachęcający do pustej zabawy.

Mimo poważnych ram, gwarzyli doradcy króla bardzo wesoło. W chwili, kiedy Henryk wchodził, zanosił się biskup spirski od śmiechu.

Zbliżywszy się do swoich przyjaciół, którzy stali w jednej z nisz, zaopatrzonych kamiennemi ławeczkami, odezwał się król do biskupa:

— Chyba umarła w twojej dyecezyi jaka złota owieczka i zapisała ci kilka zamków z przyległościami, kiedy się tak radujesz.

Biskup, znany z marnotrawstwa, skrzywił się. jak rozkapryszone dziecko.

— Złote owieczki umierają tylko dla mnichów, zostawiając nam, świeckim duchownym, troskę o zbawienie ich nudnych dusz — odpowiedział — ale komu łaska króla obiecała dobre opactwo, ten nie potrzebuje się oglądać na zapisy pobożnych owieczek.

Złożywszy ręce błagalnie, patrzył na króla wzrokiem przymilającej się kotki.

— Jakie znów opactwo? — rzekł król. — Nie przypominam sobie, żebym ci cośkolwiek ohiecywał.

— Co nie było, może się stać każdej chwili. Zmiłujcie się, panie królu, bo nie wiem, jak dociągnąć do Nowego roku. Już mi nawet żydy spirskie nie chcą nic pożyczyć. Dołączcie do biskupstwa jakie dojne opactewko.

— Żeby mnie ten smok rzymski nasyłał znów nieprzyjemnemi listami — mówił król, zmarszczywszy brwi. — Mam dosyć napomnień i gróźb Hildebranda. Wy broicie, a ja muszę za was znosić obelgi tego pysznego mnicha. Wybij sobie z głowy nowe *beneficia* i naucz się raz wiązać koniec z końcem. Do ubogich biskupstw nie należy Spira. Co ty robisz z pieniędzmi, Henryku?

— To samo, co Wasza Wzniosłość — rzekł biskup. — Puszczam je w obieg.

— Ze mną się nie porównywaj, lichy naprawiaczu dziurawych dusz, hojność bowiem jest obowiązkiem królów. Mnie zresztą, choćbym oddał ubogim ostatnią suknię, napełni znów naród szkatułę, a tobie, jak mówisz, odmawiają nawet judajczycy pożyczki. Prawdę powiedziawszy, mógłbyś zmniejszyć dwór spirski i ograniczyć wydatki. Trochę to nieprzyzwoicie wygląda, gdy się za biskupem włóczy całe wojsko grajków, linoskoków i wędrownych komedyantów.

— Widzę, że nauki Hildebranda już skutkują— zauważył biskup.

Bez gniewu odparł król:

— Widź, co ci się podoba, bo nie na to chowaliśmy się razem, byś mnie miał karmić kłamanemi pochlebstwami, jak wszyscy obcy, co się do mnie zbliżają. Przyjacielowi wolno się nawet do króla głupio odezwać, ale nie ma takiej przyjaźni na ziemi, któraby pozwalała płacić przykrościami za pobłażliwość. Wiesz dobrze, iż nie życzę sobie obecnie z różnych powodów jawnego zerwania stosunków z Rzymem, a żądasz odemnie rzeczy, któraby zaostrzyła bezwątpienia spór korony z tyarą.

Ulryk z Godesheimu, przesunąwszy palec pod nosem biskupa, odezwał się:

— Przepadło opactwo. Obetnij śliczne włoski, zbiorniku cnót chrześciańskich, wzorze pokory i ubóstwa, pluń na marne rozkosze marnej ziemi, włóż na głowę wór z popiołem i proś na klęczkach opata Wilhelma z Hirszau, żeby cię przyjął do swojego konwentu, gdzie będziesz miał codziennie miskę grochu, miarkę kwaśnego wina i tysiąc psalmów.

— Idź na mnicha — zawołali wesoło Bertold, rycerz Hartmann i Fryderyk z Hohenstaufen.

— Idź na mnicha — wtórował im król, rozbawiony zafrasowaną miną biskupa, który, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Jak wola Waszej Wzniosłości, ale za cnotę króla zapłacą szkatuły jego przyjaciół, bo nie dopuścicie przecież do tego, żebym miał z głodu umrzeć. Ty, Bertoldzie, który, zabierając się do stanu małżeńskiego, zaczniesz wieść życie porządniejsze, czyli, co to samo znaczy, będziesz odtąd miewał grosz gotowy, ruszysz pierwszy workiem. Pożyczysz mi dzisiaj tysiąc czerwonych bizantyńców.

— Oto smutne skutki porządnego życia — rzekł Ulryk z Godesheimu z komiczną powagą.

— Nie ciesz się naprzód swoją bezbożną swobodą, grzeszniku, na którego już szatan ostrzy pazury — mówił biskup — bo i na ciebie przyjdzie nie-

zadługo kolej. Za tydzień ukłonię się uprzejmie twojej szkatule.

— Moja szkatuła odpowie ci z ochotą brzękiem miłym dla wszelkiego śmiertelnego ucha, wolę bowiem zapłacić tysiąc czerwieńców, niż znosić kaprysy jednej białogłowy.

— Wolisz służyć dwom.

— Choćby trzem, czterem naraz, byle krótko, Im więcej zmiany, tem weselej na tym świecie.

— A na drugim co będzie?

— Pod twoją obszerną suknią zmieścimy się wszyscy, gdy nas śmierć należycie wysuszy.

Po twarzy króla biegały uśmiechy swawolne. Wspaniały, gdy występował urzędowo, był on w gronie swoich najbliższych przyjaciół dobrym towarzyszem. Złączony z nimi serdecznemi węzłami wspólnie przeżytych lat chłopięcych i młodzieńczych, nie krępował nigdy osobą swoją ich luźnego języka. Gdy był z nimi sam, bez świadków, nie domyśliłby się w nim nikt potężnego monarchy. Swobodny w ruchach i słowie, nie dawał rówieśnikom uczuć swojej władzy królewskiej.

Spojrzawszy przez zmrużone powieki na Bertolda, rzekł:

— Czy wiesz, Berti, że twoja Judyta jest warta zachodów króla? Cóżbyś na to powiedział, gdybym ci ją zdmuchnął z przed nosa? Właśnie nie mam nic świeżego pod ręką. Same zużyte graty.

Bertold, który szeptał coś biskupowi do ucha, zwrócił się nagle i wlepił w króla oczy przerażone.

A Henryk ciągnął dalej głosem obojętnym.

— Głowa Włoszki, biust Germanki, ruchy bogini, oczy szatana... Królewski kąsek...

Mlasnął językiem, jakby coś dobrego smakował, wpatrując się w pobladłą twarz Bertolda.

— Odstąpisz mi ją? — pytał.

Ponury błysk zaświecił w źrenicach Bertolda.

— To moja narzeczona, panie królu — odezwał się głosem stłumionym.

— Wiem o tem i właśnie dlatego pytam cię o pozwolenie.

— Nie obrażajcie mnie, panie królu.

— Dajże pokój, Berti, bo gotowym pomyśleć, żeś stracił rozum dla jednej gąski. Małoż to ładnych dzierlatek w rzeszy niemieckiej? Za jedną Judytę możesz mieć sto równie pięknych. A mnie zachciewa się właśnie twojej narzeczonej. Król cię prosi.

Mówiąc to, miał Henryk twarz tak spokojną, jak na sądach. Tylko w kącikach ust igrały chochliki pustoty.

— Jakże będzie? Nie opieraj się królowi — nalegał.

— Obowiązkiem wassala położyć życie za seniora na polu sławy, honor jednak rycerza nie przestaje być nigdy jego własnością — odparł Bertold.— Małżonka wolnego pana z Meersburga nie może być niczyją kochanką, nawet króla.

— Wyrażasz się, jak buntownik — mówił Henryk, uśmiechając się coraz widoczniej, czego Bertold, wzburzony do głębi, nie dostrzegł. — Przysiągłbym, że się w tej chwili lęgnie w twojej głowie zamiar rokoszu, że knujesz zdradę korony i obrazę majestatu. Nie radziłbym ci myśleć zbyt głośno. Chyba wiesz, że umiem być nietylko dobrym przyjacielem, lecz także nieubłaganym stróżem tronu.

Śmiało spojrzał Bertold w oczy króla.

— Obrażacie niepotrzebnie krzywdzącym domysłem wiernego sługę i przyjaciela—rzekł—jesteście bowiem przekonani, że Bertold z Meersburga nie zdradzi korony frankońskiej. Do rokoszan nie przejdę, z Hildebrandem nie pogodzę się bez waszego rozkazu, narzeczonej jednak znieważyć nie pozwolę.

— Nie pozwolisz? A cobyś mi zrobił, gdybym ci ją mimo twojej groźby zbałamucił?

— Gdyby mnie Judyta zawiodła, złamałbym miecz i rzucilbym świat, na którym nie ma przyjaźni i miłości.

— Aż tak rozpaczliwie? To ty kochasz ją naprawdę miłością porządnego wołu, stworzonego do jarzma małżeńskiego? Co się z tobą stało? Skapcaniałeś na nic, Berti.

— I ja mu to już mówiłem—odezwał się Ulryk z Godesheimu. — Zgłupiał, jak baran, przywabiony ogniem.

— Ty nie walaj swoim grubym dowcipem mojej miłości! — fuknął na niego Bertold. — Ty się na takich świętych uczuciach nie rozumiesz... ty...

— Niedźwiedziu westfalski — poddał mu palatyn. — I niedźwiedzie kochają, ale mądrzej od ciebie, bo zawierają corocznie nowe związki małżeńskie.

Teraz wybuchnął król wesołym śmiechem.

Bertold spojrzał zdziwiony dokoła. Czyby się jego troską bawiono? Krew uderzyła mu do głowy.

— Nie pozwalam znieważać nikomu mojej miłości — zawołał — nikomu! — powtórzył z naciskiem, rzucając królowi groźne spojrzenie.

— Zdrajca! — śmiał się Henryk.— Spojrzał na mnie, jak Otton z Nordheimu, albo biskup Buko. Nałóżcie mu żelazne obrączki, bo nas połknie.

Nagle spoważniał. Objąwszy Bertolda za szyję, mówił serdecznie:

— Dałem ci snać jeszcze za mało dowodów przyjaźni, kiedy mogłeś mnie posądzić o takie łotrowstwo. Ty myślałeś naprawdę, stary druhu, że byłbym zdolny zabrać przyjacielowi narzeczoną? Młodzi królowie nie mają potrzeby ubiegać się zdradą i przemocą o miłość niewieścią. Przychodzi ona do nich sama, często nawet niepożądana, o czem nie wiedzą mnichy i te saskie świnie, co trąbią po całej rzeszy o moich wrzekomych gwałtach. Nie lękaj się! Nietylko nie będę ci Judyty bałamucił, lecz cieszę

się nawet szczerze ze zmiany twojego usposobienia. Pragnąłbym, byście się wszyscy pożenili i rozpoczęli życie spokojniejsze; ludzie bowiem mówią za wiele o rozpuście na dworze królewskim. Wieści o naszych miłostkach doszły już do Rzymu, jak mi pisze kanclerz Lombardyi. Domyślam się, że się nam Sasi przysłużyli. Nie żądam od was cnót klasztornych, gruchajcie sobie, ile się wam podoba, ale unikajcie publicznego zgorszenia. Niech ludzie przestaną mówić o rozpuście na moim dworze. Proszę was o to.

To „proszę was o to" brzmiało tak, jak „rozkazuję wam".

Rówieśnicy Henryka, którzy wiedzieli, że król umie być nietylko łaskawym przyjacielem, lecz także władcą, żądającym bezwarunkowego posłuszeństwa, spojrzeli po sobie zdziwieni. Co mu się stało? On, który był postrachem wszystkich mężów ładnych żon, zabraniał im jawnych miłostek...

— Wormatki przywdziałyby żałobę, gdyby słyszały cnotliwe słowa Waszej Wzniosłości [1]) — odezwał się Ulryk z Godesheimu z uśmiechem ironicznym.

— Gorącej krwi Wormatek nie studzą troski króla — odpowiedział Henryk. — Wszystko ma swój czas, Ulryku. Młodości wolno szaleć, my jednak nie mamy już prawa do młodości, w naszem bowiem położeniu żyje się bardzo prędko. Golarz wyciął mi dziś z głowy garść siwych włosów. Lata idą, a z niemi przychodzi rozwaga, zwłaszcza, gdy się tak, jak my, trzeba ciągle opędzać całej zgrai wrogów. Zbiera się nad nami burza, brzemienniejsza w pioruny od rokoszu saskiego, idzie ku nam groźna nawałnica, której wy jeszcze nie widzicie, ale którą ja czuję i dostrzegam zdaleka. Nie utru-

---

[1]) Wzniosłość *(Sublimitas)*, tytuł królów niemieckich, nadawany im przez Stolicę Apostolską.

dniajcie mi swojem zachowaniem obrony, jaką obmyśliłem, by tę nawałnicę zwrócić w inną stronę.

A do Bertolda rzekł:

— Przeproś mnie, Berti, za posądzenie, obrażające naszą przyjaźń.

— Zawiniłem ciężko, panie — odezwał się Bertold zawstydzony.

— Zemszczą się za mnie twoje kochanki. Gdy polecałem królowej Judytę, nazywając ją twoją narzeczoną, posiniała ruda Adelajda, jak podrażniony indyk, a ta druga, z oczami niewinnej dzieweczki, przygryzła sobie usta do krwi, żeby nie krzyknąć. Ładnieś się urządził. Będziesz musiał teraz kłamać lepiej od moich nieprzyjaciół. Wyrównałem ci już drogę do obrony, bo ostrzegłem Judytę przed złym językiem Adelajdy. Powiedziałem jej, że hrabina jest twoim najzaciętszym wrogiem. Radź sobie dalej sam. A teraz do roboty!

Wezwani przez Ulryka z Godesheimu, weszli do sali starsi członkowie rady koronnej.

Król zajął swoje miejsce na czele stołu, w większem krześle, wybitem czerwonem suknem; po jego prawej ręce usiedli panowie duchowni: arcybiskup Limar, biskup Benno, biskup Henryk i proboszcz goslarski Rupert, kanclerz rzeszy— po lewej panowie świeccy: hrabia Eberhard z Nellenburga, Ulryk z Godesheimu, Bertold, hrabia Fryderyk z Hohenstaufen i rycerz Hartmann. Do pełnej rady brakowało tylko biskupa Eppa z Zeitz, którego sprawy kościelne zatrzymały w jego dyecezyi.

Dwóch trabantów trzymało na korytarzu straż, strzegąc posiedzenia rządu przed niepotrzebnemi uszami.

— Hrabia Ulryk z Godesheimu zda nam dziś sprawę ze swojej podróży, podjętej w celu wykrycia tajemnicy synodu lutowego — zagaił król radę. — Zaczynaj, Ulryku, tylko nie unoś się swoim zwyczajem, gdy będziesz mówił o Hildebrandzie i bez tego bowiem wiemy, że nas biskup rzymski nie kocha.

BIBLIOTEKA

Wsunąwszy się w głab krzesła, skrzyżował ręce na piersiach.

Dziewięć par oczu zwróciło się na hrabiego, który odchrząknął kilka razy, zanim się odezwał:

— Wycieczka moja potwierdziła wszystkie wiadomości—mówił—jakie nam biskup Grzegorz z Vercelli, nasz kanclerz lombardzki, nadesłał. Prałaci Lombardyi, nie wyjąwszy arcybiskupa Rawenny, Gwizerta, nienawidzą Hildebranda, nie chcą uznać jego wyboru i wyczekują z tęsknotą przybycia króla, aby ich uwolnił od złości tego heretyka.

Dygnitarze koronni słuchali z wielką uwagą. Na twarzach młodszych członków rady, którzy dowcipkowali przed chwilą tak swobodnie, jak gdyby troski rządu nie zaprzątały nigdy ich głowy, malowało się skupienie.

Hrabia Ulryk wydobywał z siebie okrągłe zdania z wysiłkiem. Pocierał czoło, ustawał, kręcił się na krześle. Widać było, że pracuje ciężko.

— Bo nie Hildebrandem, lecz Höllenbrandem, ogniem piekielnym, powinien się ten szalony mnich nazywać—wybuchnął.

Tu podniósł król rękę.

Jak żak, skarcony przez nauczyciela, zniżył hrabia natychmiast głos.

— Biskupi lombardzcy przyjmowali mnie wszędzie z wielką radością—opowiadał — czcząc we mnie posła swojego króla. Do Padwy, Bononii, Mantuy, Medyolanu, gdziekolwiek przybyłem, nadbiegał z kraju cały kler świecki, by się odemnie dowiedzieć, kiedy król rzymski stanie w Lombardyi. Bo on jeden, nasz pan prawowity, patron i wójt Kościoła, wołali, może nas wybawić z niewoli samozwańczego papieża. Trudno sobie wystawić, jak Lombardya nienawidzi Hildebranda. Swojemi zuchwałemi rozporządzeniami zburzył on cały porządek dotychczasowy, wygnał z miast pokój, rzucił niszczący płomień niezgody do owczarni biskupich, poszczuł klasztory

na duchowieństwo świeckie, gmin na rycerstwo, chłopów na plebanów. W Medyolanie wydziera sobie obecnie stolicę św. Ambrożego trzech arcybiskupów i leje się krew na ulicach prawie codziennie.

Różnie oddziaływało opowiadanie hrabiego na członków rady. Król, który spoczywał na krześle bez ruchu, słuchał tak obojętnie, jak gdyby go obraz stosunków lombardzkich nic nie obchodził. Tak samo zdawali się hrabia Eberbard z Nellenburga, arcybiskup Limar i Bertold nie przywiązywać znaczenia do wiadomości sprawozdawcy. Oparłszy głowy na dłoniach, nie patrzyli nawet w jego stronę.

Hrabia z Hohenstaufen i rycerz Hartmann przytakiwali Ulrykowi żywemi giestami.

Nie do króla i starszych członków rady zwracał się hrabia, ilekroć głos podnosił. Wzrok jego szedł wówczas na drugą stronę stołu, gdzie siedzieli obok siebie biskup osnabrycki, Renno, i kanclerz Rupert; pierwszy wysoki, chudy z suchą twarzą ascety; drugi nizki, krępy, czerstwy, z energiczną głową na krótkim karku.

Na nich spoglądał hrabia z Godesheimu, wiedząc, że jego nienawiść do papieża znajdzie u nich zawsze poparcie.

I rzeczywiście zarumieniły się ich twarze z radości, kiedy Ulryk z Godesheimu mówił o nieporządkach lombardzkich. Obaj rzucili królowi spojrzenie tryumfujące, jakby chcieli powiedzieć: kto miał słuszność?

Ale król udawał, że nie dostrzega ich tryumfu, chociaż jego bystre, mądre oczy chodziły ciągle dokoła stołu.

— A panowie lombardzcy?—zapytał.

— Gdyby nie ta zwaryowana Matylda Toskańska, która odmówiła posłuszeństwa swojemu prawowitemu Gotfrydowi lotaryńskiemu, aby żyć w grzesznym stosunku z Hildebrandem...

— Mówisz od rzeczy, Ulryku — przerwał król

hrabiemu. — Cóżby taki stary, postami wysuszony szkielet, jak Hildebrand, robił z młodą, ładną kobietą? Powtarzasz plotki motłochu.

— Nie od plotkarzy mam tę wiadomość — bronił się hrabia—lecz od kardynała Hugona Blankusa.

— Hugon Blankus kłamie; bo poróżnił się z Hildebrandem, o czem wiem. Mów dalej!

— Gdyby nie Matylda Toskańska, która oddała się cała na usługi Hildebranda, nie spotkalibyśmy w Lombardyi ani jednego nieprzyjaznego miecza.

— Coś nam dotąd opowiedział, wiemy oddawna — zauważył król. — Idzie nam głównie o synod lutowy, którego postanowienia ukrywa Hildebrand przedemną i przed biskupami niemieckimi. Czy zbadałeś tajemnicę?

Złośliwy uśmiech skrzywił usta Ulryka z Godesheimu.

Zanim podjął znów przerwane sprawozdanie, milczał dłuższą chwilę, jakby się przygotowywał do czegoś bardzo ważnego.

Wlepiwszy w króla wzrok ironiczny, rzekł:

— Ostatnią plotkę (wyraz ten podkreślił głosem) chowałem na sam koniec. Hildebrand, otoczony swoimi służalcami, postanowił na synodzie lutowym odjąć królom i książętom prawo inwestytury.

Gdyby się od sufitu był nagle oderwał kamień i runął na środek stołu, nie byłby był przeraził więcej członków rady od tej wiadomości. Arcybiskup Limar, hrabia Eberhard i Bertold podnieśli szybko głowy, biskup Renno i kanclerz Rupert wyrzucili z siebie stłumione aaa... król, wsunięty wygodnie w głąb krzesła, wyprostował się żywym ruchem. Wszystkie oczy zwróciły się zdumione na hrabiego.

W sali zapanowała głucha cisza osłupienia, która wynagrodziła sprawozdawcę dostatecznie za uczyniony mu zarzut plotkarstwa.

— Żartujesz—odezwał się pierwszy król.

— Na synodzie lutowym postanowił Hilde-

brand — powtórzył Ulryk z Godesheimu głosem podniesionym — odjąć królom i książętom służące im od czasów niepamiętnych prawo inwestytury i postanowienie to usiłuje już w Lombardyi wprowadzić w życie. Nie królowie mają odtąd rozdawać biskupstwa i opactwa, lecz on, najwyższy pan chrześciaństwa.

— To jawny bunt!—zawołał biskup Benno.

— To obraza majestatu królewskiego — dodał kanclerz Rupert.

— Być nie może—szepnął arcybiskup Limar.

Zakipiało jak w kotle.

Mimo obecności króla, zarzucali członkowie rady hrabiego pytaniami. On odpowiadał, nie krępując głosu, języka i ruchów. Szafował obficie obelgami, miotanemi na papieża, którego nazywał *Höllenbrandem.*

Twarz króla, dotąd spokojna, obojętna, mieniła się, jak w gorączce. To czerwieniła się, to bladła. Przebiegały po niej błyskawice gniewu; w oczach zapalały się i gasły światła ponure, usta drgały nerwowo. Teraz dopiero okazało się, że powaga monarsza była tylko sztuczną maską, pokrywającą temperament zapalny.

Trudne położenie, w jakiem się od lat dziecięcych znajdował, nauczyło młodego władcę panować nad sobą, to powściąganie jednak wrodzonej gwałtowności nie przychodziło mu łatwo.

Aby się nie zerwać z krzesła, jak jego doradcy, uczepił się król obiema rękami poręczy. Widać było, że dobywa całej woli, by zachować równowagę.

Powoli układała się burza w jego rysach. Oczy przybrały znów wyraz chłodny, usta uspokoiły się, czoło wygładziło.

— Uciszcie się!—rzekł głosem ostrym.

Kiedy dygnitarze zajęli swoje miejsca, zapytał:

— I cóż wy na to? Co radzicie czynić wobec niesłychanego postanowienia Hildebranda?

— Wykurzyć tego zuchwalca z Lateranu—zawołał Ulryk z Godesheimu — zamknąć go w klaszto-

rze i posadzić na Stolicy Piotrowej innego ojca chrześciaństwa. Trzeba z nim raz skończyć.

— Zgadzam się z radą hrabiego Ulryka — odezwał się biskup Benno.

— I ja podzielam jego zdanie — dodał kanclerz Rupert.

— I my—wtórowali prałatom rycerz Hartmann i hrabia z Hohenstaufen.

— A wy, arcyciskupie? — zwrócił się król do Limara.

— Zdaniem mojem, należy czekać na pismo Hildebranda lub na jego legatów, których niewątpliwie do nas wkrótce przyśle — odpowiedział arcybiskup. — Przed urzędowem potwierdzeniem wiadomości, przywiezionej przez hrabiego Ulryka, nie wolno nam nic postanowić.

Gdy hrabia Eberhard i Bertold poparli radę arcybiskupa, przymknął król powieki i siedział czas dłuższy pogrążony w myślach.

Nikt nie śmiał mu przerwać najlżejszym szelestem cichej rozmowy z sobą. Zaparłszy oddech, czekali doradcy korony na rozkaz króla, wpatrzeni w jego twarz bladą.

Tej twarzy ruchliwej, surowej na sądach, uśmiechniętej w gronie rówieśników, przybyło nagle wiele lat. Czoło przecięła głęboka bruzda, oczy, podkrążone ciemnemi obwódkami, zapadły, usta obwisły.

Gorycz i znużenie starły z oblicza Henryka barwy młodości.

Nie płochy uwodziciel kobiet i wesoły towaszysz wesołych rówieśników siedział w krześle, lecz stroskany monarcha, któremu korona nie szczędziła wzruszeń gwałtownych. Rozkiełznana pycha książąt rzeszy miotała nim, jak wicher dębem, chciwość i podłość ludzka zwarzyły w nim rychło złudzenia lat wiosennych.

Niepospolicie zdolny, obdarzony darem szybkiego ogarniania najzawilszych spraw i bardzo bystrym

wzrokiem spostrzegawczym, znał Henryk świat i ludzi lepiej od mężów posiwiałych w walce z samolubstwem ziemi. Czego mu nie powiedziało długie doświadczenie, tego nauczyło go wyjątkowe stanowisko. Wszakże ocierały się o niego wszystkie ambicye i tajne pragnienia panów niemieckich. On patrzył w dusze wojewodów i margrabiów, biskupów i opatów, których męztwo lub cnoty sławili maluczcy, jak w księgę otwartą, i widział na dnie tego męztwa i tych cnót najczęściej nizkie pobudki. Ktokolwiek się do niego zbliżył, żądał zawsze czegoś, prosił, żebrał. Za spełnienie obowiazków, za przyjaźń i wierność, za każde słowo, spojrzenie życzliwe musiał płacić,... ciągle płacić.

Szczery z natury, porywczy i namiętny, wrażliwy na wszelkie piękno, cielesne, czy moralne, nagiął Henryk IV już w dwudziestym piątym roku życia swoją bogatą duszę do chłodnej rozwagi. Książęta sascy skarżyli się słusznie na jego chytrość. Patrząc uważnie i dobrze z wyżyn tronu na ludzi, miał dokładniejsze wyobrażenie o swoim czasie, aniżeli się tym zdawało, którzy się gniewali, że nie mogą wyzyskać jego młodości do swoich celów.

Tylko jego najbliższe otoczenie wiedziało, że płochy uwodziciel kobiet i wesoły towarzysz wesołych rówieśników był niezwykle uzdolnionym monarchą, szybkim w czynie tam, gdzieby zwłoka zaszkodziła, a przebiegłym z przebiegłymi.

Przeto czekali doradcy korony cierpliwie na jego rozkaz, przekonani, iż znajdzie zawsze drogę wyjścia z najtrudniejszego położenia.

Nareszcie po długiem milczeniu, podniósł król głowę, przetarł oczy grzbietem ręki, jakby się ze snu przebudził, i zaczął:

— Już mi się zdawało, iż po kilku latach trosk i walki dopływamy nareszcie do zasłużonej przystani pokoju, ale widzę, że w księdze przeznaczenia nie zapisano dla mnie ani jednego dnia wypoczynku. Je-

śli nienawiść biskupów lombardzkich nie okłamała naszego posła, wówczas idzie ku nam burza, jakiej nawet moja obawa nie przeczuwała. Bo odjęcie koronie prawa inwestytury równa się zdruzgotaniu władzy królewskiej, na co się oczywiście nie zgodzimy. Cóżbyśmy robili bez pomocy biskupów i opatów, których drużyny są naszą jedyną, nigdy nie zawodzącą podporą? Na wojewodów, margrabiów i rycerstwo możemy liczyć tylko o tyle, o ile ich siłą zmusimy do spełnienia obowiązków. Bez biskupów, opatów i miast byłaby korona przykrym ciężarem, zabawką w ręku każdego niespokojnego rycerza, pośmiewiskiem zuchwalstwa i przewrotności.

Henryk mówił łatwo, płynnie, głosem dźwięcznym, naginającym się posłusznie do treści słowa, do myśli. Słychać było wyraźnie każdą zgłoskę, każdy przestanek.

— Że Hildebrand zamierza zburzyć cały dotyczasowy porządek — ciągnął dalej—widzę od roku, od pierwszego pysznego listu, którym się ośmielił obrazić majestat najwyższego wójta Kościoła. Szczuty jednak, jak dzikie zwierzę, przez rokoszan, niepewny jutra, znosiłem cierpliwie jego zniewagi, ale cierpliwość królów ma swój kres. Gdy załatwimy się ostatecznie z Sasami, co nastąpi jeszcze w tym miesiącu, weźmiemy się do Rzymu.

— Nareszcie! Chwała Bogu! — odezwał się Ulryk z Godesheimu.

— Wielki czas poskromić tego trupa, który nie chce zrozumieć, że jego świetność dawno minęła — rzekł biskup Benno.

— Rozkażcie, panie królu, a ruszę z moimi chłopcami natychmiast do Italii — zawołał Fryderyk z Hohenstaufen. — Hildebrand zmięknie, gdy ujrzy przed bramami Rzymu nasze sztandary.

Ale król podniósł rękę, nakazując milczenie.

— Tyle razy was prosiłem, byście się nauczyli kłaść wędzidło na gniew, choćby najsłuszniejszy—

mówił, spojrzawszy z wyrzutem na Ulryka i biskupa Benna.—Wziąć się do Rzymu, nie znaczy posłać Hildebrandowi rękawic, zmusić go do powolności z bronią w ręku. Na tę ostateczność będzie zawsze dość czasu, gdy się inne, łagodniejsze środki okażą bezsilnemi. Nasamprzód trzeba rzucić pod stopnie tronu Sasów, złamać pychę ich przewódców, a następnie czekać spokojnie, jak arcybiskup Limar, hrabia Eberhard i wolny pan Bertold bardzo rozumnie radzą, na legatów rzymskich, którzy muszą przybyć przed końcem roku. Dopiero po wysłuchaniu legatów będziemy mogli obmyślić obronę skuteczną. Tymczasem proszę was, abyście się aż do mojego dalszego rozporządzenia tak zachowywali, jak gdybyście nie wiedzieli nic o postanowieniach synodu lutowego. Dopóki nam Hildebrand nie nadeśle zawiadomienia urzędowego, nie istnieją one dla nas.

I znów brzmiało „proszę was," jak „rozkazuję wam."

Podniósłszy się, opuścił król wolnym krokiem salę.

Gdy doradcy korony zostali sami, podzielili się na dwie grupy. Biskupa Benna i Ulryka z Godesheimu otoczyli kanclerz, rycerz Hartmann, biskup spirski i hrabia z Hohenstaufen, przy arcybiskupie Limarze stanęli hrabia Eberhard i Bertold. Pierwsza grupa rozmawiała bardzo głośno, druga szeptała.

— Nie rozumiem, co się królowi stało—perorował hrabia Ulryk.—Zamiast pokazać zęby Hildebrandowi, do czego miałby prawo po zwycięztwie, odniesionem nad Sasami, lęka się dziś więcej gniewu Rzymu, aniżeli wówczas, kiedy nas rokoszanie gnali z zamku do zamku, jak banitów. Co się tu długo namyślać? Sasów zdeptać i ruszyć natychmiast do Rzymu z mieczem zemsty. Nieboszczyk pan cesarz strącił ze Stolicy Piotrowej trzech biskupów i ani jedna ręka nie podniosła się w ich obronie. Nie widzę żadnego powodu do zwłoki. Lombardya przyjmie nas chlebem i solą, Rzym otworzy nam bramy bez namysłu, gdy

sypniemy złotem. Zbyteczna rozwaga bywa czasami złym doradcą.

— Domyślam się—mówił biskup Benno, zasuspendowany przez Grzegorza VII w urzędzie razem z arcybiskupem Limarem za opór, stawiany legatom papieskim — że wpływ cesarzowej Agnieszki źle oddziaływa na króla. Od pewnego czasu nadchodzą od niej listy, a po każdym z nich chodzi Henryk przez cały dzień, jak struty. Mnichy rzymskie opętały matkę królewską, strasząc ją ogniem piekielnym za jej nieprzyjaźń do papieża. Dumna niegdyś władczyni, która pozywała przed swój trybunał w zastępstwie małoletniego syna biskupów rzymskich, stała się najpokorniejszą służebnicą Hildebranda. Ona i Matylda Toskańska są głównemi narzędziami tego marzyciela, któremu się uwidziało, że mu Bóg oddał panowanie nad światem. Henryk, jak wam wiadomo, kocha i czci matkę szczerze, przeto nic dziwnego, że uwzględnia jej prośby.

— Wszędzie niewiasty—zawołał hrabia Ulryk.— Mogłaby pilnować kądzieli i psałterza, zamiast się wtrącać do rzeczy nie swoich. Z matką królewską trudno wojować.

— Co mi dacie za dobrą radę? — odezwał się biskup spirski, oskarżony w Rzymie za świętokupstwo.

— Twoje rady cenię tylko przy grze w kości— rzucił Ulryk pogardliwie.

— Przeprosisz mnie natychmiast za głupi dowcip. Wezwijmy do pomocy garbuska lotaryńskiego, który nienawidzi Hildebranda więcej od was wszystkich razem. Gotfryd może poprzeć swoją radę mieczami całej niższej Lotaryngii, ujarzmionej jego ręką nieubłaganą. Gdy on obieca Henrykowi czynną pomoc, staniemy wkrótce przed bramami Rzymu. Zła rada? Co? Przeproś mnie teraz, gębo dokuczliwa.

— Rada twoja warta wistocie przeproszenia — rzekł Ulryk. — Ruszasz rzadko rozumem, ale dobrze.

Jedyny Gotfryd lotaryński mógłby rozproszyć wątpliwości Henryka.

I pochwyciwszy prawicę biskupa złożył na niej głośny pocałunek ku ogólnemu weselu przyjaciół.

Jego grube żarty nie gorszyły nikogo. Biskup spirski był jego rówieśnikiem, towarzyszem od lat dziecięcych.

Kiedy przeciwnicy rozważnego postępowania z Grzegorzem VII szukali środków do przyśpieszenia wybuchu, radził arcybiskup Limar z Bertoldem i hrabią Eberhard'em nad pokojowem załatwieniem sprawy.

I on wypadł z łaski Rzymu, zgrzeszywszy nieposłuszeństwem względem Stolicy Apostolskiej.

Zwyczajem, przyjętym od kilku wieków, nie miał w cesarstwie rzymskiem nikt prawa zwoływać synodów powszechnych, oprócz samego papieża, lub prymasa Niemiec. Powiedział to Limar legatom Grzegorza VII, którzy, przybywszy dwa lata temu do Norymbergii, chcieli obejść tradycye. Obrażeni kardynałowie Ostyi i Preneste, Girald i Umbert, zasuspendowali go za to w urzędzie, a papież wezwał go przed swój trybunał, aby się usprawiedliwił z wystąpienia, nie zgadzającego się z karnością kościelną. Limar nie usłuchał najwyższego zwierzchnika chrześciaństwa, nie pojechał do Rzymu, lecz poddał się wyrokowi bezspornie, jedyny z pomiędzy biskupów dworskich. Czynności kapłańskich nie spełniał, zajmując się tylko administracyą rozległych dóbr swojej dyecezyi.

Chociaż sprzeciwiał się reformom Grzegorza VII, w których widział zamach na niezależność kościoła niemieckiego, mimo to uznawał w nim głowę świata katolickiego. On to głównie, uczony i roztropny, wpływał uśmierzająco na gwałtowny temperament króla.

I teraz przemawiał łagodząco do Bertolda i hrabiego Eberharda.

— Na odjęcie inwestytury koronie—mówił półgłosem — nie może się w obecnych warunkach zgodzić żaden król, lecz nie sądzę, żeby się Hildebrand upierał przy tej zmianie, gdy mu spokojnie jej szkodliwość wytłómaczymy. Hildebrand, cobykolwiek się o nim dało powiedzieć, słucha chętnie rozumnych uwag i ustępuje, gdy dostrzeże, iż zbłądził. Nie lubię go za jego chęć rządzenia światem, za jego wstręt do zwyczajów, uświęconych wiekami; wielkiej jednak duszy, szczerej pobożności i bystrego oka nie mogę mu odmówić. Nie chciałbym, żeby jego miejsce zajął inny, jaki ciemny mnich, i dlatego nie należy podniecać zapalczywości króla. Najlepiej byłoby, gdyby się jak najprędzej gdzie zjechali, a mam nadzieję, iż się pogodzą, obu bowiem obdarzył Bóg niepospolitemi zdolnościami. Głowy mądre porozumiewają się z sobą łatwo.

W sali ukazał się jeden z podkomorzych, wzywając arcybiskupa Limara i hrabiego Eberharda do króla.

Kiedy młodzi doradcy korony wychodzili z pałacu, przystąpił do Bertolda paź dworski. Podawszy mu zwitek pergaminu, przewiązany różową wstążeczką, oddalił się szybko.

— Aha, już się taniec zaczyna — odezwał się hrabia Ulryk, zaglądając przez ramię Bertolda do listu.—Zalatują mnie fiołki rudej Adelajdy. Hrabina wzywa cię na sprawę. Będziesz ty jutro ładnie wyglądał. Strzeż oczu przed jej pazurkami.

— Zgadłeś — rzekł Bertold, skrzywiwszy się— Adelajda zaprasza mnie na jakieś słodycze arabskie, które hrabia, jej pan i małżonek, nadesłał z Hiszpanii. Żebyś był coś wart, uwolniłbyś mnie od niej. Tobie to wszystko jedno, a mnie zawadzają obecnie stare grzeszki.

— Owszem, tylko postaraj się o to, żeby się Adelajda zgodziła na zamianę. I tę drugą, niebiesko-oką Wolfilę, wezmę po tobie w spadku bez wstrętu. Obie mogą jeszcze skusić nawet pustelnika,

gdyby sią tak panu dyablu podobało. Jeśli ci to będzie potrzebne, możesz im nawet obiecać, że je rozwiodę ze starymi mężami i ożenię się z niemi. Gdybym był dotrzymał słowa wszystkim, którym przysięgałem sakrament małżeński, byłbym jako pasterz licznego stada gęsi. Wątpię jednak, czy ci w tym wypadku będę mógł pomódz, twoje kochanki bowiem nazywały mnie zawsze słoniem, niedźwiedziem, albo jeszcze gorzej.

XI.

Królowie niemieccy wieków średnich nie mieli stałych rezydencyj. Przenosząc się ciągle z prowincyi do prowincyi, z miasta do miasta, rozrzucili po całej rzeszy swoje *Phalz'e*, pałace, aby znaleźć wszędzie własny kąt, dokądkolwiekby ich obowiązki monarsze wezwały. W każdym większym grodzie był zamek królewski, stojący zwykle obok biskupiego. Gdzie go nie zdążono lub nie chciano wybudować, tam ustępowali dygnitarze kościelni panu swoich domów.

Ta tymczasowość rezydencyj królewskich wpływała na ich urządzenie. Do wielkich obwarowanych zajazdów podobne, nie odznaczały się wygodą. Najczęściej za szczupłe dla licznego dworu, pomagały sobie naprędce skleconemi szałasami drewnianemi, w których obozowała służba.

I zamek wormacki, chociaż królowa przebywała w nim stale od dwu lat, nie mógł dać odpowiedniego pomieszczenia najbliższemu otoczeniu korony. Wszyscy członkowie rady, dostojnicy dworscy i wyższa służba, tak kancelaryjna, jak pałacowa, odnajmowali po za obrębem murów domy mieszczańskie. Na zamku miały swoje kwatery, oprócz załogi i niższej, przybocznej służby pary monarszej, tylko damy dworu.

I one, wybierane z możnych rodów, oddanych szczerze dynastyi Waiblingów, przywykłe u siebie do obszernych sal, panie rozległych włości, żony i córki wolnych panów, wojewodów i margrabiów, zadawalały się przy boku królowej dwiema, trzema izbami, które sobie same przystrajały. Pełniąc służbę honorową, bezpłatną, tylko przez pewną część roku, zmieniając się co kilka miesięcy, przywoziły z sobą ulubione sprzęty, sokoły, psy i konie. Dla nich wystawiono w ogrodzie kilka domków ozdobniejszych.

Połowę jednego z takich domków zajmowała hrabina Adelajda z Wolfenburga, której mąż, starszy od niej o lat trzydzieści, wyjechał z poselstwem do Hiszpanii.

Zwolniona około południa ze służby pałacowej, czekała hrabina w swojem mieszkaniu na Bertolda.

Izba, w której chodziła niecierpliwym krokiem zwierzęcia, zamkniętego w klatce, robiła tak samo wrażenie ciepłego gniazda, jak komnata królowej. Ścian nie było widać z pod kobierców, podłogę, krzesła, stoły, nizkie zydle zaścielały skóry białych niedźwiedzi, sufit zasłaniała przejrzysta, srebrna tkanina, popstrzona złotemi gwiazdami.

W tych bogatych ramach ruszała się kobieta dwudziestoletnia, przypominająca wzrostem i barwą włosów dawne Germanki, którym rzymskie patrycyuszki zazdrościły zdrowej urody. Wysoka, szeroka w ramionach, a wązka w pasie, była kształtna mimo silnie rozwiniętych wdzięków.

Miała na sobie jedwabną, niebieską suknię, rozciętą z przodu od kolan, a na niej krótki, obcisły kaftan bez rękawów ze srebnej materyi, uwydatniający bujny biust. Z pod sukni wyglądały prawie całe, doskonale zbudowane nogi, ubrane w pończochy koloru fioletowego.

Jej policzków nie zakrywała zwykła płócienna opaska zamężnych niewiast. Żółta chusteczka, upię-

ta zalotnie na rudych włosach, była jedyną oznaką jej stanu małżeńskiego.

Nie lubiła widocznie czekać, bo przygryzała zmysłowe usta białemi, ostremi ząbkami i podchodziła do drzwi, nasłuchując. Zmęczywszy się bieganiem, siadała na szerokiej ławie, wysłanej miękiemi poduszkami. Wówczas fałdowało się jej gładkie czoło, w piwnych oczach migotaty błyski gniewu, usta drgały w kącikach. Od czasu do czasu chwytała polerowaną srebrną płytę, aby się w niej przejrzeć.

Kiedy się Bertold nareszcie ukazał, skoczyła do niego żywo i, ująwszy go za obiedwie ręce, mówiła szybko, głosem zadyszanym:

— Czy to prawda, Berti? Ta czarna prostaczka, która nie umie się nawet przyzwoicie ubrać, jest twoją narzeczoną? Czy król nie żartował?

— Z Judytą z Hohenau zaręczył mnie ojciec, kiedy była jeszcze dzieckiem — odpowiedział Bertold, unikając wzroku hrabiny.

— I ty ją zaślubisz? Kiedy? Mów!

— Między mną a nią stoi teraz klątwa Hildebranda.

Hrabina odetchnęła.

— Ach, jak to dobrze, że was ten brzydki mnich powyklinał — zawołała uradowana.—Lubię go za to. Gdyby nie jego klątwa, pożenilibyście się wszyscy, a wówczas nie możnaby wytrzymać na dworze królowej. Jej nudna cnota zabija muchy. Nie zgadłbyś, czem nas pani Berta zatrudnia. Od dwóch miesięcy dzierzgamy ornaty dla opactwa Lorsch i słuchamy „Żywotów Świętych." Nie dziwię się wcale naszemu wesołemu Henrykowi, że chciał się z nią rozwieść. Trzeba być bardzo cierpliwym, aby z nią wytrzymać. Nawet nowe stroje gorszą ją. Chciałaby nas ubrać wszystkie w staroświeckie czółka, opaski i w suknie zapięte szczelnie podszyją.

— A wy wolicie drażnić nasze oczy odkrytemi

wdziękami—zauważył Bertold, siadając u stóp hrabiny na nizkim stołku.

Hrabina roześmiała się.

— Przynajmniej u mnie nie udawaj starego marudziarza, którego gorszą stroje dworskie. We mnie nie wmówisz, że ci nasze wdzięki sprawiają obrzydzenie, bałamucie nieznośny.

Pochyliła się nad Bertoldem, złożywszy białe, pierścieniami ozdobione ręce na jego ramionach.

On odwrócił szybko głowę, aby wyminąć jej spojrzenie.

Ta piękna kobieta z ustami, stworzonemi do pocałunków, z oczami, w których żarzyła się namiętność, była wcielonym wyrzutem jego burzliwej młodości. Wobec niej nie mógł udawać „starego marudziarza," któregoby gorszyły zbyt swobodne stroje dam pałacowych, drwił bowiem z nią jeszcze niedawno z mnichów, piorunujących przeciw rozpuście otoczenia królewskiego.

Wdzięki niewieście nie sprawiały mu nigdy obrzydzenia. Bałamucił pospołu z królem, kogo i gdzie się tylko dało, tem chciwszy zwycięztwa, im większe przeszkody piętrzyły się między nim a upatrzoną ofiarą. Przystojny, bogaty, odważny, nie trudził się nigdy zbyt długo. Jak do Henryka, lgnęła i do niego płeć nadobna.

Ale miłość do czystej dziewczyny i kilka tygodni, spędzonych zdala od wrzawy dworu, w ciszy wiejskiej, na rozmyślaniu i samotnej modlitwie, odmieniły jego duszę. Co mu się wczoraj wydawało godziwem, o co się ubiegał, czem się chlubił, obrażało dziś jego poczucie obowiązku.

Cudzą żonę, która zdradzała męża, wdowę, która go sama wabiła, mógł rzucić, gdy mu się sprzykrzyła, narzeczonej jednak, ufającej mu szczerze, nie powinien się był sprzeniewierzyć...

Przybył tylko dlatego do hrabiny, aby jej oświadczyć, że postanowił zerwać ze swawolą młodości.

— Czy gniewasz się na mnie, Berti? — mówiła hrabina miękko, jakby go przepraszała, nachylając się jeszcze więcej do niego.—Byłam ci zawsze wierną, chociaż ty, niecnoto, szeptałeś już w ostatnich czasach po kątach z Wolfilą. Udawałam, że nie dostrzegam zdrady, przekonana, że jeszcze wrócisz do mnie, znudzony rychło bezbarwną urodą margrabiny.

Zarzuciła mu na szyję długie, z przodu otwarte, do sukni złotemi spinkami przyczepione rękawy, zbliżyła głowę tuż do jego głowy...

Bertolda owionął żar jej młodego ciała, palił go oddech świeżych, różowych ust...

On całował tę kobietę i pieścił, i kochał jeszcze temu trzy miesiące; lubił ją bardzo, a miałby ją ciężko obrazić? Bo doświadczony zdobywca serc niewieścich wiedział, iż nic nie rani tak boleśnie dumy kobiety, jak gdy mężczyzna odtrąca miłość, którą ona sama daje.

— Jeszcześ się po powrocie z domu nawet ze mną nie przywitał, Berti—kusiła go hrabina, ocierając się włosami o jego włosy.

Strumień gorącej krwi okrążył ciało Bertolda. Miał lat dwadzieścia pięć, a hrabina Adelajda z Wolfenburga mogła się podobać najwybredniejszemu znawcy piękności niewieściej.

Dawniej nie mąciła mu nigdy pamięć zaciągniętych zobowiązań rozkoszy chwili. Bez wyrzutów sumienia szedł od jednej kochanki do drugiej, bawiąc się wybornie scenami zazdrości. Zepsuty powodzeniem, przebiegły i wymowny, umiał zawsze przekonać tę, u której się właśnie znajdował, że ona jedna króluje w jego sercu.

Dziś męczyły go pieszczoty hrabiny. Pociągała go jej uroda, war, kipiący w jej żyłach, podniecał jego pożądliwość zmysłową, a przebudzone sumienie nie pozwalało mu korzystać z jej uległości.

Jak młodzieniaszek, opętany po raz pierwszy

przez miłość, nie śmiał podnieść oczu na hrabinę. Czuł, iż, gdy spojrzy w te źrenice gorejące, upije się, odurzy ich ogniem, i zapomni wreszcie o całym świecie.

A on nie miał prawa zdradzić Judyty, która modliła się za zbawienie jego duszy i narażała dla niego spokój własnego sumienia.

Nie patrząc więc na hrabinę, uwolnił się z jej objęć.

— Za wszystko dobre, wzięte od ciebie—rzekł—za zlocisty łańcuch, spleciony z godzin szczęśliwych, za twoją miłość i przyjaźń, dziękuję ci z całego serca, Adelajdo. Nie zapomnę ci nigdy, iż byłaś mi wierną towarzyszką i tkliwą pocieszycielką w chwilach smutku, iż dzieliłaś ze mną troski rządu, oddana rzeszy i królowi.

Z twarzy hrabiny spływał powoli płomień namiętności. Jej rozchylone usta, obiecujące rozkosz, zamknęły się, przybrawszy wyraz twardy.

— I ty nie wypędzaj mnie z pamięci — prosił Bertold—choćbym przestał być twoją własnością. Bo nasz stosunek musi się zmienić, Adelajdo. Z chwilą, gdy postanowiłem zaślubić Judytę z Hohenau, nie mogę cię już tak kochać, jak dawniej. Twoje dobre serce wytłómaczy mnie i nie odmówi mi dalszej przyjaźni.

Lecz namiętne serce hrabiny nie było dobre.

Uległa, oddana kochanka zmieniła się szybko w obrażoną kobietę. Z ciemnych oczu padały na Bertolda z pod zamkniętych brwi spojrzenia szyderskie.

— Mówisz, jak gdybyś się przygotowywał do odbycia pokuty, o którą się Rzym tak natarczywie dopomina—odezwała się głosem urągliwym.—Domyślam się, że skruszyły cię napomnienia jakiegoś nieumytego, brudnego mnicha, nie sądzę bowiem, abyś się w owej gąsce rozmiłował do tego stopnia, iżbyś chciał dla niej wzgardzić moją przyjaźnią. Gdybyś wiedział, jak śmiesznie wyglądasz z tą nagłą cnotą.

obrzydłbyś sobie sam. Nie bądź dzieckiem, Berti. Zanim król wymoże na Hildebrandzie lub innym biskupie rzymskim cofnięcie klątwy, upłynie w Renie jeszcze dużo wody, a tymczasem nie mamy żadnej potrzeby zmieniać naszego stosunku. Gdy się sobą znudzimy, będzie jeszcze dość czasu do pokuty.

— Nie żądaj odemnie występku przeciw miłości prawdziwej—mówił Bertold.

— Więc twoje uczucie dla mnie nie było prawdziwem?—zawołała hrabina.—Więc kłamałeś, przysięgając mi szczerą miłość?

— Nie utrudniaj mi rozstania — odpowiedział Bertold. — Inaczej kocha się cudzą żonę, a inaczej dziewczynę, która ma być dozgonną towarzyszką męża. Bądź kobietą, Adelajdo, i przebacz.

Sucho roześmiała się hrabina. Zerwawszy się z ławki, rzekła gwałtownie:

— Ty chcesz, abym ci przebaczyła, iż mnie, Adelajdę z Wolfenburga, o której miłość ubiegali się możniejsi od ciebie daremnie, rzucasz dla jakiejś nieznanej dziewczyny, wychowanej w górach szwabskich z chłopami i klechami wiejskimi? Ty żądasz...

— Zawdzięczam ci zbyt wiele chwil szczęśliwych—przerwał jej Bertold z wyrzutem—abym miał prawo odeprzeć obelgę obelgą. Gniew mój jest wobec twojego bezsilny. Mnie możesz znieważać i sponiewierać, lecz bądź wspaniałomyślną i oszczędzaj mojej narzeczonej.

— Obrażona duma kobiety nie oszczędzała nigdy współzawodniczki—wołała hrabina coraz głośniej, namiętniej — o czem powinieneś wiedzieć ty, który korzystałeś nieraz podle z zazdrości. Nietylko nie będę uwzględniała twojej młodej, ząbkującej dopiero cnoty, lecz oświadczam ci wprost, iż uczynię wszystko, aby pomścić wyrządzoną mi zniewagę. Ty wiesz, że umiem nienawidzieć.

Bertold stał zafrasowany. Czuł, że obraża śmiertelnie kobietę, która mu oddała swoją młodość. Nazwała go słusznie podłym, groziła słusznie zemstą. Jego położenie było bez wyjścia. Nie miał nawet prawa ostudzić groźbą jej zapalczywości. Mógł tylko prosić.

— Wierzyłem, iż rozejdziemy się bez obelg — mówił głosem stłumionym. — Przez pamięć na nasze wspólne szczęście...

— Nasze wspólne szczęście!—krzyknęła hrabina. — Jacyście wy głupi, wy, którym się zdaje, że znacie serce niewieście! Pamięć wspólnie doznanych rozkoszy miałaby złagodzić żal obrażonej kobiety? To oliwa, podniecająca ogień! Zejdź mi z oczu, zdrajco!

— Adelajdo...

— Precz ztąd!

— Wrócę, gdy czas złagodzi twój gniew sprawiedliwy.

— Nienawidzę cię!

— Nienawiść twoją zniosę cierpliwie, jako karę za grzechy młodości.

— Idź do klasztoru, obłudniku!

Żegnany szyderskim śmiechem hrabiny, uciekł Bertold z jej mieszkania. Biegł tak szybko przez ogród i dziedziniec, iż się za nim trabanci oglądali.

Zajmował on razem z Ulrykiem z Godesheimu po za obrębem murów zamkowych obszerny dworzec drewniany, pokryty słomą, jak znaczna część domów wormackich. Tu i owdzie tylko czerniły się wzdłuż ulic niebrukowanych dachy gontowe.

Na otwartym ganku zastał palatyna i biskupa spirskiego. Grali w kości.

Hrabia spojrzał uważnie na przyjaciela.

— Nie wydrapała ci oczu? — odezwał się, mieszając srebrne kości w złotym kubku. — I wąsy masz całe, i włosów ci nie braknie. Spisałeś się gracko.

Bertold, osunąwszy się na ławę, ocierał pot z czoła.

— Niech ją Hildebrand straszy co noc we śnie— rzekł — dwadzieścia razy stałem w gradzie włóczni i pocisków, a nie było mi nigdy tak ciepło, jak dziś. Zdrajcą mnie nazwała, podłym, obłudnikiem i wyrzuciła w końcu za drzwi.

— Tylko tyle? — zaśmiał się hrabia. — To mało. Powinna ci była oczy wydrapać, zęby wybić, nogi połamać, ażebyś przestał być niebezpiecznym dla niewiastek. Zarobiłbym na twojej porażce.

— I bez wydrapanych oczu odstępuję ci z przyjemnością wszystkie moje grzechy. Weź sobie Adelajdę, Wolfilę, Krimhildę i wszystkie inne panny, wdowy i mężatki. Adelajda znieważyła mnie dziś słusznie. Uprawialiśmy rzemiosło, niegodne mężów...

— Gdyby Hildebrand słyszał twoje brednie, zdjąłby z ciebie natychmiast klątwę. Nigdy nie wierzyłem, aby miłość mogła rozumnego chłopca zmienić w takiego barana. Nie gniewaj się, Berti, ale stałeś się, jako uczeń klasztorny, gruchający przez płot z dziesięcioletnią pasterką.

Hrabia, sięgnąwszy w zanadrze, podał Bertoldowi pergamin, związany niebieską wstążeczką.

— Domyślam się, że to wezwanie od Wolfili— rzekł. — Głupim szczęście zawsze sprzyja. Gdyby mnie kobiety tak wabiły, jak ciebie, pracowałbym uczciwie, w pocie czoła, na ich uznanie.

— Margrabina prosi mnie o schadzkę wieczorem w ogrodzie—odpowiedział Bertold, przeczytawszy pismo.

— Poznaję Wolfilę po wyborze miejsca i czasu—mówił hrabia. — Czuła margrabina lubi tajemniczość, blask księżyca, ciche szepty. Z tą nie będziesz miał tyle kłopotu, jak z Adelajdą. Przemów do niej tkliwie, a nietylko wyrzeknie się twojej marnej miłości, lecz rozciągnie nawet nad Judytą opiekę siostrzaną.

Hrabina z Wolfenburga stała po wyjściu Bertolda przez pewien czas na środku izby, nasłuchując

Nie po raz pierwszy zasypała go obelgami. Gwałtowna, unosząca się łatwo, uprzykrzała mu niejednokrotnie stosunek serdeczny scenami burzliwemi. Bardzo często wylatywał od niej Bertold z zamiarem stargania niewygodnych więzów. Ale wracał zawsze, kładł się pokornie do jej stóp, przepraszał.

Cała dusza hrabiny skupiła się w uchu.

— Wróci, nie wróci? — pytały wszystkie rysy jej twarzy, na której przebiegały drgania nerwowe.

W przedsionku jednak nie odzywał się upragniony szelest kroków męzkich.

Wówczas zwinęła hrabina ręce w pięści i zaczęła wyrzucać z siebie potok złorzeczeń namiętnych, urywanych, grożących:

— Zdrajca... nikczemnik... podły uwodziciel... ta czarna góralka... zmiażdżę ją... zdepczę... cnotliwa... ha, ha, ha...

Śmiech spazmatyczny, obrażonej dumy niewieściej wytrysk bolesny, szamotał się w izbie, jak spętany potwór.

— Dla tej prostaczki rzucił mnie... mnie?... ha, ha, ha...

Zanosząc się od śmiechu, czepiała się hrabina rękami sprzętów. Niemocny gniew złamał ją, jak ciężka choroba.

Na dębowym klęczniku stał krucyfiks. Przed nim, przed symbolem przebaczenia, uklękła porzucona kochanka i ukrywszy twarz w dłoniach, modliła się szeptem zdyszanym:

— Baranku Miłosierny, połam mu zęby i zmiażdż jego szczęki. Niech zniszczeje, jako woda, niech cierpi głód, jako psy trędowate. Niech jego praca nie przynosi żadnego owocu, zamiary będą płonne, a drogi samotne i puste; niech nie pozna nigdy ścieżki pokoju. Panie! Zniszcz jego owoce na ziemi, zdruzgocz je, rozprosz przez potęgę Swoją. Niech przepadnie! Niech będzie przeklęty na polu, prze-

klęty w domu, przeklęty na każdem miejscu. Niech jego oczy zaniewidzą, uszy ogłuchną, język straci smak, nos powonienie. Niech będzie wykreślony z księgi żyjących i wrzucony w ognie wieczyste... Spraw to, Panie!

Odetchnęła z głębi piersi. Dzika modlitwa ulżyła jej. Reszty dokonał strumień łez, najlepszy pocieszyciel serca niewieściego.

— Jeżeli ci się zdaje, chytry uwodzicielu—mówiła do siebie, podnosząc się z kolan — że ta sroka szwabska dochowa ci wiary, to znasz jeszcze za mało obyczaje dworskie.

Klasnęła w dłonie.

— Podaj mi kapę!—rozkazała służącej.

Zarzuciwszy na siebie płaszcz, udała się do pałacu.

Judycie, jako sierocie, zostającej pod bezpośrednią opieką tronu, wyznaczono mieszkanie przy boku samej królowej. Należała ona teraz aż do zamążpójścia do rodziny monarchy; by a jego dzieckiem przybranem.

Kiedy hrabina z Wolfenburga szla do niej z zamiarami podstępnemi, pasła ona oczy wieśniaczki obrazem, jakiego u siebie, w ponurym zamku górskim mieć nie mogła.

Królowa kazała dla niej otworzyć swoje skrzynie.

Dwie szatne poznosiły do jej komnaty całe stosy różnobarwnych jedwabiów hiszpańskich, materyi wschodnich, cienkich płócien angielskich, rękawiczek weneckich. Rozłożywszy przed nią skarby, radujące każde serce niewieście, czekały na wybór nowej damy dworu, którą król polecił bogaciej przyodziać, ażeby jej otoczenie dworskie nie lekceważyło.

Klęcząc na posadzce, oglądała Judyta rozpromienionym wzrokiem dziecka lśniące tkaniny, rozesłane dokoła niej. Co wybrać? To ładne, a to jeszcze piękniejsze...

BIBLIOTEKA

Wybór nie był wistocie łatwy, wszystkie bowiem słynne przędzalnie jedenastego stulecia złożyły się na skarbiec królowej. Jedwab z Achmardi mienił się świeżą zielonością łąki wiosennej. Czarne, złotolite baldekiny i belinary bagdadzkie wabiły poważnym wykwintem. Hiszpańska Almera dostarczyła jedwabiów żółtych, czerwonych i niebieskich; głośna jeszcze z czasów rzymskich, jako znakomita farbiarka, Aleksandrya, przysłała małżonce dziedzica imperatorów swoje materye purpurowe.

— Ciemnym włosom Waszej Szlachetności odpowiadałyby najlepiej jedwabie bagdackie i materye aleksandryjskie — radziła jedna z szatnych.—Kolory: czarny, żółty lub szkarłatny podniosą wasze młode wdzięki. I w białym byłoby wam dobrze.

— Jak możesz wolnej pani tak źle doradzać— odezwała się hrabina z Wolfenburga, która, wchodząc do komnaty, usłyszała uwagę szatnej.—Kto widział stroić dziewicę w barwy jaskrawe? Kolor blado-niebieski lub blado-różowy przystoi niewinności. Wybaczcie, piękna Judyto, iż przeszkadzam wam w zajęciu, miłem każdej kobiecie, ale królowa rozkazała mi, abym was otoczyła opieką życzliwą.

Podejrzliwie spojrzała na nią Judyta. Królowa nie mówiła jej nic o hrabinie z Wolfenburga, chociaż wymieniła jej kilka dam dworu, z któremi miała utrzymywać bliższe stosunki.

— Wszelakiej życzliwości należy się wdzięczność—odpowiedziała wymijająco.

A zwracając się do szatnych, rzekła:

— Zgadzam się na wasz wybór. Odnieście resztę do skarbca naszej pani.

Brwi hrabiny ściągnęły się nieznacznie. Radziła Judycie rozmyślnie kolory blade, sprzeciwiające się urodzie brunetek.

— Wina nie będzie po mojej stronie — mówiła z udaną obojętnością—jeśli was pan Bertold zgani za strój dziwaczny.

— Panu Bertoldowi będę się zawsze podobała, chociażbym...

Judyta zarumieniła się, nie kończąc słów nieostrożnych.

— Czy tak?—cedziła hrabina przez zęby.—Tak pewną jesteś miłości pana Bertolda?

Zawistnym wzrokiem przyglądała się Judycie, która pomagała szatnym zbierać materye, aby ukryć pomieszanie.

— Usiądźcie przy mnie — rzekła, kiedy sługi wyszły — i przyjmijcie od starszej przyjaciółki radę, która się wam na dworze królewskim bardzo przyda.

Z pewnem wahaniem zajęła Judyta na ławie miejsce obok hrabiny. Złe przeczucie ostrzegało ją przed tą piękną kobietą, która śledziła już dziś zrana, w komnacie królowej, każdy jej ruch spojrzeniem kłującem.

Hrabina nazwała się jej przyjaciółką. Zkąd ta łaska niespodziewana i nieproszona? Widziały się po raz pierwszy w życiu, nie miały z sobą dotąd żadnych wspólnych trosk i radości.

Nie ufając przyjaciółce, która się sama narzucała, postanowiła Judyta być ostrożną.

— Jesteście jeszcze tak młodą i niedoświadczoną—zaczęła Adelajda z Wolfenburga — iż nie możecie znać złości rodu męzkiego, stworzonego na nasze utrapienie. Każda z nas wierzy zrazu ich zaklęciom i przysięgom, oddaje im całe serce, aby się wkrótce przekonać, że myli się, kto stawia gmach szczęścia na kruchej podwalinie uczciwości męzkiej.

Westchnęła, podnosząc oczy do góry.

— Uczciwość męzka?—mówiła głosem cichym, z doskonale udanym żalem.—Srogo zawodzi się serce niewieście, które polega na tej uczciwości zmiennej, jak pogoda jesienna, zdradzieckiej, jak Ren w pobliżu skały Lurlei. Ani jednej godziny nie można jej być pewnym. Pierwsza lepsza nowa, świeża

twarz druzgocze najświętsze przysięgi. We łzach i umartwieniu zdobywamy tę smutną wiedzę życia, uczymy się gardzić zaklęciami mężów i płacić im zdradą za zdradę.

Judyta słuchała z niechęcią zamknięta w sobie, milcząca. Dlaczego skarży się przed nią hrabina, dokąd zmierzają jej dziwne przestrogi, nieprzekonywające serca dziewiczego? Cóż ją mogą obchodzić rozczarowania obcej kobiety? Ona ufała Bertoldowi.

Przysunąwszy się do Judyty, objęła ją hrabina ramieniem i przygarnęła do siebie.

— Żal mi waszej młodości, waszych złudzeń i czystych marzeń — ciągnęła dalej—i moje sny bowiem ozłacała kiedyś wiara w miłość dozgonną. Chciałabym wam oszczędzić serdecznego bólu, który was nie minie, jeśli związecie losy swoje z samolubstwem jednego człowieka. Tylko ta z nas zwycięża, która postępuje tak samo, jak oni. Aby przykuć do siebie zmienność męzką, trzeba ją drażnić, niepokoić zmiennością. Im więcej pożądliwości wzbudzicie dokoła siebie, tem wierniej, namiętniej będzie was kochał narzeczony lub małżonek.

Bystro spojrzała na Judytę, szukając w jej rysach wrażenia swojej nauki podstępnej. Powtórnie ścisnęła lekko brwi, twarz bowiem dziewczyny miała wyraz tak obojętny, iż nie zachęcała do dalszej poufałości.

Przygryzłszy usta, rzekła:

— Kilka tygodni przebytych na dworze powiedzą wam więcej, aniżeliby to moje współczucie dla waszej młodości zdołało uczynić. Za miesiąc podziękujecie mi za radę życzliwą. Tymczasem rozglądajcie się uważnie, a przedewszystkiem nie spuszczajcie oka z pana Bertolda...

Judyta, która słuchała dotąd cierpliwie, jakkolwiek bez przyjemności, podniosła się żywo z ławki. Imię Bertolda, wymówione przez hrabinę, w połączeniu z jej uwagami przypomniało jej przestrogę

króla. Zaczęła się domyślać zamiarów wrogich. Złe przeczucie stawało się ciałem, przybierało formy wyraźne.

Więc tego chciała Adelajda z Wolfenburga? Przyszła do niej, by zaszczepić w jej sercu jad podejrzliwości?

— Judyta z Hohenau nie ma potrzeby stać na straży swojej miłości—wyrzekła dumnie, mierząc hrabinę chłodnem spojrzeniem. — Kto mnie ukochał, ten dochowa mi wiary.

— Dziecko, dziecko — śmiała się hrabina obłudnie.—Przemawiasz, jak nasze pra-prababki z czasów króla Arbogasta. Świat się zmienił, a z nim obyczaje. Radzę ci otoczyć pana Bertolda zaufanemi sługami. Gorszy on...

Gwałtownie przerwała jej Judyta:

— Zabraniam wam, hrabino, wymieniać nazwiska pana Bertolda w mojej obecności!—zawołała.

Pomiędzy jej brwiamj ukazała się znów ta sama głęboka bruzda, która nie podobala się pustelnikowi w lesie hohenauskim.

Teraz podniosła się także z ławki Adelajda z Wolfenburga.

— Toś ty taka? — mówiły jej oczy zdziwione.

— Jeśli obraziłam waszą pierwszą miłość, odpuście mi – odezwała się głosem stłumionym, w którym drgała źle ukrywana nienawiść. — Nie dotknąć was chciałam, lecz ostrzedz. Przeprosicie mnie wkrótce za nieufność.

Pożegnawszy Judytę sztywnym ukłonem, wyszła wolno z komnaty.

Była tak wzburzona doznaną porażką, iż nie widziała nic, co się dokoła niej działo. Służba pałacowa, snująca się gęsto po kurytarzach, ustępowała jej z uszanowaniem z drogi, urzędnicy schylali się przed nią nizko. Ale ona, zajęta mściwemi myślami, nie dostrzegała nikogo.

Dopiero głośne pozdrowienie jednego z podkomorzych wróciło jej przytomność.

— Jak dobrze, że was spotykam — odezwała się.—Jesteście mi właśnie bardzo potrzebni.

Przed nią stał młodzieniec dwudziestoletni, który pachniał cały, jak świeżo rozkwitła róża. Ubrany w zielone jedwabne suknie, niósł w ręku duży bukiet.

— Poproszę ojca Lamberta z Hersfeldu—mówił, kłaniając się dworsko — aby zapisał wasze słowa w swojej kronice, dla mnie bowiem mają one większą wartość od bitwy wygranej. Hrabina Adelajda potrzebuje Burcharda z Rekingen? Cóż się stało? Czy zaraza sprzątnęła nagle wszystkich młodych doradców korony?

Nie podziękowawszy nawet zdawkowym uśmiechem uprzejmemu dworzaninowi, rzekła hrabina:

— Jeśli macie trochę czasu, zechciejcie być moim gościem.

— Ale może jesteście na służbie?—dodała, wskazując oczami bukiety.

— Chciałem złożyć wistocie daninę na ołtarzu boga miłości—odpowiedział podkomorzy — wasza jednak łaskawość zmienia moje zamiary.

Znalazłszy się u siebie, upadła hrabina ciężko na krzesło. Gwałtowna scena z Bertoldem i zawód, jaki ją spotkał u Judyty, zmęczyły ją. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwała.

— Jaką cenę ma dla was moja miłość, panie Burhardzie?—spytała, przypatrując się podkomorzemu przez zamrużone powieki.

— Wasza miłość?—zawołał Burchard z Rekingen.—Wskażcie mi zamek, który mam zdobyć, smoka, którego mam pokonać, wroga, którego trzeba nadziać na kopię. Zamek zburzę, smoka rozszarpię, wroga przedziurawię.

Rzucił się na kolana przed hrabiną.

— Rozkazujcie swojemu niewolnikowi — mówił

z zapałem. Od trzech miesięcy ściga mnie wasz obraz z uporem wyrzutów sumienia. Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie widzę was: kogokolwiek całuję, zawsze wystawiam sobie, że wy mnie pieścicie. Już niejednokrotnie chciałem wam powiedzieć, jak gorąco was miłuję, lecz wstrzymywała mnie obawa przed waszym gniewem. Gdzie król i jego przyjaciele stają do współzawodnictwa, tam trudno pożywić się zwykłemu podkomorzemu. Korona mogłaby się już raz otoczyć starymi dziadami, aby nam, młodym, łaknącym miłości, jej doradcy nie zawadzali. Ona wyglądałaby poważniej, a nam byłoby z tem wygodniej.

Z pobłażliwym uśmiechem wytrawnej zalotnicy słuchała hrabina oświadczyn młodzieńca.

— Więc mogę liczyć na waszą pomoc? — odezwała się, pochylając się nad podkomorzym.

— Życie moje należy do was...

— Takiej ofiary nie żądam od was. Proszę was tylko, abyście zbałamucili szesnastoletnią, niedoświadczoną dziewczynę.

Zdumiony spojrzał na nią podkomorzy.

— Dwadzieścia, trzydzieści, sto — obiecywał— jeśli mnie po tej nudnej pracy czeka nagroda z rąk waszych. Bo nudnem zajęciem jest gruchanie z niewypierzonemi jeszcze gąskami.

— Tylko jedną—mówiła hrabina, zbliżając się coraz więcej do podkomorzego.

— Wymieńcie jej nazwisko.

— Judytę z Hohenau.

— Narzeczoną pana Bertolda?

— Roboty trudnej od was nie wymagam. Ta dziewczynka nie ma wyobrażenia o naszem życiu. Taką najłatwiej zbałamucić.

Innego jednak zdania był Burchard z Rekingen, bo odrzekł głosem zawiedzionym:

— Wolałbym, żebyście mi kazali zamordować stu rabusiów. Wielki łowczy nie lubi żartów, a król

miłuje go, jak brata. Mógłbym się przejechać na stryczku lub kole do Królestwa Niebieskiego, czego sobie wcale nie życzę. Śmierć z bronią w ręku nie zatrważa rycerza, ale szubienicę wymyśliło piekło. Nie do hańby rodzą się mężowie miecza.

— Zamek chcieliście dla mnie zdobyć, smoka pokonać, każdego wroga nadziać na kopię, a lękacie się zemsty pana Bertolda? — mówiła hrabina. — Jesteście, jak wszyscy. Usta wasze przelewają się obietnicami, a w sercu gnieździ się kłamstwo. Nie dla tchórzów kwitnie miłość Adelajdy z Wolfenburga!

— Hrabino!

Podkomorzy nie miał siły podnieść się z kolan. Jak Bertolda, obezwładniła i jego uroda pięknej kobiety. Twarz hrabiny była tak blizko jego twarzy, iż wdychał jej oddech gorący. Jak Bertold, drżał i on na całem ciele.

— Żaden z panów z Rekingen nie rzucił tarczy na polu bitwy i nie zbladł w obliczu śmierci — odrzekł—ale żaden też nie zginął z ręki kata. Wy wiecie, że król nie zna miłosierdzia dla tych, co gwałcą prawo.

— Któż mówi o gwałceniu prawa?—przekonywała go hrabina.—Gwałci-ż prawo, kto stara się pozyskać serce kobiety?

— Współzawodnictwo z panem Bertoldem byłoby trudem daremnym.

— Tak mało ufacie swojej młodości? Skoro wasza uroda wzbudziła we mnie uczucia gorętsze, to dlaczego nie miałaby podbić serca dziewczyny, wychowanej wśród gór i lasów? — mówiła hrabina, drażniąc próżność męzką podkomorzego.

— Prawdaż to?—zawołał pan Burchard, ująwszy ręce hrabiny.—Czy mogę się łudzić rozkoszną nadzieją waszej miłości?

Adelajda, nie usuwając swoich białych dłoni z rąk młodzieńca, nachyliła się do niego tak blizko, iż dotykała prawie czołem jego czoła.

— Wynagrodzę was hojnie za posłuszeństwo— szeptała. — Nie wiele żądam. Postarajcie się tylko o to, aby Judyta z Hohenau wyznaczyła wam pod jakimkolwiek pozorem schadzkę, o której ja będę wiedziała. Nie potrzebujecie obrażać ani jej uczuć narzeczonej, ani czci niewieściej. Za taką zwykłą na dworze zabawkę nie postawi was nikt przed sądem.

Kusiła podkomorzego wzrokiem, uśmiechem, uściskiem rąk. On płonął cały jak w gorączce.

— Domyślam się, iż mam być narzędziem waszej zemsty—odezwał się, wahając się jeszcze.

— Tylko niewinnej igraszki.

— Czy mogę ufać waszemu słowu?

— Jesteście rycerzem, a obrażacie kobietę nieufnością? Nie opierajcie się. Czeka was słodka nagroda.

Hrabina wysunęła usta, jak do pocałunku.

Podkomorzy chciał ją przyciągnąć do siebie, ale ona podniosła się szybko.

— Bez pracy nie ma zapłaty — rzekła, roześmiawszy się nieszczerze.

— Mały zadatek dodałby mi odwagi — błagał podkmorzy.

— Wam, rycerzom, nie wolno obrażać kobiety nieufnością, nam jednakże, słabym niewiastom, służy prawo nie wierzyć waszym zaklęciom.

— O, ta słabość niewieścia! — mówił Burchard z Rekingen.—Przygniata nas ona więcej od najgroźniejszej siły męzkiej.

Wtem odezwały się w ogrodzie głosy rogów. Służba stolnika wzywała dworzan do pałacu, na obiad.

— Natychmiast po schadzce z Judytą z Hohenau otrzymacie sowitą nagrodę—obiecywała hrabina—ale sprawcie się zręcznie.

Kiedy podkomorzy opuścił jej mieszkanie—rzekła do siebie półgłosem:

— Zadatku chciał, głupiec... Nie dla takich gi-

lów, jak ty, ma Adelajda z Wolfenburga pocałunki. Po Bertoldzie z Meersburga Burchard z Rekingen? Nawet mieszczki wormackie śmiałyby się ze mnie.

Starodawnym zwyczajem siadał Henryk IV-ty do stołu z całym swoim dworem. Po obiedzie, gdy był w Wormacyi, lub Goslarze, grywał zwykle w kości z przyjaciołmi, najczęściej z biskupem spirskim, albo z Ulrykiem z Godesheimu. Dziś jednakże nie zaprosił nikogo do drażniącej zabawy. Umywszy ręce w wodzie różanej, udał się z arcybiskupem Limarem do swoich komnat.

Na dworze zapadł tymczasem wczesny wieczór jesienny.

Cicho szedł w ogrodzie lekki wiatr nad wierzchołkami drzew, strząsając na ziemię liście pożółkłe. Na ciemnem niebie mrugały już tu i owdzie pierwsze gwiazdy.

Gdy się księżyc wysunął z lasów, które otaczały Wormacyę kołem szerokiem, zaludnił się ogród tajemniczemi postaciami. Przytulone do siebie, okryte długiemi płaszczami, ukazywały się w szpalerach i znikały pary szepczące.

Pod bokiem króla, uwielbiającego płeć piękną, święcił bożek miłości tryumfy nieustanne.

Już pławił się cały ogród w srebrnej fali miesiąca, kiedy furta skrzypnęła, pchnięta ręką niecierpliwą. Zakapturzony mąż biegł szybko główną ulicą, zmierzając ku otwartemu miejscu, gdzie na ławie kamiennej siedziała kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach.

Mąż odrzucił płaszcz i zgiął kolano. Bertold klęczał przed margrabiną Wolfilą.

Dłuższą chwilę milczeli oboje, potem zaczął Bertold głosem cichym:

— Nie będę się starał opleść twego serca siecią kłamstwa, albowiem najchytrzejsze słowa nie zmyłyby z mojej duszy grzechu, jakim zgrzeszyłem wobec

ciebie, Wolfilo. Moja wina, moja wina, moja wina największa. Wolno ci mną pogardzać, nazwać obłudnikiem, niegodnym uwodzicielem...

Wstał, czekając na odpowiedź. Odpowiedziały mu tylko łzy margrabiny, ściekające po jej palcach.

Nie byłby ich dostrzegł, gdyby nie tłumione łkanie, które wstrząsało piersią zdradzonej kobiety.

Dotknąwszy ustami kraju sukni margrabiny, mówił Bertold z prośbą serdeczną:

— Jeśli możesz mi przebaczyć, przebacz, jeżeli zaś słuszny żal podmawia cię do zemsty, mścij się, lecz tylko na mnie. Ona, Judyta, niech nie płaci rozpaczą niewinnej duszy za nasz grzech wspólny. Bo grzeszyliśmy razem, Wolfilo, niepomni świętych przysiąg, które cię łączą z małżonkiem prawowitym. Oślepiła nas namiętność, pchnęła na manowce młodość nierozważna.

Odjął łagodnie jej ręce od twarzy i spojrzał w jej duże, niebieskie, zapłakane oczy.

— Mógłbym ci powiedzieć, iż będę cię kochał mimo narzeczeństwa, a ty uwierzyłabyś; mógłbym cię łudzić dalej, iż rozwód starga twoje pęta, a ty podałabyś chętne ucho kłamliwym obietnicom. Kochać nie mogę cię tak, jakbyś tego pragnęła, postanowiłem bowiem dochować wiary Judycie, o rozwód zaś staralibyśmy się daremnie. Wszakże odmówiono go samemu królowi. Mnichy nie chcą, by to, co oni związali na ziemi, mogło być rozwiązane. Szczególnie względem nas, przyjaciół Henryka, są surowi, nieubłagani. Twoje dobre serce zasługuje na szczerość. Powiedziałem ci prawdę, a teraz osądź mnie i ukarz.

Księżyc oświetlał bladą twarz margrabiny, na której nie było zawziętości i groźby. Bez gniewu spoczywały jej oczy na Bertoldzie.

— Za ufność, jaką pokładałam w twoich zaklęciach, poisz mnie goryczą, Berti — odezwała się z cichym wyrzutem.

Na jej rzęsach drżały łzy.

Te niemocne łzy niewieście padały na serce Bertolda, jak krople stopionego żelaza. Bolały go, upokorzały więcej, niż obelgi hrabiny z Wolfenburga.

— Chociażbym chciał naprawić wyrządzoną ci krzywdę, jestem bezsilny wobec twoich obowiązków małżeńskich—mówił. — Margrabiemu odebrać cię nie mogę, a grzeszyć dalej nie chcę. W moich lasach i górach ojczystych, na samotnym zamku przodków, co przyświecali swoim drużynom nietylko męztwem, lecz także cnotą, zstąpił na mnie duch Boży. Pragnę żyć odtąd w zgodzie z prawością, abym mógł każdej chwili bez obawy przed ogniami piekielnemi oddać życie za króla i świętą wiarę katolicką.

— Zbyt wiele łez przepełnia jeszcze moje serce obrażone, by ci ono mogło przebaczyć — rzekła margrabina — ale trujący kwiat zemsty nie znalazłby w niem nigdy miejsca. Za cóż miałabym się mścić? Powiedziałeś słusznie, iż grzeszyliśmy razem. Wina spada w połowie i na mnie, bez mojego bowiem przyzwolenia nie ośmieliłbyś się do mnie zbliżyć. Rozejdźmy się w pokoju. Ty szanuj miłość narzeczonej, ja zaś będę się starała zapomnieć, iż śniłam o szczęściu...

Nagle łkanie przerwało jej dalsze słowa. Ukrywszy znów twarz w dłoniach, połykała łzy gorzkie.

— Wolfilo!...

Daremnie przypominał sobie Bertold wszystko, co mówił kobietom kiedykolwiek w chwilach podobnych. Nie przychodziło mu nic takiego na myśl, coby było godne szlachetnej uległości margrabiny. Gdyby go była złajała, sponiewierała, jak Adelajda z Wolfenburga, gdyby mu była groziła zemstą, byłby się z nią rozszedł bez troski o jej złość, wiedział bowiem z doświadczenia, iż najgwałtowniejsze kochanki pocieszały się zwykle najprędzej.

Ale cichy płacz margrabiny odjął mu przyto-

mność uwodziciela. Jego męzka bezwzględność zawstydziła się przed dobrocią niewieścią.

Pochyliwszy się do stóp margrabiny, całował je z pokorą.

— Oddałbym wszystkie moje zaszczyty i godności, gdybym mógł cofnąć to, co się stało—mówił szczerze, z głębi skruszonego serca.—Lecz wolno mi tylko żałować i prosić o przebaczenie.

Dwie zimne ręce dotknęły jego czoła.

— Idź w pokoju, Berti—wyszeptały usta margrabiny.—Będę szukała pociechy w spełnianiu przykrych obowiązków.

Zwir ulicy zgrzytnął pod czyjemiś trzewikami. Ktoś zbliżał się do miejsca, w którem Bertold klęczał przed margrabiną.

Szybko zarzucili oboje na siebie płaszcze z kapturami i cofnęli się za drzewo.

Z głównego szpaleru wysunęła się postać, lśniąca w blasku księżyca, jak puchar kryształowy. Chodziły po niej błękitnawe światełka, tryskające z drogich kamieni. Złoty krzyż mitry książęcej błyszczał nad głową pochyloną.

— Król!—wyrzekł Bertold półgłosem. — I jego przestała bawić swawola młodości.

Henryk IV szedł krokiem wolnym, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Od czasu do czasu przystawał, rozmawiał z sobą i posuwał się dalej.

Świat zazdrościł mu najjaśniejszej korony chrześciaństwa.

Jego wola rozkazywała całej środkowej Europie, od brzegów morza Północnego począwszy, aż do południowych granic Lombardyi, od Rodanu aż do Cisy. Książęta czescy i wendyjscy, królowie polscy, duńscy i węgierscy uznawali w nim świecką głowę ludów katolickich, wielcy książęta ruscy poddawali swoje spory domowe jego sądowi.

Najjaśniejsza korona chrześciaństwa, dziedzictwo imperatorów rzymskich, spoczywała na głowie mło-

dej, pięknej, rozumnej. Rzadko kiedy złączył los w jednej osobie tyle warunków do szczęścia doczesnego. Zdawałoby się, iż życzliwe wróżki złożyły w kołysce Henryka IV wszystko, co ziemia dać może swoim najukochańszym wybrańcom.

Tak sądzili zawistni panowie rzeszy niemieckiej, tak sądził on sam w wieku chłopięcym.

Ale dziś miał on już po za sobą doświadczenie dziesięcioletnich, samodzielnych rządów, dziś wiedział, iż wielka potęga równą się wielkiej trosce.

W piętnastym roku życia usamowolniono go, w szesnastym przykuto węzłami dozgonnemi do kobiety, której nie kochał; w dziewiętnastym odmówił mu sejm moguncki na żądanie legata rzymskiego, kardynała Damianiego, rozwodu; w dwudziestym wypowiedziała mu Saksonia posłuszeństwo; w dwudziestym trzecim pastwili się nad nim zbuntowani wassalowie, w chwili, gdy, złożony śmiertelną chorobą i pozbawiony wojska, nie mógł się bronić; w dwudziestym piątym huczała dokoła niego burza rokoszu i groziła mu Stolica Apostolska piorunami św. Piotra.

Kiedy jego rówieśnicy, ubodzy, słabi, nieznani, otwierali dopiero ramiona do rozkoszy lat wiosennych, on, król królów, najpotężniejszy z potężnych, najbogatszy z bogatych wychylił już do samego dna czarę rozczarowań ludzkich.

Z najjaśniejszej korony chrześciaństwa nie bił blask tak słoneczny, jak wierzyli ci, co patrzyli na nią zdaleka. Przyćmiewały ją zewsząd czarne, ciężkie chmury, brzemienne błyskawicami.

Niepewną stopą człowieka, pogrążonego w myślach, błądził Henryk IV po ulicach ogrodu, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Dopiero, kiedy się potknął o kamień, podniósł głowę i spojrzał przed siebie.

Miesiąc stał właśnie nad zamkiem, otoczony srebrzystemi obłoczkami. Jego blask chłodny oświe-

tlił zmęczoną, smutną twarz króla, który był, podług mniemania milionów chrześcian, wcieleniem ostatniego wyrazu siły monarszej.

Gorzki uśmiech przylgnął do ust króla.

On wiedział najlepiej, że to mniemanie należało do krainy złudzeń. Każdy możniejszy rycerz rządził samowładnie swoimi poddanymi, a on, najwyższy senior rzeszy, nie był nigdy pewnym swoich rozkazów.

Stary porządek, ustanowiony przez Karola Wielkiego, polegający na uczciwości i obowiązkowości wassalów, rozpadał się, jak zużyta suknia. Stargała go odwieczna niesforność rasy germańskiej, niechętna wszelkiej władzy jednolitej. Urzędnicy korony zachowywali się już za Henryka III, jak udzielni książęta, pełniąc służbę wojskową tylko wtedy, gdy im król płacił hojnie za powinność, lub gdy się obawiali ręki karzącej.

W tych czasach samowoli i gwałtu były biskupstwa i opactwa jedyną, niezawodzącą nigdy podporą rządu, bezżenni bowiem prałaci, nie posiadając rodziny, którejby chcieli zapewnić następstwo swoich godności, nie mieli powodu do buntów. Wziąwszy z rąk króla rozległe dobra kościelne, zależni od niego, dochowywali mu wiernie przysięgi wassalów, posłuszni na każde skinienie korony. Ich drużyny szły zawsze pod sztandarem naczelnego wodza rzeszy, ich skarbce otwierały się bez szemrania, gdy tron potrzebował pieniędzy na wyprawy wojenne. Bez ich pomocy stałaby się najwyższa zwierzchność w państwach średniowiecznych, nie znających stałych wojsk i stałych podatków, skazanych na łaskę i niełaskę panów świeckich, pustym dźwiękiem.

A jeżeli się wiadomości, przywiezione przez Ulryka z Godesheimu zgadzały z prawdą, to godził Grzegorz VII właśnie w ową jedyną, niezawodzącą nigdy podporę rządu królewskiego. Gdyby mu się

udało odjąć koronie prawo inwestytury, zgasiłby jej blask, pozbawiłby ją wszelkiej siły.

Bystry umysł Henryka IV ogarnął odrazu skutki synodu lutowego. Widział on dumne dzieło Franków zdruzgotane, widział zniweczony plon wysiłków długiego szeregu znakomitych monarchów — wojnę domową widział i rozbity gmach rzeszy niemieckiej i rozdarte na dwoje łono świata katolickiego.

Bo na odjęcie koronie prawa inwestytury nie może się zgodzić żaden król, stróż jedności państwa i powagi tronu.

I on będzie się musiał oprzeć rozporządzeniom Stolicy Apostolskiej, a wówczas wyzyskają Sasi jego nieposłuszeństwo względem papieża na swoją korzyść, podburzą przeciwko niemu wszystkich, dla których potęga korony stała się niewygodną, i rzucą pochodnię wojny domowej w kraje niemieckie. W pożarze, co ogarnie świat katolicki, spłonie dzieło Franków.

Henryk IV, obdarzony dalekim wzrokiem, widział to wszystko i dlatego żarła jego wnętrzności troska okrutna.

Posiadał on, jak jego ojciec, wysokie poczucie swojej królewskości. Wierzył, iż sam Bóg postawił go na czele milionów poddanych, aby im był sędzią i wodzem. Urodzony na tronie, uważał koronę za swoją własność odziedziczoną, której powinien bronić aż do ostatniego tchnienia. Nad sobą nie uznawał w sprawach świeckich nikogo i nie pozwalał nikomu, nawet najbliższym przyjaciołom, dotykać tego, co nazywał swojem prawem.

Ale monarcha, przekonany głęboko o swojem posłannictwie, wziął po przodkach, po cesarzach św. państwa rzymskiego, obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem kościoła.

Urząd wójta świata katolickiego trzymał na wodzy gwałtowność Henryka. Chociaż Grzegorz VII

nie oszczędzał od lat dwóch bynajmniej jego dumy królewskiej, zarzucając go tak ostremi napomnieniami, na jakie się dotąd jeszcze żaden papież nie odważył, mimo to powściągał on zapalczywość swoich przyjaciół i biskupów lombardzkich, którzy podżegali go do unieważnienia wyboru Hildebranda, posadzonego przeciw zwyczajowi na Stolicy Apostolskiej bez zasięgnięcia rady wójta Kościoła. Nietylko znosił cierpliwie przykre listy, lecz ukorzył się nawet na prośbę matki, cesarzowej Agnieszki, przed Grzegorzem VII, wysłał do niego pismo, pełne uległości synowskiej, i poddał się w Norymberdze publicznej pokucie w obecności jego legatów.

Równie zręczny, jak odważny, potrafił dotąd utrzymać przyjazne stosunki z Rzymem wbrew usiłowaniom przyjaciół i nieprzyjaciół, którzy robili wszystko, by go popchnąć do czynu gwałtownego. Przebieglejszy od swoich doradców, wymijał pułapki, stawiane mu przez wrogów korony, odkładając ostateczne porozumienie się ze Stolicą Piotrową do osobistego spotkania z Grzegorzem.

W tę jego misterną przędzę, splecioną z obietnic, wybiegów, z udanej pokory i szczerej wiary, wpadły nagle wiadomości, przywiezione przez Ulryka z Godesheimu, jak wicher niespodziewany, i porwały ją na strzępy.

Jeśli Grzegorz VII nie zechce zaczekać na wjazd króla rzymskiego do Rzymu i ogłosi przed jego przybyciem postanowienie synodu lutowego, wówczas nie cofnie już najchytrzejsza przezorność burzy, zbierającej się od kilku lat nad tronem niemieckim. Tłumiona nienawiść korony do tyary buchnie wysokim płomieniem i obleje świat katolicki krwawą łuną.

Henryk IV wyciągnął ręce do nieba.

— Berła nie oddam dobrowolnie nikomu—szeptał przez zaciśnięte zęby—choćbym miał skąpać koronę w morzu krwi...

I znów przebiegały po jego obliczu błyskawice gniewu, jak w sali rycerskiej, kiedy hrabia Ulryk przeraził doradców króla wiadomością o postanowieniach synodu lutowego.

Twarz jego miała w tej chwili wyraz srogości.

XII.

Noc ciemna, bez gwiazd i księżyca, rozłożyła się nad obszerną równiną, ciągnącą się od królewskiej osady Sondershausen aż do turyngskiej wioski Spira.

W noc taką śpią zwykle pola i drogi, spowite w ciszę, niezmąconą żadnym głosem ludzkim. Kogo nagła potrzeba nie wypędziła z domu, z wygodnego schroniska, ten spoczywa pod dachem bezpiecznym.

Ale równina sonderhauska nie spała.

Unosił się nad nią szmer wielkiego mnóstwa oddychających piersi, zmieszany z rżeniem koni i brzękiem oręża. W czerwonem świetle licznych ognisk rysowały się namioty i migotały żelezce kopij, ustawionych w kozły.

Dwa wojska stały znów naprzeciw siebie, dysząc nienawiścią. Północną część równiny, bliżej Sondershausen, zajmowali Sasi, południową Frankowie.

Król Henryk przybył rozprawić się ostatecznie z rokoszanami, zdeptać ich, upokorzyć, złamać ich opór. Wyszedłszy dwudziestego drugiego października z miejsca zbornego, z Gerstungen, zatrzymał się trzeciego dnia pod wieczór pomiędzy Ebrą a Spirą.

Jutro zewrą się odwieczni wrogowie, jeśli się Sasi nie zdadzą na łaskę i niełaskę korony.

W obozie saskim, w samym środku, stał duży czworoboczny namiot z grubego płótna. Szkarłatna

chorągiew naczelnego wodza powiewała na jego szczycie.

Przed tym namiotem paliło się ognisko, a przy ognisku siedzieli ci sami dwaj mężowie, którzy knuli w czerwcu w lasach merzeburskich spisek przeciw koronie niemieckiej. Wojewoda Otton z Nordheimu spoczywał na krześle polowem z głową ukrytą w dłoniach, biskup Buko halbersztadzki spoglądał w płomień, wyrzucając z siebie słowa urywane:

— Żeby go zmora zdławiła... żeby zczezł... tyran... zbój... rozpustnik... żeby się jutro pioruny całego nieba zebrały nad jego łbem upartym... Zmądrzał smarkacz... nie wierzy naszym zaklęciom...

Biskup cisnął z gniewem w ogień spory kawał drzewa. Iskry rozprysły się na wszystkie strony, obsypując wojewodę.

Otton z Nordheimu odjął ręce od twarzy. Był blady. Troska sfałdowała jego czoło.

— Waiblingowie nie byli nigdy głupi—odezwał się — a mądra głowa dojrzewą szybko w trudnem położeniu. Niepotrzebnie gorszyliście się wesołą młodością Henryka. Zajęty winem, miłością i polowaniem, byłby zostawił ster rządu w naszych rękach. Ale wy, panowie duchowni, podburzaliście przeciw nlemu dopóty wszystkich świętoszków rzeszy, aż się pomiarkował i stał mężem przezornym. Teraz za późno. Teraz poczuł się Henryk królem i odda nam sowicie wszystko złe, cośmy mu wyrządzili.

— Zdawało się nam, iż podkopując w ten sposób powagę korony, wzmocnimy własne mitry — rzekł biskup Buko. — Któż mógł się spodziewać, że się ten szalony młokos opamięta? Kąpał się przecież w rozpuście, jak gdyby się chciał w niej utopić. Temu lat dwa opuścili go już lekarze. Kiedy leżał w Ladenburgu, pokonany przez chorobę, był podobny do wyschłego szkieletu. Nie dawałem mu trzech dni.

— A teraz kwitnie znów i prowadzi sam w pole wassalów korony. Tak mało znacie Waiblingów? Zdrowie dębów mają mężowie i niewiasty tego domu, a upór kozłów. Za wiele zresztą mówiliście o rozpuście Henryka. Cóż w tem tak bardzo dziwnego, że młody, ładny król lubi kobiety? I nieboszczyk pan casarz uśmiechał się do każdej świeżej buzi, a mimo to był władcą potężnym.

— Rychło w czas bronicie tego tyrana—odparł biskup. — Gotowiście jeszcze powtórzyć zarzut jego sługusów, iż my, opiekunowie małoletniego króla, jesteśmy sprawcami jego gwałtów.

— Przyłożywszy rękę do serca, przyznacie, że dbaliśmy bardzo mało o wychowanie króla i o dobro korony, swoje tylko korzyści mając na względzie.

— Cóż nam do korony? — zawołał biskup namiętnie.—Każdy książę, duchowny, czy świecki, powinien być panem samowładnym u siebie. Mamy dosyć nadzoru królów.

— Henryk sądzi inaczej—wyrzekł Otton z Nordheimu.

Zamilkli.

Na pierwszą wiadomość o nowej wyprawie króla przeciw Sasom wezwali kraj do obrony. Naród jednak, przerażony pogromem nad Unstrutą, odmówił zbuntowanym możnowładcom pospolitego ruszenia. Znakomita większość rycerstwa i wolnych kmieci nie chciała próbować po raz drugi niepewnego szczęścia wojny. Niech się książęta biją sami z królem—odpowiadano wszędzie posłom naczelników rokoszu.

Więc wyszli w pole tylko książęta sascy, uzbroili się tylko ci, którzy pracowali usilnie na gniew zwierzchnika rzeszy. Może się wassalowie korony nie stawią w porze właściwej—spodziewali się, albo może uda się pokłócić przyjaciół króla przed chwilą stanowczą. Bywało tak przecież niejednokrotnie.

Lecz wassalowie korony nie zawiedli tym razem seniora. Arcybiskupi, biskupi i opaci przyprowadzili sami swoich ludzi do Gerstungen. Garbaty Godfryd wsadził całą Niższą Lotaryngię na koń i dostarczył królowi tylu mieczów, iż on jeden dałby radę saskim wielmożom.

Wojsko Henryka wzmocniła jeszcze ludność miast i siół frankońskich. Kupcy, rzemieślnicy i kmiecie — każdy, kto mógł, dźwignąć broń, śpieszył do Gerstungen, by pomódz królowi do zdeptania nieprzejednanych wrogów panującego plemienia.

Z rozwiniętemi chorągwiami, przy dźwiękach muzyki, posuwał się różnobarwny, lśniący tłum przez Turyngię ku granicom saskim z taką ochotą, jak gdyby szedł na igrzyska turniejowe.

A obóz zbuntowanyah możnowładców zalegała cisza głębokiego smutku. Rokoszanie wiedzieli, iż nie ujdą tym razem kary. Albo zginą, albo ukorzą się przed koroną, która nie miała wcale powodu być dla nich laskawą.

Pośrednicy, wybrani przez rokoszan, nie zdołali wyprosić u króla przebaczenia. Niech się występni wassalowie zdadzą na łaskę i niełaskę korony!—odpowiedział im Henryk. Prośby, obietnice poprawy, odwoływania się do wspaniałomyślności tronu, nie odniosły żadnego skutku. Syn i wnuk znakomitych monarchów, pouczony doświadczeniem, stał się nieubłaganym.

Jeszcze raz udali się arcybiskupi: Limar bremeński, Zygfryd moguncki, Gebhard salcburski, biskupi: Embricho augsburski, Adalbero wyrcburski i wojewoda lotaryński, Godfryd, pod sam wieczór do Ebry, do króla, aby go nakłonić do złagodzenia kary.

Na nich to czekali Otton z Nordheimu i biskup Buko, niecierpliwiąc się zwłoką.

Biskup spoglądał to w ogień, to w niebo, to na wojewodę. Trawił go niepokój wewnętrzny.

On głównie nie mógł liczyć na pobłażliwość króla, robił bowiem wszystko, aby zasłużyć na jego nienawiść. Podburzał innych prałatów Saksonii do nieposłuszeństwa, pisywał tajne listy do Rzymu, lekceważył urzędników Korony. Gwałtowny, burzliwy, sprawniejszy na koniu z oszczepem, lub mieczem w garści, niż w kościele, przy ołtarzu, najeżdżał zamki i miasta królewskie [1]).

— Ukorzcie się przed tą łasicą frankońską, jeśli wam wolność obrzydła—odezwał się po dłuższem milczeniu.—Ja się nie poddam.

— W takim razie radzę wam opuścić natychmiast obóz — rzekł Otton z Nordheimu — i ruszyć, gdzie was oczy poniosą. Jutro może być za późno.

— Żebyście mnie ogłosili zdrajcą, odstępcą?— odparł biskup.—Radzicie nieszczerze, wojewodo.

— Na polu bitwy ustaje wszelka rada, gdy braknie mieczów do pokonania przeciwnika. Moglibyśmy opuścić plac przed rozprawą orężną, toby się jednak na nic nie zdało, Henryk bowiem pójdzie za nami i zdepcze nas w naszych własnych gniazdach. Poznaję w nim po uporze Waiblinga. Jeżeli wytrwa na drodze, na którą od roku wstąpił, będzie kiedyś tak znakomitym władcą, jak jego ojciec.

— Przestańcie raz z temi pochwałami—zawołał biskup ze złością.—Gotówem pomyśleć, że was...

— Nic takiego nie pomyślicie, coby uwłaczało mojej czci rycerskiej — przerwał mu wojewoda spokojnie — bo wiecie nie od dziś, iż nie oszczędzam siebie w sporze z Henrykiem. Z tego jednak nie wynika, bym miał być ślepy na jego zalety! Gniewa was stanowczość króla? A wy nie żądacie od swoich wassalów posłuszeństwa?

— To co innego! Jestem panem w swojej dyecezyi.

---

[1]) Zginął później w burdzie ulicznej, zabity halabardą.

— A król jest panem nad nami, jeżeli potrafi swoje prawa poprzeć siłą i rozumem.

— Żeby ten pies frankoński nie doczekał rana— warknął biskup.

I znów zamilkli, nasłuchując.

Nad obozem unosił się ciągle jednostajny szmer wielkiego mnóstwa oddychających piersi, zmieszany z cichem rżeniem koni. Drużyny panów spały bez troski o wypadki dnia jutrzejszego. Nie na nich gniewała się korona.

Tylko przed namiotami książąt ruszały się cienie ludzkich postaci.

Wszyscy rokoszanie czuwali, czekając na ostateczną odpowiedź króla.

— Już północ niedaleka — odezwał się biskup Buko, przeciągając się. — Niepewność połamała mi kości. Wolałbym powierzyć rozstrzygnięcie sporu mieczowi.

— Gdyby szło tylko o mnie i o was — odpowiedział wojewoda — nie wahałbym się ani chwili. Milsza jest śmierć z bronią w ręku, niż życie w pohańbieniu. Ale wodzowie nie mają prawa wieść na rzeź tych, co złożyli swoje losy w ich ręce. Dla spokoju Saksonii musimy przyjąć tym razem warunki Henryka.

Nagle podniósł się z krzesła, wysunął się kilka kroków naprzód, przykląkł i przyłożył ucho do ziemi.

— Jadą!—rzekł, wracając do ogniska.

Biskup spojrzał ku południowi. Zrazu nie było nic widać. Po pewnym jednak czasie zamajaczyły na czarnem tle nocy dwa szeregi światełek, które posuwały się równomiernie w stronę obozu.

— Jadą—potwierdził biskup.

I obudziwszy swojego komornika, drzemiącego pod ścianą namiotu, rozkazał:

— Poślij natychmiast giermków do książąt. Każ zapalić beczki ze smołą i wszystkie pochodnie!

Światełka zbliżyły się tymczasem do łańcucha

widet. Groźnie rozległy się w ciszy nocnej nawoływania strażników.

— Kto tam?—pytano.

— Poselstwo!—odpowiadał głos ostry, przywykły snać do rozkazywania.

— Garbusek jedzie z biskupami—zauważył Otton z Nordheimu.—To dobrze. Przenoszę jego zdrową radę nad wszystkie lamenty prałatów.

Na placu przed namiotem zrobiło się tak widno, że można było odróżnić dokładnie każdą twarz ludzką. Z dziesięciu beczek, napełnionych smołą, wysnuwały się szerokie, ogniste języki, rzucające dokoła blask czerwony. Sto pochodni, zatkniętych w ziemię, paliło się żółtym płomieniem.

Zewsząd wysnuwały się z ciemności postacie olbrzymie, otulone płaszczami, podbitemi gronostajem, sobolem lub bobrem. W migotliwem świetle pochodni błysnęły złote krzyże, złote łańcuchy, złote ostrogi i głowice mieczów.

Starodawnym zwyczajem germańskim utworzyli możnowładcy sascy koło. Tak radzili ich przodkowie jeszcze w czasach pogańskich.

Nikt nie odezwał się, nie pytał, dlaczego go wezwano. W ponurem pogrążeni milczeniu, czekali rokoszanie na odpowiedź króla.

W środek tej milczącej gromadki wstąpiło sześciu posłów, których prowadził mąż, zeszpecony garbem. Śmiesznie wyglądał przy jego boku ogromny miecz niemiecki, sięgający mu prawie do brody.

Gdy odrzucił szkarłatny kaptur, obramowany gronostajem, ukazała się duża, w ramiona wsunięta głowa, porosła czarnym, gęstym włosem. Ciemne, bystre oczy świeciły pod czołem wyniosłem.

Chuderlawa postać nie wywołała nawet na ustach młodszych panów saskich uśmiechu pogardliwego, bo ten niepozorny kaleka władał mieczem lepiej od niejednego olbrzyma, a rozkazywał groźniej od samego króla.

Żelazną ręką trzymał Godfryd lotaryński swoje województwo, straszny dla nieposłusznych, łaskawy dla zasłużonych. On jeden z książąt niemieckich był istotnym rządcą dzielnicy, powierzonej jego opiece. Gdy on rozesłał wici po Niższej Lotaryngii, nie śmiał żaden rycerz wymówić się chorobą lub ważnemi sprawami, wiedział bowiem, że po ukończonej potrzebie czeka go nieubłagany sąd wojewody.

Wszedłszy na krzesło, które mu Otton z Nordheimu podsunął, podniósł Godfryd rękę na znak, że chce mówić.

Wsparci na mieczach, wlepili w niego możnowładcy sascy oczy, rozgorączkowane oczekiwaniem.

— Szlachetni panowie narodu saskiego! — zaczął Godfryd. — Dowiecie się jutro od innych książąt rzeszy, iż nie szczędziliśmy słów gorących, by wyprosić dla was u korony łagodniejsze warunki poddania. Pan król, przychylając się do naszych próśb, nie odda was w ręce swoich palatynów, lecz, gdy się zdacie bez oporu na jego łaskę i niełaskę...

— Nie chcemy jego łaski! — przerwał mu biskup Buko.

— Gdy się zdacie bez oporu na jego łaskę i niełaskę—powtórzył Godfryd głośniej, nie zwracając uwagi na biskupa—postawi was na najbliższym wiecu przed sądem książąt.

Obrzucił badawczem spojrzeniem koło mężów. Starsi panowie spuścili oczy w ziemię, młodsi szeptali pomiędzy sobą.

— Nie takiego skutku waszego pośrednictwa spodziewaliśmy się — odezwał się biskup Buko. — Jeżeli nie przynosicie lepszej nowiny, trudziliście się niepotrzebnie. Niech Bóg i miecz rozstrzygną nasz spór z Henrykiem.

W kole zawrzało, jak w kotle. Ciche klątwy, niezrozumiałe słowa, tłumione wykrzykniki przelatywały z ust do ust.

Biskup Buko biegał od męża do męża, przekonywał, podburzał, zachęcał do oporu.

Słychać było, jak wołał: hańba temu, kto się podda!

Młodsi panowie podzielali snać jego zapał wojowniczy, z pośród nich bowiem padło pod stopy Godfryda kilka srebrnych rękawic.

— Zanieście tę odpowiedź Henrykowi — krzyknął Buko.

Ale garbusek nie schylił się po znaki wojny. Na jego suchej, ostro zarysowanej twarzy, oświetlonej blaskiem pochodni, błądził uśmiech szyderski.

Kiedy się wrzawa uciszyła mówił dalej głosem spokojnym:

— Nie sama tylko ślepa waleczność zdobi męża rycerskiego. Miecz bez rozwagi jest głupiem, okrutnem narzędziem, które morduje bezmyślnie, jak zwierze drapieżne. Chcecie wojny? Owszem. Na to przybyliśmy z królem, by poprzeć jego prawa siłą. Nie dla zabawki uzbroiła się Frankonia i Lotaryngia. Ale jaki dla was pożytek z rozprawy orężnej? Hufce wasze są tak szczupłe, iż zgnieciemy was tarczami. Nawet najmłodsi z pomiędzy was nie mogą się łudzić nadzieją zwycięztwa. Jeżeli się jutro zewrzemy, nie wróci z was nikt do domu, pod dach ojczysty, a jeżeli opuścicie nocą pole, pójdziemy za wami, zamieniając całą Saksonię w perzynę. Sam naród, przerażony zemstą korony, odda was w nasze ręce, a wówczas sądzić was będą palatynowie króla podług prawa salickiego.

Zatrzymał się chwilę, potem zawołał:

— Czy wiecie, jak prawo salickie karze obrazę majestatu i zdradę rzeszy? Winnych tego występku rozrywają nasamprzód konie, potem wiesza ich kat, ścina, ćwiartuje i pali w końcu ich wnętrzności, aby nie został na ziemi nawet ślad ich zbrodni.

Mówiąc to, spoglądał wojewoda z pod brwi ściągniętych groźnie na biskupa halberstadzkiego.

Buko odwrócił głowę, nie mogąc znieść jego przenikliwego spojrzenia.

— Minęły czasy, kiedy królowie oddawali książąt w ręce kata—bąknął pod nosem.

W kole zaległa cisza.

Co im Godfryd mówił, powiedzieli sobie panowie sascy sto razy w przeciągu ostatnich trzech dni. Żaden z nich nie liczył na zwycięztwo, lecz wielu przenosiło śmierć nad upokorzenie.

A Godfryd ciągnął dalej:

— Czasy władzy królewskiej nie minęły dotąd i nie miną dopóty, dopóki zbrodnia i zuchwalstwo będą wichrzyły na ziemi. Bez głowy domu niema rodziny, bez starosty sioła, bez wójta miasta, bez wojewody województwa, a bez króla państwa. Nawet zwierzęta, żyjące gromadami, wybierają i uznają zwierzchnika. A wy, rodzeni synowie rzeszy, podpory tronu, z którym łączy was przysięga wassalów, pracujecie od lat wielu jedynie nad tem, aby zburzyć tron, strzaskać koronę, rozbić ciało rzeszy i oddać nas na pastwę sąsiadów, zazdroszczących nam prastarej, krwią przodków zarobionej sławy. Już odczuwa nasza powaga skutki waszych ciągłych buntów. Książę Bolenów, Bolesław, zwany Śmiałym, korzystając z trudnego położenia zwierzchnika św. państwa rzymskiego, odmówił nam hołdu i włożył na głowę koronę królewską[1]). Zachęcony jego przykładem, domaga się i książę czeski samodzielności. Jeżeli wasza niezgoda będzie osłabiała dalej siłę Henryka, wypowiedzą nam wkrótce posłuszeństwo najsłabsi lennicy i staniemy się jako nędzarze, z których się nawet dzieci naigrawają.

Ostatnie słowa wyrzekł Godfryd głosem podniesionym.

Potomek dawnych królów lombardzkich, sam

---

[1]) Bolenami nazywają kronikarze niemieccy XI wieku Polaków.

wielki wojownik i twardy władca, wielbiciel porządku i karności, sądził on, iż przekona Sasów, drażniąc w nich dumę niemiecką.

Leez odwieczni wrogowie Franków, rozmiłowani w swobodzie bez żadnego hamulca, nie podzielali jego poglądów. Karność wydawała się im niewolą, porządek przykrem wędzidłem, które należy z siebie zrzucić, gdy się nadarzy do tego sposobność. Cóż ich mogła obchodzić sława rzeszy? Droższą nad blask korony niemieckiej była im wolność, nieskrępowana żadną władzą. Cywilizacya rzymska nie nagięła ich hardych karków. Jeżeli ulegali kiedykolwiek, to tylko przemocy.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił Godfryd:

— Mówicie ciągle o sporze z królem? O jakim sporze? Król żąda od was posłuszeństwa, do czego ma prawo, jako wasz senior, któremu przysięgliście wierność, a wy nie chcecie się poddać jego woli. Skarżyliście się, iż król zbudował w waszym kraju zamki obronne, iż postawił nad wami swoich urzędników. Jakże chcecie, aby senior rządził bez własnych zamków i bez urzędników?

— A wy zburzyliście zamki królewskie i znieważyliście pełnomocników korony. Nie spór tu widzę, lecz występek, zasługujący na karę surową.

— Nie po to, abyście nas obrażali, prosiliśmy was o pośrednictwo—wtrącił biskup Buko.

— A wy nie nosicie na piersiach dlatego krzyża, znaku łagodnego baranka, abyście podburzali chrześcian do walki bratobójczej — odpowiedział mu Godfryd.—Wstydźcie się, Buko.

— Wstyd swój poniosę sam do grobu — krzyknął Buko—a wam zasię do niego.

— Nie krzyczcie, wiecie bowiem, iż się waszego krzyku nie zlęknę. Jaka szkoda, że się dyecezya halberstadzka nie znajduje w mojem województwie. Nauczyłbym was szanować prawo i pilnować oltarza.

— Zobaczylibyśmy, ktoby kogo rozumu nauczył—wołał Buko, doskakując do Godfryda.

— Nie wy mnie, klecho...

— Ani wy mnie, garbusie...

Godfryd położył rękę na głowicy miecza.

— Trzy kroki odemnie — wrzasnął—jeśli wam łeb golony miły. W imieniu króla mówię, nieposłuszny wassalu.

— Drwię sobie z was i waszego króla! – wołał Buko.

Szybko nadbiegł Otton z Nordheimu i odciągnął biskupa od wojewody, który się trząsł na całem ciele.

Kiedy się Godfryd uspokoił, mówił jeszcze:

— Nie słuchajcie tego warchoła, szlachetni panowie, który zawdzięcza stolicę halbersztadzką nie świątobliwości lub uczoności, lecz tylko wpływom swojego wuja, arcybiskupa Anna. Mnie słuchajcie, ojcowie narodu saskiego, albowiem pragnę waszego szczęścia i sławy korony niemieckiej. Postępowanie wasze zasłużyło na sąd palatynów, ale pan król, uproszony przezemnie i przez pobożnego arcybiskupa Limara, nie chce korzystać z praw, jakie mu przysługują. Obraziliście śmiertelnie majestat korony, o czem wiecie równie dobrze, jak ja. Przebłagajcie koronę pokorą, a pan Henryk przywróci was wkrótce do swojej łaski królewskiej, co nam wybranym przez was pośrednikom, uroczyście ślubował. Bądźcie rozważni, szlachetni panowie! Innego wyjścia niema dla was. Opuszczeni przez naród, odtrąceni przez książąt rzeszy, zginiecie haniebną śmiercią buntowników. Wasz upór stałby sie powodem takiej rzezi, jakiej Saksonia nie pamięta od czasów Karola Wielkiego. Wybierajcie!

Rzekłszy to, zeszedł Godfryd z krzesła.

— Nic wierzcie Henrykowi—wołał Buko.– On kłamał zawsze, lis przebiegły. Gdy będzie nas miał w ręku, zapomni o obietnicach. Nie znacie go?

Jedyny Otton z Nordheimu nie brał udziału w cichych naradach towarzyszów. Kiedy poseł mówił, stał na uboczu z głową spuszczoną, z rękami, skrzyżowanemi na piersiach, i słuchał uważnie. On jeden z panów saskich, równie znakomity wojownik i władca, jak Godfryd lotaryński, ocierający się o dwór królewski od lat najmłodszych, rozumiał znaczenie karności i porządku, i bolał nad skutkami wewnętrznych rozterek rzeszy. Zaślepiła go w pierwszej chwili obrażona duma, później jednak żałował nierozważnego kroku, lecz, wszedłszy raz na drogę jawnego buntu, nie mógł się cofnąć. Szybko po sobie idące wypadki oddalały go coraz więcej od tronu.

Do niego przystąpił Godfryd i rzekł półgłosem:

— Nie namyślajcie się, Ottonie. Od was głównie zależy położyć koniec tej niezgodzie, która osłabia rzeszę. Bądźcie księciem niemieckim, stary przyjacielu.

— Gdyby Henrykowi można wierzyć — mówił Otton. — Jego przebiegłość zrywa zwykle umowy, kiedy ich nie potrzebuje.

— Wy to nauczyliście go tej przebiegłości. Oplątany siecią waszych spisków, bronił się bronią słabych. Za zdradę płacił zdradą. Ale zaufajcie mu szczerze, a jego serce królewskie zapomni dawnych uraz.

— Czy jesteście pewni tego, co obiecujecie?

— Waszemu życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo i lenna koronne wrócą do was po pewnym czasie. Ręczę wam za to. Nie o zemstę osobistą idzie Henrykowi, lecz tylko o blask korony. Wy, którzy bylibyście sami wielkim monarchą, gdyby się tak Bogu było podobało, powinniście szanować dbałość króla o powagę tronu.

Jeszcze się Otton z Nordheimu namyślał, kiedy nagle, dokoła jego namiotu, zahuczała wrzawa niespodziewana.

— Zdajcie się na łaskę króla! Na rzeź nie pójdziemy! — wołało kilkaset głosów męzkich.

Zdumieni obejrzeli się panowie sascy.

Zajęci swoją troską, nie zauważyli, iż nie on tylko sami wysłuchali odpowiedzi króla.

Rycerze, strzegący namiotu wodza, widzieli posłów. Bliżsi pobudzili dalszych, jedni podawali wiadomości drugim. Kiedy Godfryd wzywał rokoszan do posłuszeństwa, otaczał miejsce rady tłum uzbrojony, kłębiący się w ciemnościach nocy.

Teraz zbliżyły się pierwsze szeregi do samego koła. Blask pochodni i płonącej smoły oświetlił olbrzymie, dzikie postacie, które ścisnęły książąt groźną obręczą.

Przez kilka chwil spoglądali panowie sascy bezradnie po sobie. Ich właśni wassalowie i słudzy zbuntowali się... Położenie ich było straszliwe...

Po krótkim jednak namyśle skoczyło kilku młodszych w tłum z obnażonym brzeszczotem.

— Zdrajcy, tchórze, zasłużyliście na szubienicę! — krzyczał biskup Buko. — Jutro rozprawimy się z wami.

Tłum nie bronił się, lecz nie ustępował.

— Na rzeź nie pójdziemy! — wołał, potrząsając mieczami.

— Nie pójdziemy! — rozlewało się coraz szerzej, aż cały rozbudzony obóz zahuczał burzą okrzyków:

— Nie pójdziemy! Zdajcie się na łaskę króla!

Jak potężna groźba z innych światów, waliła się ta wrzawa, nadpływająca z ciemności, z czeluści zakrytych na możnowładców saskich. Ich było kilkunastu, a dokoła nich szalały tysiące.

Nawet najodważniejsi załamali ręce.

Panowie świeccy opuścili miecze, prałaci padli na kolana i modlili się głośno z płaczem i westchnieniami.

Wtem skoczył Otton z Nordheimu na krzesło i podniósł miecz do góry.

— Wódz chce mówić! — odezwali się najbliżsi

Kiedy się dokoła namiotu uciszyło, zawołał wojewoda:

— Na rzeź was nie poprowadzimy! Wrócicie wszyscy do domu, do niewiast i dzieci!

Obietnica szanowanego powszechnie wojewody podziała uśmierzająco na wzburzone umysły. W pobliżu miejsca rady umilkły wrogie krzyki.

Ale tam, gdzie głos Ottona nie sięgał, wzmagał się łoskot z każdą chwilą. Już było słychać szczęk oręża, toczący się z szumem wezbranej fali morskiej ku środkowi obozu.

— Jutro po wschodzie słońca obwieszczą wam heroldowie postanowienie książąt — mówił Otton. — A teraz rozejdźcie się w pokoju, abyśmy mogli błagać Boga bez przeszkody o radę zbawienną. Ufajcie wodzom! A wy — zwrócił się do książąt — wnijdźcie w siebie i rozważcie w sumieniu ojców narodu odpowiedź króla. Zanim gwiazda dzienna ozłoci wschodni skraj nieba, zwołam was na radę ostatnią.

Skłoniwszy się posłom Henryka, udał się z biskupem halbersztadzkim do namiotu.

Tu usiadł przy stole, na którym paliły się świece woskowe, i przysunął biskupowi zwój pergaminów, mówiąc:

— Kończcie list do Hildebranda, bo nie wiadomo, co nas jutro czeka. Trzeba wysłać jeszcze w nocy gońca do Merzeburga, jeśli wasze pismo ma dojść do Rzymu. Godziny naszej wolności są mierzone.

— Wy chcecie się naprawdę poddać? — pytał Buko.

— Czy słyszycie? — odpowiedział Otton.

O fale namiotu biła jeszcze fala wrzawy zbuntowanego rycerstwa.

— Żeby tych tchórzów ziemia pochłonęła, żeby ich wstyd pożarł i strawił jak trucizna, żeby oczy ich nie oglądały nigdy ognisk rodzinnych — przekli-

nał Buko. — Na to przelaliśmy tyle krwi, aby pomnożyć tryumf tyrana! O, o, o...

Targał na sobie suknie, biegając po namiocie.

— Uspokójcie się, Buko — pocieszał go Otton. — Mąż rozważny poddaje się konieczności, lecz myśli o odwecie. Tryumfy naszych królów nie bywają długie. Za miesiąc może się Henryk poróżnić z Godfrydem, a wówczas przyjdzie kolej na nas. Tymczasem należy sobie zapewnić jak najwięcej sprzymierzeńców. Napiszcie Hildebrandowi, że Saksonia odda swój miecz na jego usługi, jeżeli nas jego powaga zasłoni przed zemstą Henryka. Lepszy zawsze pan daleki, niż blizki.

— Szkoda wysiłku mojego mózgu — mówił Buko. — Gdy nas Henryk zdepcze, nie pomoże nam nic powaga Stolicy Piotrowej. Hildebrand zresztą korzy się tak samo, jak wszyscy, przed powodzeniem. Wszakże przysłał po klęsce nad Unstrutą królowi błogosławieństwo Apostolskie i nazwał nas w swoim liście buntownikami, których pychę Bóg słusznie złamał i pohańbił.

— Nie zaszkodzi nigdy, gdy nam papież będzie sprzyjał, bo nie wiadomo, jak się stosunki za kilka miesięcy ułożą. Napiszcie Hildebrandowi, że Saksonia pragnie być najwierniejszą służebnicą Stolicy Apostolskiej, że bronić będzie zawsze jej powagi przed dumą książąt rzeszy. Hildebrand jest bardzo czuły na zapewnienia wiernopoddańcze i marzy o wyniesieniu Rzymu ponad wszystkie trony świata chrześciańskiego. Nie szczędźcie słów uległych i słodkich.

Kiedy się Buko jeszcze wahał, nalegał Otton:

— Piszcie, Buko. Noc uchodzi, a gdy słońce wzejdzie, skończy się nasza wolność.

Westchnąwszy ciężko, wziął biskup pióro do ręki.

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

XIII.

Przerażona ludność turyngska była nazajutrz świadkiem smutnego widowiska.

Na obszernej równinie pomiędzy Ebrą a Spirą [1]) ustawiło się długim szpalerem wojsko królewskie. W pierwszych szeregach, po obu stronach, mieniły się w promieniach słońca srebrne napierśniki bogatszego rycerstwa, wyglądające z pod jedwabnych płaszczów, dalsze zajmowali ubożsi rycerze, wolni kmiecie, mieszczanie, pacholkowie.

Las kopii, ozdobionych różnobarwnemi wstęgami, sterczał nad hełmami wojowników; tu i owdzie powiewały chorągwie okręgowe i wojewódzkie.

Na samym końcu szpaleru zasiadł na krześle Henryk IV-ty w ornacie monarszym, w koronie na głowie, z berłem w ręku. Obok niego, z prawej i lewej strony, błyszczały złote krzyże biskupów i złocone zbroje członków rządu i książąt. Stary Dytrych, wojewoda Wyższej Lotaryngii, stał obok garbatego Godfryda, którego boku trzymał się smukły młodzieniaszek, jego siostrzeniec i przybrany syn, Godfryd z Bouillonu, przyszły naczelnik pierwszej krucyaty i król Jerozolimy.

Tłum prałatów, wolnych panów i hrabiów okręgu otaczał krzesło królewskie.

Po ciemnej nocy nastąpił jeden z owych pogodnych dni jesiennych, które przypominają zwiędły uśmiech ukojonej starości. Słońce stało wprawdzie jeszcze wysoko na niebie, ale jego chłodne promienie nie paliły już, nie wnikały do ziemi, budząc do życia ukryte w niej siły. Lekki wietrzyk szedł bezustannie nad pustemi polami, nad pożółkłemi łąkami,

---

[1]) *Spirą*, także *Spier* albo *Spirąchą*, jak miejscowość tę nazywają kronikarze XI w., sioło turyngskie, nie ma nic wspólnego z miastem frankońskiem *Spirą* (pisownia łacińska i polska) *Speyer*.

to słabszy, to mocniejszy. Od czasu do czasu zajęczał przeciągle, a wówczas drżały pobladłe trawki i uschłe liście rozpierzchały się na wszystkie strony z suchym szelestem. Ostatnie motyle, spóźnieni tułacze, zrywały się przestraszone z resztek kwiatów, kołując w powietrzu, jak pijane.

Wędrowne ptactwo odleciało już na południe. Głucho było w lasach i nad strumieniami. Na grudach i kępkach przysiadły wrony, osowiałe, milczące.

Przyroda uśmiechała się jeszcze lazurem nieba, jasnością dnia, lecz był to już uśmiech starości.

Smutek jesieni nie udzielił się wojsku królewskiemu. Wszystkie oczy, panów i sług, możnych i ubogich, świeciły szczerą radością.

Co kto wziął z sobą najlepszego w drogę, to włożył na siebie, ustroił się, jak na wesele. Bo dzień dzisiejszy był istotnie dla narodu frankońskiego uroczystością niezwykłą. Bez wydobycia miecza, bez rozlania jednej kropli krwi rzuciło dumne plemię Franków swoich odwiecznych wrogów pod stopy króla. Wystarczało, że przyszło, aby zwyciężyło..,

Furkotały proporce, muskane wiatrem, kołysały się na hełmach pióra i skrzydła ptasie, szeleściły płaszcze, lśniły w słońcu puklerze i zbroje, falowały łagodną linią chorągwie. Jak daleko najbystrzejsze oko sięgało, błyszczały napierśniki, a pod każdym z nich biło serce szczęśliwe. Najuboższy kmieć cieszył się tryumfem Henryka.

Wtem, już się południe zbliżało, zagrały na północnym końcu szpaleru rogi. Tysiące głów zwróciło się w stronę dźwięków, cichy szmer przeszedł nad szeregami. Potem nastała cisza oczekiwania.

W szczerem polu ukazała się nasamprzód ciemna bryła, która toczyła się wolno, ociężale ku wojsku królewskiemu. Bryła ta rosła w miarę, jak się zbliżała, przybierając kształty wyraźniejsze.

To szło pieszo bez kopii i sztandarów wielkie mnóstwo ludzi, ustawionych w szeregi. Z przodu,

po bokach i z tyłu obejmowali ich ramą żelazną zbrojni jeźdzcy.

Kiedy się czoło owej gromady zrównało ze szpalerem, podniósł się okrzyk radosny:

— Niech żyje Henryk!

I wszystkie miecze zadzwoniły o miecze, wszystkie tarcze uderzyły o tarcze; pochyliły się kopie i chorągwie.

— Niech żyje król! Hańba zdrajcom!

Wśród tej wrzawy okrutnej posuwali się możnowładcy i rycerze sascy boso, z odkrytą głową, bez zbroi i broni. Przodem szli naczelnicy rokoszan: arcybiskup magdeburski Wecel, jego siostrzenica, biskup Buko i Otton z Nordheimu; dalej wojewoda Saksonii, Magnus, ze swoim stryjem, hrabią Hermanem i z uczonym palatynem, Fryderykiem z Gosecku. I hrabia Dytrych z Kadalenburga szedł, i hrabia turyngski, Wojciech i Rydiger, Sizzo, Berenger i Bern. Za panami wlekli się długim sznurem rycerze i garstka wolnych kmieci, która wyszła z książętami w pole. Prowadzili ich trabanci królewscy pod dowództwem Bertolda.

Z prawej i lewej strony sypała się na upokorzonych Sasów ulewa tryumfujących okrzyków, szyderskich śmiechów, obelżywych przezwisk i bezlitośnych przekleństw.

Oni, jeszcze temu kilka dni tak potężni, tak pewni siebie, iż odważyli się stawić zbrojny opór koronie, szli z głowami pochylonemi, złamani hańbą. Wstyd i niemocny gniew pożerały ich wnętrzności, wyciskały im łzy z oczu, wyrywały z ich piersi jęki zdławione. Ciche łkania zwyciężonych tonęły w radosnej wrzawie zwycięzców.

A ten, który zmusił rokoszan do tak sromotnego hołdu, król Henryk, przywoływał na pomoc całą siłę woli, aby zachować powagę monarszą, aby nie złączyć swojego okrzyku z głośnem weselem wojska.

I na niego spadł ten tryumf nagle. Postano-

wiwszy raz skończyć z buntem saskim, przygotował się na zaciętą, krwawą rozprawę. Chciał prowadzić sam Franków w bój najgorętszy. Albo zginie, albo przywróci koronie blask dawny...

A rokoszanie położyli się bez walki do jego stóp, zdając się na jego łaskę i nielaskę, jak żądał.

Nareszcie...

Po wielu latach trosk, niepewnych dni, bezsennych nocy, będzie mógł odetchnąć swobodnie i zająć się wewnętrznem uporządkowaniem rzeszy. Któż ośmieliłby się odtąd znieważyć jego majestat groźbą, nieposłuszeństwem? Nikt! Najpotężniejsi wrogowie korony zbliżali się do niego pokorni, ulegli, zdeptani.

Drżał w nim każdy nerw, każda myśl wołała: zwycięztwo! Miał ochotę śmiać się, płakać, ściskać i całować swoich przyjaciół, godność jednak królewska nie pozwalała mu objawić radości głosem i ruchami.

Podniósłszy głowę, siedział na krześle ze spokojem posągu. Tylko z rozpromienionych oczu buchał jasny płomień szczęścia.

Już widział możnowładców saskich dokładnie.

Wysoka postać Ottona z Nordheimu wydawała się o połowę niższą. Ciężkie duże ciało Buka skurczyło się, jakby je długi post wysuszył.

Do tych dwóch panów miał król żal najgłębszy. Pierwszy z nich rozniecił pożar buntu, drugi rozsiał po rzeszy wszystkie plotki, jakie o nim krążyły.

Stanęli przed nim, padli na kolana, dotykając czołem ziemi.

W gromadzie Sasów rozległ się głośny płacz. Tylko naczelnicy rokoszu milczeli. Wiatr rozwiał ich włosy, kurz pokrył ich suknie.

Długo pasł Henryk oczy obrazem okrutnym.

Tyle go ci ludzie namęczyli, naoczerniali, iż nie mógł czuć dla nich nic, okrom nienawiści.

Sześć lat miał, kiedy Sasi godzili już na jego dni dziecięce. Jedynie wypadek ocalił go z zasadzki w której miał zginąć śmiercią skrytobójczą.

Pięć lat później porwał go Otton z Nordheimu razem z arcybiskupem kolońskim, Annem, w jasny dzień matce i uwiózł Renem pod pozorem, że go cesarzowa wdowa źle wychowuje, a właściwie dlatego, aby rządzić w jego imieniu. Przerażony chłopiec rzucił się z okrętu do rzeki, lecz wojewoda wydobył go z wody i strzegł odtąd pilnie każdego jego kroku. Wożono go następnie po rzeszy, sadzano na tronie jak lalkę złocistą, wciskano w rękę pióro i kazano podpisywać darowizny i nominacye na godności koronne.

Król-dziecko kładł swoje nazwisko pod dokumenty, których nie rozumiał, doszedłszy jednak do pełnoletności, przypomniał sobie zasadzkę, gwałt zadany jego osobie, wyłudzone beneficya i zaczął rządy od tego, iż wypędził ze dworu nieproszonych opiekunów.

Obrażeni możnowładcy ogłosili go tyranem i usiłowali wytrącić z jego rąk niewygodne dla nich berło.

Osaczony, jak dzik w kniei, nie miał Henryk przez szereg lat ani jednego dnia spokojnego Ciągle na koniu, pod namiotem, pędzony z miasta do miasta, wiódł smutne życie banity, ściganego przez prawo. Pewnego dnia zaskoczyli go Sasi niespodziewanie w zamku Herzburg i byliby go wzięli do niewoli, gdyby nie był uciekł nocą, manowcami leśnemi, ocalony przez wiernego strzelca. A kiedy, wyniszczony trudami wojny i piętrzącemi się przeciwnościami, zaniemógł śmiertelnie, wówczas rzucili się na niego zbuntowani wassalowie, jak na zwierzę konające.

— Teraz nam nie ujdzie!—weselono się.

Uszedł — wyzdrowiał — podniósł się z łoża silniejszy, rozumniejszy. Długa choroba wyssała z niego lekkomyślność młodości, dając mu wzamian rozwagę gorzkiego doświadczenia. Wesoły król-dziecko stał się przebiegłym królem-mężem.

Poprzednio gwałtowny, ulegający pierwszym wrażeniom, zaczął się teraz namyślać nad każdym czynem. Nauczył się zjednywać sobie przyjaciół obietnicami, lennami, pieniędzmi, uśmiechać się uprzejmie, kiedy nawalnica gniewu wstrząsała całą jego istotą, głaskać tych, których potrzebował. Przydawszy do odwagi przezorność, doszedł nareszcie do celu.

Oto klęczeli przed nim w prochu, w hańbie, w bólu, w niemej rozpaczy, ci, co mu zatruli młode lata, nie oszczędziwszy mu żadnej przykrości. Nie było tej zbrodni, o którąby go nie posądzili. Skrytobójcą go nazwali, wiarołomcą, bezbożnym heretykiem, pijakiem, graczem, najwyuzdańszym rozpustnikiem rzeszy. Na jego życie godzili, rozłączyli go z matką, znieważyli jego godność królewską.

Nienawidził ich z całej duszy i całą duszą radował się ich upokorzeniem. Najchętniej byłby ich zmiótł, starł jednem uderzeniem miecza, aby mu nie zawadzali. Tak byłby postąpił dawniej, przed chorobą, dziś jednakże, sposobiąc się do nowej walki, pasł tylko oczy ich nędzą.

Rokoszanie, chociaż żaden z nich nie śmiał podnieść oczu na króla, czuli na sobie jego wzrok palący. I jeszcze niżej pochylały się ich harde karki ku ziemi, jakby się chcieli w nią wcisnąć, aby pochłonęła ich wstyd.

Okrzyki radosne wojska umilkły tymczasem. Wielka uroczysta cisza zaległa pole.

Serca Sasów biły głośno, trwoga zbieliła ich twarze. Byli w ręku króla, zdali się bez zastrzeżeń na jego łaskę... Jakkolwiek obiecał nie tykać ich głów, mógł je wziąć. Miał do tego prawo. Jedno słowo z jego ust, a krwawe ich zwłoki zadrgają na piasku...

Henryk pasował się z sobą.

Tylko jego najbliżsi przyjaciele domyślili się, iż rozum walczy w nim z nienawiścią. Od czasu do

czasu błyskało w jego źrenicach groźnie, wydymała się dolna warga pogardliwie, to znów wygładzały się rysy oblicza, przybierając wyraz poważny.

Z niepokojem spoglądali na niego stary hrabia z Nellenberga, Bertold i arcybiskup Limar. Czy potrafi w tej ważnej chwili zapanować nad słusznym gniewem? Wyrok śmierci, wydany na rokoszan, przysporzyłby mu nieprzyjaciół. Wszakże ślubował pośrednikom łaskę dla buntowników!...

Po długiem milczeniu odezwał się Henryk.

Wyprostowawszy się na krześle, mówił głosem, przytłumionym nieco wewnętrznem wzruszeniem.

— Tak zuchwale i bezbożnie obrażaliście majestat korony, iż powinnibyśmy was dla odstraszenia innych wassalów od zbrodni nieposłuszeństwa oddać w ręce naszych palatynów, aby postąpili z wami według prawa i zwyczaju. Ulegając jednak prośbom przyjaciół tronu i zważywszy, iż jesteśmy na ziemi namiestnikiem Króla Niebieskiego, który zstąpił nie dlatego między grzesznych ludzi, aby ich sądził, lecz aby ich nawrócił i błogosławił, zrzekamy się w naszej łasce królewskiej zemsty godziwej. Aż do zjazdu książąt w Bambergu, który to zjazd ustanawiamy na ostatnie dnie przyszłego miesiąca, będziecie korzystali z gościnności naszej i naszych przyjaciół. Nie palatynowie, lecz zjazd książąt orzeknie karę, na jaką zasłużyliście, my zaś, pomni na przykazanie Zbawiciela, siewcy miłosierdzia i przebaczenia, nie odmówimy wam łaski królewskiej, jeśli będziecie odtąd pracowali szczerze dla sławy korony. Tak rzekliśmy i postanowiliśmy! Podnieście się!

Przyjaciele króla odetchnęli. Obawiali się oni do ostatniej chwili gwałtownego wybuchu nienawiści.

A Henryk podniósł się z krzesła, rzucił się na kolana i, wyciągnąwszy ręce do nieba, zaintonował głosem drżącym:

— *Te Deum laudamus*!

— Ciebie Boga chwalimy!—podjęli biskupi, prałaci, członkowie rządu, książęta, hrabiowie i wszyscy rycerze, którzy znali język łaciński,

— Ciebie Boga chwalimy! — śpiewało wojsko Franków i hymn radosny rozlewał się szeroko po równinie turyngskiej, budząc w okolicznych zamkach i siołach trwogę, roznosząc daleko wiadomość o tryumfie króla.

Upokorzeni rokoszanie przygryzali wargi do krwi, załamywali ręce, połykali łzy gorzkie.

Niejeden z nich przysięgał w duszy królowi rychły odwet za dzień dzisiejszy.

XIV.

I znów ustroiła się Wormacya, jak oblubienica do ślubu. Domy, umajone choiną, tonęły w zieleni, milczały warsztaty, zamknęły się sklepy. Cała ludność płci obojga, przybrawszy się odświętnie, wyległa przed bramę północną, muzykanci rozstawili się wzdłuż drogi, prowadzącej do Moguncyi.

Bo znów wracał do swojej rezydencyi król Henryk, a wracał zwycięzcą, chwałą okryty i potęgą. Z nim szli członkowie rządu, wojewodowie lotaryńscy, biskupi rzeszy i synowie miasta, których wierny gród wysłał do Gerstrungen.

A wracali wszyscy zdrowi, szczęśliwi. Ani jeden włos nie spadł z ich głowy, chociaż dokonali dzieła wielkiego.

Otoczona swoim dworem, żeńskim i męskim, wyjechała także królowa Berta na powitanie małżonka. Kochała go ona namiętnie, mimo jego niestałości. Nawet dawniej, w pierwszych latach po ślubie, kiedy Henryk zaniedbywał ją i obrażał roz-

myślnie, chcąc zmusić do rozwodu, nie skarzyła się nigdy na niego.

Siedziała na białym koniu w szkarłatnej sukni, w szkarłatnym płaszczu, obsypanym drogiemi kamieniami. Wbrew zwyczajom dworu, nosiła oznakę kobiet zamężnych, czółko i opaskę.

Prawego jej boku trzymała się Judyta, lewego hrabina Adelajda z Wolfenburga. Niezwykła uroda obu dam dworu przyćmiła jej świeżą twarz, której największym wdziękiem była dobroć, malująca się w oczach i w ustach.

Rumieńce niecierpliwego oczekiwania okrasiły lice królowej i Judyty. Obie wytężyły wzrok ku północy, nie zwracając uwagi na Adelajdę, która skubała drżącemi palcami rąbek płaszcza.

U stóp królowej szumiał ojciec Ren, rzek niemieckich patryarcha. Tyle krwi rzymskiej i germańskiej zmieszało się z jego falami, tyle zbrodni utonęło w jego nurtach, iż płakałby bezustannie, gdyby mógł odczuć boleść ludzką.

Kiedyś, bardzo dawno temu, stały na tem samem miejscu dwie równie młode, piękne kobiety, jak Adelajdá i Judyta. Krymhilda wyciągała stęsknione ramiona do Zygfryda, Brunhilda knuła zemstę za doznaną zniewagę.

Hrabina z Wolfenburga znała bardzo dobrze pleśnią wieków pokrytą powieść o niedoli Nibelungów. Wszakże śpiewali ją wędrowni grajkowie na wszystkich zamkach szwabskich i frankońskich.

W jej gwałtownej duszy budziła zawsze zdrada Brunhildy i Hagena dźwięki pokrewne. I ona nie umiała i nie chciała przebaczyć urazy.

Kiedy Bertold wyjeżdżał na wojnę, cieszyła się skrytą nadzieją, iż ją miecz saski pomści; ale on wracał nietknięty prędzej, niż się spodziewała. Zjednany jej obietnicami Burhard z Rekingen miał dotąd zaledwo czas zawiązać z Judytą bliższą znajomość.

Z pod brwi zsuniętych wzrokiem zawistnym spoglądała hrabina na szczęśliwą współzawodniczkę. Łuna radości, bijąca z twarzy narzeczonej Bertolda, paliła ją żarem wstydu. Ta naiwna wieśniaczka wyparła ją bez walki z serca kochanka, ją, przebiegłą zalotnicę, obeznaną ze wszystkiemi sztukami bałamucenia rodu męskiego.

Kiedy cała Wormacya drżała z niecierpliwości ujrzenia jak najprędzej uwielbianego króla, hrabina pragnęła, aby ta chwila nie nadeszła nigdy. Bo z królem przybędzie Bertold, a nie do niej uśmiechną się jego usta, tylekroć całowane.

W dali po lewej stronie Renu ukazał się tuman kurzu, olbrzymiej szerokości i wysokości. Kiedy od strony rzeki powiał wiatr silniejszy, chwiał się szary olbrzym, rozpadał się na strzępy, a wówczas za nim się rozpierzchłe części zlewały znów w gęstą mgłę, iskrzyło się i błyszczało na ciemnem tle lasów, jakby wszystkie gwiazdy zstąpiły z nieba na ziemię.

Tuman posuwał się wolno, poważnie, wzdłuż Renu. Od czasu do czasu wylatywał z jego wnętrza jakby urwany, wesoły uśmiech. Potem złączyły się niewyraźne zrazu dźwięki, tworząc pieśń wojenną.

To oznajmiały rogi i trąby zbliżanie się króla.

Nagle wypadla z kłębów kurzu gromadka jeźdzców. Przodem pędził na karym koniu szkarłatny rycerz. Za nim powiewały żółte, białe i niebieskie płaszcze.

— Henryk!—szepnęła królowa.

— Bertold! — śpiewało w duszy Judyty.

Hrabina Adelajda spuściła oczy w ziemię.

Nad tłumem wyrósł gaj zielony. Wszystkie ręce wyciągnęły się ku nadbiegającej gromadce, a każda z nich trzymala gałązkę jedliny.

I ruszył żywy gaj brzegiem Renu, prowadzony przez królowę.

Jeźdźcy zbliżali się szybko. Pierwszy złączy

slę z czołem korowodu rycerz szkarłatny. Przypadł do królowej...

Nad tłumem załopotał w tej chwili okrzyk potężny, jak gdyby się chmura ptactwa nagle zerwała.

— *Heil Hero, heil Liebo!*—wołała Wormacya—herooo... lieoooo — odpowiadało echo wzdłuż murów miasta.

Nie zwykła gawiedź, chciwa wrażeń, wrzeszczała bezmyślnie, rozbawiona ciekawem widowiskiem. Przyjaciele witali przyjaciela, kochający poddani ukochanego władcę. Świadczyły o tem rozpromienione oczy, życzliwe uśmiechy, szczera radość, tryskająca z okrzyków.

Gród frankoński witał bez obłudy pana krwi swojej, dumny ze zwycięstwa, odniesionego nad rokoszanami. Wszakże był tryumf Henryka w części jego dziełem. Gdyby nie bohaterska wierność Wormacyi, nie byłby mógł król przeczekać pierwszej najgroźniejszej burzy.

Henryk wiedział, iż z chwilą, gdy dotknął stopą ziemi wormackiej, był wśród swoich, we własnym domu. Przeto zdjął z siebie powagę monarszą i stał się pospolitym śmiertelnikiem. Przechyliwszy się do królowej, objął ją serdecznie, tuląc jej głowę do piersi.

Ta cicha, łagodna kobieta, narzucona mu przez ojca i książąt rzeszy, zaręczona z nim prawie w kołysce, a zaślubiona w szesnastym roku życia, miłowała go tak gorąco, iż w ogniu jej uczucia stopniał w końcu jego chłód. Pokonany jej bezgraniczną uległością, jej pokornem cierpieniem, przywiązał się do niej po długim oporze, uznał w niej prawowitą małżonkę, a chociaż często łamał jej wiarę, szanował ją i starał się nie obrazić jej drażliwości niewieściej jawną, głośną zdradą.

Król tulił królowę do piersi, bo ta głowa myślała tylko jego myślami, troskała się jego troskami,

Od czasu, kiedy się porozumieli, dzielili wszystkie niepokoje, obawy i niebezpieczeństwa.

Henryk, ucałowawszy w obliczu ludu usta Berty, odwrócił się do tłumu i otworzył ramiona szeroko, jakby chciał całą Wormacyę przygarnąć do serca.

Najbliżej stojący zaczęli się do niego tłoczyć. Każdy chciał dotknąć jego sukni, ręki. On kłaniał się łaskawie na wszystkie strony i uśmiechał się przyjaźnie.

Tuż za królem nadbiegł Bertold.

Zbliżył się do Judyty, zakłopotany, nie wiedząc, jak ją powitać. Zobowiązał się słowem rycerskim nie gwałcić jej uczuć religijnych, a klęska rokoszan nie zmieniła w niczem jego położenia. Był dotąd wyklęty...

Ale kochająca dziewczyna zapomniała po raz wtóry o groźbie Kościoła. Stał przed nią narzeczony, którego bezkrwawe zwycięstwo wydarło z paszczy wojny. Mógł nie wrócić, mógł spocząć na zawsze w czerwonej ziemi Sasów...

Więc wyciągnęła do niego rękę. On pochwycił ją skwapliwie, zarumieniwszy się, jak młodzieniaszek.

Oczami, spojrzeniem, wymowniejszem od zaklęć najgorętszych, opowiadali sobie o tęsknocie, z jaką czekali na tę chwilę szczęśliwą. Po promieniu, łączącym ich źrenice, szły myśli ich z duszy do duszy, splatały się z sobą, mieszały.

Dokoła nich szumiał szmer rozgwarzonego tłumu, huknął od czasu do czasu grzmot okrzyków. Lecz szmer i grzmot wydawały się słabem echem jakiejś wrzawy dalekiej. Zatopieni w swoim widoku, słyszeli tylko własnych piersi oddech przyśpieszony. Całe otoczenie przestało dla nich istnieć.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Każdy witał kogoś blizkiego, drogiego, zajęty własną radością.

Jedna tylko para czarnych oczu śledziła z boku z pod czoła ich niemą spowiedź. Hrabina Ade-

lajda targała coraz częściej, niecierpliwiej rąbek płaszcza, szarpiąc cugle bez powodu. Nagle uderzyła swojego konia pięścią pomiędzy uszy. Zdziwione zwierzę stanęło dęba i wpadło na wierzchowca Judyty.

Zazdrość rozwiała złoty sen miłości. Rozplotły się ręce narzeczonych, ocknęły się ich dusze.

— Odpuśćcie mojemu Aleksandrowi jego bydlęcą niemoralność — odezwała się hrabina ze złośliwym uśmiechem na ustach.—Konie nie mają ochmistrzów.

— I szlachetnie urodzone panie grzeszą czasami przeciw moralności — odpowiedział Bertold, zmierzywszy hrabinę wzrokiem pogardliwym.—Witajcie mi, hrabino, niewieściej łagodności wzorze niezrównany.

Patrzyli na siebie: on z lekceważeniem, ona z nienawiścią.

— Jeszcze częściej od niewiast grzeszą przeciw moralności szlachetnie urodzeni panowie, albowiem kłamią miłość, jakkolwiek moralność rycerska nakazuje mówić zawsze prawdę—rzekła. — Witajcie mi, wolny panie, męskiej stałości wzorze niedościgły.

Odgadłszy cel przymówki hrabiny, spojrzał Bertold z obawą na Judytę. Żałował znów szczerze lekkomyślnej przeszłości, która pozwalała jego słowo rycerskie podawać w wątpliwość wobec narzeczonej.

— Byłabym ciekawa poznać ostatnią ofiarę waszych przysiąg—drwiła hrabina.—Bo wasze serce nie próżnuje nigdy, nawet na wojnie. Opowiedzcie...

W tej chwili stęknął jej koń i rzucił się tak gwałtownie w bok, że zachwiała się w siodle. Potężna noga, odziana w srebrny but, uderzyła zwierzę w brzuch.

Z błyskami gniewu w oczach zwróciła się hrabina do zuchwalca, ujrzawszy jednak przed sobą Ulryka z Godesheimu, zaśmiała się szyderczo. Domy-

śliła się, że palatyn chciał wybawić przyjaciela z kłopotu.

— Przybyliście za późno, palatynie — wyrzekła

— Nie przychodzi nigdy za późno, kto broni gołębicy przed krogulcem—odparł Ulryk.

A zniżywszy głos, aby go tylko hrabina mogła słyszeć, dodał:

— Przypominam wam, hrabino, iż pan Henryk nie lubi złości niewieściej. Jeźli nie zaprzestaniecie brzydkiej igraszki, zamknie wam król przystęp do dworu.

Celnie wymierzona groźba odjęła hrabinie ochotę do dalszych drwin. Wiedziała ona, że Henryk nie znosił w swojem otoczeniu niezgody. Dla miłostek dam pałacowych był pobłażliwy, bawił się niemi, korzystał z nich sam, lecz mściwe intrygi karał surowo.

Tymczasem nadciągnęła przednia straż dzieci wormackich. Żołnierz zmieszał się z ludem, syn całował ręce matki, brat obejmował siostrę, narzeczony szeptał z narzeczoną, żony odbierały od mężów tarcze, hallabardy.

Utworzyło się szczególnego rodzaju wojsko. Uzbrojone kobiety stanęły obok oszczepników i szermierzy, dzieci uczepiły się sukien ojców, wlokąc za sobą topory, młoty, łuki.

Na czele tej bezładnej, śmiejącej się, dowcipkującej gromady wjeżdżał król Henryk w bramy Wormacyi. Przed nim harcowali synowie dostojników miejskich na rączych koniach, dokoła niego błyszczał dwór jedwabiem, złotem, drogiemi kamieniami, za nim toczył się różnobarwny tłum falą ruchliwą.

Oczy młodego władcy świeciły, jak gwiazdy w noc pogodną, jego twarz, zwykle blada, rumieniła się rumieńcem zadowolenia. Był szczęśliwy, czuł się po raz pierwszy w życiu istnym panem rzeszy niemieckiej, królem królów, najpotężniejszym monarchą chrześciaństwa. Teraz dowiedzie światu, iż

wziął po wielkim ojcu nietylko wielką koronę, lecz także jego duszę bohaterską.

Tak roił Henryk, zachęcony niespodziewanem zwycięztwem. Jego duma królewska biegła już na skrzydłach wyobraźni od krańca północnego rzeszy do południowego, od zachodu do wschodu, i widziała wszędzie posłusznych wassalów, kornych sprzymierzeńców—spokój i porządek. Groźny tron Karola Wielkiego powstanie z gruzów, a on, tego tronu dziedzic prawowity, będzie sądził mnogie ludy i zaswawiał puklerzem swoim świętą wiarę katolicką, jak czynili jego przodkowie.

Wtem potknął się jego koń tuż przed samą bramą. W mieście zagrały dzwony, lecz Henrykowi zdawało się, że cichy płacz idzie ku niemu. Muzykanci uderzyli w bębny, a on doznał wrażenia, jakby się nad nim mury waliły. W przędzę jego dumnych marzeń wpadł złowieszczy głos bolesnego przeczucia i rozpędził lotną dziatwę wyobraźni.

Niepewny nigdy dnia jutrzejszego, zależny ciągle od nieprzewidzianych wypadków, które rozrywały gmach jego zamiarów, stał się Henryk przesądny, jak żeglarz, i nadczuły, jak chora niewiasta. Często chmurniał bez powodu wśród najweselszej biesiady, rzucał ulubione kości, niedopity puhar i uciekał od ludzi.

I teraz zmierzchło nagle jego piękne oblicze. Jakiś głos tajemniczy przypomniał mu zawiedzione nadzieje lat ubiegłych i ostrzegł go przed zbyt śmiałemi marzeniami.

Właśnie zachodziło słońce nad Wormacyą, duże, czerwone, smutne. Wypukłe szyby w oknach większych domów i kościołów paliły się krwawemi płomykami, od strony Renu podniósł się wiatr, spędzając wszystkie głosy dzwonów w jeden głuchy jęk.

Henryk nakreślił na piersiach znak krzyża. Niewytłumaczony strach przed czemś nieznanem, za-

krytem wstrząsnął jego duszą. Czyby nad jego domem wisialo jakie nieszczęście?

Skinął na marszałka dworu, który jechał za nim.

— Czy nie stało się podczas mojej nieobecności w Wormacyi nic szczególnego? — zapytał, kiedy się dostojnik zbliżył.

— Przedwczoraj przybył goniec rzymski z listem i z oznajmieniem, iż legaci Hildebranda wybierają się w drogę do Niemiec — odpowiedział marszałek.

— Ah...—rzekł król—nawałnica idzie...

I pochyliwszy głowę, szeptał po łacinie prośbę psalmisty: „Do ciebie, Panie, duszę moją podnoszę Boże mój, w Tobie ufam, niech nie będę zawstydzony, niech się nie weselą nieprzyjaciele moi ze mnie. — Panie, daj mi poznać drogi Twe, ścieżek Twoich naucz mnie.—Daj, abym chodził w prawdzie Twojej i naucz mnie, boś Ty jest Bóg zbawienia mego.—Grzechów młodości mojej i przestępstw nie racz pamiętać, według miłosierdzia Twego wspomnij na mnie, dla dobroci Twojej Panie!...“

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

BIBLIOTEKA
JANA SZKODZIŃSKIEGO

OD REDAKCYI.

Prenumeuatorowi z Senatorskiej. 1) Na pytanie, czy damy inne tomy z „Rzeczy Widzianych“ W. Hugo, będziemy mogli odpowiedzieć dopiero po otrzymaniu egzemplarza z Paryża 2) Słowackiego damy jeszcze poezye liryczne; Krasińskiego nie mamy zamiaru kompletować, wobec ukazania się taniego wydania Gebethnera. 3) Drukowanie tytułów na grzbiecie okładk wpoprzek jest niemożliwe, bo czcionki wypadłyby za drobne Oprawa nie jest oczywiście taką, jakąby być mogła, za droższe pieniądze, ale staramy się, żeby była coraz lepszą.

P. A. M. w Bikieniczach. Tom 114 nie jest pierwszym z roku 1900, lecz ostatnim z 1899, jak o tem świadczy data na okładce, czyli, że „Polowania Foà“ skończyły r. z. Na kwarta liczy się 13 tomów. Uwaga o potrzebie zaznaczania roku jes słuszną i zastosujemy się do niej. Rocznik „Biblioteki“ kończy się właściwie 1-go października, ponieważ w tym terminie rozpoczęło się wydawnictwo. Wyszłe tomy wysyłamy.

P. Aurelianowi P. Dwóch kart tytułowych nie dajemy stale, żeby zmieścić więcej tekstu. Sz. P. ma jednak słuszność że książka wówczas porządniej wygląda; według możności zastosujemy się do uwagi. Spis jest potrzebny od czasu do czasu,

dla tych, którzy chcą coś wybrać dla siebie z dawniejszych tomów. Ułatwienie żądane zrobimy wyjątkowo, lecz prosimy zgłosić się do sekretarza Redakcyi, p. Nicza (Nowy Świat, 47). W zeszytach dzieł wydawać nie możemy, bo musimy się trzymać koncesyi.

P. W. K. Krytyki tego rodzaju w piśmie niekrytycznem o wydawnictwie tak poważnem i pracowitem jak „Słownik języzyka polskiego," uważamy za bardzo niewłaściwe.

P. Szt. w Warszawie. Nie przeczymy, że Berwiński był pisarzem utalentowanym, ale wątpimy, czy wybór jego pism zainteresowałby dziś kogokolwiek.

P. N. Powieść Suttnerowej „High Life" jest napisana zręcznie i sympatycznie, jak wszystkie prace tej autorki, ale malując specyalnie obce nam stosunki, austryackiej, niemieckiej arystokracyi, nie przedstawia już tego interesu, co najlepsza jej powieść „Precz z orężem!" i dlatego tłómaczyć jej nie będziemy.

P. F—g. Nowelle Altenberga mieliśmy w referacie; są to dziwadła i wyrwasy z życia bardzo nierównej wartości. Jakkolwiek talentu fotograficzno-poetycznego autorowi odmówić nie można, ale nad talentem przeważa sadzenie się na oryginalność obok pustki treści. Są to, jak się dziś mówi, rzeczy nastrojowe, ale zanadto nastrajane, wyciskane i filtrowane, tak, że w końcu z nastroju zostaje tylko niesmak. Autor, zblazowany życiem, ma pasyę do piętnastoletnich ideałów, bardzo zresztą eteryczną i ckliwą. Częstokroć są też obrazki jego wprost karykaturami prawdy i poezyi zarazem. Autorowi zdaje się, że ma idee, a właściwie nie umie myśli zebrać, coś kocha wielkim afektem, ale dokładnie nie wie co. Czytelnik wynosi to wrażenie, że niemiecki nowelista lubi napewno tylko „zapach podlotków" i smak zupy kartoflanej, którą w jednym szkicu gorąco opiewa. Co do reszty ogólno-ludzkich ideałów nie jest jeszcze zdecydowany, a tymczasem robi wrażenie opasłego filistra, przebranego za Romea. Przedewszystkiem jednak jest to pisarz chory na nerwy i gwałtownie potrzebujący kuracyi. Gdy się wyleczy i napisze coś zdrowego, chętnie wydrukujemy w „Bibliotece." Prosimy nie

sądzić, że mamy uprzedzenie do „nagiej duszy.“ Bynajmniej! Ale z nagą duszą rzecz się ma tak, jak z każdem dekoltowaniem trzeba mieć co pokazać—inaczej najświetniejsza toaleta balowa zrobi fiasco.

P. Au. w Berlinie. Nr. 115 wysłany pod opaską.

P Zofii z Miodowej. Highlanderami nazywają się pułk angielskie złożone ze szkockich północnych górali. High land dosłownie: wysoki kraj. Nazwa Afrykander oznacza europejczyka osiadłego stale w Afryce. — Dziełko o Boerach nabyć można w Redakcyi naszej za 25 k. Spis kompletny dołączamy. Tomy nie zawsze bywają przynoszone jednego dnia, bo czasem w skutek świąt lub większej objętości, numer ulega małemu opóźnieniu. Gdyby jednak roznosiciel opóźniał się więcej niż o dzień jeden, prosimy reklamować.

P. St. w Warszawie. Stempel dziennikarski wyciskanc w Galicyi na każdym egzemplarzu dzienników, zarówno miejscowych, jak i przychodzących z za granicy, za co płacić trzeba było tyle, że bardzo często cały dochód miejscowego wydawcy pochłaniał podatek. Barbarzyńskie te stosunki ustały nareszcie; wydawanie pism na miejscu stanie się mniej ryzykownem, a prenumerata pism warszawskich zostanie również ułatwioną. Oby tylko nie okazało się, że na zmianie tej najwięcej zarobią wydawnictwa pruskie!

Życzliwemu. Ach, Sz. Panie! o naszych gazetach dużoby się dało powiedzieć; i jeśli Sz. P. twierdzi, że to i owo jest do poprawienia, to mybyśmy powiedzieli wprost, że wymagałyby gruntownej reformy. Krótko mówiąc, dziennikarstwo nasze, pomimo niezaprzeczonych postępów w kilku ostatnich latach, jest jeszcze nawskroś zaściankowem. Przedewszystkiem ilość miejsca, poświęconego różnym sprawom, jest w stosunku odwrotnym do ich ważności. Najwięcej zajmują nas artyści i artystki wszelkiego rodzaju. Każda ich niedyspozycya jest notowana starannie, a o wartościowej książce albo wcale niema wzmianki, albo jest zjadliwa krytyka, która nikogo nie uczy, a autora zniechęca. Najgłupsza jednoaktówka zagraniczna bywa rozbieraną szczegó-

owo w osobnym felietonie artystycznym przez uczonego sprawozdawcę, a o powieści oryginalnej polskiej albo się wcale nie pisze, albo powierza się wzmiankę byle komu. Sprawozdania z odczytów naukowych piszą reporterowie brukowi. Bibliografii nformacyjnej kompletnej i sumiennej niema w żadnem piśmie. Każde z nich ma tylko pewne sympatyczne dla siebie parafie, w których wychodzące książki bywają zaznaczane wywkowo, zaś najważniejsza sprawa społeczna, poruszona w piśmie konkurencyjnem, jest przez to samo skazaną na pogrzebanie. Nie o to chodzi, co kto pisze, ale kto i gdzie pisze. Jeżeli zaś wiadomość jest ciekawą, przedrukowuje się ją bez wskazania źródła, albo ze źródłem nieodpowiedniem. Przed paru laty *Kur. Warsz.* ogłosił artykuł noworoczny, wyglądający jakby zapowiedź szeregu artykułów zasadniczych, nawołujących do większej łączności i sprawiedliwości w stosunkach wzajemnych, i, ze zdumieniem widzieliśmy pisma konkurencyjne cytujące się i polemizujące uczciwie. Ale trwało to kilka tygodni i znów wszystko wróciło do normy. Tymczasem polityka jak panowała, tak panuje na łamach dziennikarskich, bez żadnej proporcyi do spraw miejscowych. My bierzemy tak żywy udział w polityce ogólno-europejskich i wogóle w losach świata, że każdej zmianie gabinetu we Włoszech, albo naruszaniu równowagi w budżecie Portugalii, musimy poświęcać osobne artykuły wstępne. Przeciętny czytelnik nie rozumie wprawdzie połowy terminów naukowych, zużytkowanych przy tej sposobności, ale z tem wszystkiem jest dumny, że przenika najgłębsze i najdalsze sprawy, nic nie wiedząc o tem, co się dzieje w jego powiecie—chyba, że grono amatorów zagra parę jednoaktówek, albo bal dobroczynny zaprodukuje wdzięki i toalety miejscowe—bo wtedy artykuły się zjawią. Wogóle większość naszych pism niema poważnego tonu *popularno-informacyjnego*, tylko albo za wysoki *ex catedra*, albo za nizki, brukowy. To też dzienniki nasze tak mało *uczą*, że gdyby wszystkie ich roczniki wziąć pod prasę i ścisnąć, to zaledwieby się zebrała buteleczka ekstraktu wiadomości, istotnie pożytecznych. A tymczasem młodzież rzuca się naoślep w niepopłatne, bo przeludnione zawody, przemysłowiec naprożno szuka wskazówek

o krajowej wytwórczości, ojciec rodziny nie znajdzie zdrowej rady w kwestyach hygieny lub pedagogiki, kupujący książki musi obchodzić księgarnie, żeby się dowiedzieć co wyszło a co nie wyszło, a ogół uczy się żyć z dnia na dzień wiadomościami brukowemi i plotkami, zamiast się zastanowić nad sobą samym, nad potrzebami kraju i nad możnością posuwania się naprzód w jakimkolwiek kierunku. A przytem, z tek redakcyjnych wysypuje się tyle śmiecia, powiastek i nowelek, oraz bezużytecznych drobiazgów zagranicznych, że wartość przeciętną naszych dzienników możnaby podnieść znacznie, nietylko przez to, coby się do nich dodało, ale przez to, coby się z nich wyrzuciło. Na nieszczęście dziennikarz nie mający dostatecznej pensyi stałej i płatny od wiersza, musi smarować za dużo bez potrzeby, boby inaczej nie wyżył. Nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli odpowiedzieć na wszystkie uwagi Sz. P. Nie powtarzamy również tytułów dzienników, które Sz. P. obarcza zarzutami, bo chcąc być w takich razach ścisłym, trzebaby każdemu oddać *suum cuique*, a mielibyśmy też niejedno do pochwalenia i niejedno do wyróżnienia. Niech tymczasem tych kilka ogólnych spostrzeżeń wystarczy.

P. F. S. z Nowego Światu. Propozycyj przekładów z różnych języków mamy tak wiele, że nawet setnej części zużytkować nie możemy, a powtóre dziwimy się doprawdy, jak może ktoś, nieznany w literaturze, żądać gołosłownie powierzenia mu przekładu, nie załączywszy żadnej próbki swoich kwalifikacyj! Już to samo dowodzi, że niema dostatecznego pojęcia o trudnościach dobrego tłómaczenia.

P. S. S. Powieść hr. L. Tołstoja: „Zmartwychwstanie“ już się tłómaczy dla „Biblioteki.“ Zatem z łaskawej oferty korzystać nie możemy.

Technikowi. „Chemia codziennego życia“ ukaże się zaraz po skończeniu powieści Choińskiego. Będą dwa tomy. Ze specyalnych prac istnieje nieco przedawniona „Technologia chemiczna“ Wagnera w przekładzie Juliana Grabowskiego z r. 1877 Obejmuje ona 2 duże tomy i może być jeszcze pożyteczną, dla chcącego się zaznajomić z historyą różnych gałęzi przemysłu.

P. Z. N. w Grabówku. Nie możemy dawać równej liczby wierszy, bo gdy rękopism jest większy, to się go ściślej drukuje. Czyżby istotnie Sz. P. na tem zależało?

Wołyniakowi. Owszem, damy jeszcze dalszy ciąg pamiętników Konopackiego, tylko nie chcieliśmy przeciążać „Biblioteki“ jednostajną treścią. Po roku 1848 mamy zamiar przejść do 1830 i będziemy się cofali wstecz, a potem znów ku czasom nowszym. Za wskazówki dziękujemy, chociaż dział ten i tak przygotowuje się na przyszłość bardzo starannie.

P. F. G. Atlas geograficzny jest wydawnictwem p. Sikorskiego. Kantor w księgarni Paprockiego. W ostatnich czasach wyszedł zeszyt 22—ma być jeszcze pięć.

P. A. K. w Warszawie. Powieści Erckmana-Chatriana, o które Sz. P. zapytuje, nabyć można w bardzo taniem wydaniu „Przeglądu Tygodniowego“ (Adres Redakcyi: Czysta, 4). Monografia Łowicza i okolicy nie musiała wyjść z druku, bośmy jej nie znaleźli w księgarniach.

P. S. K. w Warszawie. Pokazuje się, że w najprostszej sprawie można ludziom zamącić w głowach. Zaczynanie wieku XX od 1-go stycznia 1900 r. niema żadnej podstawy i mogłoby być tylko dziełem umowy, albo nakazu, a ponieważ opinia cesarza Wilhelma nie jest u nas obowiązującą, trzymamy się w dalszym ciągu starej arytmetyki Pitagorasa, która nie pozwala kończyć setki dziewiątką. Szanowny nasz kolega „Kuryer Poranny“ rozumuje tak: „Rok pierwszy po Nar. Chr. był rokiem zero...“ Dlaczego? Bo „kto nie skończył jeszcze pierwszego roku, ten ma lat 0, miesięcy X, dni X etc.“ Bardzo słusznie, ale zawsze jest to rok pierwszy życia, a nie rok 0. Rok 0 skończył się 1-go stycznia pierwszego roku—zaś 1-go stycznia drugiego roku skończył się rok 1, a nie rok 0. Ale dajmy na to, że nomenklatura „K. P.“ jest ścisłą. Jeśli rok 1 był rokiem 0, to 2 był 1, 3—2, setny — 99-ym i t. p., a 1900 — 1899. Czyli, że i przy tej nomenklaturze wiek XIX skończyłby się także dopiero za rok, z tą tylko różnicą, że rok obecny nazywałby się nie 1900, lecz 1899,

na co niktby się nie zgodził. A swoją drogą, chcąc usprawiedliwić takie liczenie, musielibyśmy objaśnić, że w naszej rachubie wiek I miał tylko 99 lat, ale że właściwie 99 znaczy 100, ponieważ do 99 liczonych od drugiego, należy dodać pierwszy liczony jako zero, czyli, że w tym rachunku *zero* równałoby się *jedynce*. I na coby nam się przydała taka krętanina?

Dzięki swojej nomenklaturze „K. P." rachuje tak:

Lat 100 upłynęło 1-go stycznia r. 100
„ 200 „ „ „ r. 200
. . . . . .
Lat 1900 upłynęło 1-go stycznia r. 1900

Tymczasem, tabliczka ta będzie prawdziwą dopiero wtedy, jeśli objaśnimy, że rok 100 był właściwie rokiem 101, wskutek nazwania pierwszego rokiem zero. Ale podobnie, jak pierwsza kopiejka rubla nie jest zerem, tylko jednostką, tak też nie jest rok pierwszy rokiem zero; w przeciwnym razie rubel miałby tylko 99 kop, a wiek I skończyłby się na 99 roku. Czyż nie prościej tedy rachować tak:

Lat 100 upłynęło po skończeniu
lat stu, a więc 1-go stycznia r. 101
Lat 200 upłynęło 1-go stycznia r. 201
. . . . . .
Lat 1900 upłynie 1-go stycznia r. 1901

Dowodzenie, że kto się urodził 1-go stycznia 1800 roku i dożył do 1-go stycznia 1900, ten w dniu tym skończył lat sto, czyli wiek—jest słuszne samo w sobie, lecz w zastosowaniu do naszej kwestyi staje się błędem logicznym, polegającym na przyjęciu w założeniu tego, co dopiero miało być dowiedzionem: gdyby wiek XIX zaczął się był 1-go stycznia 1800 r., to niewątpliwie skończyłby się 1-go stycznia 1900 r., ale w tem właśnie kwestya, czy należy początek w. XIX umieszczać w dniu

1-go stycznia 1800, a początek XX w d. 1 stycznia 1900? Naszem zdaniem, nie, bo w takim razie ostatni rok wieku nazywałby się 99, a nie setnym, co jest *contradictio in adjecto.*

Przenoszenie pojęć stopni termometru i rachuby termometrycznej do chronologii nie jest właściwem, bo w chronologii lata i wieki przed i po za granicą danej ery, można i trzeba dodawać do siebie, mówiąc, że np. od założenia Rzymu upłynęło 26 wieków i 53 lata, podczas gdy nie można dodawać stopni zimna do stopni ciepła, jako wielkości wzajemnie się znoszących.

Fakt, że woda wrze przy 100^0, „nie czekając 101^0" i że ten lub ów już powitał początek XX-go wieku, dowodzi tylko tyle, że i wrząca woda i wrzący rachmistrz nie chcieli czekać. Ale racye logiczne w obu tych faktach są bardzo różne: że woda nie chciała czekać 101^0, to miała do tego prawo, bo nie ona jest obowiązaną stosować się do ludzkich formułek, tylko właśnie uczeni nazwali setnym stopniem termometru ten punkt, przy którym woda wrzeć zaczyna; ale abstrakcyjny podział na wieki, nie mający dwóch granic, tylko jedną, i w którym nie można danej przestrzeni dzielić na dowolną ilość stopni, jak w termometrze, musi się stosować do formuły raz przyjętej, jeśli wogóle ma być ścisłym.

Niech sobie przeto, kto chce, już dziś rozpoczyna nową erę — my jeszcze rok zaczekamy. Czy wówczas rozpocznie się nowa era niemieckiej chwały — nie wiemy; napewno jednak rozpocznie się wiek XX ery chrześciańskiej.

P J. Z. Powieść „Koliszczyzna i stepy" Michała Grabowskiego była na sesyi redakcyjnej, ale została odrzucona, jako rzecz słaba i przestarzała. Co do innych wyliczonych prac, będziemy je mieli na myśli. Autorem „Tajkurów" jest także Michał Grabowski.

P. Wł. G. Wskazówka pańska jest całkiem słuszną. I my pragnęlibyśmy mieć jak najwięcej podróży po stronach bliższych; na nieszczęście, autorowie nasi sądzą, że podróżowanie po kraju lub stronach najbliższych nie jest podróżowaniem i ła-

twiej nam znaleźć dobry opis Japonii, niż Litwy i Żmudzi. Że o ziemiach bliższych radzibyśmy mieć relacye, świadczy zamieszczenie w „Bibliotece“ doskonałej pracy prof. Zawilińskiego „O Słowakach.“ Gdyby nam dostarczono takich więcej, bylibyśmy bardzo szczęśliwi. W każdym razie dziękujemy za życzliwe rady.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze,** opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowele,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego,** w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka,** obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry,** powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

*24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

*25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

Tom.

*26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

*31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

*32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

*35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39 Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

***52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

*59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

*60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Tom.
66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*
*68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
*69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
*70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
*73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Dorégo.
81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.
84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść
87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska** Studyum krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*
89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*
90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*
I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*
93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a,** w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.
96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona,** w przekładzie Topora.
98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne,** z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura,** z przedmową *J. A Święcickiego,* z ilustracyami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

104. Sewer. **Wśród pokus,** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami i mapką.

106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.

109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu,** z ilustracyami.

110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** powieść z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*

111. **Pamiętnik Generała Wysockiego,** z ilustracyami.

112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz,** powieść z przedmową *Juliana Mohorta.*

III. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

113, 114 Edward Foà. **Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustr.

Rok 1900.

115. Wiktor Hugo. **Rzeczy Widziane,** (1848 — 49) w przekładzie i z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

116. Henryk Szuman. **Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie** (1848), z przedmową *Aleksandra Kraushara.*

117, Teodor Jeske-Choiński. **Tyara i Korona,** powieść historyczna.

Wszystkie te dzieła nabywać można oddzielnie w cenie 25 k. za tom broszurowany, lub 40 k. w oprawie, z wyjątkiem dzieł oznaczonych *, których cena od N. R. 1900 podniesioną została na 40 k., oznaczonych **, które kosztują obecnie 50 k., oraz oznaczonych ***, które się liczą po 60 k.

Na przesyłkę każdego tomu, w oprawie lub bez oprawy, dołącza się 10 k.

Ilustr. Hist. Lit. Pol. Chmielowskiego sprzedaje się oddzielnie tylko w oprawie po rb. 2 za tom, z przesyłką 2 ruble 20 kop.

Kto wszakże wniesie przedpłatę półroczną od 1 stycznia do 1 lipca r. b., ten ma prawo otrzymać trzy wydane dotychczas tomy Literatury za rb. 2 zamiast 6-ciu. Na przesyłkę dołącza się gotówką lub markami 55 k. (bez oprawy) lub 60 kop. (w oprawie).

Termin powyższego zniżenia ceny do dnia 28 lutego r. b.

70—

PG
7158
J46T8
t.1-2

Jeske-Choiński, Teodor
Tyara i Korona

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 15 23 25 13 010 6